

MO HAYDER



KUKŁA

„Hayder wykracza poza granice wszystkiego,
co do tej pory zostało opowiedziane i opisane”.

Daily Mail



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

lesiojot

MO
HAYDER
KUKŁA

Z języka angielskiego przełożył
Maciej Potulny



Tytuł oryginału:
POPPET

Copyright © 2013 by Mo Hayder

]Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo
Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Szara Sowa

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Aneta Iwan, Marta Chmarzyńska, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7999-583-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Niewidzialna

Matka Potworów siedzi na szpitalnym łóżku. Nagle dostrzega ruch w pasku światła pod drzwiami. Cień się przesuwa, nieznacznie przemyka w bok, a potem się zatrzymuje.

Matka Potworów obserwuje go z głośno bijącym sercem. Coś tam jest, coś się czai.

Bezszelestnie zsuwa się z łóżka i ostrożnie odchodzi w najdalszy kąt pokoju – byle dalej od drzwi. Wciska się w trójkątną przestrzeń między ścianami, dygocze, oczy jej wilgotnieją ze strachu. Przez okno za jej plecami wpada do środka światło latarni, które rzuca na podłogę potrójny cień. Cienie zmieniają kształt, wydłużają się, pełną niczym drapiące podłogę palce, aż w końcu zlewają się z cieniem pod drzwiami. Matka Potworów rozgląda się po pokoju – przygląda się uważnie ścianom, łóżku, szafie. Bada wzrokiem każdy kąt, każde pęknięcie w murze, wszystkie zakamarki, w które może wśliznąć się Maude. Nikt tutaj nie wie o Maude tyle, ile Matka Potworów. Ale ona na pewno o niej ani piśnie. Za bardzo się boi.

Maude wciąż tam jest, niemal nieruchoma – plama światła jedynie od czasu do czasu lekko drga. Nagle Matka Potworów słyszy jej oddech. Chciałaby krzyknąć, ale nie jest w stanie wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Ostrożnie, jak najciszej wsuwa drżącą dłoń pod cienki czerwony szlafrok i przesuwa palcami po skórze między piersiami – próbuje wymacać jedyną rzecz, której teraz potrzebuje. W końcu udaje jej się to znaleźć i zaczyna mocno ciągnąć. Ból jest straszliwy, nigdy bardziej nie cierpiała. To gorsze niż samodzielnie dokonana amputacja ręki – albo poród (przeżyła to kilka razy). Jednak nie przestaje, dalej rozpiną suwak od mostka aż do wżgórka łonowego. Słysząc lepkie mlaśnięcia, kiedy mięśnie brzucha wyłaniają się spod skóry.

Ujmuje krawędzie rozdartej skóry i rozchyła ją na boki, wijąc się z bólu i płacząc. Tkanka odrywa się od żeber i piersi, ześlizguje z ramion. Pęka i krwawi, ale Matka Potworów nie przestaje, dopóki strzępy skóry nie zwisają jej na biodrach niczym spływający wosk. Bierze kilka głębokich wdechów i zsuwa skórę z nóg.

Po chwili zwał tkanek leży u jej stóp niczym sflaczała gumowa matryca.

Matka Potworów się otrząsa. Staje wyprostowana – jest pewna siebie, nieugięta. Jej nagie mięśnie lśnią w blasku latarni. Zwraca się w kierunku drzwi, dumna, z podniesioną głową.

Teraz Maude na pewno jej nie znajdzie.

Restauracja Browns, Triangle, Bristol

Restauracja znajduje się w budynku dawnego refektarza uniwersytetu – i wciąż panuje w niej ten sam zgiełk, typowy dla miejsc, w których przebywa wielu ludzi. Dźwięki odbijają się od wysokich sklepień. Tyle że w dzisiejszych czasach studenci nie jedzą przy stołach, tylko w czarnych fartuchach krążą między nimi z talerzami, mamrocząc pod nosem zamówienia i numery miejsc. Próbuje w ten sposób spłacić zaciągnięte kredyty. Nad barem z polerowanego kamienia mruga neon: KOKTAJLE DIETETYCZNE, a z zawieszonych wysoko na belkach pod stropem głośników dobiegają dźwięki piosenki Gotye.

Klientela to przede wszystkim ludzie, którzy świadomie wybrali właśnie ten lokal – ceny są tu wystarczająco wysokie, żeby odstraszyć przypadkowych przechodniów. Nieliczni goście zdają się nieco skrępowani – niektórzy jedzą barszcz wpatrzonymi w czytniki Kindle, inni popijają wino i nonszalancko sprawdzają godzinę na zegarkach, czekając na partnerów albo znajomych. Ze względu na tradycyjną brytyjską ogładę nikt tu nikomu się nie przygląda ani w ogóle nie zwraca na nikogo uwagi.

Tylko jeden klient wywołuje poruszenie przy sąsiednich stolikach. Siedzący najbliżej niego goście już wyrazili swoją opinię na jego temat i zmienili miejsca – jakby nieznamy budził w nich poczucie zagrożenia albo niezdrowej ekscytacji. Ciemnowłosa mężczyzna tuż po czterdziestce złamał za dużo niepisanych zasad. Nie tylko za sprawą stroju – czarnej wiatrówki włożonej na elegancki garnitur bez krawata i z rozpiętym kołnierzykiem koszuli – ale też ze względu na swoje zachowanie.

Je tak, jakby chciał jedynie zaspokoić głód; widać, że nie zależy mu na tym, aby go tutaj widziano. Nie puszy się, nie wodzi wzrokiem po całej sali, je miarowo, wpatrzony

w nieokreślony punkt w przestrzeni. To karygodne uchybienie w takim lokalu, więc wszyscy goście czują pewien rodzaj satysfakcji, kiedy los płata mu figła. W głębi duszy myślą, że gorszący incydent po prostu musiał się zdarzyć takiemu typowi jak on.

O wpół do dziewiątej do restauracji wchodzi mniej więcej dwudziestoosobowa grupa. Mają rezerwację, więc stoły dla nich zostały ustawione w głębi sali, żeby zapewnić spokój innym gościom. Może to przyjęcie z okazji zaręczyn – niektóre dziewczyny mają na sobie suknie wieczorowe, a ten i ów włożył garnitur. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że jedna z ostatnich osób, które pojawiły się przy tej okazji w lokalu – spieczona słońcem tleniona blondyna pod sześćdziesiątkę w wytartych, pocerowanych džinsach i w bluzie z kapturem ozdobionej dużym logo Hollister – przyszła razem z nimi. Dopiero kiedy zajmują miejsca, a ona nie siada, okazuje się, że dołączyła do nich po drodze i nie ma nic wspólnego z tym towarzystwem.

Idzie chwiejnym krokiem. T-shirt z głęboko wyciętym dekoltem odsłania jej biust pod rozpiętą bluzą. Dryfując przez salę, kobieta zatacza się i wpada na kelnera. Zatrzymuje się, żeby go udobruchać – bełkocze przeprosiny, a kiedy mówi, opiera dłonie na jego piersi i uśmiecha się porozumiewawczo. Chłopak bezradnie zerka na kolegów z obsługi, niepewny, jak ma postąpić, ale zanim zdąży wyrazić sprzeciw, ona już idzie dalej i odbija się od stołów jak kula bilardowa. Od tej pory nie spuszcza wzroku ze swojego celu.

Z mężczyzny w wiatrówce North Face.

Ten unosi wzrok znad niedojedzonego hamburgera. Dostrzega kobietę. Jakby wiedząc, że jej obecność zwiastuje kłopoty, od razu odkłada sztucce na talerz. Rozmowy przy sąsiednich stolikach cichną i ostatecznie milkną.

Mężczyzna sięga po serwetkę i wyciera usta.

– Dzień dobry, Jacqui. – Starannie odkłada serwetkę. – Miło cię widzieć.

– Pieprz się! – Kobieta trzyma się blatu i wpatruje się w niego oszalałym wzrokiem. – Pieprz się z góry na dół, fucie!

Mężczyzna kiwa głową, jakby na potwierdzenie, że jest

fiutem. Nic jednak nie mówi, co wywołuje jeszcze większą wściekłość kobiety, która z całej siły uderza obiema rękami w stół. Zastawa podskakuje, a widelec i serwetka lądują na podłodze.

– Nie do wiary, że tak po prostu sobie siedzisz i szamiesz! Dobrze się bawisz? Gównu cię to wszystko obchodzi, no nie?

– Przepraszam. – Kelner dotyka jej ramienia. – Proszę pani... Czy mogłaby pani mówić trochę ciszej? Inaczej...

– Spadaj! – Kobieta strąca jego dłoń. – Nie wpięprzaj się! Nie wiesz, o czym mówisz!

Nagle odskakuje w bok i chwytą pierwszy kieliszek, który pojawia się w zasięgu jej wzroku. To kieliszek z sąsiedniego stolika, z czerwonym winem. Jego właściciel próbuje go złapać, ale nieskutecznie – kobieta bierze szeroki zamach i rzuca w mężczyznę w wiatrówce.

Wino nabiera własnego życia; wnika wszędzie, gdzie to możliwe. Zalewa twarz mężczyzny, jego koszulę, talerz, stół. Inni goście w szoku zrywają się na nogi, ale on siedzi w dalszym ciągu. Jest niewzruszony.

– Gdzie ona jest, do jasnej cholery?! – krzyczy kobieta. – Gdzie?! Masz mi, kurwa, powiedzieć, co robisz w tej sprawie, albo cię zabiję! Kurwa! Zabiję cię...

Nagle wyrastają przed nią dwaj ochroniarze. Potężny czarnoskóry facet w zielonym T-shircie i ze słuchawkami na uszach przejmuje kontrolę nad sytuacją. Kładzie dłoń na ramieniu kobiety.

– Słuchaj, słodka – mówi – to ci nie służy. Wyjdźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogawędzić.

– Myślisz, że to pogawędka? – Kobieta odpycha jego dłoń. – Zaraz ci pogawędzę! Pogawędzę ci tak, że nakryjesz się nogami! Pogawędzę z tobą, aż się porzygasz!

Postawny ochroniarz dyskretnie kiwa głową. Jego pracownik przytrzymuje kobiecie ręce, a kiedy ta próbuje się uwolnić, przyciska je do jej tułowia. Kiedy prowadzą ją przez restaurację w kierunku wyjścia, nie przestaje wrzeszczeć:

– On wie, gdzie ona jest! – Wyładowuje wściekłość na szefie ochrony, jakby sądziła, że obchodzą go jej sprawy. – Po prostu

ma to gdzieś! Gdzieś!!! W tym cały problem! On ma to, kurwa, w...

Ochroniarze wypychają ją na ulicę. Zamykają drzwi na klucz i stają przy nich ze skrzyżowanymi rękami – patrzą, jak kobieta wije się na chodniku. Mężczyzna w wiatrówce nie wstaje ani nie patrzy w kierunku drzwi. Gdyby ktoś go zapytał, dlaczego z takim spokojem podchodzi do całego zajścia, wzruszyłby jedynie ramionami. Może ma taki charakter, a może to kwestia wyszkolenia. Przecież pracuje w policji, a to na pewno pomaga w podobnych sytuacjach. Jack Caffery, ubrany po cywilnemu czterdziestodwuletni inspektor, jest członkiem wydziału kryminalnego bristolskiej policji. Widział i doświadczył wielu gorszych rzeczy. O wiele gorszych.

Milcząc, potrząsa serwetką, żeby ją rozłożyć, i zaczyna wycierać czerwone wino z twarzy i szyi.

**Gabinet koordynatora,
zakład zamknięty dla psychicznie chorych
Beechway, Bristol**

Okolo jedenastej w nocy starszy koordynator szpitala psychiatrycznego Beechway, CB LeGrande, podrywa się zbudzony koszmarem. Serce wali mu jak młotem, dopiero po pewnym czasie zaczyna orientować się w sytuacji i zdaje sobie sprawę, że zasnął w ubraniu na krześle, oparłszy stopy na blacie biurka w swoim gabinecie. Raporty, które czytał, leżą rozrzucone na podłodze.

Niepewnie pociera pierś. Mruga i siada wygodniej. W gabinecie jest ciemno, tylko przez szparę pod drzwiami wpada trochę światła. Przed oczami nadal majaczy mu zamazany powidok, w którym poznaje pochyloną drobną postać. Intruz siedzi okrakiem na jego piersi i pochyla nad nim gładką, pozbawioną rysów twarz. Jego krótkie ręce spoczywają na obojczyku CB. Koordynator oblizuje usta i rozgląda się po gabinecie. Wyobraża sobie, że postać ucieka przez zamknięte drzwi – że prześlizguje się przez szparę nad podłogą na korytarz, a potem pędzi coraz dalej i dalej w głąb oddziału.

Czuje ucisk w gardle. Nie może się przyzwyczać do kołnierzyka – dopiero od miesiąca jest koordynatorem i garnitur wciąż jest dla niego czymś nowym. A te przypinane krawaty, które dla własnego bezpieczeństwa musi nosić zamiast wiązanych! Chyba już nigdy ich nie polubi. Dziwnie się w nich czuje, zawsze ma wrażenie, że źle leżą. Stawia stopy na podłodze i odpina krawat. Ucisk w płucach nieco słabnie. CB wstaje, a potem podchodzi do drzwi. Położywszy dłoń na klamce, waha się. Jeżeli otworzy, na pewno zobaczy na korytarzu drobną postać pospiesznie przemykającą pustym korytarzem.

Trzy głębokie oddechy. Uchyła drzwi. Ostrożnie patrzy

w jedną stronę, potem w drugą. Nikogo nie ma. Tylko zwyczajne rzeczy, do których przyzwyczał się przez trzy lata pracy w szpitalu: zielone płytki na podłodze, miejsce zbiórki pod schematem dróg ewakuacyjnych, poręczę wyściełane bezpiecznym miękkim materiałem. Ani śladu znikającego za rogiem rąbka koszuli nocnej.

CB opiera się o framugę. Przez chwilę stoi bez ruchu i próbuje oczyścić umysł. Karły siadające mu na piersi? Drobne postaci w koszulach nocnych? Tupot bosych stóp? I to słowo, które wolałby wyprzeć z myśli: Maude.

Jeeezu... Puka się w głowę. Tak się kończą długie godziny pracy i zasypianie w za ciasnym krawacie. Czyste szaleństwo. Podobno jest kierownikiem, więc jak to się stało, że już drugi raz zastępuje pielęgniarską na nocnej zmianie? To zresztą tym bardziej niepojęte, że nocne dyżury zawsze cieszyły się wielką popularnością – można wtedy pooglądać telewizję albo się zdrzemnąć. Wszystko się zmieniło po zesłotygodniowym zajściu w Dmuchałcu; nagle pracownicy wpisani w grafiku na nocną zmianę zaczęli zachowywać się jak szczury na tonącym statku – wynajdywali setki pretekstów, brali zwolnienia lekarskie, byle tylko nie przyjść do pracy. Nikt nie chce zostać na noc na oddziale, jakby zaczęły tu grasować jakieś nieczyste moce.

Teraz nawet jemu udzieliła się ta histeria – on też ulega halucynacjom. Ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, jest powrót do gabinetu, gdzie znowu mógłby mu się przyśnić tamten koszmar. Zamyka zatem drzwi i rusza w kierunku sal, przechodząc po drodze przez służbę bezpieczeństwa. Może napije się kawy i pogada z pielęgniarkami, żeby na chwilę wrócić do normalności. Jarzeniówki mrugają mu nad głową. Za wysokimi oknami głównego korytarza zawodzi wichura – od kilku lat pogoda jesienią jest naprawdę dziwna, najpierw panują upały, a od połowy października staje się wściekle wietrzna. Wiatr targa drzewami na dziedzińcu i przygina je do ziemi – w powietrzu unoszą się liście i patyki, a jednak niebo jest czyste, księżyc zaś wielki i nieruchomy.

Blok administracyjny na końcu korytarza jest pogrążony

w ciemności, a w dwóch skrzydłach budynku, które stąd widać, pali się minimalna liczba nocnych lamp – nad recepcją oraz na korytarzach. Pierwotnie w wiktoriańskim budynku szpitala psychiatrycznego Beechway znajdował się dom pracy dla ubogich. Z biegiem lat jego funkcja się zmieniała; był siedzibą szpitala miejskiego, sierocińca, a potem zakładu dla obłąkanych. W duchu „deinstytucjonalizacji opieki psychiatrycznej”, którą intensywnie prowadzono w latach osiemdziesiątych, oddano go do dyspozycji szpitala psychiatrycznego i umieszczono w nim pacjentów szczególnie zagrażających sobie lub otoczeniu. Zaczęli tu trafiać mordercy, gwałciciele i ludzie o skłonnościach samobójczych. CB pracuje od wielu lat w tym zawodzie, więc wie, że nie ma co liczyć na to, że będzie mu łatwiej albo poziom stresu się zmniejszy. Szczególnie wtedy, gdy na oddziale umiera pacjent. Tym bardziej zaś, gdy umiera tak nagle i niespodziewanie, jak Zelda Lornton w ubiegłym tygodniu.

CB spodziewa się, że w każdej chwili, za każdym zakrętem korytarza może kątem oka dostrzec czmychającą przed nim w cień drobną postać. Nikogo jednak nie widzi. W Dmuchańcu panuje cisza, a światła są przytłumione. CB parzy kawę w pokoju socjalnym, a potem niesie ją do dyżurki, gdzie jeden czy dwaj zaspani pielęgniarze siedzą przed telewizorem.

– Cześć, CB – pozdrawiają go leniwie, unosząc od niechcenia ręce. – Co u ciebie? W porządku?

CB rozważa, czy warto się wdawać w dyskusję – na przykład zapytać, dlaczego ich koledzy wciąż biorą chorobowe, chociaż cała ich praca polega na siedzeniu i oglądaniu filmów – ale zdają się tak pochłonięci telewizją, że rezygnuje z tego pomysłu. Po prostu staje pod ścianą i popija kawę, patrząc, jak na ekranie faceci w czerni strzelają do kosmitów. Will Smith wygląda megaprzystojnie, a Tommy Lee Jones jest megamarudą. Ich przeciwnik nie ma jednej ręki, a w miejscu drugiej wyrósł mu ni to krab, ni skorpion. Cudownie. Tylko tego brakowało w takim miejscu jak to.

Kawa spełniła swoje zadanie. CB już na dobre się rozbudził. Powinien wrócić do gabinetu i sprawdzić, czy wreszcie uda mu

się doczytać do końca najnudniejsze sprawozdanie na świetle. Wciąż jednak pamięta o koszmarze, więc potrzebuje zajęcia, które odciągnie jego uwagę.

– Sam zrobię nocny obchód – proponuje pielęgniarzom. – Nie chcę wam przerywać drzemki dla zdrowia i urody.

Odprowadzają go leniwie rzucone docinki. CB płucze w kuchni kubek, bierze pęk kluczy i idzie cicho korytarzem. Ostrożnie zmierza w kierunku sal sypialnych. W stronę ciszy.

Od kiedy został koordynatorem, wciąż musi uczestniczyć w zebraniach zarządu oraz organizować prezentacje i szkolenia dla pracowników. Całe popołudnie spędził na forum prawa karnego – spotkaniu mieszkańców z najważniejszymi przedstawicielami społeczności lokalnej oraz z policją – i zaczyna podejrzewać, że właśnie do tego sprowadza się całe jego życie. Do mityngów i papierkowej roboty. Do wbijania się co rano w garnitur. Nigdy nie podejrzewał, że pewnego dnia może zatęsknić za obowiązkami pielęgniarza, tymczasem odkrywa, że brakuje mu jednak tych nocnych obchodów. Satysfakcji, która towarzyszy pewności, że wszyscy śpią. Że przeżyli kolejny dzień. Sterta dokumentów nie wywołuje takiego uczucia.

Korytarz na niższym piętrze jest cichy, tylko z niektórych sal dobiega przytłumione chrapanie. Od czasu do czasu CB odsuwa klapkę w drzwiach, żeby zajrzeć do jakiegoś pokoju, ale widzi jedynie rozkołysane cienie drzew na cienkich zasłonach i blask księżycy, który wolno pełza po ciałach pogrążonych we śnie pacjentów. Na wyższym piętrze panuje zupełnie inna atmosfera. CB czuje to już za ostatnim zakrętem schodów. Kogoś dręczą kosmary. To ledwie przecucie, niewiele ponad to – niepokój wynikający z wielu lat doświadczenia. Coś jak wibracje w murach szpitala.

To właśnie tutaj w ubiegłym tygodniu zmarła Zelda. Drzwi jej pokoju – pierwszego po prawej – są otwarte, a w wejściu stoi słupek ostrzegawczy z informacją o prowadzonych w tym pomieszczeniu pracach porządkowych. Z łóżka zdjęto pościel, a przez rozsunięte zasłony wpada do pokoju jasna smuga błękitnej księżycowej poświaty. Pod ścianą stoi oparty o mur

walek do malowania i tacka na farbę. Rano i wieczorem, kiedy pacjenci idą do świetlicy albo z niej wracają, trzeba pilnować, żeby nie zaglądali do tego pokoju – bo to zawsze kończy się płaczem i nerwowym roztrzęsieniem. Nawet CB czuje dyskomfort na myśl o tym, co tu się stało na początku miesiąca.

Zacząło się mniej więcej przed trzema tygodniami. CB akurat był późnym wieczorem w swoim gabinecie, bo został po godzinach w szpitalu, żeby przejrzeć dokumenty i sprawdzić, czy koszty projektów mieszczą się w budżecie. Tuż po dziesiątej nagle wysiadł prąd i zgasły wszystkie światła. CB wraz z pracownikiem technicznym zaczęli gorączkowo szukać latarek i wkrótce odkryli źródło problemu – zwarcie elektryczne w suszarce w pralni. Większość pacjentów nic nie zauważyła; przeważnie już spali, a ci, którzy jeszcze nie zasnęli, ledwie odnotowali brak zasilania. Po czterdziestu minutach prąd był z powrotem i wszystko wróciło do normy. Oprócz Zeldy. Ta była w swoim pokoju na wyższym piętrze, w Dmuchawcu, a kiedy zapaliły się światła, podniosła taki wrzask, że w pierwszej chwili CB pomyślał, że ponowne włączenie prądu uruchomiło alarm.

Pracownicy nocnej zmiany już dawno przyzwyczaili się do krzyków i skarg Zeldy, więc nie spieszyli się z pomocą. Odkryli, że jeżeli pozwolą jej się wykrzyzczeć, to potem łatwiej im będzie sobie z nią poradzić. Ta decyzja była zgubna w skutkach. Kiedy CB i jeszcze jeden pielęgniarz w końcu poszli do jej sali, żeby sprawdzić, w czym problem, okazało się, że ktoś ich ubiegł. Drzwi stały otworem, a dyrektorka szpitala Melanie Arrow siedziała na brzegu łóżka i trzymała dłonie Zeldy tak delikatnie, jakby były kruche niczym skorupka jajka. Zeldą miała na sobie koszulę nocną, a ramiona okrywał jej ręcznik. Po rękach spływała krew. Płakała, wstrząsały nią spazmy i drgawki.

CB poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Zareagowałoby o wiele szybciej, gdyby wiedzieli, co się święci. A zwłaszcza gdyby wiedzieli, że dyrektorka jest na miejscu i wszystko obserwuje. Z miny przełożonej łatwo było wywnioskować, że nie podoba jej się to, co się stało. O nie – nie była zadowolona.

– Gdzie byliście? – Ledwo powstrzymywała gniew. –

Dlaczego nikogo nie ma na oddziale? Nie znacie regulaminu? Nie wiecie, że w każdym skrzydle budynku musi być zawsze co najmniej jedna osoba z personelu?

Wezwali lekarza dyżurnego, a potem zaprowadzili Zeldę do gabinetu obok biura CB, żeby ją zbadać. CB nigdy przedtem nie widział jej tak przygaszonej i dogłębnie wstrząśniętej. Po wewnętrznej stronie obu rąk miała rozległe krwawiące rany, a kiedy dokładniej je zbadali, okazało się, że zostały zadane długopisem. Całe ciało miała pokryte napisami. Melanie Arrow i lekarz konspiracyjnie pochylili się pod oślepiającymi świetlówkami, a CB stał z założonymi rękami pod ścianą, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Lekarz spał jeszcze dwadzieścia minut wcześniej i teraz co chwilę ziewał. Wziął niewłaściwe okulary, więc musiał je trzymać trzydzieści centymetrów od nosa, kiedy badał ramiona pacjentki.

– Zeldo – spytała Melanie – zrobiłaś sobie krzywdę?

– Nie. Nie zrobiłam.

– A jednak ktoś cię zranił, prawda? – Melanie zamilkła na chwilę, czekając na odpowiedź. – Powiedz, Zeldo.

Pacjentka poruszyła się nerwowo i potarła pierś w okolicy mostka, jakby czuła tam ucisk.

– Ktoś mnie zranił. Albo coś.

– Przepraszam, nie dosłyszałam. Coś?

Zelda zwilżyła językiem usta i popatrzyła na pochylone nad nią zaniepokojone twarze. Zaczerwieniła się, jej policzki pokryła pajęczyna drobnych żył, ale jej naturalna wojowniczość zniknęła. Ulotniła się bez śladu. Kobieta wyglądała na kompletnie oszołomioną.

– Sto gram acuphase – mruknął pod nosem lekarz. – I ścisła obserwacja do rana. Przydzielcie dwóch sanitariuszy. Rano możecie jej dać więcej swobody.

Rozmyślając o tamtych zdarzeniach, CB staje w drzwiach do pokoju, rozgląda się i zastanawia, co tu się właściwie stało. Co Zelda naprawdę widziała tamtej nocy? Jakiś kształt siedzący na jej piersi? Coś drobnego, ale silnego – coś, co potrafi czmychnąć przez szparę pod drzwiami?

Nagle słyszy hałas. Unosi głowę. Dźwięk dobiega z ostatniego

pomieszczenia po prawej stronie – z pokoju Matki Potworów. CB podchodzi, cicho puka do drzwi i nasłuchuje.

Matka Potworów – a właściwie Gabriella Jackson – to jedna z jego ulubionych pacjentek. Zwykle jest łagodna jak baranek. Ale kiedy przestaje się kontrolować, najczęściej wyładowuje napięcie na sobie. Wokół kostek i łydek ma blizny, które nigdy się nie zagoją, i nie ma lewego przedramienia. Pewnego dnia stanęła w kuchni swojego domu za milion funtów, spokojnie oparła rękę na desce do krojenia warzyw i odcięła ją elektrycznym nożem do mięsa. Chciała w ten sposób pokazać swojemu głupiemu mężowi, jak bardzo jej zależy, żeby przestał ją zdradzać.

To przede wszystkim z powodu tej amputowanej ręki Matka Potworów trafiła do Beechway – a także przez kilka innych wypaczeń w jej sposobie pojmowania rzeczywistości. Na przykład wierzy, że urodziła wszystkich pozostałych pacjentów – że wszyscy są bestiami i dopuścili się ohydnych czynów, ponieważ wyszli z jej zatrutego łona. Sama nazwała się Matką Potworów i wystarczy trochę z nią posiedzieć i porozmawiać, żeby usłyszeć szczegółową relację z narodzin wszystkich pacjentów przebywających na oddziale – jak długi i trudny był poród i jak na pierwszy rzut oka było oczywiste, że dziecko jest wcieleniem zła.

Innym wypaczeniem w postrzeganiu przez nią rzeczywistości jest wiara, że może zdjąć skórę z ciała i że dzięki temu staje się niewidzialna.

CB puka jeszcze raz.

– Gabriello...

Regulamin nakazuje zwracać się do pacjentów ich prawdziwymi imionami bez względu na to, jaką fantastyczną tożsamość sobie wymyślili.

– Gabriello...!

Cisza.

CB ostrożnie otwiera drzwi i się rozgląda. Matka Potworów leży na łóżku – podciągnęła kołdrę aż pod brodę i wpatruje się w niego okrągłymi jak spodki oczami. CB wie, że to znaczy: „ukrywam się”, a jej „skóra” jest gdzieś indziej w pokoju, by

zmylić wrogów. CB nie daje się wciągnąć w jej urojenia; wolno mu delikatnie wyrazić wątpliwości, ale nie może bezpośrednio negować halucynacji pacjentów (to jeden z punktów regulaminu).

Unikając kontaktu wzrokowego, siada na łóżku i czeka. Milczą. Nie pada ani jedno słowo. CB dobrze jednak zna Matkę Potworów i wie, że ta nie wytrzyma zbyt długo.

Rzeczywiście, w końcu pacjentka siada i szepcze:

– CB! Jestem tutaj!

CB wolno potakuje. Wciąż na nią nie patrzy.

– Wszystko w porządku?

– Nie. Wcale nie. Zamkniesz drzwi?

Gdyby poprosił go o to inny pacjent, CB by mu odmówił, ale zna Matkę Potworów od wielu lat, a ponadto awansował na koordynatora, ma szeroki zakres odpowiedzialności, więc wstaje i popycha drzwi, żeby je zamknąć. Kobieta poprawia się na łóżku. Skończyła pięćdziesiąt siedem lat, ale jej cera jest gładka i blada niczym skorupka jaja, a włosy eksplodują czerwienią. Ma niezwykle oczy – intensywnie niebieskie, okolone tak ciemnymi rzęsami, jakby przez kilka godzin dziennie nakładała mascarę. Wydaje całą rentę na ubrania, które bardziej pasowałyby do sześciolatki wybierającej się na przyjęcie dla wróżek – tiule w tęczy kolorach, sukienki baletnicy i róże do wpinania we włosy.

Kolory, które wybiera danego dnia, odzwierciedlają jej aktualny stosunek do świata. W dobrych chwilach są to pastele: róż, błękit, delikatny żółcień i liliowy fiolet. Podczas gorszych dni dominują ciemniejsze barwy podstawowe: intensywna czerwień, granat lub czerń.

Dzisiaj na poręczy łóżka wisi udrapowany czerwony koronkowy peniuar, który daje pewne pojęcie o nastroju jego właścicielki. Czerwony sugeruje niebezpieczeństwo. Ponadto można z tego wywnioskować, że jej skóra też wisi na poręczy. CB kieruje wzrok w przestrzeń między peniurem a twarzą pacjentki. Patrzy na punkt na ścianie nad łóżkiem. Stara się zachowywać obojętnie.[L.J]

– Co się dzieje, Gabriello? O czym dzisiaj myślisz?

– Musiałam ją zdjąć. Zrobiło się niebezpiecznie.

CB z całej siły próbuje zachować powagę. Matka Potworów jest przemiłą kobietą, łagodną i, no tak, szaloną, to oczywiście, ale zwykle jest to zabawny, a nie agresywny rodzaj szaleństwa. Nie spieszy się z odpowiedzią – i znowu nie neguje ani nie potwierdza jej urojeń:

– Gabriello, wzięłaś wieczorem lekarstwa? Pamiętałaś o nich, prawda? Wiesz, że zapytałem w ambulatorium, czy widzieli, że je łykasz. Ale jeżeli nie... Chyba nie muszę przeszukiwać całego pokoju, prawda?

– Wzięłam je, CB. Na pewno. Po prostu nie mogę zasnąć.

– Kiedy masz następny zastrzyk? Nie sprawdzałem, ale to chyba wciąż dużo czasu.

– Za dziesięć dni. Nie jestem szalona, panie CB. O nie.

– Oczywiście, że nie.

– Ale to coś wróciło, CB... Było na korytarzu. Biegało tam całą noc.

CB zamyka oczy i wolno nabiera powietrza. Czego się spodziewał po tej wizycie? Czy naprawdę się łudził, że w ten sposób pozbędzie się swego koszmaru? Oczekiwał śmiechu, wesołości i żartów, które na chwilę pozwoliłyby mu zapomnieć o nieprzyjemnych sprawach?

– Posłuchaj, Gabriello. Przecież już o tym rozmawialiśmy. Pamiętasz nasze pogawędki na oddziale ostrych przypadków?

– Tak, zamknęłam te rozmowy w szkatułce w mojej głowie, tak jak kazali mi lekarze.

– Umówiliśmy się, że już nie będziesz poruszać tego tematu. Pamiętasz?

– Ale to coś wróciło. Wróciło, CB. Zabiło Zeldę.

– Pamiętasz, co powiedziałaś na intensywnej terapii? Przypominam sobie twoje słowa: „To nie istnieje. To jedynie iluzja – jak postać w filmie”. Pamiętasz?

Kobieta potakuje, ale błysk strachu w jej oczach nie znika.

– Bardzo dobrze, Gabriello. Mam nadzieję, że nie rozmawiałaś o tym z innymi pacjentami...

– Nie.

– Świetnie... To wspaniale. Dobrze zrobiłaś. Zachowaj tę

informację dla siebie. Wiem, że potrafisz. Rano omówimy dalszy przebieg twojej terapii. Powiem o twoich obawach lekarzowi... Zobaczymy, co o nich sądzi. I wpiszę cię na czwarty stopień obserwacji, tylko na dzisiaj, dobrze? Osobiście będę do ciebie zaglądał. Ale...?

– Co?

– Musisz się pozbyć myśli o tej... tym czymś, moja droga. Naprawdę musisz się postarać.

Bezpieczna

Matce Potworów wydaje się dziwne i niezrozumiałe, że CB nic nie widzi, że nie rozumie, co się dzieje. Nie jest nawet w stanie wypowiedzieć słowa „Maude”. Jest miłym człowiekiem, do tego całkiem byстрыm, ale nie ma trzeciego oka – nie widzi, co naprawdę dzieje się w tym szpitalu. Nie wierzy jej – nie wierzy, że Maude naprawdę tu grasuje. Że szuka kolejnej ofiary.

CB nie wie, po jakie środki sięga Matka Potworów, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Może gdyby to zobaczył, zrozumiałby powagę sytuacji. Ale nie zauważa jej odsłoniętych mięśni i ścięgien. Nie widzi białej czaszki ani dwóch połyskujących gałek ocznych bez powiek. Jest ślepy na wszystko dookoła.

– Dobranoc – mówi CB. – Będę do ciebie zaglądał. Obiecuję.

Matka Potworów znowu podciąga wysoko kołdrę. Pościel drażni jej odsłonięte nerwy i żywą tkankę mięśni. Opiera czaszkę na poduszce i próbuje się uśmiechnąć, używając do tego jedynie mięśni policzkowych.

– CB...?

– Tak?

– Proszę, uważaj na siebie.

– Dobrze.

Stoi jeszcze przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, lecz w końcu wychodzi na korytarz i zamyka drzwi. W szpitalu panuje cisza. Matka Potworów nie może zamknąć oczu, nie ma powiek. Ale przynajmniej Maude jej nie zagraża. Jeżeli wejdzie do pokoju, pójdzie prosto do skóry na poręczu łóżka.

Dzisiejszej nocy nikt nie usiądzie na piersi Matki Potworów.

Restauracja Browns, Triangle

Detektyw inspektor Caffery wie, że wszyscy goście w lokalu ukradkiem go obserwują i czekają na jakąś reakcję po ataku kobiety, która oblała go winem. Wyczuwa ogólne rozczarowanie, bo nie dał się sprowokować.

Powoli je hamburgera – nikt go nie będzie napastować ani ponaglać. Od czasu do czasu, nie przerywając jedzenia, nonszalancko zerka w kierunku wejścia – zasłaniają je plecy dwóch ochroniarzy, którzy rozstawili szeroko nogi i stoją ze skrzyżowanymi rękami, przodem do szklanych drzwi. Na dworze kobieta – która już się podniosła – zatacza się na chodniku i miota przekleństwa pod ich adresem.

Caffery ma za sobą jedno z najnudniejszych południowych spotkań na forum prawa karnego – dyskutował tam formy współpracy między aresztami śledczymi i izbą przyjęć szpitala psychiatrycznego. Dość ma gadania o rzeczach, które w ogóle go nie interesują, płaszczenia się i bycia miłym dla ludzi, którzy go nie obchodzą. Ale ta kobieta – nazywa się Jacqui Kitson – w ostatniej chwili w szczególny sposób zmieniła zwyczajny dzień w niezwykle wydarzenie.

Niezwykłe. Ale nie przyjemne. Od dawna podskórnie przeczuwał, że coś takiego może się zdarzyć.

Kobieta już przestała wymyślać ochroniarzom, teraz siedzi na krawężniku, oparła głowę na dłoniach i płacze. Kiedy Caffery uregulował rachunek, ochroniarze znowu otworzyli drzwi i wpuścili nowych gości, którzy do tej pory musieli czekać na dworze. Zniecierpliwiony tłumek od razu rusza do środka, zerkając podejrzliwie na kobietę. Fala ludzi rozstępuje się jedynie na chwilę, żeby przepuścić Caffery'ego.

Inspektor wsuwa portfel do wewnętrznej kieszeni. Rachunek wyniósł czterdzieści funtów. Jak na posiłek dla jednej osoby to dość ekstrawagancki wydatek, ostatnio jednak Caffery nie

bardzo ma na co wydawać pieniądze. Wciąż próbuje znaleźć jakieś hobby, żeby zająć myśli czymś innym niż praca, ale żadne z tych zajęć nie przynosi mu satysfakcji. Samotne wypadki do restauracji na pewno nie będą jednym z nich. Może gdyby miał z kim jadać? Jest pewna kobieta, z którą chciałby spędzać czas, ale w jej przypadku komplikacje piętrzą się wyżej niż Mount Everest. Jacqui Kitson ma z nimi ścisły związek, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Jacqui – mówi, stojąc nad nią. – Chcesz porozmawiać?

Kobieta odwraca się i patrzy na jego buty. Potem unosi twarz i wpatruje się w niego zamglonym wzrokiem. Ma zapuchnięte oczy, a po policzkach spływają jej długie strużki tuszu do rzęs. Trudno jej utrzymać głowę bez ruchu. Zwymiotowała do rynsztoka, a jej torebka leży na ulicy, na podwójnej żółtej linii. Jacqui jest w kompletnej rozsypce.

Caffery siada koło niej.

– Jestem tu. Teraz możesz na mnie nawrzeszczeć.

– Nie chcę wrzeszczeć – mamrocze Jacqui. – Chcę tylko, żeby wróciła.

– Wiem. Wszyscy chcemy. Chcemy ją znaleźć.

Poklepuje się po kieszeni, szukając jednej z czarno-srebrzystych rurek, z którymi od kilku miesięcy się nie rozstaje – e-papierosów. Po wielu latach suszenia mu głowy przez rząd i znajomych spróbował zerwać ze swoim starym brzydkim nałogiem i w końcu się udało – zastąpił oryginały metalowymi replikami. Przypina atomizer do baterii. Wciąż się nie pozbył lekkiego uczucia zażenowania faktem, że używa takich gadżetów. Gdyby popatrzył na siebie z boku, musiałby się mocno powstrzymywać przed drwiącymi komentarzami. Kierowcy oraz piesi jedynie przelotnie zerkają na siedzącą na chodniku parę. W pewnej chwili sunie koło nich różowy hummer przerobiony na limuzynę. Odsuwają się przyciemnione szyby, z okna wychyla się kobieta w różowym kowbojskim kapeluszu obwieszona symbolami „L” oraz „nauka jazdy” – znak, że wkrótce zostanie panną młodą – i macha ręką do Caffery’ego.

– Kocham cię!!! – wrzeszczy, kiedy hummer przejeżdża obok.

– Kocham!!!

Caffery zaciąga się mgiełką z e-papierosa. Wstrzymuje oddech, a potem wydmuchuje cienką strużkę.

– Jacqui, jesteś daleko od domu. Jak się tu dostałaś...? Jesteś sama?

– Przecież zawsze jestem sama. Kurwa, jak zwykle, sama.

– Jak mam cię odstawić do domu? Przyjechałaś samochodem?

– Tak.

– Z Essex?

– Nie strugaj, kurde, wariata. Zatrzymałam się w hotelu. Moje auto stoi... – Macha ręką w nieokreślonym kierunku. – Nie pamiętam.

– Mam nadzieję, że nie jechałaś w tym stanie...

Jacqui z wysiłkiem próbuje skupić wzrok na papierosie.

– Poczęstujesz mnie?

– To atrapa.

– Daj mi mojego.

Mruży oczy, próbując znaleźć torbę. Po chwili wpada w panikę i nerwowo maca dookoła rękami.

– Proszę. – Caffery przyciąga torebkę z ulicy na chodnik. Jacqui przez chwilę siedzi bez ruchu i oskarżycielsko się w niego wpatruje, a potem wyrywa mu z ręki torebkę, jakby się bała, że ją ukradnie. Zaczyna w niej grzebać, ale za każdym razem, kiedy się pochyla, traci równowagę przez alkohol, więc musi odchyłać głowę i brać kilka głębokich oddechów.

– Uch... – wzdycha. – Wszystko mi wiruje. Zszmaciłam się, nie?

– Zamknij torbę, Jacqui. Pogubisz rzeczy. Chodź. – Inspektor wstaje i wyciąga do niej rękę. – Zawiozę cię do hotelu.

Dawny dom pracy

Sercem Beechway są pozostałości budynku, w którym kiedyś znajdował się dom pracy dla ubogich. Został poddany kompleksowym przeróbkom, żeby zerwać ze stereotypowym wizerunkiem szpitala psychiatrycznego. Przebudowano starą wieżę wodną – typowe zabezpieczenie przed pacjentami, którzy usiłowałiby podpalić szpital – i umieszczono na niej wielki zegar, jakby dla usprawiedliwienia obecności tej konstrukcji. Pierwotnie oddziały zbudowano, specjalnie lub za sprawą przypadku, na planie krzyża, co budziło religijne skojarzenia, więc jakiś bystrzak z funduszu renowacji zabytków wymyślił, żeby przekształcić krzyż w czterolistną koniczynę, by „nadać mu bardziej organiczną formę”.

Wszystkie ramiona „krzyża” rozbudowano zatem wszcz, rzeczywiście nadając im kształt listków koniczyny. Taki wygląd Beechway przetrwał do dzisiaj. Każdy „liść” to jedno skrzydło budynku, w którym znajdują się dwa piętra sal sypialnych, wspólne świetlice o przeszklonych ścianach po jednej stronie korytarza i biura administracji oraz gabinety terapeutyczne po drugiej. Okna są duże, gładkie, a ściany nie mają ostrych kątów. Funkcję łodygi pełni oszklony pasaż, którym można przejść z głównego bloku przez centralnie położony ogród do długiego, wzniesionego na planie łuku budynku administracji. Wszystkie części szpitala – każde skrzydło, korytarz, sala, łazienka – noszą nazwy kwiatów.

Wszystko stuprocentowo organiczne.

Po odwiedzinach u Matki Potworów CB powoli zachodzi do wszystkich „liści”, patroluje każde skrzydło, każdy korytarz – Jaskier, Mirt, Dzwoneczek – sprawdza, czy wśród innych pacjentów panuje spokój. Większość już głęboko śpi albo zasypia pod wpływem lekarstw. U niektórych zatrzymuje się na dłużej i prowadzi z nimi ciche rozmowy. Ale ani słowem nie

wspomina o Matce Potworów ani o jej skórze.

Mija pielęgniarzy w sali telewizyjnej, którzy wciąż się śmieją na *Facetach w czerni*, i wraca „łodygą” w kierunku budynku administracji – prosto do swojego biura. Otwiera drzwi. Nagle kątem oka dostrzega stojącego dwadzieścia metrów dalej ochroniarza. To zwalisty Jamajczyk przezywany przez kolegów Duży Lurch. Z rękami w kieszeniach studiuje oprawioną reprodukcję na ścianie. Coś w jego wyrazie twarzy sprawia, że CB zatrzymuje się w pół kroku. Duży Lurch zerka z ukosa i uśmiecha się na jego widok.

– Cześć, CB.

– Cześć.

– Fraglesy już śpią?

Duży Lurch ma na myśli pacjentów. W obecności członków zarządu nikt nie nazwałby pacjentów fraglesami, chociaż cały personel mówi o nich jak o stworach z filmu Jima Hensona.

– O tak, wszyscy zasnęli. „Magia jest wszędzie, wystarczy poszukać”. – Podchodzi do Dużego Lurcha. – Co tam knujesz?

– Och, sam nie wiem. – Duży Lurch, nieco zawstydzony, wskazuje ręką na reprodukcję. – Po prostu oglądam ten obrazek. Chyba nigdy przedtem nie zwróciłem na niego uwagi.

CB patrzy na reprodukcję. To akwarela przedstawiająca dom pracy dla ubogich w połowie dziewiętnastego wieku, tuż po zakończeniu budowy. Podobne reprodukcje wiszą wszędzie, ukazują strzeżony szpital psychiatryczny Beechway w różnych wcieleniach – miedzioroty z czasów, kiedy budynek pełnił funkcję domu pracy, oprawione wycinki z gazet z lat pięćdziesiątych, kiedy powołano nowego dyrektora instytucji, a nawet wizja jakiegoś artysty z lat osiemdziesiątych, który uwiecznił odmłodzony wygląd szpitala z oknami narożnymi. CB ogląda obraz i rozpoznaje różne fragmenty budynku – przetrwały ponad sto pięćdziesiąt lat. Udaje mu się wypatrzeć centralny dziedziniec, wieżę i główną oś krzyża, która aktualnie stanowi środek „koniczyny”.

– Nie lubię tu siedzieć podczas burzy – mówi nagle Duży Lurch. – Wciąż myślę o słabych miejscach.

– O słabych miejscach?

Duży Lurch potakuje.

– O elementach konstrukcji, o których architekci w latach osiemdziesiątych jeszcze nie za bardzo myśleli.

CB zerka z ukosa na Dużego Lurcha. Dostrzega w nim strach – ten sam niepokój, który od kilku dni tak często gości na twarzach wszystkich pracowników i pacjentów szpitala. Nie do wiary, to naprawdę nie do wiary! Już dawno odkrył, że nie należy za bardzo spoufalać się z personelem, ale dla Dużego Lurcha odstąpił od tej zasady. Szczerze go polubił. Wychodzą razem na drinka – nawet poznał jego żonę i dwie córeczki – i przez cały czas ani razu nie odniósł wrażenia, że Duży Lurch łatwo poddaje się emocjom.

– Daj spokój, stary. Mam dosyć problemów z pacjentami. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby moi pracownicy ochrony stali się przerażonymi małymi kobietkami.

Duży Lurch lekko się uśmiecha. Przykłada palec do brwi, jakby chciał ukryć zakłopotanie, i szykuje się do ciętej riposty. Nagle pod sufitem mrugają wszystkie światła. Obaj mężczyźni zadzierają głowy. Światła znowu gasną i zapalają się szybko raz po raz. Po chwili zdaje się, że wszystko wraca do normy i korytarz wygląda jak zawsze. CB mruży oczy – zerka na Dużego Lurcha. W ubiegłym tygodniu na jakiś czas wyłączono prąd – oby to się nie powtórzyło. Kolejna awaria kompletnie wytrąci z równowagi pacjentów szpitala.

– Dudu du du dududu du du – nuci motyw z serialu *Strefa mroku* i wyciąga w kierunku Dużego Lurcha dłonie z palcami zakrzywionymi niczym szpony. – Chodź, Scooby, ukryjmy się pod sofą.

Ochroniarz uśmiecha się zawstydzony i odtrąca jego ręce.

– No widzisz? Właśnie dlatego faceci się sobie nie zwierzają. Przez takich dupków jak ty.

CB wzdycha. Widzi, że tym razem nie ma żartów. Dużemu Lurchowi naprawdę nie jest do śmiechu.

– Nic nie zauważyłeś, CB? Wszyscy na potęgę biorą chorobowe.

– No, tak się składa, że zwróciłem na to uwagę. Kiedy pracujesz na dwie zmiany w zastępstwie za innych, trudno,

żeby nie wryło ci się to w pamięć.

– Pewno. A wiesz, co mówią pracownicy?

– Czy musimy akurat teraz o tym rozmawiać?

Duży Lurch przestępuje z nogi na nogę. Wsuwa palec za kołnierzyk koszuli i nerwowo przesuwa nim po szyi.

– Kilka dni temu jeden z nich zbudził się w środku nocy. Był wtedy w Żonkilu. Zbudził się i mówi, że zobaczył coś w pokoju.

CB się śmieje. Trochę za głośno – śmiech odbija się echem od ścian korytarza i wraca do niego.

– Daj spokój. To był tylko atak dusznicy. – Potrząsa głową. – Ten... to całe... zamieszanie... to po prostu...

– CB, przecież wiesz, o czym mówię. Trudno mi znaleźć kogoś na nocną zmianę. Wiem, że jeżeli już kogoś wpiszę, to niedługo usłyszę od niego przez telefon, że się rozchorował, zepsuł mu się samochód albo coś jeszcze innego.

CB wsuwa rękę do kieszeni i wpatruje się w swoje buty. Wie, czym to się skończy – masową histerią. Na mur-beton. Po latach milczenia w kwestii duchów i nawiedzonych miejsc bajki i plotki nagle wróciły. Personel wykręca się chorobami, Matka Potworów panikuje, a Duży Lurch trzęsie się jak dziewczynka. CB wie, że nawet jego samego nie ominęła ta plaga. On też śni o tym cholerstwie.

Rozgląda się po korytarzu. Jest cicho i pusto. Jedynym źródłem światła są mdłe lampki awaryjne na wysokości kolan, a w uszach brzmi monotony stuk gałęzi i liści o szyby. Najwyższy czas, by poruszyć tę sprawę na forum publicznym – z samego rana musi porozmawiać z dyrektorką. Zdławią problem w zarodku, zanim cały szpital zacznie chodzić po ścianach.

Hotel du Vin, The Sugar House, Bristol

Podczas jazdy samochodem Jacqui Kitson przyznaje się, że przez cały dzień chodziła za Cafferym. Wciąż balansuje między pijacką zalotnością a agresją pełną obelżywych słów i łez.

– Masz zarąbiste ciało – mówi, gniewnie ssąc filtr papierosa.
– Pewnie nawet dałabym ci się przelecieć, gdyby nie to, że tak bardzo cię nienawidzę, cholerny bydlaku.

Z jej bełkotu Caffery'emu udaje się wywnioskować, że zaparkowała samochód niedaleko jego biura w St. Philips i od tamtej pory wszędzie szła za nim pieszo. Na jutro ma umówiony wywiad dla ogólnokrajowej gazety. Redakcja płaci za jej pokój w hotelu. Prawdopodobnie ukartowała to właśnie w taki sposób, żeby przy okazji trochę podręczyć Caffery'ego. Zaczęła pić w południe, już do lunchu.

Ze względu na swój status Jacqui Kitson wybrała Hotel du Vin – dlatego że od czasu do czasu zatrzymują się w nim gwiazdy i choć jest niewielki, można w nim poczuć aurę luksusu. Pracownicy obsługi kwaśno się uśmiechają, kiedy Jacqui wchodzi do foyer rozczochrana i śmierdząca wymiocinami – na domiar złego prowadzi ją człowiek, który wygląda na zwykłego wykidajkę, i to z czerwonymi plamami na koszuli i kołnierzyku.

Jej apartament znajduje się na poddaszu – o jego charakterze stanowią ściana pokryta tapetą z czarno-złotym motywem, wygodne niskie fotele ze skóry i wszechobecne kolumny z malowanego żeliwa, które przypominają o czasach, kiedy ten budynek był składem cukru. Z okien pokoju Jacqui widać centrum miasta – na poziomie wzroku wznosi się w niebo oświetlona bryła kościoła świętego Jana Chrzciciela.

Jacqui od razu wyciąga z minibaru wódkę i sok pomarańczowy i robi sobie drinka. Kiedy wychodzi do łazienki, Caffery wylewa go za okno i napełnia szklankę samym sokiem.

Stawia ją na szafce nocnej, a sam staje przy otwartym oknie. Powietrze jest lodowate – z barów przy ulicy dobiega dźwięczny śmiech wchodzących i wychodzących klientów.

Caffery już od trzech lat mieszka w tej części kraju i powoli zaczyna się orientować w geografii Bristolu tak dobrze, jak w zakamarkach swojego rodzimego południowego Londynu. Zna wszystkie bary i historię przestępstw popełnionych na ulicach tego miasta. Potrafi odtworzyć w pamięci pubowe bijatyki i morderstwa. Osiem lat temu barmanka z knajpy oddalonej o kilkaset metrów została zadźgana nożem przez klienta, który czekał, aż lokal opustoszeje, żeby zostać z ofiarą sam na sam. Kilka metrów dalej pewnemu osiemnastolatkowi pocięto twarz podczas bójki, a przed dziewiętnastoma miesiącami policja zrobiła nalot na sąsiednią restaurację, w której oprócz kebabów można było kupić kokainę i ketaminę.

Praca Caffery'ego polega właśnie na tym, żeby wywęszyć mroczne sekrety, które skrywa to miasto. To jego oddział – MCIT, lotny zespół interwencyjny – zajmuje się wszystkimi morderstwami i trudnymi sprawami, które wymagają szczególnej uwagi. Właśnie jedna z nich tak bardzo denerwuje Jacqui.

Z łazienki dobiega odgłos spuszczonej wody i Jacqui wraca do pokoju. Nie zwraca uwagi na drinka, tylko rzuca się na łóżko i leży twarzą w dół.

– Dobrze się czujesz?

Jacqui kiwa wciśniętą w poduszkę głową.

– Wzięłam tabletkę nasenną.

– To na pewno dobry pomysł?

– Jedyńy, jaki mam.

Caffery zerka na zegarek. To znaczy, że będzie musiał z nią zostać – upewnić się, że nagle nie zwymiotuje i się nie zadławi. Ani że nie zapadnie w śpiączkę. Rozgląda się po pokoju. Może się zainstalować na pluszowej brązowej sofie z ozdobnymi złotymi poduszkami. Okrywa Jacqui kołdrą, a sam idzie do łazienki. Wkłada korek do odpływu i odkręca kurki. Czekając, aż umywalka napełni się wodą, przegląda zawartość rozrzuconych dokoła opakowań z lekarstwami. Nie ma tam

żadnych środków odurzających, które można dostać na receptę, tylko różne pospolite tabletki: pigułki na zgagę, paracetamol i suplementy odchudzające. Znajduje też kapsułki nytolu. Otwiera pudełko i widzi, że w listku brakuje tylko jednej tabletki. Zagląda do kosza, ale tam też nie ma żadnych pustych opakowań. A zatem nie przedawkowała.

Caffery rozgląda się wśród designerskich przyborów toaletowych. Po chwili znajduje żel do kąpieli i wyciska zawartość do umywalki, żeby zrobić pianę. Potem zdejmuje koszulę i wkłada ją do wody. Wciera w nią mydliny, szorując przede wszystkim w okolicach kołnierzyka, gdzie wsiąkło najwięcej wina. W końcu płucze koszulę i wiesza ją na olbrzymiej deszczownicy. Wraca do pokoju, wycierając ręce ręcznikiem.

Jacqui leży dokładnie tam, gdzie ją zostawił, wciąż na brzuchu, z szeroko rozrzuconymi rękami, zwrócona twarzą w bok. Stoi nad nią, lekko pochyla głowę i nasłuchuje. Jacqui ma zamknięte oczy, zaczyna już lekko pochrapywać.

Caffery siada na głębokim fotelu z naturalnej skóry i badawczo rozgląda się po pokoju. Jest telewizor, ale gdyby go włączył, mógłby ją obudzić. Trochę czasopism. Caffery pobieżnie przerzuca strony – nic ciekawego. Na chwilę zatrzymuje się przy artykule o pewnym modnym eleganckim hotelu na obrzeżach Bristolu, ponieważ był tam przed południem na piekielnie nudnym forum prawa karnego. Rozpoznaje na zdjęciu oświetlone halogenami umywalki z kutej miedzi w męskiej toalecie oraz ogromny kontuar recepcji z lanego betonu. Spędził przy tym kontuarze kilka minut w towarzystwie ładnej, bardzo profesjonalnie zachowującej się kobiety, blondynki, która zajmowała jakieś wysokie stanowisko w miejscowym funduszu zdrowia. Rozmawiali o pracy, ale jego prymitywny umysł przez cały czas zajęty był mglistymi rozważaniami, czy udałoby mu się zaciągnąć ją do łóżka. Ta kobieta była jedynym interesującym elementem spotkania. Wszystko inne kompletnie wyparowało mu z pamięci.

Próbuje jeszcze trochę czytać, ale nie może się

skoncentrować. Odkłada czasopismo i znowu patrzy dokoła. Na stoliku do kawy stoi wiaderko na lód, a w nim wielki bukiet kwiatów. Caffery wstaje, podchodzi do stolika i czyta bilecik przyczepiony do bukietu. To z gazety, której jutro Jacqui ma udzielić wywiadu. Półtora roku temu jej pracująca jako modelka dwudziestopięcioletnia córka Misty wyszła z kliniki rehabilitacyjnej na granicy hrabstwa Wiltshire. Była uzależniona od narkotyków i miała problemy ze swoim chłopakiem piłkarzem, ale żaden z tych powodów nie usprawiedliwiał faktu, że od tamtej pory słuch o niej zaginął. Wielokrotnie przeszukano każdą najmniejszą uliczkę, ale wciąż brakowało jakichkolwiek tropów. Po prostu jednego dnia była, a drugiego zapadła się pod ziemię. Co roku policja otrzymuje tysiące zgłoszeń o zaginięciach. Jeżeli zaginiony jest przeciętnym dorosłym w pełni władz umysłowych, poświęca mu się żenująco mało czasu i uwagi. Jednak młoda i ładna Misty była w pewnym sensie ulubienicą mediów, które jeszcze długo podsycaly zainteresowanie tą sprawą, gdy normalnie policja przestałaby się nią zajmować.

Twarz Jacqui Kitson często gości na stronach prasy brukowej – na zdjęciach Jacqui stoi na szerokich, białych schodach kliniki, w miejscu, gdzie po raz ostatni widziano Misty, i w zadumie patrzy na budynek, w którym jej córka spędziła swoje ostatnie dni. Pozuje z fotografią Misty i chusteczką przy twarzy. Na wszystkie możliwe sposoby publicznie wytyka policjantom brak kompetencji.

Dla Caffery'ego każde jej słowo jest niczym cios zadany nożem. Jako główny oficer śledczy to właśnie on dostał zadanie znalezienia Misty i ta sprawa od wielu tygodni go prześladowa – MCIT i zespół inspektorów już tak długo przerzucają się odpowiedzialnością za nią, że imię Misty głęboko wryło mu się w świadomość. Prawda jednak jest bardziej niesamowita niż fikcja, a rzeczywistość zawsze okazuje się inna niż sądzimy. Od ponad roku Caffery w związku z tą sprawą gra jakby w chowanego, pilnuje jej niczym pies kości, stwarza pozory, że pracuje nad jej rozwiązaniem, ale jednocześnie myli tropy i stara się zapobiec odkryciu przez jego oddział tego, co

naprawdę wie o zniknięciu Misty – a jest tego więcej, o wiele więcej niż jakikolwiek policjant miałby prawo wiedzieć. Ukrywa wielki, poważny sekret. Rzecz, o której nikomu nie może powiedzieć.

Wypuszcza z palców bilecik i delikatnie wsuwa go z powrotem między kwiaty. Nie może? Czy raczej nie chce? A może nie jest jeszcze gotowy? Musi przejść jeszcze jeden most. Od wielu miesięcy próbował udawać, że go nie ma.

– Wiem – mamrocze z łóżka Jacqui. – No, wiem.

Caffery sądził, że spała. Wolno podchodzi. Jacqui nie otwiera oczu, ale kiwa głową, jakby chciała pokazać, że czuje jego obecność. Nie zmieniła pozycji, wciąż ma zamknięte oczy, a jej głos brzmi niewyraźnie.

– Naprawdę wiem.

– Co wiesz, Jacqui? Co wiesz?

– Wiem, że ona nie żyje.

Żadnemu z policjantów już od wielu miesięcy nie przyszło na myśl, że Misty może wciąż żyć. Nieco wstrząśnięty konstatuje, jak dużo czasu musiało upłynąć, zanim Jacqui doszła do tego samego wniosku.

– Mogę się z tym pogodzić – mówi dalej Jacqui. Nadal ma zamknięte oczy i tylko jej usta się poruszają. – Mogę się pogodzić z jej śmiercią. Mam tylko jedno życzenie.

– Jakie?

– Znajdźcie jej ciało. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, nie móc pogrzebać bliskiej ci osoby. Tylko na tym mi teraz zależy.

Maude

Legenda mówi, że Maude jest duchem dyrektorki z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy budynek zakładu zamkniętego Beechway pełnił funkcję domu pracy dla ubogich. Była karlicą, ale dzięki niezachwianej determinacji i sile woli osiągnęła najwyższe szczeble władzy w tej placówce. Niestety, nadużywała swojej pozycji. Krążą o niej historie, że jeżeli jedno z pozostających pod jej opieką dzieci zachowywało się niegrzecznie, siostra Maude siadała mu na piersi i na siłę wlewała łyżką do ust „lekarstwo”, aż dziecko się krztusiło. Albo o tym, że kazała podopiecznym przepisywać wers po wersie teksty biblijne, dopóki nie zobaczyła krwi na ich palcach. Niektóre wersje legendy sugerują, że siostra Maude chowała pod habitem pewien intymny sekret – że w istocie „siostra” była mężczyzną przebranym za kobietę.

Cztery i pół roku temu, tuż przed podjęciem przez CB pracy w tym szpitalu, pewna lecząca się z anoreksji pacjentka o nazwisku Pauline Scott wmówiła sobie, że w nocy coś zakrada się do jej pokoju. Twierdziła, że to coś siada jej na piersi i próbuje ją udusić. Pokazała lekarzowi poranione ostrym narzędziem uda. Miała na nich wycięty w skórze napis: „Nie bądź z tych, którzy czynią zło”. W koszu na śmieci Pauline znaleziono dwa rozprostowane i zakrwawione spinacze do papieru – ale pacjentka nie chciała się przyznać, że ma z nimi coś wspólnego. Nikt nie przepadał za Pauline, więc powszechnie uważano, że napis na jej nogach wyjątkowo dobrze do niej pasuje. Przeniesiono ją z powrotem na oddział intensywnej terapii, gdzie przez trzy tygodnie poddawano ją bacznej obserwacji.

Gdy CB zaczął pracę, jeszcze przez długi czas ten temat zajmował naczelne miejsce podczas rozmów pracowników szpitala. Nocami z pokoju pielęgniarzy dobiegały szepty

i śmiechy, członkowie personelu ukrywali się w ciemnych przejściach i próbowali nastraszyć kolegów. Kilka osób wzięło sobie tę historię do serca. Pewna pielęgniarka z agencji zatrudniona na nocnej zmianie zarzekała się, że coś skrobało pazurami o szybę w oknie, i przysięgła, że jej noga już nigdy nie postanie w tym szpitalu.

Jeden szczególnie neurotyczny pracownik społeczny twierdził, że wyjrzał za okno i zobaczył siedzącą na trawniku karlicę w białej wiktoriańskiej sukni. Postać nic szczególnego nie robiła. Po prostu obserwowała szpital. Jej gładka twarz błyszczała w blasku księżyca.

CB zaliczał się do pracowników, dla których te opowieści były jedynie tanią rozrywką – sposobem na przełamanie monotonii. Ale po jakimś czasie Maude znowu dała o sobie znać i tym razem wszystkim kompletnie zrzędył miny.

Moses Jackson był stałym pacjentem szpitala – niechlujnym, szarym typem o patykowatych kończynach i nieprzyjemnym charakterze. Całkowity, stuprocentowy, absolutny złamas, znany jedynie ze złośliwości, wiecznego knucia i braku elementarnego wychowania. Wszystkie pielęgniarki były dla niego „cipami” i zawsze zdejmował przed nimi spodnie, żeby pokazać im penisa. Żeńska część personelu odmawiała pracy przy nim, co tym bardziej komplikowało opiekę i sprawiało, że wymagał więcej czasu niż inni. Oczywiście jeżeli ktoś mu to wytknął, Moses zaczynał wrzeszczeć, że w szpitalu panują rasistowskie zasady, i domagał się wizyty kogoś z zarządu, kto mu wytłumaczy, co zamierzają zrobić w tej sprawie.

W tamtych czasach CB wciąż był szeregowym pielęgniarem. Pewnego dnia przyjechał na pierwszą zmianę i zastał w szpitalu kompletny chaos – pielęgniarze i pielęgniarki biegali między oddziałami, chwyтали w biegu dokumenty i telefony, robotnicy w żółtych kamizelkach łazili dokoła z narzędziami, a ze skrzydła Jaskier dobiegał niehumaniczny wrzask. Przypisani do tej części szpitala pielęgniarze z ochrony znajdowali się akurat na innym oddziale, więc CB w końcu stwierdził, że dłużej tego nie wytrzyma, i sam poszedł sprawdzić, o co chodzi. Moses stał na środku pokoju. Od pasa w dół był całkiem nagi, objął się

ramionami i płakał, wpatrując się w gęsto zapisaną czerwonym flamastrem ścianę. Setki słów pokrywały ściany, listwy przy podłodze, a nawet sufit.

Zanim CB zatrudnił się w Beechway, pracował w różnych instytucjach i był świadkiem najgorszych i najdziwniejszych zachowań, ale to był zupełnie nowy wymiar osobliwości. Przez chwilę milczał i próbował jedynie ogarnąć rozmiar zniszczeń.

– Moses... – Pokręcił głową, nie mogąc się zdecydować, czy śmiać się, czy płakać. – Moses, dlaczego to zrobiłeś, kolego?

– To nie ja.

– Lekarze zmienili ci lekarstwa?

CB dokładnie przyjrzał się twarzy Mosesa. Nie przypominał sobie, żeby w jego karcie zdrowia była jakaś wzmianka na ten temat – zwykle od razu informowano pielęgniarzy o wszystkich modyfikacjach. Szczególnie w kwestii leków.

– Dostałeś wieczorem coś innego? To znaczy, wczoraj?

– Ja tego nie zrobiłem!

– Okej – zgodził się cierpliwie CB. W pokoju unosił się słaby, lecz nieprzyjemny zapach, jakby przypalonej ryby, więc CB uchylił lufcik w oknie. Zerknął na genitalia starego, które bezwładnie zwisały między jego chudymi, owłosionymi nogami. – Może byś tak włożył z powrotem spodnie, kolego? Lekarze będą musieli cię zbadać, a chyba nie chcesz, żeby musieli oglądać twoje dyndające przyrodzenie?

– Ja ich nie zdjęłem.

– No dobrze, ale i tak lepiej je włóż. – Podał pacjentowi spodnie od piżamy. – Proszę bardzo.

Czekając, aż Moses się ubierze, CB chodził po pokoju i z pochyloną głową czytał napisy:

„Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”¹.

A w innych miejscach:

„Jeśli więc prawe twoje oko jest ci powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie”.

Wersy te powtarzały się kilkadziesiąt razy. Ściana nadawała się jedynie do gruntownego mycia albo odmalowania.

¹ Cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia.

– Moses – powiedział spokojnie CB, nie patrząc na napisy. – Pójdziemy na śniadanie? – Wieloletnia praktyka pielęgnarska nauczyła CB, że nic nie odwraca uwagi pacjenta ani nie stanowi lepszego pretekstu do zmiany tematu niż rozmowa o jedzeniu. – Dzisiaj mają być gofry z syropem klonowym.

Moses chętnie ruszył z nim do jadalni, chociaż sprawiał wrażenie człowieka coraz bardziej oderwanego od rzeczywistości. Wyglądało na to, że silne lekarstwa, które zwykle tolerował bez niemal żadnych skutków ubocznych, nagle zaczęły źle na niego działać. Na jego spodniach pojawiła się wilgotna plama, a z ust, niczym rozkołysane sznury pereł, zwisały mu strużki gęstej śliny. Reszta pacjentów omijała go szerokim łukiem. Zamknął się w sobie, pokornie stał w kolejce, przycisnął pięść do oka i pocierał je jak szalony.

Isaac Handel, cherlawy pacjent z fryzurą obciętą na garnek, który od dawna znajdował się w placówce, pierwszy zauważył, że sprawy przyjęły poważny obrót.

– Hej! – zawołał jednego z pielęgniarzy. – Patrz! Patrz!

Pielęgniarze zwrócili głowy. Moses odłączył się od kolejki i stanął tyłem do sali. Lekko się pochylił, zwiesił głowę, zaczął wykonywać dziwne ruchy i sprawiał wrażenie, jakby nie panował nad mimiką. CB zareagował z opóźnieniem. Zamiast od razu działać, z uśmiechem lawirował swobodnym krokiem między stolikami – raczej zaintrygowany niż zaniepokojony tym, co robi Moses.

– Moses? Kolego, wszystko w porządku?

– Łyżka – powiedział Handel. – On ma łyżkę.

Pacjenci, którzy wkrótce mieli zostać wypisani do domu, mogli używać normalnych sztućców. Nikomu nie przyszło na myśl, że może to być niebezpieczne. CB podszedł i stanął za Mosesem. Już miał położyć dłoń na jego ramieniu, żeby zapewnić go o swoich dobrych intencjach. Nagle zobaczył, że coś zwisa mężczyźnie z brody. A raczej nie zwisa, tylko spływa. To była krew – płynęła tak silnym, ciągłym strumieniem, że pomylił ją ze zwisającym sznurkiem.

– Ochrona! – wrzasnął. W jego głowie automatycznie zapaliła się czerwona lampka. – Wezwijcie ochronę z jadalni! I lekarza!

Po chwili przybiegli trzej inni pielęgniarki. Próbowali unieruchomić Mosesa i położyć go na wznak na podłodze. On jednak miał w tym momencie siłę dziesięciu mężczyzn. Wyrwał się z uścisku i dalej manipulował z całej siły przy swojej twarzy.

– Przytrzymam mu głowę! – krzyknął jeden z pielęgniarki.

– Lewe ramię i noga! – krzyknął drugi.

– Wyprowadźcie stąd wszystkich! – wrzasnął CB.

Przybiegło jeszcze więcej pracowników, a w całym budynku rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Nagle CB usłyszał dochodzący z bliska cichy trzask. Zabrzmiał niezwykle czysto i wyraźnie pomimo panującego wokół zgiełku. Pisząc później sprawozdanie z tego zdarzenia, CB zastanawiał się, w jaki sposób można najlepiej opisać ów dźwięk, i przyszło mu na myśl, że taki trzask wydają pękające ścięgna i tłuste, białawe chrząstki rozrywanej na mniejsze porcje pałki kurczaka z grilla (od tamtego dnia nie jadł kurczaka). Tyle że dźwięk nie pochodził z kurzej chrząstki. Nagle po policzku Mosesa ześliznęła się włóknista kulka wyglądająca jak jajko z krwawym białkiem. Łyżka spadła z brzękiem na podłogę, on sam zaś osunął się na kolana, a po chwili zachwiał się, na wpół mdlejąc.

– Lekarza!!! – ryknął CB. – Niech ktoś, kurwa, wezwie lekarza! Lekarza. Lekarza. Lekarza...

Cienki Bolek

Nocna zmiana dłuży się w nieskończoność. CB próbuje się skupić na rutynowych zadaniach – uzupełnia raporty i jedynie częściej niż zwykle wyrusza na obchód, zaglądając aż trzy razy do Matki Potworów – ale przeklina każdą minutę dzisiejszej pracy. Szczególnie dokuczliwe są te chwile, kiedy musi siedzieć sam w swoim biurze. Pomieszczenie jest przegrzane, a różnica temperatur w środku i na zewnątrz powoduje, że okna trzeszczą. Za każdym razem, kiedy próbuje zasnąć, słyszy w głowie dudniące echem niczym sonar słowa: „Lekarza! Niech ktoś, kurwa, wezwie lekarza...! Ding, ding, ding! Jeśli więc prawe twoje oko jest ci powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie...”. Płatanina obrazów pełzających po ścianach. Chrząstki i krew na talerzach w stołówce. Krew wrze, skwierczy i wsiąka w gofry.

Sanitariusze szybko zjawili się na miejscu, ale nie udało im się uratować oka Mosesa. Po dwóch tygodniach wrócił do szpitala. Miał sztuczne oko i bardzo się zmienił, spokorniał nie do poznania. Ludzie go unikali, chodzili przy nim na palcach. Pacjenci wymieniali szeptem domysły, co Moses zobaczył tamtego dnia i co go zmusiło, żeby wydłubał sobie oko łyżką. A o co chodzi w tych napisach na ścianach? Szepty pozostałyby jedynie szeptami, gdyby nie to, że pewnego dnia Pauline – której ostatnio pozwolono ponownie przystąpić do programu rehabilitacyjnego, co dawało szansę na wypisanie do domu – przepadła bez wieści po tym, jak samowolnie opuściła teren szpitala. Wezwano policję, oddziały dochodzeniowo-śledcze przyjeżdżały wiele razy, żeby przeszukać teren, i odjeżdżały z pustymi rękami. Zaczęły się przesłuchania. Kilka miesięcy później fundusz zarządzający szpitalem znalazł się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji, bo w końcu znaleziono ciało pacjentki w stanie rozkładu pod stertą suchych liści w jednym

z najdalszych zakątków szpitalnego ogrodu, tuż za wyznaczoną przez policję granicą obszaru poszukiwań. Rozkład był już na tyle zaawansowany, że sekcja zwłok nie mogła wykazać, w jaki sposób zginęła Pauline, więc policja, lekarz sądowy i koroner zgodzili się na „nieznaną przyczynę zgonu”.

Po tych zdarzeniach plotki zaczęły szerzyć się jak wirus, a histeria opanowała szpital niczym pożar – wszyscy mówili o Maude i nadprzyrodzonych zjawiskach. Znajdujący się do tej pory w stabilnym stanie pacjenci zaczęli nagle podupadać na zdrowiu. Na oddziałach rozbrzmiewały dzikie krzyki, a ochroniarze biegali nerwowo po korytarzach. Połowa pacjentów, którzy mieli wkrótce opuścić szpital, wróciła na oddział intensywnego nadzoru, a reszcie odebrano prawo do czasu wspólnego, przepustek oraz przywilejów. Coraz częściej brakowało personelu, nastąpił czas długich, pełnych emocji narad z udziałem lekarzy różnych specjalizacji – okres nowych dyrektyw i ogólnego chaosu.

Lekarze wzięli się do roboty. Stoczyli walkę o to, żeby pohamować rozwój wypadków – ale musieli działać powoli, pracując z poszczególnymi pacjentami i przekonując ich podczas sesji terapeutycznych, że Maude to jedynie złudzenie i plotka. W końcu udało im się przywrócić spokój. Szpital znowu działał bez zarzutu. Minęły cztery lata bez choćby jednej wzmianki o Maude. Nikt ani słowem nie wspomniał o duchach i już się zdawało, że to koniec tej legendy. Tymczasem trzy tygodnie temu Zelda Lornton nagle zbudziła się z krzykiem. Jej ręce były pokryte napisami. To wystarczyło, żeby histeria wybuchła z nową mocą.

Gotuje się woda w czajniku. CB wsypuje do kubka dwie czubate łyżki kawy rozpuszczalnej, zalewa wodą, dopełnia mlekiem i słodzi. Bierze kubek do okna, stoi przy szybie i popija zamyślony, patrząc, jak dzień zakrada się na dziedziniec szpitala. Burza minęła, ale ogród tonie w wodzie. Miejsce, w którym wiele lat temu pracownica społeczna ujrzała rzekomo karlicę, jest usłane połamanymi gałązkami i liśćmi. Nieco na uboczu znajduje się ledwie widoczny pod drzewami nagrobek – miejsce wiecznego spoczynku dziecka, które

zmarło tu w czasach wiktoriańskich. U schyłku panowania królowej Wiktorii anonimowy filantrop sfinansował budowę tego pomnika pamięci „nieznanego dziecka bożego”. To jedyny zachowany nagrobek – resztę wykopano i przeniesiono gdzie indziej podczas renowacji budynku. Według szpitalnej mitologii to właśnie wtedy zakłócono spokój Maude i zmieniono jej miejsce pochówku. Jej duch nie mógł zaznać spokoju w nowym miejscu i po wielu latach jakimś sposobem wrócił na teren szpitala.

A zatem – myśli CB – czas zacząć egzorcyzmy i przepędzić Maude z powrotem do grobu.

Sięga po krawat, który zdjął wczoraj wieczorem, i przypina go z powrotem, używając monitora komputera jako lustro. Bierze głęboki oddech, a potem patrzy na swoje odbicie, przesuwając dłońmi wzdłuż kłap taniego garnituru. Na jego świadectwie urodzenia nie widnieją inicjały CB – to przezwisko nadał mu wiele lat temu pewien bubkowaty lekarz specjalista, który pewnego dnia wszedł do dyżurki i pstryknął palcami na pielęgniarki, żeby im powiedzieć o zmianach w dawkowaniu leków. CB nie zareagował, więc ten wydarł się na całą salę:

– Hej, ty! Tak, ty! Do ciebie mówię, cienki Bolku, czy jak cię tam zwą! Hej, CB!

Cienki Bolek, czyli CB. To przezwisko do niego przyłgnęło. Od tamtej pory jest CB – facetem średniego wzrostu, w średnim wieku (skończył czterdzieści trzy lata), z przeciętnymi dochodami. CB LeGrande. Brzmi jak pseudonim jakiegoś rapera. W jego żyłach płynie właściwie murzyńska krew, którą zawdzięcza babce, chociaż patrząc na niego, nikt by go o to nie podejrzewał. Jego ciemne włosy ani trochę się nie kręczą, skóra nie ma nawet kawowego odcienia – raczej oliwkowy, jak u mieszkańców krajów śródziemnomorskich – i ma prosty, typowo europejski nos. Najbardziej chciałby mieć nogi czarnoskórego faceta – długie, silne nogi piłkarza – takie, jakie ma Duży Lurch. Chiałby niecierpliwie wypatrywać lata, żeby się nimi pochwalić. Tymczasem ma bardzo przeciętne, owłosione nogi białasa. Po co mu czarnoskóry przodek, jeżeli nie odziedziczył po nim żadnej fajnej cechy? Niektórzy mówią

mu, że jeżeli w ogóle kogoś przypomina, to raczej Elvise Presleya – w odpowiednim świetle i jeżeli dobrze się przyjrzeć. Akurat. Gdyby miał chociaż jedną dziesiątą wyglądu, talentu albo magnetyzmu Presleya, pracowałby gdzie indziej. I na sto procent nie musiałby się zastanawiać, jak w spokojny, rzeczowy sposób wytłumaczyć dyrekcji szpitala, że na oddziale grasuje duch. A raczej, że to on – koordynator zarządzający zespołem pielęgniarzy – nie potrafił zapobiec ekspansji tego obłądu.

Zmęczony i ocieślał człapie korytarzem, otwierając kartą magnetyczną kolejne drzwi. Dyrektorka Melanie Arrow napsuła wszystkim krwi, kiedy uparła się, żeby przenieść jej biuro z bloku administracyjnego do części szpitalnej. Zajęła pomieszczenie na półpiętrze, z widokiem na główny korytarz między oddziałami. Zostało odnowione i powiększone o łazienkę i aneks kuchenny. Wyposażono je w rozkładane łóżko, na którym Melanie Arrow często spędza noc. To nikiemne złamanie niepisanych zasad, bo jej obecność oznacza, że personel pielęgniarski wciąż musi się mieć na baczności przed szpiclem, który ma zwyczaj pojawiania się w najbardziej nieoczekiwanych chwilach i przyłapywania ich na drzemce lub oglądaniu pornoli.

Przed wejściem na schody ogarniają go wątpliwości. Spod drzwi gabinetu dyrektorki sączy się światło. CB nie jest pewien, czy to znaczy, że jego przełożona spędziła noc na rozkładanym łóżku, czy po prostu wyjątkowo wcześniej przyszła do pracy. Jeżeli miałby wskazać jedną osobę na świecie, która potrafi sprawić, że czuje się niewiele wart, byłaby nią Melanie Arrow. Tylko ona pracuje w Beechway dłużej niż on, a ponadto wszystkich trzyma krótko i jest w stu procentach profesjonalna. Za jej plecami najczęściej nazywa się ją Królową Lodu. Zabawne, że jako pielęgniarz CB nie miał nic przeciwko Melanie. Nie musiał utrzymywać z dyrektorką żadnych kontaktów zawodowych i spotykał się z nią twarzą w twarz jedynie podczas szpitalnych imprez, kiedy wszyscy opuszczali gardę – raz zdarzył się nawet wieczór, o którym teraz wołałby zapomnieć, kiedy po pijanemu ubzdurał sobie, że szefowa z nim flirtuje. Jednak jako koordynator musi kontaktować się

z nią o wiele częściej. I coraz lepiej rozumie, skąd się bierze jej reputacja Królowej Lodu.

Wolno wspina się po schodach i puka, nieco poirytowany faktem, że brakuje mu zimnej krwi. Następuje długa pauza, a dopiero po chwili zza drzwi dobiega głos:

– Tak?

– To ja, CB.

– Wejź, CB.

CB otwiera drzwi i wchodzi z pewnym siebie uśmiechem. Skupia wzrok na oddalonym o kilka centymetrów od twarzy dyrektorki punkcie w przestrzeni. Stara się unikać bezpośredniego kontaktu. Melanie siedzi przy biurku, monitor komputera oświetla jej twarz, lekkie okulary w drucianych oprawkach opierają się na czubku jej nosa. CB wie, że poprzedniego dnia pracowała bite dwanaście godzin – była z nim na forum prawa karnego i prosto stamtąd poszła na zebranie członków funduszu – ale nie widać po niej zmęczenia. Ma włosy w szczególnie chłodnym odcieniu blond – jest uporządkowana i powściągliwa. O ile CB posiada domieszkę afrykańskiej krwi, o tyle w Melanie na pewno płynie krew ludzi z fiordów – jej włosy są jak lejący się jedwab, a skóra tak blada, eteryczna, że drobne piegami, którymi usiany jest jej nos, wyglądają jak barwy wojenne. Jak zwykle ma na sobie prostą białą bluzkę i stosowną spódnicę guwernantki, która nadaje jej sterylny, autorytarny wygląd. Ten strój skrywa świetne ciało – CB i chyba większość męskiego personelu nie mają co do tego wątpliwości – ale nikomu nie przyszłoby na myśl powiedzieć o tym głośno, nawet w chwili, gdy wszyscy opuszczają gardę. Spadłby na nich grom z jasnego nieba – to jakby wygłaszać nieskromne uwagi o kształtach Matki Boskiej.

– Tak, CB? – Ten nic nie mówi, bo jak zwykle język staje mu kołkiem, więc Melanie zsuwa okulary jeszcze bliżej czubka nosa i patrzy na niego znad oprawek. – Masz jakąś sprawę?

Nie jest agresywna, arogancka ani niecierpliwa – nie wrzeszczy ani nie wyszczekuje rozkazów jak niektórzy dyrektorzy szpitali psychiatrycznych, prawdę mówiąc, ma cichy, spokojny głos. Raczej swojej trzeźwości umysłu

zawdzięcza, że ludzie uważają ją za energiczną profesjonalistkę. Mówi tylko tyle, ile wymaga skuteczne przekazanie informacji, a potem milczy. Dla kogoś tak zdeorganizowanego i pozbawionego samodyscypliny, jak CB, takie zachowanie jest niezwykle onieśmielające.

– Mamy problem – mówi CB. – W związku z Zeldą Lornton.

Melanie potakuje kiwnięciem, ale na tym poprzestaje.

CB potrząsa głową, nie wie, jak wyrazić swoje myśli.

– Chodzi o ten atak serca. Ludzie gadają... – Zawstydzony pociera kark. – Ludzie mówią, że to dziwne... nienaturalne, żeby ktoś w jej wieku ot tak zmarł.

Melanie wciąż nie reaguje. Zawsze tak jest – dokładnie waży każde słowo, zanim coś powie, i nie przejmuje się, że każde rozmówcy czekać.

W końcu mówi:

– Jeszcze nie dostaliśmy wyników autopsji. Atak serca to w tej chwili jedynie domysły sanitariuszy. Dalsze postępowanie dostarczy nam informacji o tym, jak dziwna albo jak naturalna była przyczyna jej śmierci.

– Domyślałam się jednak, że nie jest dla pani tajemnicą, co wszyscy o tym sądzą. Wie pani, że plotki odżyły?

– Plotki?

– Tak. O... no, o zjawiskach paranormalnych, które czasami tak rozpalają wyobraźnię naszych pacjentów.

Twarz Melanie pozostaje nieruchoma, ale na jej policzkach pojawia się dyskretny cień koloru. Ostatnim razem, kiedy Maude odwiedziła szpital, przywrócenie normalnego stanu rzeczy było długim, stresującym i skomplikowanym procesem. Melanie stała na czele tamtej akcji.

– Masz na myśli urojenia?

– Tak. Znow się pojawiły i cierpi na nie coraz więcej pacjentów... a nawet pracowników.

W tym tygodniu czterdzieści procent personelu nie przyszło na nocną zmianę. Nastąpiła powtórka z tego, co towarzyszyło wypadkom z udziałem Pauline Scott i Mosesa.

– A zatem, CB, co proponujesz?

– Co proponuję? Ja? – CB bezradnie rozkłada ręce. – No, nie

wiem. Może powinniśmy zerknąć do procedur? Musi wśród nich być opis rutynowego postępowania w przypadku duchów grasujących po korytarzach. Z pewnością zaczyna się słowami: „Uwzględnić w cotygodniowym sprawozdaniu dla zarządu”. Domyślam się, że nakazuje wypełnić w trzech egzemplarzach wniosek skierowany do działającej przy zarządzie komisji do spraw etyki, ze szczególnym uwzględnieniem paragrafu siedemnastego. Na pewno trzeba też...

– Nie prosiłam cię o sarkazm. – Oczywiście Melanie są błękitne jak czyste niebo. – Pytałam, jak zamierzasz powstrzymać dalsze rozprzestrzenianie się tej paranoi.

CB przez chwilę milczy, onieśmielony jej szorstkością. Przeraża go maska profesjonalizmu, którą widzi przed sobą. Z jakiegoś powodu słowo „paranoja” wywołuje w nim gorycz. Może to przez poczucie niesprawiedliwości, bo szefowa tak łatwo zbagatelizowała obawy Matki Potworów? A może chodzi raczej o tamten koszmar, który wciąż zdaje się bardzo rzeczywisty? Drobne dłonie, drobna twarz. CB odwraca wzrok w kierunku okna, przy którym stoi składane łóżko Melanie, starannie wsunięte teraz we wnękę między regałami. Zastanawia się, czy jego przełożona spokojnie sypia, kiedy spędza tu noc. Czy miewa sny.

– Myślałem, że pani mi to powie – mówi w końcu. – A przynajmniej miałem taką nadzieję.

Melanie zamyślona stuka palcem w blat i przygląda się twarzy CB. Ten czuje się jak uczeń na dywaniku u dyrektorki szkoły.

– No dobrze. – Melanie poprawia okulary i coś notuje w dużym zeszyte na biurku. – Zostaw mi kwestie związane z leczeniem. Zajmę się też specjalistami. Wróćmy do taktyki, którą zastosowaliśmy poprzednim razem, czyli skupimy się na pojedynczych przypadkach. Nie podejmujemy terapii grupowej. Twoim zadaniem będzie unormowanie sytuacji wśród personelu pielęgniarskiego. Pasuje?

– Dziękuję – mamrocze CB. – Dziękuję.

– Proszę bardzo.

CB już pcha dłonią drzwi i wychodzi z biura. Nagle zdaje mu się, że słyszy dobiegający zza pleców głos Melanie. Odwraca się.

– Tak? Słucham?

Szefowa uważnie mu się przygląda. CB dostrzega na jej twarzy emocje, których nigdy przedtem nie widział – nie potrafi ich odczytać. Wygląda, jakby chciała o czymś porozmawiać, ale nie wie, jak zacząć.

– Tak? – powtarza CB.

– Ty też się boisz? Wierzysz, że dzieje się tutaj coś dziwnego?

– Na chwilę odwraca wzrok. Zerka na szczelinę pod drzwiami. Błyskawicznie jednak przywołuje się do porządku, dyskretnie odkasłuje, żeby oczyścić gardło. – Oczywiście pytam o to, bo mam nadzieję, że ty nie czujesz potrzeby pójścia na zwolnienie...

– Oczywiście. – CB lekceważąco wzdusza ramionami. – No bo... czego tu się bać?

– Właśnie. Niczego. – Melanie odwraca się do komputera i wystukuje na klawiaturze kilka słów. – Informuj mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji.

Granica

Po pięciu godzinach Caffery budzi się i stwierdza, że Jacqui Kitson wciąż chrapie na łóżku. Obraca się na bok i patrzy na nią. Nie może w nieskończoność kłamać, jeśli chodzi o zniknięcie jej córki. W końcu będzie musiał powiedzieć prawdę.

– Hej – szepcze z drugiego końca pokoju – miałaś rację. Jestem fiutem.

Jacqui nie reaguje. Dalej chrapie. Caffery siada obolały po nocy spędzonej na niewygodnej sofie i zawiązuje pasek hotelowego szlafroka, w którym spał. Już widzi te sensacyjne wiadomości w gazetach, gdyby wstał niekompletnie ubrany: „Zaginiona Misty. Miłosne igraszki detektywa z mamuszką podczas romantycznej nocy w hotelu!”.

Podchodzi do łóżka i patrzy na Jacqui – sprawdza jej oddech. Ostatecznie jej życiu nic nie zagraża. Człapie do łazienki. Bierze prysznic, parzy kawę, próbuje się ogolić hotelową żyłką, zacina się i musi użyć perfum Jacqui, żeby zdezynfekować ranę. Koszulę już da się nosić, chociaż jest wygnieciona i wciąż lekko wilgotna wokół kołnierzyka. Caffery patrzy na swoje odbicie w lustrze. Nie da się ukryć, że wygląda jak człowiek, który przespał noc na sofie. Pachnie nie lepiej. Wychodząc, zamawia budzenie na dziewiątą na wypadek, gdyby Jacqui zasnęła, a potem wymyka się z pokoju i jak najciszej zamyka za sobą drzwi. Na ulicy przed hotelem panuje spokój. Nadjeżdża autobus – ruchoma kostka światła i pustych siedzeń; z tyłu śpią dwie kobiety w średnim wieku, lekko kiwając głowami w rytm jazdy. Caffery czeka, aż autobus go minie, a potem przechodzi na drugą stronę ulicy do pubu White Lion, którego wejście tarasują skrzynki po piwie. Odurzający, słodkawy zapach alkoholu, miodu i kwasów przypomina mu, że nie pił ubiegłej nocy. Pierwszy raz od wielu miesięcy. Zapewne w obecności

kompletnie nawalonej Jacqui odezwała się w nim chęć udowodnienia, że sam jest świętszy niż ona. Pijąc jedynie wodę Badoit, poczuł się jak wzór cnót.

W chodniku znajduje się kratka ściekowa, a kanał – o czym mało kto wie – prowadzi do podziemnej rzeki nieprzerwanie płynącej pod ulicami miasta. Caffery wyobraża sobie jej ciągły nurt – i rzeczy, które niesie. Wie, co to za rzeczy, bo widział je na własne oczy. Połamane plastikowe krzesła, martwe koty, torebki po chipsach, puste puszki. Wszystko gromadzi się kilkaset metrów dalej na zębach stalowej kraty stanowiącej ujście do portu, która niczym wielki waleń przesiewa wodę przez fiszbiny i zatrzymuje cały ten syf. Rzeczy ukryte przed ludzkim wzrokiem. Rzeczy, które wciąż są pod nami. I nad nami. I obok. Każdego dnia przez całe życie nam towarzyszą, a my nigdy ich nie zauważamy. Ciało można na zawsze ukryć w stu różnych miejscach.

Mógłby powiedzieć Jacqui Kitson, gdzie dokładnie jest jej córka Misty. Mógłby, ale wciąż tego nie zrobił. Bo kogoś chroni. Kogoś, kto potrzebuje trochę swobody. Tylko trochę swobody, powtarza sobie Caffery. Wcale nie chodzi o to, żeby temu komuś pozwolić absolutnie na wszystko. Czy takie myśli nachodzą go dlatego, że już czas zacząć działać? Czy wreszcie powinien przekroczyć granicę, czego do tej pory unikał?

Wyciąga e-papierosa, przypina zbiorniczek i zaciąga się sztucznym dymem. Wyjmuje z ust urządzenie i mu się przygląda. Co za gówno. Naprawdę gówno. Do tej pory nie może się pozbyć uczucia, że wdycha jakąś truciznę. Odczepia zbiorniczek i upuszcza go do studzienki ściekowej. Nakarmi walenia.

Nie ma sensu wracać do domu – postanawia jechać prosto do pracy. Skręca w kierunku miejsca, gdzie zaparkował samochód. Nad dachami zaczyna się rozlewać świt – gęsty i mleczny. Kolejny dzień. Punktowe reflektory oświetlają kościół, wiatr podrywa jeden czy dwa liście, które wirują wokół wieży. Caffery zatrzymuje się w pół kroku. Wolno się obraca, żeby zerknąć za bramę cmentarza. Widzi kosze na śmieci, pojemniki na psie odchody i przyklejone do chodnika placki gum do żucia. Widzi

sztuczne kwiaty na grobach, poszarzałe od wyciewów miasta. Dwa nagrobki o marmurowych brzegach wypełnione zielonymi szklanymi bryłkami, które królują niemal na każdym cmentarzu. Za nimi nagrobek w wiktoriańskim stylu – z omszałym, popękany aniołem w modlitewnej pozie.

Jacqui sądzi, że Caffery nie wie, jak to jest, kiedy nie ma ciała, które można pogrzebać. Tu się jednak myli. Doskonale zna to uczucie. Prawdę mówiąc, jest prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. Po śmierci Winnie Johnson, matki jednego z dzieci zamordowanych na wrzosowiskach pod Manchesterem, która nigdy nie poznała miejsca spoczynku swojego synka, Caffery wziął wolny dzień i przesiedział go w kuchni, gapiąc się w okno. Przez wiele lat żył z tym samym balastem, co pani Johnson i Jacqui. Wciąż się go nie pozbył.

W przypadku Caffery'ego nie chodzi o syna ani córkę, lecz o brata. Chyba właśnie dlatego nie lubi się z tym obnosić. Dla reszty świata jest oczywiste, że straty dziecka nie da się odżałować, ale jak można tak bardzo przeżywać śmierć brata? Po trzydziestu pięciu latach? Już dawno powinien się otrząsnąć. Odkrył wiele wskazówek, mnóstwo tropów, które dokładnie zbadał, ale żaden nie doprowadził go do namacalnego dowodu – ciała. Gdyby je znalazł, to może w końcu pozbyłby się napięcia, które nieustannie mu towarzyszy. Głosu wciąż mącającego mu spokój. Rozumie Jacqui o wiele lepiej niż daje po sobie poznać.

Patrzy na posąg anioła. Sam nie wie dlaczego, ale jest absolutnie pewny, że to grób dziecka. Unosi dłoń, żeby pchnąć bramę, lecz się powstrzymuje. Stoi niczym słup soli, a serce wali mu jak młotem.

Przekrocz tę cholerną granicę, Jack. No, do diabła, wreszcie się odważ.

Patience i Stewart

Zwykle po wyjściu z pracy CB potrafi od razu zapomnieć o sprawach zawodowych. Dzisiaj, jadąc do domu w mżawce i porannych korkach, wciąż wraca myślami do szpitala. Nadal ma przed oczami tę gładką twarz z koszmaru, czuje ucisk na piersi. Bez przerwy odtwarza w pamięci późniejszą rozmowę z Melanie.

Zastanawia się – nie po raz pierwszy – jakie informacje będzie zawierał raport z autopsji Zeldy Lornton. Prawo wymaga, żeby każdy zgon szpitalny został zbadany przez policję oraz przez zespół niezależnych ekspertów, którzy potwierdzą przyczynę śmierci. Zajmujący się tą sprawą nadinspektor przyznaje, że decyzja, kto ma przeprowadzić autopsję, budzi gorące emocje w biurze koronera. Zdaniem koronera śmierć Zeldy nie była na tyle niezwykła, żeby wzywać lekarza sądowego z biura spraw wewnętrznych do przeprowadzenia szczegółowej sekcji zwłok, ale szeregowi szpitalni lekarze nie chcieli wziąć odpowiedzialności za ocenę stanu zdrowia pacjentki, która zmarła nagle na oddziale psychiatrycznym. Jej badanie to gorący ziemniak, który pracownicy kostnicy publicznej we Flax Bourton przierzucali z rąk do rąk i odbijali niczym piłeczkę pingpongową, dopóki ktoś nie tupnął nogą i nie zażądał, żeby przeprowadzić je jako „szczególną” autopsję w imieniu koronera – czyli coś pośredniego między zwyczajną obdukcją a sekcją sądowo-lekarską. Ta decyzja zapadła przed trzema dniami i wciąż nie było wyników.

Może koroner ma rację? Zeldy była młoda, ale bardzo otyła – ważyła sto trzydzieści kilogramów – i mało się ruszała. Trudno się dziwić, że była idealną kandydatką do zawału. Bezgranicznie leniwa, wszędzie kazała się wozić wózkami inwalidzkimi, chociaż potrafiła chodzić o własnych siłach. Jej

ubrania pękały w szwach, a pielęgniarze musieli wcierać wazelinę w fałdy na jej nogach, żeby zapobiec odleżynom. Jej garderoba składała się z siedmiu czerwonych T-shirtów, siedmiu par legginsów i siedmiu par czerwonych skarpetek. Nie chciała włożyć nic innego, nawet kiedy zaczęła wyrastać ze starych rzeczy, cerowanych tak często, że z upływem czasu przypominały raczej sieć szwów niż tkaninę. Każde zajęcie oprócz jedzenia i oglądania telewizji było atakiem na prawa osobiste Zeldy. Nałogowo krytykowała system; pracownicy szpitala już dawno przestali liczyć, ile razy oskarżyła ich o wykorzystywanie, molestowanie czy gwałt. Nikt się z nią nie sprzeczał, chociaż wielu miało na to ochotę. Umiała w mgnieniu oka zepsuć atmosferę na oddziale – wszyscy musieli się z nią liczyć i wszyscy chodzili wokół niej na palcach.

CB nie potrafi ani nawet nie próbuje udawać, że lubił Zeldę. Ale dojeżdżając do końca wąskiej polnej drogi, przy której mieszka, przyłapuje się na tym, że cały czas myśli o tym, jak wyglądała tamtego wieczoru z zakrwawionymi rękami. Jej buntownicza postawa przepadła bez śladu. I jeszcze te słowa: „Kto to... co to...”.

Zaciąga hamulec ręczny i gasi silnik. Pozwala ciszy wsiąknąć do wnętrza samochodu. W okolicy nie ma wielu obiektów, na których można by zawiesić oko – rozległe równiny zalewowe rzeki Severn, zamek Berkeley, wspaniały widok na zlikwidowaną elektrownię atomową, szczególnie atrakcyjny o zachodzie słońca. Za sąsiadów ma tylko krowy. To miejsce nazywa się Eden Hole Cottages – wychował się tu, na samym końcu świata. Dorastał pod okiem matki Dolly Jessie LeGrande i ciotki Patience Belle LeGrande – dwóch opryskliwych półkwi Jamajek z Bristolu. Mama od trzech lat nie żyje, ale ciotka Patience niezłe się trzyma. Może nawet coraz lepiej.

– Gdzieś ty się, do diabła, włóczył?! – wrzeszczy z salonu ciotka, kiedy CB wchodzi do domu. *Ten sam dzień* zdążył się już skończyć. Za chwilę zaczynają się cholerne *Skarby ze strychu*.

Imię Patience znaczy „cierpliwość” – i wyjątkowo do niej nie pasuje. Ciotka na wszystkich się wydziera, z byle powodu rzuca

sluchawką telefonu i nie uznaje kolejek. To wybuchowy, pobudliwy, ekscentryczny żywioł, źródło ziemskiej grawitacji – wszystko ciąży ku niej i wpada w jej orbitę. Kiedy ma zły humor, przedmioty spadają z półek, a dzieci obcych osób wybuchają płaczem; kiedy promienieje szczęściem, to jakby wyszło słońce. Ludzie się uśmiechają, pary się całują, a kłótnie się kończą. Zdarzają się dni, gdy CB najchętniej uciszyłby na zawsze ciotkę Patience – przycisnąłby jej poduszkę do twarzy i udusił. Dosypałby jej arseniku do herbaty i sprzedawałby bilety, żeby wszyscy mogli popatrzeć na jej cierpienia. Tyle że wie, że życie bez niej byłoby niemożliwe. Bez niej i bez Stewarta, starego kundla. Patience i Stewart to jedyna rodzina, jaka mu została.

– Pracowałem do późna! – odkrzykuje. Stewart wybiegł z kuchni i podekscytowany jego widokiem kręci się w kółko. CB wiesza kurtkę na kołku i pochyła się, żeby podrapać psa za uszami. – Pamiętasz, że istnieje coś takiego jak praca? Mamy trudny okres w szpitalu!

Gorzej niż trudny, myśli. O wiele gorzej. Słowo „urojenia”, którego użyła Melanie Arrow, wciąż nie daje mu spokoju. CB odniósł wrażenie, że Melanie dokładnie wie, o czym śnił ubiegłej nocy – jakby go przejrzała i odkryła, że jest równie podatny na niesamowitą aurę Beechway, jak wszyscy inni.

– Chodź, stary.

Ociężale idzie ze Stewartem do salonu. Patience siedzi z wysoko uniesionymi stopami, buńczucznie krzyżując ręce. Przy łokciu postawiła filiżankę herbaty. Pokój sprawia przytulne wrażenie, w kominku płonie duży, ciepły ogień, a pod ścianą leżą porąbane przez CB szczapy. Znajome skrzypiące sofy i fotele zasłane górą patchworkowych poduszek uszytych przez mamę. Ciotka Patience obserwuje go, kiedy zmęczony siada na tapczanie. Doskonale go zna. CB przyjeżdża do domu, żeby oczyścić umysł.

– Śniadanie masz w piekarniku – mówi Patience.

W domu CB pora śniadania jest ruchoma – zależy od zmiany, na której pracował, oraz od godziny jego powrotu, więc równie dobrze może to być czternasta, jak i druga nad ranem. CB

zawsze może liczyć na to, że jedzenie już na niego czeka. W kuchni unoszą się zapachy, które każdego, nawet dorosłego mężczyznę potrafią rozczulić do łez.

– Odgrzewałam i odgrzewałam, aż w końcu doszłam do wniosku, że marnuję czas.

– Przepraszam. Powiniennem był zadzwonić.

– Czy ty aby nie masz jakiejś sympatii, CB? – Nawet ciotka od dawna tak go nazywa. – Mnie ani Stewartowi to nie przeszkadza. Jakoś sobie damy radę, jeśli na noc czy dwie zostaniemy sami.

– Nie mam sympatii.

– Na pewno?

Wygląda na to, że Patience już zawsze będzie go wypytywać, czy znalazł dziewczynę. Ma na tym punkcie taką obsesję, że CB zastanawia się nad jej reakcją, gdyby pewnego dnia powiedział, że kogoś poznał. Ciekawe, czy poczułaby się zagrożona, czy raczej szczęśliwa.

– Ty chyba myślisz, że pracuję w agencji towarzyskiej. Albo że badam teren dla jakiegoś fotografa damskiej bielizny czy coś w tym rodzaju.

– Wiem, gdzie pracujesz.

– W takim razie zdajesz sobie sprawę, że raczej trudno tam poznać odpowiednią dziewczynę.

Patience zaciska usta.

– Pewno, przecież ty wolisz się miziać z drzewami.

– Proszę... – CB krzyżuje na piersi ręce i patrzy w sufit. – Nie wiem, czy dzisiaj wytrzymam kazanie na ten temat.

Od dwóch lat CB należy do klubu producentów cydru. Członkowie robią alkohol z jabłek i konkurują ze sobą, czyj produkt smakuje najlepiej. Tak się składa, że jedną z tradycji związanych z warzeniem cydru jest *wassailing*. To stary zwyczaj kultywowany w West Country, podczas którego cydrownicy dziękują drzewom za ostatnie zbiory i proszą o równie udane owoce w przyszłym roku. Potem trochę tańczą i pokrzykują, żeby odpędzić od drzew złe duchy, a ponieważ CB i jego koledzy uważają, że to sympatyczny sposób spędzania czasu, ciotka Patience ubzdurała sobie, że CB jest hippisem,

protestującym przeciwko obwodnicom ekoterrorystą i że jest skłonny spędzić resztę życia w rowie, jeżeli dzięki temu uratuje życie jednej traszce grzebieniastej. Doprawdy, ma tupet, żeby tak mu przygadawać – sama jest nie lepsza. Kiedy nie siedzi u bukmachera, to chodzi po polach i zrywa tarninę oraz dzikie śliwki, które potem fermentują w nielegalnie postawionych w garażu dużych szklanych butlach. Ponadto wciąż węszy, szukając owoców na dżemy i konfitury. Na gospodarstwo składają się rozległe grunty – bardzo rozległe – ale nie ma w nim ogrodu z prawdziwego zdarzenia. Za domem widać rzędy oznaczonych tabliczkami bruzd, które sprawiają, że krajobraz wygląda jak akwarela z ilustracji Beatrix Potter do *Piotrusia Królika*. Patience nieustannie zachodzi w głowę, co jej tym razem zżarły sarny i mundzaki i czy za rok króliki nie dobiorą się do warzyw. Doskonale się orientuje, na co akurat jest sezon – gdyby CB ją o to zapytał, od razu przedstawiłaby mu całą listę: dynie, karczochy, nieszpulki, kapusta. A mimo to CB nigdy nie mówi, że ciotka lubi miziać się z warzywami.

Wstaje, idzie do kuchni i wyciąga z pieca kolację – kopę jajecznicę z koprem włoskim, wielką stertę smażonych pieczarek, trzy grube plastry bekonu. Dodaje do tego zestawu ketchup i wielką pajdę domowego chleba i siada przy stole.

To on znalazł Zeldę po jej śmierci. Dopiero zaczął swoją zmianę. Zelda leżała na plecach i miała rozchylone usta, jakby chrapała przez sen. Jej ręce wciąż były zabandażowane po samookaleczeniu sprzed dwunastu dni. CB nie powiedział o tym Patience, nie chce wypowiedzieć słów: „Znalazłem trupa”. Bo wie, że usłyszałyby w odpowiedzi: „Drugiego w ciągu trzech lat”. Oboje od czasu do czasu rozmawiają o mamie, wszędzie w domu mają jej zdjęcia, ale właściwie nigdy nie wspominają, jak doszło do jej śmierci.

Za oknem, za monstrualnymi wieżami elektrowni jądrowej, widać, jak słoneczne światło odbija się w rzece Severn. Powoli, bardzo powoli spływają z niego szpitalne sprawy i po jakimś czasie znowu jest zwyczajnym człowiekiem. Zwyczajnym człowiekiem w zwyczajnej kuchni, jedzącym zwyczajne śniadanie przy zwyczajnym stole.

Człowiek ze wschodu

W pobliżu Bristolu, w sąsiedztwie kanału zwanego „korytem”, znajdował się kiedyś miejski zakład produkcji gazu koksowniczego – zostawił po sobie długie pasma ziemi niezdatnej do zagospodarowania z powodu wysokiego stężenia cyjanku. Pomimo kosztownego programu rewitalizacji terenów miejskich, który prowadzono w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, tamtejszy krajobraz aż do dzisiaj jest liszajowaty, niespójny, zabudowany zrujnowanymi podczas wojny kościołami, salonami samochodowymi i fabrykami. Większość starych składów celnych wzdłuż kanału jest opustoszała i zamurowana. Właśnie do tej ponurej części miasta przeniosła się sekcja dochodzeniowo-śledcza wydziału kryminalnego. Aktualnie zajmuje betonowy budynek z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, który przedtem służył jako biurowiec firmy energetycznej.

Caffery jest jednym z niewielu członków zespołu, którzy – tak jak nadinspektor – zdołali wykroić dla siebie trochę prywatności z dużej, otwartej przestrzeni biurowej. Z jego okna widać wiadukt nad Spine Road i kremowo-pomarańczowe wieżowce w Barton Hill. W gabinecie stoi biurko, krzesła, mała czerwona sofa z Ikei, kontuar do parzenia kawy i herbaty oraz mikroskopijna lodówka turystyczna, która ledwo mieści sześciopak piwa i karton mleka. Nie ma w nim żadnych prywatnych zdjęć, dyplomów ani wycinków z gazet, tylko duża fotografia Misty Kitson i szafka na dokumenty zawierająca akta jej przypadku. Caffery przetransportował ją tutaj, kiedy stwierdzono, że w centrum operacyjnym zaczyna brakować miejsca na inne, bardziej rozwojowe sprawy. Obok zdjęcia Misty na ścianie wiszą trzy laminowane szczegółowe mapy najeżone szpilkami w różnych kolorach. Każda z tych szpilek coś dla Caffery'ego znaczy – to miejsca związane ze

zniknięciem Misty. Inne lokalizacje pozostają jedynie w jego głowie. To miejsca, o których jeszcze nie poinformował kolegów.

Caffery całe popołudnie analizuje tę wyznaczoną szpilem siatkę – próbuje określić położenie, gdzie będzie mógł podjąć decyzję, co robić dalej. Miał kilka miesięcy na zastanowienie się nad tym problemem, długo krążył wokół niego, aż w końcu zbliżył się do celu. Do rozwiązania. Jednak żeby było ono skuteczne, potrzebuje współpracy pewnej osoby. Kobiety – również policjantki. Osoby, którą chroni. Ona jest jedyną przeszkodą. On zaś wciąż nie wie, jak zwrócić się do niej o pomoc. Bo może się to skończyć katastrofą.

Stoi kilka centymetrów od fotografii Misty, bada każdy jej szczegół, mając nadzieję, że uzyska w ten sposób jakąś wskazówkę. Portret jest powiększony i twarz dziewczyny jest na nim nieco większa niż w rzeczywistości. Jej oczy znajdują się na wysokości wzroku Caffery'ego. Misty była ładna. Bez względu na to, co mówią o niej cynicy, nikt nie może odmówić jej urody. Caffery próbuje popatrzeć jej prosto w oczy, ale na zdjęciu odległość między nimi jest za duża. Proporcje na to nie pozwalają. W końcu daje za wygraną, zrezygnowany zwiesza głowę. Pochyla się i opiera czołem o jej czoło.

Nagle ktoś puka do drzwi. Caffery cofa się o krok od zdjęcia. Podchodzi do biurka i siada. Próbuje znaleźć w zasięgu ręki jakiś przedmiot, żeby wyglądać na zajętego; wciska przycisk na komputerze, żeby go wybudzić z trybu uśpienia, i przysuwa klawiaturę.

– Proszę!

Drzwi się otwierają, a w szczelinie pojawia się głowa nadinspektora.

– Jesteś wolny?

Caffery zerka na zegarek.

– Myślałem, że już poszedłeś do domu.

– Akurat! Musimy pogadać.

– Pogadać? Mam się bać?

– Nie, to tylko rutynowa biurokracja. – Macha trzymaną w ręce teczką. – Raport komisji rewizyjnej.

Caffery wstaje, żeby odsunąć drugie krzesło. Nadinspektor podchodzi i siada. Jest postawnym mężczyzną o włosach w piaskowym kolorze. Kiedyś był członkiem wywiadu antyterrorystycznego, ale został przeniesiony po tym, jak z bronią stanowiącą wyposażenie jego oddziału stało się coś, o czym teraz nikt nie chce mówić. Facet nie owija w bawełnę.

– No więc jest tak – mówi prosto z mostu – że musimy przystopować z poszukiwaniami naszej znajomej. – Wskazuje ruchem głowy fotografię Misty. – Ciągną za dużo forsy.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie stać mnie na to, żeby jeden z moich inspektorów marnował czas na coś, co do niczego nie doprowadzi. Przekazuję sprawę dochodzeniówce. Przestała być priorytetowa.

Caffery sięga po długopis i wolno, rytmicznie stuka nim w blat biurka.

– Przykro mi – mówi – ale nie możesz tego zrobić.

– Dobrze, zaraz dopiszę pod raportem, żeby nie pozostawić komisji rewizyjnej żadnych wątpliwości: „Detektyw inspektor Caffery przeprosza, ale mówi, że nie możemy tego zrobić”.

– Poważnie. Nie możesz dać tej sprawy komuś innemu. Wierzę, że każdy powinien robić do końca to, co zaczął.

– A minister spraw wewnętrznych wierzy w zmniejszenie deficytu. Nasz wydział HR jest na diecie Atkinsa, a to znaczy, że głodujemy. Odchudzamy się. Przycinamy tu i tam, odejmujemy sobie od ust i zaciskamy pasa. Nie możesz oczekiwać, żebym coś dla ciebie zrobił, sam też nie mogę nic zrobić, z pewnymi rzeczami musisz się po prostu pogodzić i nie ma o czym gadać. Od jej zaginięcia nie trafiliśmy na żaden nowy ślad, a ja potrzebuję cię gdzie indziej. Jutro zgłoś się do jednego z nadinspektorów po instrukcje, a potem weź pierwszą robotę, jaka ci się trafi – nieważne, czy to będzie wałkowana przez media sprawa seryjnego mordercy, czy pospolita przemoc domowa. Masz zielone światło, żeby się nią zająć.

– Nie. To najgorszy moment, żeby podjąć taką decyzję. Jacqui Kitson jest w mieście.

Nadinspektor milczy zaskoczony. W końcu mówi:

– Słucham?

– Ma dać serię wywiadów. Dziennikarze będą się pchać do nas drzwiami i oknami. To nie najlepszy moment, żeby uznać tę sprawę za drugorzędną. Musimy sami coś na ten temat powiedzieć. Przynajmniej dajmy mediom jakiś ochłap, na który się rzucą, i odwróćmy ich uwagę od Jacqui.

Nadinspektor zastanawia się chwilę nad słowami Caffery’ego i uważnie patrzy na jego twarz, chcąc się przekonać, czy ten nie blefuje. Nigdy nie wiedział, co sądzić o tym inspektorze, który wolał nie wspinać się po szczeblach kariery, chociaż wszyscy uważali, że mógłby to zrobić. O tym facecie z wielkiego miasta, który pewnego dnia przyjechał ze wschodu z bagażem londyńskich przyzwyczajęń i metod i dołączył do zespołu ciałem, lecz nie sercem. Nie umie pracować w grupie, jest wybuchowym samotnym wilkiem, który nie przyjmuje od nikogo rozkazów, ale potrafi rozwiązać każdą zagadkę. Ma najlepszą średnią rozwiązanych spraw w całej sekcji, co jest dla nadinspektora powodem do dumy, skłania go do napadów szału, wywołuje jednocześnie rozdrażnienie i niepewność. Cały czas szuka sposobów, by podkreślić swoją władzę nad Cafferym.

– Klamka zapadła. Podczas następnej operacji ty przejmujesz dowodzenie. Koniec gadania.

– W takim razie zajmę się obiema sprawami: najbliższą operacją i zniknięciem Misty.

– Muszę mieć pewność, że bez względu na rodzaj wykonywanych czynności moi detektywi zajmą się nimi na sto procent.

– Obserwuj mnie. Poradzę sobie z dowolnym postępowaniem, które mi się trafi, i splewię media, żeby wreszcie przestały nam zawracać głowę w sprawie Misty.

– Co im dasz? Kolejną rekonstrukcję? Jacqui na schodach kliniki? Ostatnim razem ta metoda działała cuda. Trudno zliczyć nowe tropy, na które dzięki temu wpadliśmy. To żart.

Caffery mocniej wystukuje rytm długopisem na biurku. Cały dzień o tym myślał; nadinspektor ma rację, że rekonstrukcja zdarzeń na nic się nie zdała. Jest pewien, że najlepszym

sposobem na usatysfakcjonowanie prasy, a także na to, by i on sam ruszył naprzód, jest powtórne przeszukanie obszaru, na którym doszło do zaginięcia. Jeżeli jednak sprawa zniknięcia Misty przestanie być priorytetem, to wyschnie źródło nieograniczonych dochodów.

– Daj mi trzy tygodnie. Coś dla ciebie zdobędę.

Nadinspektor wzdycha zrezygnowany.

– Okej, powiedz mediom to, co chcą usłyszeć. Ale masz się też porządnie przyłożyć do nowych obowiązków. Słyszysz?

– Bardzo wyraźnie.

– Właśnie to w tobie lubię, Jack – mówi sarkastycznie nadinspektor. – Uwielbiam, kiedy nadajemy na tych samych falach.

Caffery nie wstaje, żeby odprowadzić go do drzwi, lecz zostaje na swoim miejscu i cały czas stuka długopisem w blat. Czuje na sobie wzrok Misty, ale powstrzymuje instynktowny odruch, żeby się odwrócić i spojrzeć jej prosto w twarz.

– Nie patrz tak na mnie – mamrocze w końcu. – Wszystko jest pod kontrolą.

Sen

W porze lunchu CB znowu odbiera telefon od dwóch pracowników, którzy wzięli chorobowe – to znaczy, że sam będzie musiał zostać w pracy, żeby ich zastąpić. Musi zmienić wszystkie plany. Zamiast dwudziestu godzin, żeby wszystko sobie poukładać, ma ich dokładnie sześć. Zakłada opaskę na oczy i kładzie się spać. Zapada w sen, myśląc o Zeldzie Lornton. Nie śni mu się szpital, lecz inne miejsce, do którego trafiał już wcześniej dzięki snom. To ciasny, zamknięty pokój albo grotą o błyszczących, nierównych ścianach. Wszędzie dokoła widać jakby wtopione w kamień drobne twarze, które przyglądają mu się z namysłem. Nie wyglądają na groźne. Jeżeli w ogóle wyrażają jakieś emocje, to raczej spokój. CB czuje się całkowicie bezpieczny – w tym miejscu mogą się zdarzyć jedynie dobre rzeczy. We śnie staje się coraz cieńszy, niknie w oczach, aż w końcu czuje, że zaraz przestanie oddychać i zdematerializuje się do tego stopnia, że będzie w stanie prześliznąć się przez dziurkę wielkości główki od szpilki. Wynurzy się z drugiej strony w krainie wiecznego słońca, gdzie wszystkie owoce na drzewach są dojrzałe i słodkie, ścieżki są z bladego złota, a trawa zielona. Wie na pewno, że mama też tam jest, gdzieś pośród falistych wzgórz.

Za każdym razem budzi się dokładnie w chwili, gdy już ma przejść przez dziurkę na drugą stronę. Leży na łóżku i ciężko oddycha – czuje się tak, jakby odebrano mu coś niezwykle pięknego.

Jest w domu. Przez cienkie zasłony sączy się blade światło. CB odwraca się na bok i patrzy półprzytomnie na zegar. Kwadrans po piątej. Niechętnie zrzuca z siebie kołdrę. Stawia stopy na podłodze. Na siódmą musi być w pracy.

Bierze prysznic, goli się i pije wielki kubek kawy. Potem rusza w drogę, zatrzymując się na chwilę w Thornbury, żeby kupić na

nocną przegryzkę trochę dziecięcych łakoci, chipsów i batoników. Cały zespół szpitala zachowuje się podobnie – każdy przynosi sobie coś dla poprawienia nastroju podczas nudnej nocnej zmiany. CB widzi na sklepowej półce dzemy Forager's Fayre – to lokalny produkt i jedyne sklepowe przetwory, które Patience toleruje w swoim domu. Prawdę mówiąc, sama inspiruje się linią produktów Forager's Fayre i nigdy jej nie krytykuje. CB wkłada kilka słoików do koszyka z myślą, że da je ciotce po powrocie z pracy.

To zwyczajny późnojesienny wieczór w prowincjonalnym miasteczku – dwa sklepy spożywcze wciąż są otwarte, podobnie jak apteka i butik z upominkami. Sklep z alkoholem, hinduska i chińska restauracja. Ale gdy CB wychodzi z marketu obciążony torbami, widzi niezwykłą scenę. Po drugiej stronie ulicy dwie czy trzy osoby przystanąły koło klęczącej na chodniku postaci.

Upłynęło już wiele wody w rzece, odkąd CB wyzbył się samarytańskich odruchów – w pracy tak często musi sprzątać po innych, że widząc kłopoty, instynktownie stara się je omijać szerokim łukiem. Ale zna podstawy pierwszej pomocy, więc z moralnego punktu widzenia nie wolno mu po prostu odwrócić wzroku. Przechodzi przez ulicę. Z bliska okazuje się, że klęcząca postać jest kobietą. Nie wygląda na ranną – oprócz dłoni, do której mocno przyciska białą chusteczkę. Ma na sobie tę samą co rano białą koronkową bluzkę i liliowe skórzane półbuty Mary Jane, które odsłaniają delikatne kostki i silne łydki. CB od razu poznaje te łydki – Bóg wie, ile razy się im przyglądał. Ma przed sobą Melanie Arrow. Królową Lodu.

– Naprawdę – zapewnia gapiów Melanie. – Wszystko ze mną w całkowitym porządku.

W kałuży bezbarwnej cieczy na chodniku leży reklamówka. Wystają z niej odłamki potłuczonego szkła.

– Wiem, co mówię. Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

– Nie wygląda na „w porządku” – mówi ktoś. – Leci pani krew.

Rzeczywiście, Melanie krwawi – jej chusteczka już kompletnie przesiąkła. Jakaś kobieta nerwowo grzebie

w torebce i wyciąga z niej garść chusteczek higienicznych, które spadają niczym płatki na ziemię. CB stawia na chodniku zakupy i biegnie na drugą stronę ulicy do apteki. Nie ma kolejki, więc aptekarka czym prędzej podaje mu bandażę, które ma pod ręką. CB płaci i wychodzi.

Ludzie wciąż stoją w tym samym miejscu, zakupy też leżą tam, gdzie je zostawił, ale Melanie Arrow zniknęła.

– Co się stało?! – krzyczy. – Dokąd ona poszła?

Kobieta z torebką wskazuje ruchem głowy w kierunku parkingu.

– Powiedziała, że wszystko w porządku.

CB skręca i znowu wybiega na ulicę. Parking jest ciasny, ale dosyć pusty o tej porze dnia, więc łatwo znajduje na nim znajomego czarnego volkswagena garbusa. Samochód jest idealnie zadbane – felgi błyszczą, odbijając słońce. Ma już kilka lat, ale jaskrawy plastikowy kwiat, umieszczany fabrycznie w każdym modelu, który zjeżdżał z taśmy produkcyjnej, dziarsko tkwi na swoim miejscu. Melanie Arrow siedzi za kierownicą. Pochyliła nieco głowę, włosy zasłaniają jej twarz. Jej dłoń mocno krwawi; krew spływa po nadgarstkach, a chusteczki higieniczne nie wystarczają, żeby ją wchłonąć.

– Hej! – CB stuka w szybę. Kobieta unosi głowę i jest wyraźnie wstrząśnięta jego widokiem. CB pokazuje gestem, żeby otworzyła okno. Melanie przecząco potrząsa głową.

– Dam sobie radę – mówi prawie bezgłośnie. – Wszystko w porządku.

– Nie jest w porządku. – CB ciągnie za klamkę. Drzwi są zablokowane, więc znowu puka w okno. – Krwawisz.

– Nic mi nie jest! – krzyczy zniecierpliwiona Melanie. – Już prawie przestała mi lecieć krew.

– Bzdura. Otwórz drzwi!

– Nic mi nie jest!

CB nie jest pewien, co w niego wstąpiło – może przypomniał mu się jej wzrok, kiedy popatrzyła na niego po porannej rozmowie w gabinecie – ale nie daje za wygraną i nie odchodzi, tylko wyjmuje z kieszeni telefon i wybiera numer 112. Nie łączy się od razu, lecz przykłada telefon do szyby. Melanie zerka na

wyświetlacz, a CB znacząco unosi brwi.

– I co? Teraz otworzysz?

Melanie zrezygnowana potakuje. Daje się słyszeć kliknięcie zamka centralnego, więc CB podchodzi do drzwi od strony pasażera i wsiada. W samochodzie unosi się odór alkoholu. Na tylnym siedzeniu leży reklamówka, którą przedtem widział na chodniku – jest poplamiona krwią. W środku znajduje się jedna butelka wódki i potłuczone resztki drugiej.

– CB, naprawdę dobrze się czuję. Potknęłam się, wychodząc ze sklepu, i tyle.

CB odpakowuje bandażę i wyciąga do niej rękę. Melanie wzdraga się przed jego dotykiem. Z upartą miną odsuwa się jak najdalej.

– Daj spokój. – CB kiwa głową. – Wydawało mi się, że jesteś dorosła.

Melanie bierze oddech, żeby odpowiedzieć. Jednak zamiast tego, przytrzymuje powietrze w płucach – długo, jeszcze dłużej, jakby nie mogła się zdecydować, co dalej z nim zrobić. W końcu wypuszcza powietrze i wyciąga rękę. Zakrwawione chusteczki spadają jej na kolana.

– O Boże – mamrocze pod nosem, spoglądając za okno. – Niech ci będzie.

Może górę wzięło dobre wyszkolenie, a może CB poczuł dawno zapomnianą iskierkę empatii – w każdym razie podczas badania uszkodzonej dłoni i owijania jej bandażem sam się dziwi, słysząc swój głos, niemal asertywny, jakby pomagał pacjentce, a nie superpedantycznej, megazorganizowanej dyrektor szpitala:

– Wiesz, Melanie, jako postronny obserwator mogę ci powiedzieć, że moim zdaniem masz naprawdę trudne zadanie. Słowo, naprawdę trudne. Jeżeli mam być szczerzy, to odnoszę wrażenie, że ostatnio wszyscy oczekują od ciebie nie wiadomo jakich cudów.

Ta uwaga sprawia, że Melanie zaczyna drżeć. Odwraca twarz, przyciska zdrową dłoń do ust. CB trzyma ją za zranioną rękę i wpatruje się w tył jej głowy. Nie do wiary! Nie może uwierzyć, że nie dostał w twarz – za to, że na siłę wdarł się do samochodu

i że jeszcze ma czelność odzywać się w taki sposób.

– Nie – mówi dalej. – Widzę, że nie jest ci łatwo. To naprawdę wielki ciężar.

Melanie spuszcza głowę. Przez jej ciało przebiega lekki dreszcz – powstrzymywany spazm, ale CB nie jest w stanie stwierdzić, czy jego szefowa rzeczywiście płacze. Nagle wracają do niego wspomnienia alkoholowej nocy sprzed lat i kolejny raz się zastanawia, dlaczego nie zareagował wtedy na jej zachęcający sygnał. W tamtych czasach miał dziewczynę, ale powstrzymało go coś innego. Melanie sprawiała wrażenie istoty z innego świata – jakby była zawodniczką z „dorosłej” ligi randek, w której nie miał prawa grać. Była w pewnym sensie... zbyt rozsądna. Za poważna. Kilka tygodni później rozstał się ze swoją dziewczyną i zaczął robić nieśmiało podchody do Melanie, ta jednak storpedowała jego starania, mówiąc coś o funduszu i o tym, że niezbyt łaskawie patrzą w nim na związki między pracownikami. Od tamtej pory ich relacje ograniczają się do chłodnych kontaktów związanych wyłącznie z pracą. Takich jak poranna rozmowa. CB koncentruje się na opatrywaniu rany. Bandaż powinien powstrzymać krwotok, o ile zostanie założony prawidłowo. Dobrze, że nie zatelefonował pod 112; nie jest aż tak źle, żeby jechać do szpitala.

– Wiesz co? – pyta cicho Melanie. – Dzisiaj przez pięć godzin rozmawiałam z zespołem rewizyjnym. Pięć godzin.

CB zerka na nią, zdziwiony jej tonem. Melanie wciąż patrzy w przeciwnym kierunku, jasne włosy zasłaniają jej twarz.

– O Zeldzie?

– Czuję się tak, jakby podejrzewali, że coś jej zrobiliśmy. Wiesz, że w końcu przyszły wyniki obdukcji?

– I co?

– Nic. – Melanie wzrusza ramionami. – W każdym razie nic, do czego można by się przyczepić. Wynika z nich, że zmarła na atak serca, ale nie dało się wskazać żadnego konkretnego powodu, może oprócz wagi. Dlatego teraz zespół rewizyjny nie może się zdecydować, czy sobie odpuścić, czy dalej nas piłować. Wzięli pod lupę dosłownie wszystko: od dzienników obecności

pracowników do planu opieki nad pacjentką. Gdy tylko znaleźli literówkę w karcie leczenia, patrzyli na mnie tak, jakby wyrosły mi na głowie rogi.

Po raz pierwszy CB zdaje sobie sprawę z tego, że Melanie naprawdę głęboko przejmuje się sprawami szpitala. Oczywiście Melanie w znacznym stopniu chodzi na pewno o reputację zawodową, ale zdaje się, że dobro samego szpitala nie jest jej obojętne. Naprawdę nie jest. CB wie z własnego doświadczenia, że prawdziwe poświęcenie, wykraczające poza obowiązki, za które pracownicy płacą, to w Beechway niezwykle rzadkie zjawisko.

Lekko odchrząkuje, żeby przeczyścić gardło.

– Zbierasz baty za nas wszystkich. Snujemy się, narzekając na nadgodziny i nocne stawki, ale my przynajmniej możemy wszystko rzucić i pójść do domu. – Kończy wiązać bandaż i delikatnie odsuwa jej dłoń. – No, i już po krzyku. Do wesela się zagoi.

Melanie niewprawnie podnosi z kolan poplamioną krwią chusteczkę i głośno wydmuchuje nos. Trzyma dłoń bezwładnie na podolku i patrzy na nią nieobecny wzrokiem. Jednak płakała, bo jej policzki przecinają ciemne smugi tuszu do rzęs.

– Teraz wszyscy będą mówić, że chciałam popełnić samobójstwo. Powiedzą, że specjalnie się pocięłam. Jak to się mówi? Że prędzej czy później system sam się wykończy?

– Nie wiem.

Melanie pociąga nosem i patrzy na niego.

– CB?

– Słucham.

– Przepraszam, że rano zgrywałam przed tobą profesjonalną, zimną sukę.

– Nie ma za co. Tego wymaga twoja praca.

Melanie cicho śmieje się przez łzy.

– Czasami myślę, że to moja prawdziwa natura. Że umiem się zachowywać tylko w taki sposób.

– Nie szkodzi.

Milczą przez chwilę, a CB zastanawia się, dokąd prowadzi ta rozmowa. W końcu Melanie zaczyna mówić dalej:

– Znamy się od dawna, bądź więc ze mną szczerzy. Chodzi o te urojenia pacjentów i personelu... tę... no, wiesz.

– Mau...

– Nie! Proszę, nie mów tego głośno.

Patrzy na niego z rozmytym uśmiechem.

– Przepraszam. Chodzi o to, że ja... CB... Tobie nie zdarza się widzieć nic dziwnego, prawda? Rzeczy, których nie da się wyjaśnić?

CB śmieje się lekceważąco.

– Widzę je cały czas. Na przykład ludzi przechodzących przez ściany.

– Mówię poważnie. Skąd się wzięły te urojenia?

– Odpowiedź zależy od tego, czy ja jestem Scully, a ty Mulderem.

– Ja zdecydowanie jestem Scully.

– Niemożliwe. To ja jestem Scully.

– A zatem oboje musimy być cynikami. Dwoje cyników w garbusie. Powinni nakręcić o nas film.

Obydwoje się śmieją, chociaż robią to bez przekonania. CB opiera się na siedzeniu i patrzy przez przednią szybę na pijaną kobietę, która wszczyna bójkę z równie pijanym mężczyzną w spodniach w wojskową panterkę. Milczenie trwa długo, aż w końcu to on je przerywa:

– Trzeba przyznać, że była cholernie upierdliwa.

– Kto?

– Zelda.

– Nie, nie... CB, nie możesz tak mówić. Każdy pacjent na oddziale ma prawo do takiej samej opieki jak inni. Nikogo nie powinniśmy traktować inaczej.

– Pewno, ale i tak była upierdliwa. Wiem, że takie opinie to coś w rodzaju tabu, czy jednak nie jesteś zadowolona, że spośród wszystkich ludzi padło właśnie na Zeldę? Bo ja jestem.

Zapada chwila milczenia. Melanie wpatruje się w pijaną parę. Jej usta nieznacznie się poruszają – jakby powstrzymywała ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Nie było tej rozmowy – mówi, nie patrząc mu w oczy. – Nie słyszałam, że to powiedziałaś, a ty nie widziałeś, że

potaknęłam. Rozumiesz?

– Jakiej rozmowy?

– I jeszcze jedno, to nie mniej ważne: pamiętaj, że nie widziałeś...

– Czego?

Melanie obraca się przez ramię i wskazuje podbródkiem na tylne siedzenie.

– Nie widziałeś, co było w tej reklamówce.

Koniec

Oddech Suki zwalnia. Gwałtowny oddech – gorączkowa zadyszka ostatnich kilku godzin – stopniowo staje się coraz wolniejszy, jakby pełen rozwagi. Spokojna, miarowa kapitulacja. Dla Penny to wyraźny sygnał, że koniec jest już naprawdę blisko. Zostało niewiele czasu.

Zerka na zegarek. Piąta po południu. A zatem Suki odejdzie wieczorem. Na pewno nie później. Unosi kocyk, tworząc namiot nad ich głowami – Suki leży zwinęta w kłębek na sfatygowanym starym posłaniu na podłodze gabinetu, gdzie spała od piętnastu lat – odkąd była malutkim szczeniakiem. Penny siedziała przy niej całą noc i dzień. Nie czuje zmęczenia ani senności. Ani trochę.

– Nie bój się, Suki. – Głaszcze ją po mordce. – Nie bój się. Przrzekam, że to nic straszego.

Suki bierze jeszcze jeden oddech. Robi to niemal melancholijnie. Wydycha powietrze. Penny opiera dłoń na piersi Suki – bardzo delikatnie, bo jej kruche ciało to sama skóra i kości. Niemądrze byłoby oczekiwać, że jeszcze się podniesie. Mała starowinka – drobna i pokureczona niczym orzech włoski. Nawet w młodym wieku Suki była niezwykle drobna. Nie nadawała się do rozmnażania – została uratowana przed uśpieniem, była słodkim kudłatym kundelkiem. Przez całe życie nikt nie zauważał Suki ani się nią nie interesował – w przeciwieństwie do olśniewających seterów irlandzkich i weimarczyków, które tak zachwycaly ludzi. Oczywiście Suki to nie przeszkadzało. Zawsze była najszczęśliwsza, drobiąc przy nodze Penny, zadowolona ze świata i z tego, jak jest urządzony. Nikt poza Penny nie zauważył jej braku.

Jeszcze jeden oddech. Suki wolno wypuszcza powietrze z płuc. Penny obserwuje jej pierś, czekając na kolejny wdech i wydech. Czeka i czeka.

– Suki?

Brak reakcji.

– Suki? To już?

Piers zwierzęcia przestała się unosić. Penny przykładła do niej dłoń, delikatnie przesuwa opuszkami palców wzdłuż żeber i próbuje wyczuć ostatnie drgnienia serca. Ale nic z tego. Jej suczka leży nieruchoma, długie włosy wokół pyszczka podwijają się przygniezione przednią łapą.

– Suki...

Penny kolejny raz zerka na zegarek. Mija pięć minut. Potem jeszcze pięć. Penny zmusza się do odliczania sekund w myślach. Kończy po stu osiemdziesięciu. Jeszcze trzy minuty. Nic ani nikt nie wytrzymałby tak długo bez oddychania. To już naprawdę koniec.

– No dobrze... – Kołysze się na piętach. – Już dobrze.

Placze. Tylko trochę, ale i tak musi wytrzeć rękawem łzy. Będzie ich więcej, ale największa fala smutku wezbrała wczoraj rano, kiedy weterynarz stwierdził, że nadchodzi koniec.

– Uważaj, teraz cię podniosę.

Dopiero po jakimś czasie pochyła się i bierze Suki na kolana. Suczka się nie rusza ani nie protestuje. Jej łapy zwisają bezwładnie. Jest lekka jak piórko – waży nie więcej niż wiklinowy koszyk. Penny kuli się i kołysząc suczkę, przytula jej pysk do policzka.

– Już dobrze, malutka. Już dobrze. Byłaś bardzo dobrą dziewczynką. Dziękuję ci – mówi. – Bardzo ci dziękuję. Za wszystko.

Pokojowa Nagroda Nobla

CB znowu jest w tym miejscu. To jaskinia o gładkich, bijących ciepłym blaskiem ścianach, jakby były wyrzeźbione w orzechu. Dziura też tam jest, nieco dalej z prawej strony. Wisi nad nią jakaś delikatna materia – babie lato czy pajęczyna – zwężająca się ku dołowi, zupełnie jak drogowskaz. CB jest pewny, że gdyby pociągnął za ten całun, odkryłby tajemnicę wszystkich cudów świata, które ukazałyby mu się naraz w kosmicznej świetlistej eksplozji. Wyciąga rękę, tym razem jednak w ostatniej chwili przed dotknięciem materiału słyszy perlisty dziecięcy śmiech. CB odwraca się w kierunku wejścia do jaskini. Coś tam jest. Dobiega go znajomy tupot bosych stóp. Jakiś cień przemyka tuż nad podłogą.

Budzi się, łapczywie chwytając oddech. Oddycha z trudem, serce wali mu jak młotem, dłonie próbują na oślep wymacać jakiś punkt zaczepienia.

– O nie! O nie! O nie!

– CB, wszystko w porządku, stary?

Mruga. Duży Lurch i jeden z pozostałych pielęgniarzy gapią się na niego z drugiej sofy. CB otwiera usta, niezdarnie opiera się na łokciach i patrzy na nich bezmyślnie. Jest w sali telewizyjnej dla personelu. Zegar cyfrowy na ścianie wskazuje dziewiątą czterdzieści pięć. Telewizor jest włączony. Na ekranie kobieta w samych kozakach sięgających do ud wykonuje okrężne ruchy biodrami i macha długimi jasnymi włosami niczym pejczem.

CB wydaje stłumiony jęk, zasłania twarz dłońmi i odwraca się do oparcia śmierdzącej wilgocią kanapy. Potrząsa głową. Czuje się taki zmęczony, że nie jest to już nawet śmieszne. Chce mu się spać, ale nie może zasnąć. Powoli, bardzo wolno popada w szaleństwo. Obłąd zaczyna przejmować kontrolę nad zakładem, system pożera swoje dzieci. CB wpada na pomysł, że

fajnie byłoby mieć T-shirt z napisem: „Nie trzeba być wariatem, żeby tu pracować, ale to pomaga”. Jak to się stało, że utknął na tej zawodowej autostradzie do piekła? Pamięta, że kiedyś się łudził, że może zmienić świat dzięki opiece nad pacjentami, a nawet wmówił sobie, że robi to, by dać mamie powód do dumy – żeby uwierzyła, że ma opiekuńczego, troskliwego syna. Wspominając tamte młodzięcze czasy, gdy patrzył na świat przez różowe okulary, myśli bez cienia humoru, że trzeba było już wtedy pójść do optyka.

W swojej pracy widział najgorszą stronę ludzkiej natury. Miał do czynienia z facetami, którzy zarzynali nożem przypadkowe dzieci na głównej ulicy miasta, opiekował się kobietą (dawno zmarłą), która wylała swojemu kalekiemu mężowi na głowę czajnik wrzątku i zostawiła go na wózku na trzy dni, dopóki nie zmarł z powodu oparzeń i infekcji – za każdym razem, kiedy CB widział ją z filiżanką kawy w ręce, serce zaczynało mu galopować, chociaż spędziła w szpitalu dziesięć lat, zanim wreszcie jej na to pozwolono. Był też mężczyzna, który poćwiartował, ugotował i zjadł kuczka swojego sąsiada tylko dlatego, że zwierzę „tak dziwnie na niego patrzyło”. I chory na AIDS, który zostawiał w piaskownicy na lokalnym placu zabaw swoje zużyte igły wbite w piasek ostrzami do góry. Można by długo wyliczać.

Na pewnym etapie CB zdecydował, że lepiej nie wiedzieć, za co dana osoba trafiła do szpitala. Doszedł do wniosku, że będzie się lepiej opiekował pacjentami, nie znając czynów, których się dopuścili. Teoretycznie powinien wiedzieć o nich wszystko, personel szpitalny musi znać historię kryminalną podopiecznych, on jednak znajduje sposoby, żeby poznać jedynie niezbędne minimum informacji. Woli taki układ – traktuje pacjentów jak nieznanym w pubie albo w pociągu, nie ma wobec nich żadnych złudzeń ani uprzedzeń.

Po prostu jednych lubi bardziej, innych mniej, ale stara się każdego otoczyć jednakową opieką.

– Powinni cię mianować do Pokojowej Nagrody Nobla – mówi czasami Patience. – Za to i za miłość do drzew.

CB wcale nie czuje się jak kandydat do Pokojowej Nagrody

Nobla. W żadnym wypadku.

– Uhm, jasne.

Stawia stopy na podłodze. Pochyliła się i przez chwilę siedzi zgarbiony, pocierając twarz. W pokoju unosi się dziwny rybi zapach – może po czymś, co tamci dwaj zjedli.

– Jasne – powtarza. – Idę na obchód.

Nikt nie zwraca na niego uwagi. Kobieta na ekranie przeżywa rozciągnięty w czasie orgazm. Skowyczy, piszczy i wkłada całe serce w ten pokaz. Masuje sobie piersi. Duży Lurch i ten drugi pielęgniarz wpatrują się w nią przejęci. CB ma nadzieję, że nigdy w życiu nie dał się nabrać na udawany orgazm. Podejrzewa jednak, że fakty przemawiają na jego niekorzyść.

– Powiedziałem, że idę na obchód.

Żaden z mężczyzn nie odrywa wzroku od ekranu.

– Hej! – Nagle CB czuje, że ogarnia go irytacja. – Hej, popatrzcie na mnie.

Obaj pielęgniarze odwracają się do niego spłoszeni. Duży Lurch gmera przy pilocie, w końcu wyłącza telewizor. Unosi rękę.

– Przepraszam, CB. Przepraszam, człowieku.

– Okej, jeśli już udało mi się zwrócić waszą uwagę, to może powiecie, co to, cholera, za ohydny smród? Kosze wyniesione? Naczynia pozmywane? Nie bierzecie kasy za siedzenie całą noc na tyłkach.

– To czajnik. Spalił się.

– Czajnik się spalił? I co macie zamiar z tym zrobić? Wybierz właściwą odpowiedź: zignorować i dalej oglądać pornole czy zignorować i wierzyć, że problem sam się rozwiąże, żebyście mogli w spokoju oglądać pornole, a może raczej spróbujecie go naprawić?

Duży Lurch przeciągle wzdycha i wstaje.

– Spokojna głowa, znam procedurę. Jeśli się nie da naprawić, to złożymy wniosek do księgowości o nowy czajnik. Wyobraź sobie, że nawet wiem, który to formularz.

– Świetnie, co za skuteczność! Złoty medal, stary. – Zrezygnowany CB kręci głową. Opiera dłonie na kolanach i wstaje, stękając. – Idę się przejść po oddziałach.

W przeciwieństwie do was trochę popracuję na chleb.

– Jezu... – mamrocze Duży Lurch, kiedy CB przechodzi koło niego. – Co cię ugryzło?

CB pomija milczeniem tę uwagę, człapie na korytarz i dalej w kierunku schodów, a z każdym krokiem wpada w coraz gorszy nastrój. Nie ma ochoty dłużej tu przebywać; czuje się nadmiernie pobudzony, a jednocześnie jest zmęczony i ma wszystkiego dosyć. Mija pokój Zeldy i przelotnie zerka do środka. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak ubiegłej nocy. Wałek do malowania wciąż stoi oparty o ścianę. *Plus ça change*. Ten widok idealnie ilustruje sposób, w jaki wszystko tu się odbywa – w ślimaczym tempie.

CB najpierw kieruje się do pokoju Matki Potworów. Otwiera wizjer i zagląda do środka. Wewnątrz panuje cisza, pacjentka śpi na łóżku. Zasłony są zaciągnięte, a na krześle wisi ciemna podomka kimono, której szerokie fałdy odbijają refleksy światła. Trudno powiedzieć, czy dzisiaj Matka Potworów ma na sobie skórę, ale przynajmniej śpi. CB zamyka wizjer i cicho idzie dalej korytarzem.

W Jaskrze zdaje mu się, że coś jest nie w porządku. Chodzi o jakiś cichy odgłos, skrzypienie łóżka, rytm oddechu niesynchronizowany z resztą oddziału. CB idzie na koniec korytarza do sali numer 17 – pokoju Moseesa Jacksona – i przekręca małą gałkę w okienku. Od razu się orientuje, że właśnie stąd dobiegają te dźwięki.

Moses siedzi na swojej pryczy i jednostajnie kiwa się w przód i w tył, trzymając się za głowę. W niczym nie przypomina aroganckiego gościa sprzed ataku Maude. Od kiedy wylupił sobie oko, jest nerwowy, cichy i skromny. Bardzo się zmienił. Dzisiaj ma na sobie podkoszulek i slipy. Nie zauważył, że CB na niego patrzy, bo całkowicie pochłonięła go walka wewnętrzna. Bije się po twarzy i wydaje stłumione okrzyki. Cały czas się kiwa.

CB otwiera drzwi.

– Moses. Moses, to ja.

Moses nagle nieruchomieje. Zastyga w jednej pozycji, jedynie opuszcza ręce.

– Moses? To ja, CB. Dobrze się czujesz, kolego?

Meżczyzna mruga jedynym zdrowym okiem.

– CB?

– Wchodzę.

– Dobrze – mamrocze. – CB, pomóż mi.

CB zamyka drzwi i idzie na środek pokoju. Dominującym kolorem w skrzydle Jaskier jest żółty, czemu zresztą trudno się dziwić. Nawet w półmroku nie da się uciec przed żółtym odcieniem – w oknach wiszą żółte zasłony w szare romby, a na podłodze leży wyblakłe żółte linoleum usiane czarnymi plamkami. To jeden z oddziałów rehabilitacyjnych zarezerwowanych dla pacjentów stanowiących mniejsze zagrożenie dla otoczenia, więc niektóre meble w pokojach można swobodnie przestawiać. CB podchodzi i siada na brzegu łóżka. Teoretycznie pielęgniarzom nie wolno siadać na łóżkach, by nie narażali się na zarzuty o molestowanie. Ale Moses trzęsie się jak osika.

– Moses? Hej! Hej, kolego, uspokój się. Co się dzieje?

– CB, CB, CB... – Moses rwie z głowy swoje kręcone włosy. – CB, pomóż mi.

– Po to tu jestem. Weźmy kilka głębokich oddechów. Pamiętałeś o lekarstwach, prawda?

– Tak.

– O zwykłej godzinie?

– Tak, tak, tak.

– Dobrze. A zatem, w czym problem?

Moses potrząsa głową. Jęczy i ściska dłońmi głowę. Kiedy znowu się odzywa, ledwo go słyszeć.

– Boję się, panie CB. Moses się boi.

– Hej, hej. – CB delikatnie wyplątuje jego palce z włosów i przytrzymuje mu dłonie. – Moses, kolego – mówi, starannie modulując głos. – Spokojnie. Weź jeszcze parę oddechów. Właśnie tak...

Moses kiwa głową. Bierze długi, nierówny wdech, potem szybko wydycha powietrze.

– Panie CB, niech mi pan nie każe mówić, co jest takie straszne. Pan też niech nie wypowiada tego imienia. Nie wolno

mi go wymawiać nawet szeptem, więc musi mi pan wybaczyć, bo chociaż bardzo pana szanuję i uważam za przyjaciela, to będę trzymał gębę na kłódkę.

Krótko kiwa głową, jakby potakiwał, że powiedział dokładnie to, co chciał, a potem uparcie milczy. Lekarze włożyli dużo wysiłku, żeby poskładać z powrotem Mosesa, i zrobili dla niego sztuczne oko, ale jeżeli ktoś wie, na co zwrócić uwagę, to wciąż widzi, że jego twarz jest okaleczona. Co dokładnie przydarzyło się Mosesowi tamtego dnia? CB nigdy nie przestał o tym myśleć. Może i Maude jest jedynie halucynacją, wytworem wyobraźni, ale niewątpliwie tamtego wieczoru stało się coś dziwnego. I bez względu na to, co to było, miało wystarczającą moc, żeby zmusić Mosesa do wydłubania sobie oka.

Jablonka

Upływa dużo czasu, a ciało Suki traci całe ciepło, więc Penny w końcu bierze się do dzieła. Na dworze wszystko jest już przygotowane – od czterdziestu dwóch lat Penny jest sama dla siebie jedynym towarzystwem i zna się na tyle dobrze, żeby zawczasu przygotować rzeczy, które będą jej potrzebne do tego, co zamierza zrobić. Rano wyszła przed dom, gdzie wykopała dół. Wybrała miejsce pod jablonką – którą Suki w szczenięcych czasach (była wtedy mała jak świnka morska) tak bardzo lubiła obgryzać. Warczała na drzewko i skakała na nie. Było jej zabawkowym potworem.

W swetrze i skarpetkach, których nie zmieniała od dwóch dni, Penny przenosi ciało psa do głównej części przedalni – szesnaście lat temu przerobionej na mieszkanie. Wszystkie światła są przygaszone, jedynie nad umieszczonym pod podłogą paleniskiem na środku pokoju unosi się blada łuna. Z Suki został już tylko cień psa – nawet owinięta starym, pogryzionym kocykiem, który uwielbiała tarosić po całym domu, jest lżejsza niż piórko.

Przy kuchennych drzwiach Penny przypomina sobie, że powinna włożyć buty. Zamiast odłożyć Suki na wycieraczkę – tego nie mogłaby znieść – opiera się ramieniem o futrynę i wsuwa stopy w gumowce. Wygląda to dość komicznie, kiedy Penny, kobieta w średnim wieku, okutana szalami, z ufarbowanymi włosami i pobrzękującymi bransoletkami, stoi jak pijana w drzwiach, trzymając na rękach zdechłe zwierzątko. Mimowolnie się uśmiecha. Suki pękłaby ze śmiechu. Gdziekolwiek teraz jest. Gdzieś tam, w ciemnych powietrznych korytarzach.

Jest bardzo ciemno. I zimno. Oddech Penny zmienia się w parę i wisi w powietrzu. Nadciąga zima. Penny schodzi do ogrodu, nie zważając na śliskie stopnie. Byłoby lepiej, gdyby się

upiła albo zapaliła skręta, ale nie miała okazji. Byłoby lepiej, gdyby się wykapała i zmieniła ubranie – poczułaby się czystsza i ładniejsza na tę szczególną okazję, ale jej młodość przeminęła, więc i tak nikt na nią nie patrzy.

Kuca i wkłada Suki do dziury w ziemi. Wyściełała zagłębienie suszonymi kwiatami, owocami i kocykami Suki. Włożyła tam też ulubioną piłeczkę do tenisa Suki – całą w psiej ślinie i sierści. Zdaje się jej, że znalazłszy się w grobie, Suki wydaje ciche westchnienie, jakby poczuła ulgę. Penny wysuwa ręce spod kocyka – cofa się o krok, zamyka oczy i stoi z dłońmi złożonymi na wysokości pasa, jak do modlitwy. Robi poważną minę i próbuje okazać stosowny do okoliczności szacunek. Stara się życzyć Suki samych dobrych rzeczy i myśleć o celu jej ostatniej podróży, ale nie może się skupić. W końcu po prostu sięga po łopatę i zasypuje dół zmarzłą ziemią. Szybko, zanim się rozmyśli i zmieni zdanie.

Awarie prądu

Coś nie daje CB spokoju, ale trudno mu zrozumieć, skąd się bierze to uczucie. Zamiast dokończyć obchód szpitala, rusza na poszukiwanie Dużego Lurcha. Wraca do dyżurki, przechodzi do bloku administracyjnego, zagląda do wszystkich toalet i kuchni i w końcu znajduje go w portierni – futurystycznej szklanej kapsule przy wejściu do szpitala. Ochroniarz siedzi ze skrzyżowanymi na piersi rękami na obrotowym fotelu przed rzędem monitorów. Oparł stopy o blat biurka, a głowa zwisa mu bezwładnie, jakby spał albo właśnie zasypiał.

– Niebawem. – CB stoi z założonymi rękami w drzwiach. – Jesteś tu, gdzie powinieneś być. To ostatnie miejsce, gdziebym się ciebie spodziewał.

Duży Lurch unosi głowę o kilka centymetrów. Marszczy brwi.

– CB? Wyglądasz jak szalenię. Jak jeden z tych gości, których trzeba zamykać w pokojach bez klamek. Powinieneś iść z tym do lekarza. Naprawdę nie wyglądasz za dobrze.

CB pociera oczy. Wchodzi do portierni i siada na krześle, a potem z przyjemnością głaszcze miękki aksamit podłokietnika. Zawsze lubił tu przebywać – to komfortowe pomieszczenie i ani trochę klaustrofobiczne. Jest w nim ciepło i przytulnie, a jednocześnie widać stąd świat – księżyc i słońce, miasto, drzewa, samochody i chmury. Można się tu poczuć jak na mostku statku. Na przykład Enterprise. Szklana ściana między pokojem a światem na zewnątrz jest kuloodporna. Ta konstrukcja kosztowała krocie. Jej powstanie wymagało masy pieniędzy, wpływów i innych dóbr. Fundusz potrafi znaleźć środki na realizację fantastycznych projektów, a jednak nie jest w stanie zapobiec temu, żeby tacy ludzie jak Moses wydłubywali sobie oczy w kolejce po śniadanie.

– Jak sądzisz? – mówi. – Czy nasza dyrektorka wie, jacy jesteśmy nieszczęśliwi? He? Myśli, że jesteśmy szczęśliwi, czy

wie, że nie jesteśmy? Co podpowiada ci intuicja?

Duży Lurch unosi głowę i niewzruszony patrzy badawczo na CB.

– Szczerze?

– Szczerze.

– Sama jest za bardzo nieszczęśliwa, żeby zawracać sobie głowę tym, co czujemy. Człowiek umie dostrzec cierpienie u innych tylko wtedy, kiedy sam nie cierpi. Troska o bliźniego? Jeśli chcesz szczerzej odpowiedzi, moim zdaniem to luksusowy towar.

CB potakuje, wolno, z aprobatą. Duży Lurch nie jest gadatliwy, ale kiedy już się odzywa, jego słowa są czystym złotem.

– Domyślasz się, dlaczego jest nieszczęśliwa?

– Nie wiesz?

– A powinienem?

Duży Lurch odwraca się na krześle i zdziwiony przygląda się CB.

– Naprawdę nie wiesz?

Zbity z tropu CB wpatruje się w ochroniarza.

– O czym? Co miałbym wiedzieć?

– O Jonathanie...

– O Jonathanie? Jakim Jonathanie? – Nerwowo próbuje przypomnieć sobie twarz, którą mógłby połączyć z tym imieniem. Czy chodzi o jednego z pacjentów? Nie, w szpitalu nie ma żadnego Jonathana. Przychodzi mu na myśl tylko Jonathan Keay, terapeuta, który w ubiegłym miesiącu zwolnił się z pracy. – Mówisz o Jonathanie Keayu?

– No pewno.

– O tym aroganckim terapeutcie, który odszedł z pracy? Co z nim?

Duży Lurch uśmiecha się półgębkiem. Z jego piersi wydobywa się stłumiony chichot:

– Ach-ha, ha, ha, CB, daj spokój, człowieku! Jak na rozgarniętego faceta, czasami brakuje ci przenikliwości.

– W takim razie powiedz mi, o co chodzi, na litość boską.

– Między Melanie i Keayem? Nie zauważyłeś?

– Nie żartujesz?

– Och, no proszę, stary. Proszę.

CB spuszcza wzrok i przygląda się gładkim podłokietnikom fotela – gładzi je, przesuwa dłonią w tę i z powrotem. Melanie i Jonathan Keay? Naprawdę? Do tej pory zawsze sobie wyobrażał, że zna wszystkie sekrety. Że dźwiga na swoich barkach całą wiedzę tego świata. Okazało się jednak, że to chyba nieprawda. Możliwe, że dowiaduje się o wszystkim ostatni. A więc instruktorzy uprawiają stare dobre figo-fago z kadrą menadżerską najwyższego szczebla? Jeżeli to prawda, to można mówić o skandalu całkiem dużego kalibru – największym tabu, porównywalnym z kazirodztwem albo z wykorzystywaniem seksualnym pacjentów przez personel. Z konfliktem Capulettich i Montecchich. Melanie sama zwróciła mu uwagę, że w funduszu niechętnie patrzy się na takie relacje.

A tymczasem zabawiała się z Keayem? Jonathan to facet, na którego CB nigdy nie zwracał uwagi. Był zwyczajny – trzydzieści kilka lat, duże doświadczenie. Jeżeli CB dobrze pamięta, to przed podjęciem pracy w Beechway pracował razem z Melanie w jakimś innym szpitalu na północy Anglii. Oboje zaczęli od niskich stanowisk i stopniowo pieli się po szczeblach kariery. Właściwie nikt nie wie, dlaczego w ubiegłym miesiącu Jonathan odszedł z pracy. Podobno chodziło o kwestie zdrowotne. To była nagła decyzja, nawet się nie pożegnał – jednego dnia przyszedł do pracy, a drugiego już nikt go nie widział. CB pamięta jak przez mgłę, że pewnego dnia przyszła pocztą kartka od jego matki – charakter pisma wyglądał bardzo oficjalnie: „Dziękuję, że byli Państwo tak dobrymi kolegami dla mojego syna, będzie za Państwem tęsknił”. Można było odnieść wrażenie, że to podziękowanie za udział w pogrzebie.

CB zawsze podejrzewał – nie poświęcając tej kwestii zbyt wiele uwagi – że prywatne życie Keaya skrywało jakąś tajemnicę, o której nie lubił mówić. Kiedyś CB w ogóle się nim nie interesował, ale teraz próbuje sobie przypomnieć każde wypowiedziane przez tamtego słowo i stara się umieścić je

w kontekście jego sekretnego romansu z Melanie. Możliwe, że ostatni, nieco dramatyczny, alkoholowy wypadek dyrektorki miał coś wspólnego z Keayem. Wszystko, co CB wiedział o Melanie, nagle wywraca się do góry nogami i koziółkuje w zawrotnym tempie, a jego opinia – podsycana zazdrością – o Jonathanie Keayu zmienia się w postępie geometrycznym.

Obraz na jednym z ekranów systemu monitoringu odwraca jego uwagę od tych myśli. Próbuje sobie przypomnieć, po co tu przyszedł – bo na pewno nie po to, żeby spekulować na temat życia miłosnego innych pracowników. Chodziło o coś związanego z dozorem wizyjnym na terenie szpitala. Ale o co konkretnie?

Na monitorach nic nie widać. Jedyne puste, nieruchome korytarze. Kort pokryty sztuczną trawą. Zwężenie korytarza-lodygi. Widać nawet kapsułę ochrony z kamery umieszczonej z tyłu pod sufitem – CB i Duży Lurch są widoczni u dołu kadru, ich głowy ledwo wystają znad dolnej krawędzi ekranu.

Nagle CB doznaje olśnienia. Pochyliła się i patrzy na obrazy. Chyba już wie, o co chodzi – co mu nie dawało spokoju i dlaczego słowo „urojenia” zawsze uważał za niewłaściwe. Nie rusza się z miejsca i dalej patrzy na monitory, ale po głowie krążą mu myśli, toczą się wolno jak młyńskie koła. Już wie! Zapach, który wcześniej czuł w dyżurce – przypominający odór zwęglonej ryby smród spalonego czajnika! Zapach unoszący się rano w pokoju Mosesa. Tamtego dnia też coś się w budynku przepaliło.

– Hej... – mówi wolno. – Zapisujecie wszystko, co widać na tych monitorach, prawda?

Duży Lurch posyła mu sarkastyczne spojrzenie.

– Nie, są tu tylko na pokaz. W długie, ciemne wieczory puszczam sobie na nich pornole. Oczywiście, że zapisujemy, a potem przechowujemy nagrania, przyjacielu. To znaczy, przechowujemy je tylko przez dwa tygodnie, ale zawsze lepsze to niż nic.

– Pamiętasz noc, kiedy Zelda się okaleczyła? Kiedy pocięła sobie ręce? Przegapiliśmy ten moment, bo zabrakło prądu.

– Uhm... – Ochroniarz potakuje. – Mówiłem ci, że dzieje się

tutaj coś dziwnego. Co chwila wysiada prąd, i to za każdym razem z innego powodu.

– A w dniu śmierci Zeldy?

– Tak... wtedy też. I... – Milknie. Hałasliwie zdejmuje nogi z blatu. Obraca się z krzesłem do CB. – Wiesz co? Masz rację. Za każdym razem mieliśmy awarię prądu.

Tajemnica latania

„Fartlek” to po szwedzku „mała zabawa biegowa”. Tak się nazywa metoda treningowa opracowana specjalnie po to, by połączyć ćwiczenia aerobowe z anaerobowymi, które stymulują pracę serca i sprawiają, że nie bije ono w jednym rytmie. Można ją dopasować do konkretnej osoby, jest zatem idealna dla każdego, kto chce wrócić do formy po długim okresie braku aktywności.

Obok boiska piłkarskiego za północnym centrum operacyjnym policji kryminalnej okręgów Avon i Somerset znajduje się mały pagórek do fartleku – to sztuczne wzniesienie przy jednym krańcu boiska, wyposażone w trzy tartanowe bieżnie, które bieżną równolegle w górę. O siódmej rano, gdy słońce wschodzi nad miastem, trzydziestoletnia sierżant Flea Marley wbiega na szczyt wzgórzka. Mija fundamenty trzech wiatraków postawionych na grzbiecie i zbiega z drugiej strony. Utrzymuje wymagające szybkie tempo, zawraca u podnóża wzniesienia i pospiesznie rusza z powrotem pod górę. Jej czarna koszulka do biegania z nadrukiem POLICE na ramionach jest przesiąknięta parującym potem. W fartleku trzeba dać sobie radę z zakwasami – promieniującym bólem mięśni. Masz też mdłości. Musi ci naprawdę zależeć na treningu.

Flei zależy. Chce odzyskać sprawność. Jest sierżantem policyjnego oddziału nurków, który specjalizuje się w poszukiwaniach pod wodą. A do tego kobietą w środowisku zdominowanym przez mężczyzn, więc musi przede wszystkim zadbać o to, żeby mogła polegać na swoim ciele. Ponad dziesięć miesięcy temu została ranna podczas eksplozji w tunelu, po której trafiła do szpitala z obrażeniami ud i uszkodzoną błoną bębenkową w uszach. Powrót do zdrowia był długim, mozolnym procesem. Ale wykorzystwała ten czas najlepiej, jak

się dało – ćwiczyła i ćwiczyła. Krótko mówiąc, jest kimś innym niż rok temu. Panuje nad sobą – i w końcu zrobiła porządek w głowie. Wystarczyło pochować odpowiednie sprawy w odpowiednich pudełkach. Nałożyć pokrywki. Oto tajemnica latania – w żadnym wypadku nie patrz w dół ani za siebie.

Zmienia bieżnię na boisko i przechodzi do następnej fazy treningu – truchtu. Wybija nogami dudniący rytm – ziemia pod jej stopami jest sucha i zimna. Sztuczna murawa boiska jest nieoświetlona – jedynym źródłem światła są reflektory skierowane na sektor, w którym trenuje drużyna młodzików. Flea mogła w końcu zdjąć z uda bandaż uciskowy, który nosiła kilka miesięcy. Miło jest znowu poczuć na skórze dotyk powietrza. W pęknięty bębenek wdało się zakażenie, przez które rekonwalescencja trwała dłużej niż oczekiwano – Flea wróciła do pracy, ale przez osiem miesięcy mogła wypełniać tylko określone obowiązki. Prawdopodobnie miną jeszcze trzy tygodnie, zanim lekarze zgodzą się, by zaczęła nurkować, o ile pozwoli się najpierw zbadać laryngologowi w Plymouth, który oficjalnie potwierdzi, że jest zdolna do pracy. Jednak czuje, że jej ciało znowu zaczyna funkcjonować jak należy, i pierwszy raz od dawna prezentuje się atrakcyjnie. Flea nabrała wagi, a jej skóra wygląda zdrowo.

Kiedy w ostatniej minucie treningu przyspiesza, nagle dociera do niej, że ktoś ją obserwuje. Na ławce w altanie, która stoi przy wejściu na teren boiska, pod baldachimem jesiennych liści siedzi jakiś facet.

Flea biegnie dalej, żeby dokończyć pięćsetmetrowy odcinek, ale od czasu do czasu zerka na mężczyznę. Siedzi wśród leżących na ziemi liści, ubrany w granatową gabardynową kurtkę z postawionym kołnierzem. Łokcie oparł na kolanach. Ma nieruchomą, napiętą twarz, szeroki kark, intensywnie błękitne oczy i gęste, bardzo krótko przycięte ciemne włosy. Gdyby wstał, jego ruchy byłyby spokojne – takie, na jakie inni ludzie, a szczególnie kobiety, od razu zwracają uwagę. Flea to wie, bo go zna. To inspektor Jack Caffery.

Nie widziała go ani nie rozmawiała z nim niemal od roku – teraz też traktuje go jak powietrze. Zamiast podejść, rusza

w sześćdziesięciometrowy sprint wzdłuż wschodniej linii bocznej boiska, a po minięciu narożnika zwalnia, biegnąc wzdłuż linii końcowej. Może sobie patrzeć na nią do woli, wcale jej to nie przeszkadza. Pierwszy raz od wielu miesięcy jest zadowolona ze swojego ciała – i nie krępuje się go pokazywać przy obcych. Naprawdę może czuć się dumna.

Kiedy dobiega do końca boiska, słyszy znajomy świergot dobiegający z radia w czarnej saszetce, którą ma przymocowaną do opaski na bicepsie. To charakterystyczny sygnał bezpośredniej komunikacji – ktoś chce się z nią skontaktować. Flea zwalnia tempo do wydłużonego chodu i wyjmuje radio z saszetki. Może to on wymyślił taki sposób, by nawiązać rozmowę? Ale gdy sprawdza na wyświetlaczu identyfikator rozmówcy, okazuje się, że to nie Jack Caffery, tylko Wellard, jej zastępca.

Pochyliła się i z dłonią opartą na biodrze próbuje uspokoić oddech. Po chwili już niemal bez zadyszki staje wyprostowana i przykłada radio do ust.

– Cześć, Wellard. Co tam?

– Próbowałem się dodzwonić na komórkę, ale nie masz sygnału.

– Możliwe. Jestem na bieżni koło boiska. To pewno przez te wiatraki.

– Możesz wrócić do biura? Jest robota.

– Robota? – Flea uciska palcami bolące mięśnie brzucha. – Dla nurka?

– Nie. Poszukiwania. Dla MCIT.

MCIT – oddział Jacka Caffery’ego. Flea powstrzymuje się, żeby nie zerknąć ponad ramieniem w jego kierunku.

– Czego chcą?

Wellard wzdycha.

– Wysyłają nas w teren. Zaginięcie. Domyślam się, że możemy podziękować za tę sprawę komisji rewizyjnej, bo już kiedyś się nią zajmowaliśmy. Chodzi o Misty Kitson.

– Misty Kitson.

– Dokładnie tak.

Flea zdejmuje palec z przycisku radia. Bierze głęboki wdech –

wypełnia powietrzem całe płuca. Jej puls powinien już zwalniać po wysiłku, a tymczasem przyspieszył na dźwięk tego nazwiska. Misty Kitson.

– Halo? Jesteś tam?

Flea odkasłuje i znowu wciska guzik.

– Tak, tak, jestem.

– Mówiłem, że mamy szukać Misty Kitson. Chcą, żebyśmy jeszcze raz przeczესali teren wokół kliniki. Zamierzają zwiększyć promień poszukiwań.

– Tak, słyżałam cię.

– Możesz wrócić do biura? Trzeba by się zastanowić, jak rozdzielić zadania.

– Już jadę.

Flea wkłada radio z powrotem do saszetki i jeszcze przez minutę stoi nieruchomo z bijącym sercem. Misty Kitson. Poszukiwania Misty Kitson. Jedynym oficerem w MCIT, który mógł zlecić takie zadanie, jest człowiek, który był w tej sprawie oficerem prowadzącym. Detektyw inspektor Jack Caffery.

Wolno zwraca się w kierunku zacienionej alejki.

Ale tym razem światło latarni pada na puste miejsce. Caffery – o ile to był on – zniknął.

Mulder i Scully

CB zadziwił sam siebie, bo udało mu się wygospodarować jeszcze dwie godziny snu. Nocna zmiana idzie do domu, ale on zostaje w swoim gabinecie, pije piekielnie mocną kawę, próbuje się dobudzić. O siódmej rano, kiedy Melanie wchodzi do szpitala, CB już jest zwarty i gotowy. Stoi przy oknie i patrzy na nią, kiedy ta przechodzi przez parking, a reflektory wyłuskują z mroku otaczające ją srebrzyste pociski deszczu. Ubrana w beżowy płaszcz przeciwdeszczowy i czerwone gumowce, trzyma nad głową gazetę i kuli się, biegnąc w kierunku foyer szpitala. Kiedy znika w budynku, CB cofa się od okna. Popija kawę, przegląda dokumenty – próbuje znaleźć jakieś zajęcie, żeby nie zasnąć przez mniej więcej dwadzieścia minut. Tyle powinno wystarczyć, żeby przełożona weszła w rytm pracy.

Dwadzieścia po siódmej zaczyna się szykować do wyjścia. Wygladza przypinany krawat i śmiałym krokiem idzie korytarzem. Po chwili puka do drzwi.

– Tak?

– CB.

Pauza. Zza drzwi dobiegają ciche odgłosy – coś się rusza. A potem:

– Wejdz.

CB otwiera drzwi. Melanie siedzi w okularach za biurkiem z piętrzącą się stertą dokumentów. Zdjęła kalosze i mokry od deszczu płaszcz i teraz ma na sobie bluzkę z luźno zwisającymi wokół mankietów koronkami, które upodabniają ją do dworzanina w pałacu Ludwika XIV. Oczywiście koronki mają ukrywać zabandażowaną dłoń, żeby zapobiec ewentualnym plotkom.

– CB? – Uśmiecha się miło, lecz z rezerwą. – Dziękuję za wczoraj. Byłeś wspaniały. Pracowałeś całą noc?

– Mogę wejść?

– Oczywiście. – Melanie wskazuje głową krzesło przed biurkiem. – Proszę.

CB podchodzi i siada – i znowu czuje się jak uczeń na dywaniku u dyrektorki. Nie zapominaj, że ona spała z terapeutą. Dała się przelecieć jednemu z tych niedomytków. Nie jest taką profesjonalistką, za jaką chciałaby uchodzić...

– Dostałam z ministerstwa spraw wewnętrznych decyzję podjętą w ubiegłym tygodniu – mówi radośnie Melanie. – Dobre wiadomości. Jutro zwolni nam się łóżko na sali wypisowej.

– Hę?

– Isaac Handel. Domyślaliśmy się, że wkrótce będzie mógł wrócić do domu. Teraz mamy to na piśmie. Powinniśmy się zatem zastanowić, kogo przenieść z intensywnej opieki na wypisy i skąd przyjdzie następne skierowanie. Dlatego... – Milknie w pół zdania. Odchyła w bok głowę. – CB? Przyszedłeś w tej sprawie?

– Nie. – CB nerwowo odkasłuje. – Nie... właściwie, ja... eee... chciałem z tobą porozmawiać o... no wiesz... o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj. O urojeniach... wśród pacjentów. Na literę M.

Szefowa przeciągle wzdycha.

– Aha, no dobrze.

– Wszyscy... to znaczy wszyscy pracownicy szpitala... zawsze staraliśmy się unikać skrajności w tym przypadku. Doszliśmy do pewnych wniosków i kureczowo się ich trzymaliśmy. Jeżeli wziąć pod uwagę, kim są nasi pacjenci, to konkluzja była oczywista: masowe halucynacje, histeria i tak dalej.

– A można wysnuć inne wnioski?

– Tak, jak najbardziej.

Melanie odkłada na blat dokumenty, które trzyma w ręce, i patrzy na niego uważnie. Jej policzki nagle się zaróżowiły. Czy za szklami okularów zdają się nienaturalnie duże.

– CB – mówi beznamiętnie. – A może raczej powinnam zwracać się do ciebie *per* „Mulder”? Czy to znaczy, że przechodzisz do strefy mroku? Odrzucasz swój zdrowy

sceptycyzm? Czyżbyś ty też stał się wyznawcą Maude?

– Nie. Prawdę mówiąc, czuję się tak, jakby paskudny sceptyk w mojej głowie właśnie wypił skrzynkę Red Bulla i pojechał na rajd kradzionym ferrari. Jestem Scully, Scully aż do szpiku kości. Jestem bardziej Scully niż sama Scully. Scully powinna się ode mnie uczyć.

Melanie zdejmuje okulary i ostrożnie odkłada je na bok. Splata palce i pochyla się nad biurkiem, patrząc na niego niczym sędzia. Unosi brwi i czeka na wyjaśnienia.

– Awaria prądu – mówi CB. – Za każdym razem, kiedy zjawia się Maude, wysiada prąd. Mieliśmy awarię, kiedy Zelda się samookaleczyła, i tamtej nocy, gdy zmarła.

– Wiem. Czasami oglądałam serial *Powstać z popiołów* i myślę, że też bym tak chciała: cofnąć się do lat osiemdziesiątych, kiedy remontowano nasz szpital. Chętnie wzięłabym kilka osób na słówko. W pierwszej kolejności oberwałoby się właśnie elektrykom.

– Myślę też, że mogło dojść do awarii, kiedy Moses napisał tamte rzeczy na ścianach. Pamiętam, jak mówił, że czuł smród przypalonej ryby.

– Z kuchni? Tego nie pamiętam.

– Ja też pomyślałem o kuchni, ale czułaś kiedyś, jak śmierdzi przepalony bezpiecznik?

– Jak... – Melanie marszczy brwi. – Jak przypalona ryba.

– Niektórzy pracownicy ochrony twierdzą, że gdy Moses miał atak, nie było prądu. Pamiętasz tamten dzień?

– Chciałoby się. Ostatnio nie pamiętam nawet, jak się nazywam, a co dopiero rzeczy, które działy się tak dawno.

– Kto może coś wiedzieć na ten temat?

– Obsługa techniczna? Chociaż nie, oni na końcu każdego roku niszczą wszystkie dzienniki. – Melanie wzrusza ramionami. – Bóg wie kto. Pytałeś samego Mosesa?

– A próbowałaś z nim porozmawiać o czymkolwiek, co działo się tamtego dnia? Reaguje tak, jakbyśmy byli w Guantanamo i chcieli go podtopić, żeby wydobyć zeznania.

Dyrektorka znowu wzrusza ramionami i sięga po okulary, jakby straciła zainteresowanie tematem. CB pochyla się na

krześle i mówi:

– Awaria prądu oznacza brak nagrań z kamer. Zapasowy generator nie obsługuje systemu wizyjnego. Sprawdziłem to w centrali ochrony. Urojenia, halucynacje i fantazje? Maude? To świat Muldera, bez związku z prozaiczną codziennością. Tymczasem okrucieństwo i awarie prądu to zdecydowanie działka Scully. Mój obóz.

Melanie odkłada okulary, pochyła się, ani na chwilę nie spuszczając absurdalnie niebieskich oczu z jego twarzy.

– CB – mówi spokojnie. – Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Bez nagrań z kamer nie ma dowodów.

– Wciąż nie rozumiem.

– Melanie, nie chcę być arogancki, ale rusz głową. Moses był zakałą szpitala, tak samo jak Zelda i Pauline. Wszyscy troje działali innym na nerwy. Chodzi mi o to, że... Nie przyszło ci do głowy, że ich urojenia mogą wcale nie być urojeniami? Może to, o czym mówią, naprawdę się zdarzyło? Może to ktoś, kto przebywał na terenie szpitala, prawdziwy żywy człowiek, jeden z pacjentów albo nawet członek personelu? Może próbował ich uciszyć? – Robi pauzę, żeby dać Melanie okazję do zastanowienia się nad wnioskami. – No wiesz... Moses? Zelda? Pauline? Komu mogłoby na tym nie zależeć?

– Nie, CB! Przepraszam za wyrażenie, ale pieprzysz jak potłuczony. Przecież by nam powiedzieli.

– Było ciemno, skąd mieli wiedzieć, kto wszedł do ich pokojów? Niewykluczone, że ktoś im namieszał w lekarstwach. I tak byli aż po uszy naszpikowani chemią. A jeśli dostali większą dawkę środków uspokajających niż zwykle? Nie zastanowił cię tamten atak serca, który trudno czymkolwiek wytłumaczyć? Może oprócz otyłości, czy właśnie tak to uzasadniono? Jestem pewny, że patolog w ogóle nie szukał urazów świadczących o zmiążdżeniu mięśnia sercowego, bo nikt go nie naprowadził na ten trop...

– O zmiążdżeniu mięśnia sercowego?

– Tak, na przykład wskutek tego, że ktoś na niej usiadł. I nie mam na myśli ducha, tylko człowieka. Żywego człowieka.

– Przecież sprawdziliby to, jak sądzę. Przecież w pierwszej kolejności szukają oznak przemocy fizycznej.

– Możliwe. Przyczyną śmierci mógł być jednak wywołany stresem atak serca. Stres zaś stąd, że ktoś ją dręczył. Czy ktoś sprawdził, czy napisy na ramionach Zeldy zostały wykonane przez nią? A napisy na ścianach u Moseesa i na nogach Pauline? Przyjeliśmy hipotezę, że sami to zrobili, ale kto sprawdził, czy to prawda? Na pewno nie ja. „Nie bądź z tych, którzy czynią zło”? „Kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”? „Wystrzegaj się próżniactwa i wszeteczeństw”? Nawet ja nie jestem pewien, co to znaczy.

– Rozpasanie. Wszeteczeństwo to inaczej rozpasanie.

CB unosi brew.

– Jestem pod wrażeniem.

– Sprawdziłam w słowniku. Widziałam to słowo w... Gdzieś. Pod jakąś ilustracją, ale już nie pamiętam gdzie... – Zerka na obraz przedstawiający szpital, jakby tam szukała podpowiedzi. W końcu potrząsa głową. – Nieważne, w każdym razie sprawdziłam w słowniku. To znaczy: rozpasanie.

– W takim razie to słowo pasowało do Zeldy.

Melanie wkłada okulary i dobrodusznie marszczy brwi nad oprawkami.

– CB, przypomnij mi, bo nie pamiętam: jaką kategorię w klasyfikacji zaburzeń miała Zeldy?

– Chyba... schizofrenię, oś drugą. Osobowość chwiejna emocjonalnie typu *borderline* czy coś w tym rodzaju i...

– Co znaczy, że była podatna na wpływy. Miewała halucynacje wzrokowo-słuchowe.

– Proszę cię tylko, żebyś dopuściła różne możliwości, otworzyła umysł.

– Mam otwarty umysł, CB. Prawdę mówiąc, trudno o bardziej otwartą osobę w tej pracy. Mogę cię więc zapewnić, że tak się nie stało. To niemożliwe. Prędeż ta martwa karlica przyjdzie i usiądzie mi na piersi niż uwierzę w twoje insynuacje.

– Sądzę, że powinniśmy się bliżej przyjrzeć tym sprawom. Może nawet poinformować policję.

– Policjanci spędzili tu cały tydzień. Mają dość tej historii, tak

samo jak my. Nie ucieszą się, jeśli spróbujemy rozgrzebać ją od nowa.

– Miałem na myśli inne siły policyjne. Jeden z zespołów specjalistycznych. Pamiętasz detektywów, których poznaliśmy na forum prawa karnego? Rozmawiałas z jednym z nich, mogłabyś do niego zatelefonować, niekoniecznie oficjalnie.

– CB, rozumiem, że się przejmujesz, ale naprawdę chcesz z powrotem ściągać tu policję? Nawet jeżeli właściwie nie wiemy, co się stało? Akurat wygląda na to, że wszystko zaczyna się jakoś układać, a ja nie mam zamiaru znowu burzyć porządku. Niech wszystko powoli wróci do normy. Wybacz, ale nie wytrzymam powrotu policji do szpitala. Na pewno nie teraz, w tak trudnym dla nas okresie.

CB wzdycha. Opiera się na krześle i masuje skronie. Może dyrektorka ma rację? Może to po prostu przemęczenie i wybujała wyobraźnia? Przez ostatni tydzień spędził tu zdecydowanie za dużo czasu – w przyszłym miesiącu odbierze sobie wolne za te godziny.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam. Masz rację. – Milknie i patrzy na rękę Melanie. – A jak twoja dłoń?

Melanie zerka w dół.

– W porządku. Ale obawiam się, że masz mnie za alkoholiczkę.

– Nie, skądże! Już przedtem ci powiedziałem, że moim zdaniem wypruwasz sobie żyły. Odejście Jonathana na pewno też nie pomaga. Musi ci być ciężko.

Wypowiada te słowa, w ogóle się nad nimi nie zastanawiając. Ale jest już za późno. Melanie szybko unosi głowę, a przez jej twarz przemyka cień emocji, który CB zauważył wczoraj w samochodzie. Jakby ktoś wrzucił do jeziora grudkę czerwonego barwnika.

– Słucham? Co takiego?

– Och, tak... eee... nic. Nic. – CB pochyła się i wstaje. – Muszę już iść. Zapomnij, że to powiedziałem.

– Nie. Poczekaj. Dobrze usłyszałam?

Teraz z kolei CB czuje, że jego twarz zalewa się rumieńcem. Nieruchomieje, pół stojąc, pół siedząc, i nie wie, co dalej zrobić.

- Tak. Po prostu pytałem, czy dobrze się czujesz, i tyle.
- Czy wszyscy o tym wiedzą?
- Niezupełnie wszyscy.
- Jezu... – Melanie opuszcza zabandażowaną dłoń na biurko i potrząsa głową. – O Jezu, Jezu, Jezu... Co za cholerne bagno.

Wielka wszechwładna moc

Pierwszy raz od wielu lat Penny nie zrywa się skoro świt, żeby iść do pracy. Śpi do późna, sama w pokoju na ostatnim piętrze starej przędzalni. Kiedy się budzi, na dworze już jest jasno, lodowo-szare chmury leniwie ślizgają się po niebie. Suki mogła wskakiwać na łóżko – w środku nocy Penny wyciągała rękę i po chwili czuła jej kojące ciepło. Radosne liźnięcie wynagradzało jej wszystkie starania. Dzisiaj poduszka koło niej jest zimna.

Penny leży i patrzy na puste miejsce. Suki odeszła. Wezwała ją wielka, wszechwładna moc. Teraz będzie karmić i ożywiać wszystko, co rośnie. Jej duch będzie się unosił i rozpląwał niczym dym – dotrze do każdego drzewa, do każdego źdźbła trawy, każdego ptaka i grzybka. Penny jest wdzięczna naturze za hojność i za to, że nie kieruje się uprzedzeniami, kiedy nieustannie się odradza i odtwarza niezależnie od ludzkości i jej idiotycznych sztuczek. Śpiewa pieśń drzewom, które użyczają swoich owoców. W środku zimy wraca do nich i przynosi to, co z nich pochodzi – dżem, syrop, konfiturę albo tarniówkę. Kiedyś wszyscy w tych stronach w taki sam sposób traktowali jabłonie – co roku w styczniu odwiedzali je i skrapiali młodym cydrem z ubiegłorocznych zbiorów. Wciąż istnieją grupy podtrzymujące tradycję, ale Penny do żadnej z nich nie wstąpiła. Ich członkowie nazywają ten zwyczaj wassailingiem; Penny woli starą dobrą nazwę: „dziękczynienie”.

Dziękujesz drzewom za użyczenie owoców? Śpiewasz im? Nic dziwnego, że nie znalazłaś chłopaka, myśli. Jesteś starą, zapyziałą hippiską. Do licha, twój ogród jest pełen dzwonek wiatrowych, a okna ozdabiasz kryształkami. Kryształkami! Pewnego dnia przestaniesz się myć i zapuścisz długą brodę, w której będą się gnieździć różne małe stworzenia.

Patrzy na telefon przy łóżku i zastanawia się, czy został jej

ktoś, komu mogłaby powiedzieć o śmierci Suki. Jej brat mieszka w sąsiedniej wsi, ale nie widziała go od lat, a zresztą wątpi, czy ta wiadomość zrobiłaby na nim wrażenie. Kogo mogłaby zainteresować? Sprzedawczynię w sklepie spożywczym? Sąsiadów? Chyba nie.

Sięga na koniec łóżka i przyciąga do siebie własnoręcznie uszyty kocyk. Unosi się z niego wciąż wyczuwalny psi zapach. Wdycha go, wtula w niego twarz. Wyobraża sobie, że ten kocyk to ona sprzed pięciu lat – siedzi przy kominku niczym staruszka, a Suki leży u jej stóp. Oszczędzała skrawki materiału ze znoszonych ubrań, wypłowiałych poduszek, a gdzieś wśród nich jest nawet kuchenna ściereczka. Ten ukochany kocyk jest kompletnie zużyty, poprzecierany – rozpada się w rękach.

– Och, pledziku – mamrocze Penny i smutno się uśmiecha. – Trzeba ci trochę czułości. Trzeba cię pocerować. Należy ci się odpoczynek. Tak jak mnie.

W kalesonach i kowbojkach

A zatem Duży Lurch mówił prawdę – Melanie Arrow i Jonathan Keay byli parą. CB stoi przez chwilę w dyżurce i patrzy na przypiętą do tablicy na ścianie fotografię Keaya, ledwo widoczną pod warstwą różnych ogłoszeń, widokówek i ulotek. Keay jest na niej razem z innymi sanitariuszami na dawno zapomnianej imprezie z okazji Bożego Narodzenia w jakimś dawno zapomnianym pubie. Nosi papierową czapkę i koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami. CB przygląda się jego oczom, próbuje znaleźć dowód – lub chociaż jego cień – uczucia, które istnieją między nim a Melanie. Ale mu się nie udaje.

Właściwie nie jest pewien, po co przed chwilą poszedł do jej gabinetu. Czy obchodzi go, co naprawdę spotkało Pauline, Mosea i Zeldę? Czy próbował udowodnić Melanie, że jest zaangażowany w sprawy szpitala? Dobra robota, żołnierzyku! A może tylko chciał odkryć prawdę o Melanie i Jonathanie Keayu?

Wychodząc ze szpitala, dalej zadaje sobie te pytania i rozmyśla o Melanie. Szybko zaczęłyby snuć fantazje erotyczne, gdyby tylko pozwolił sobie zboczyć w tym kierunku, ale jest już wystarczająco dojrzały, żeby do tego nie dopuścić. Wmawia sobie, że po prostu wykazuje zawodowe zainteresowanie stanem umysłowym współpracowników. W domu Patience nie ma mu za złe, że się spóźnił. Jest łagodna i pobłażliwa, szczególnie kiedy dostaje od niego ulubiony dżem Forager's Fayre. Otwiera wieczko, wącha zawartość i pomrukuje zadowolona.

– Lubię, lubię, mm... mniem. Nie wiem, kto robi te rzeczy, ale używa najlepszych składników. Należą się jej słowa uznania.

– Skąd wiesz, że to kobieta?

– Proszę – dobrodusznie mówi Patience. – Nie zmuszaj mnie,

żebym powiedziała coś seksistowskiego.

Śniadanie jest już gotowe. Kiedy zdarzają się takie dni, że Patience brakuje produktów z własnego ogrodu do smażenia, duszenia albo opiekania, jedzie na zakupy do Thornbury i przyrządza potrawy kuchni karaibskiej i dixie, których nauczyła się od matki. Raz jest to solona ryba i panierowane warzywa, a kiedy indziej wieża z naleśników polanych syropem klonowym, zwieńczona czterema małymi gałkami masła. Dzisiaj ugotowała owsiankę bananową oraz miękkie biskwity z kiełbasą w sosie pieczeniowym. Jest też domowa nalewka z lubczyku – dwa czy trzy naparstki w ceramicznej buteleczce obok parującego kubka czarnej kawy z kawiarki na kuchence. CB może ją pić wiadrami – nawet tuż przed snem.

Siada do jedzenia, a Stewart kładzie się u jego stóp. CB zbiera biskwitami sos z talerza. Biskwity. Nigdy nie wiedział, jak je traktować – jak ciastka czy raczej jak słonawe bułeczki, które właśnie miał na talerzu. Nie pyta Patience, bo ta jest całkowicie pochłonięta skreślaniami swoich typów w gonitwach organizowanych w Cheltenham. Mama też była uzależniona od zakładów – obie twierdziły, że mają to po matce. CB pamięta, że w dzieciństwie często spędzał długie popołudnia, czekając przed punktem bukmacherskim w Thornbury na mamę i Patience, które weszły do środka uzbrojone w torebki i gazety. Był za mały, żeby wejść z nimi, więc wychodziły na zmianę, żeby porównać typy i zapytać go o zdanie. „Jesteś naszą szczęśliwą maskotką” – śmiały się. Szczęściarz, szczęściarz, nie ma co.

– Postawiłaś wszystko na Rude Boya w Wincanton? – dziwi się CB, przesuwając po talerzu kiełbaski. – A więc żegnaj spadku.

Patience hałaśliwie odkłada patelnię. CB lubi podpuszczać ciotkę, bo ta fantastycznie daje się prowokować.

– Czyżby? A ty co byś zrobił?

– Nie wiem. Chyba mogłaś obstawić jednocześnie zwycięstwo i porażkę. Przynajmniej miałabyś bezpieczny tyłek.

– Żadne pieniądze świata nie wystarczą, żeby mój zadek był bezpieczny – odpowiada z poważną miną Patience.

– Nie bądź taką konformistką, Patience. Zachowujesz się tak, jakbyś mieszkała na plantacji z *Przeminęło z wiatrem*. Nawet mówisz jak tamtejsi niewolnicy. Przecież jesteś w połowie biała.

– I co z tego? Dlaczego mam przestać? Daj ludziom to, czego oczekują, a twoje życie będzie o wiele łatwiejsze.

– Jasne, ale w ten sposób jedynie utrwalasz negatywny obraz twojej rasy.

– Mojej półrasy. Zresztą to brzmi jak jakiś psychologiczny bełkot. Pewno nauczyli cię tak mówić w pracy.

– To nie psychologiczny bełkot, tylko żargon o wiele mocniej osadzony w naukach społecznych niż w psychologii – odpowiada wyniośle CB. – I wcale nie nauczyłem się go w szpitalu. Takie komentarze możesz usłyszeć na każdej ulicy.

Kiedy zaczyna tak mówić, ciotka Patience nie umie znaleźć argumentów, więc demonstracyjnie ziewa i odwraca się, żeby sprawdzić SMS-y. Od jakiegoś czasu to właśnie z nich dowiaduje się, które konie obstawić w najbliższych gonitwach. Nie z zakreślonych długopisem komentarzy na ostatnich stronach gazety, które CB pamięta z dzieciństwa, tylko bezpośrednio od bukmacherów, którzy mają jej numer telefonu i wysyłają jej podpowiedzi.

Ciotka daje mu dużo miłości i jest dobrą towarzyszką, ale wszystko ma swoją cenę. Patience ma tak samo niefrasobliwy stosunek do pieniędzy, jak to było w przypadku mamy. CB jest pewny, że gdyby nie miał jej cały czas na oku, to już dawno przegrałaby dom i całe jego wyposażenie. Nie jest tego dużo – śmieszne, stare gospodarstwo składające się z trzech połączonych chat. W domu są trzy ciągi schodów, to wystarczyło dla CB, mamy i Patience. Część wspólna znajdowała się na parterze, a na piętrze każdy z mieszkańców miał własną sypialnię i łazienkę. Mama zajmowała środkowy pokój. Po jej śmierci CB i Patience mogli przeznaczyć go na składzik albo wykorzystać w inny sposób, ale żadne z nich nie chce podejmować tego tematu, więc pomieszczenie stoi puste – niczym wyrwa nad ich głowami. Nie mówią o niej, żeby uniknąć rozmowy o śmierci mamy.

Tak, tak, myśli CB i częstuje Stewarta resztą kielbasy. Jeśli chodzi o sposób, w jaki mama pożegnała się z życiem, zapewne niektóre rzeczy już zawsze będą zbywane milczeniem.

Zgodnie z grafikiem CB jutro pracuje, więc musi dostosować godziny snu (jak milion razy przedtem). Idzie do łóżka o drugiej po południu i ma nadzieję, że nalewka z lubczyku pomoże mu spać do czwartej rano, ale wciąż prześladowają go myśli o Melanie. Na szczęście po piętnastu minutach zapada w głęboki sen, dla odmiany tym razem bez marzeń – mimo to cztery godziny później jest całkowicie rozbudzony.

Przez jakiś czas leży w łóżku i patrzy na wiejski krajobraz za oknem. Tęskni za mamą. Tak bardzo mu jej brakuje. Czerpie jednak ukojenie z sił natury i ze swojego domu na tym pustkowiu. Za sąsiadów ma dzikie zwierzęta; kiedy przepędza jelenie z różanych grządek Patience, poznaje konkretne osobniki po znakach szczególnych – wzroście lub bliznach. Lubi to odosobnienie. Cieszy się, że jego ubranie może śmierdzieć dymem ogniska i nikt nie będzie z tego powodu marszczyć nosa. Gospodarstwo znajduje się tak daleko od cywilizacji, że czasami, kiedy jest bardzo zmęczony, nawet nie musi przejmować się ubieraniem – po prostu chodzi po ogrodzie w kalesonach i kowbojkach niczym bohater westernu.

Nie czuje się samotny. Nie jest jednak pewny, czy jeszcze długo wystarczy mu, że po prostu nie czuje się samotny. Może to znaczy, że żałoba po mamie weszła w inną fazę – może jest gotowy, żeby znowu być z ludźmi? A może nawet jest gotowy, żeby w końcu dorosnąć i ułożyć sobie z kimś normalne, dojrzałe relacje? W doprawdy szczenięcym wieku – skończył czterdzieści trzy lata... To wielki krok naprzód. Nie przyjdzie mu to łatwo.

Zerka na zegarek. Dwadzieścia po szóstej. Ziewa, wstaje i idzie do łazienki, żeby wziąć prysznic. Goląc się, dostrzega łyżeczkę do odmierzania lekarstw, która wykonuje akrobatyczną sztuczkę z balansowaniem na krawędzi apteczki – i to bez podkładu muzycznego. Wygląda, jakby unosiła się w powietrzu. CB odkłada żyletkę i podchodzi do szafki z lekarstwami. Plastikową dwustronną łyżeczkę trzyma

w miejscu niemal pionowo jedynie lepka pozostałość po dawno użytym syropie na kaszel. Jako koordynator szpitala CB jest odpowiedzialny za cotygodniowe raporty dotyczące czystości i higieny na oddziałach. Zabawne.

Wyjmuje torbę na śmieci i zmiata do niej brud, a potem ściera szmatką skryształizowany zielony syrop. Wyrzuca puste opakowania po paracetamolu z terminem ważności, który upłynął w 2009 roku, i opakowanie patyczków do uszu, które pamięta jeszcze z czasów, kiedy dostał pracę w szpitalu – miał wtedy dwadzieścia lat. Która kobieta zniosłaby takie bałaganiarstwo? – myśli zniecierpliwiony. Naprawdę, jaka świruska chciałaby się wżenić w taki syf? Bo na pewno nie dojrzała, rozsądna kobieta.

Melanie Arrow mieszka pewnie w jednym z tych modnych skandynawskich domów o idealnie białych ścianach, z meblami z płótna i ekologicznego drewna wyrzuconego przez morze. CB wyobraża sobie rzędy idealnie skrojonych bluzek wiszących w workach z pralni chemicznej. Szczerze mówiąc, wyobraźnia podsuwa mu też widok jedwabnych majteczek.

– Hej! – mówi do odbicia w lustrze. – Na tym możemy poprzestać. Źle. Znowu wszystko źle.

Facet z lustra mruga zaskoczony. CB długo wytrzymuje jego wzrok. W końcu zasłania lustro dłonią. Do diabła. Trzeba coś z tym zrobić.

Prawda o Misty Kitson

Osiem godzin trwało poszukiwanie ciała Misty Kitson, a dowodzony przez Fleę Marley zespół nurków, który jest na miejscu, ponieważ ma upoważnienie do asystowania we wszystkich poszukiwaniach – na lądzie i pod wodą – wykonał solidną robotę z wykorzystaniem opracowanych przez naukowców metod działania. Żółta taśma wyznacza obszar o promieniu trzech kilometrów, który przeczesano w ubiegłym roku, tuż po zniknięciu Misty. Tym razem poszukiwania sięgają dalej od kliniki – surowego palladiańskiego budynku na szczycie wzgórza. Potrwają tydzień i o ile członkowie zespołu zdążyli się zorientować, nie wynikają z żadnych nowych tropów ani poszlak, tylko z pilnej potrzeby pokazania mediom, że MCIT wciąż coś robi w tej sprawie. Kończy się popołudnie, nic nie znaleziono, a wkrótce zabraknie światła. Policjanci wsiadają do białego mercedesa sprintera i wracają do biura. Humor nikomu nie dopisuje. Niektórzy od razu przesiadają się do swoich samochodów i jadą do domu, inni czekają chwilę, żeby się ogrzać – parzą herbatę i biorą prysznic – bo gorąca woda pomoże odtajać ich kościom.

W końcu Flea zostaje sama w budynku. Stoi z zamkniętymi oczami pod prysznicem, strumień wody masuje jej kark, a w głowie kłębią się myśli o minionym dniu. Obrazy przesuwają się niczym klatki taśmy filmowej, którą naprędce posklejał jakiś szalony montażysta. Cięcie: otoczenie kliniki, przejście: stacja transformatorowa, przeskok: droga lokalna. Jack Caffery stał i milczał, obserwował ją tak samo jak rano, kiedy biegła. Przez cały czas nie odzywał się ani słowem.

Nie dopuściła, żeby jego czujny wzrok wyprowadził ją z równowagi – metodycznie przeczesywała wszystkie lokalizacje i udawała, że bardzo się angażuje. Tylko ona wie, że była to strata czasu. Kości Misty nie tkwią w żadnym

żywopłocie. Nie są rozrzucone na polu ani pogrzebane w płytkim grobie pod kopczykiem w sąsiedztwie kliniki. Znajdują się kilka kilometrów dalej – na drugim końcu hrabstwa.

Flea Marley to wie, bo sama ukryła jej ciało. Od tamtej pory minęło niemal osiemnaście miesięcy. To jedna z rzeczy, które Flea przechowuje zamknięte w tajnym kartonowym pudle w swojej głowie i z całej siły stara się je tam zatrzymać. Jedna z rzeczy, na które nie wolno jej patrzeć, żeby nie wymknął jej się z rąk sekret latania. Spektakularna katastrofa.

Zakręca kurek prysznic, wychodzi z kabiny i wyciera się ręcznikiem. Biura już opustoszały – została tylko ona i kombinezony do nurkowania. Wiszą rzędem w magazynie niczym duchy. Maski leżą w szafkach. Worki na ciała denatów są w pokoju techników. Nie ma już nikogo, kto mógłby ją zapytać, co tutaj robi. Flea ściera ręcznikiem parę z lustra i patrzy na swoje odbicie. Rzeczywiście, zaokrągliła się na twarzy, jej cera wygląda zdrowiej, ale wznowienie śledztwa w sprawie zaginięcia Misty sprawiło, że skóra pod oczami znowu jest napięta, ściągnięta strachem.

Przez cały dzień towarzyszyło jej ledwo uchwytnie uczucie desperacji – czuła, że w każdej chwili może wybuchnąć płaczem. Dziwne, że nikt tego nie zauważył. Tymczasem nawet teraz musi policzyć do dziesięciu, żeby się nie rozbeczeć jak dziecko. Po chwili spryskuje się dezodorantem, wyjmuje z plecaka sportowy strój i wolno się ubiera. Wkłada kolejne warstwy ubrań – temperatura na dworze jest bardzo niska. Wciąga na legginsy wodoodporne spodnie i zapina luźną kurtkę firmy Montane z przydziału policyjnego. Wkłada do kieszeni rękawiczki – gumowe i materiałowe – gasi światła, sprawdza, czy wszystkie komputery są wyłączone, i wychodzi ze spuszczoną głową na parking.

Minęły już godziny szczytu, ale i tak przedostanie się przez północną część Somerset zajmuje jej ponad godzinę. Przejeżdża niedaleko swojego domu, niedaleko kliniki – miejsc odgrywających ważną rolę w skomplikowanym scenariuszu prawdziwej historii zniknięcia Misty Kitson, do którego doszło

przed kilkunastoma miesiącami. Flea zatrzymuje się dopiero na wąskiej lokalnej drodze półtora kilometra na południowy wschód od kliniki, tam, gdzie spotykają się dwa olbrzymie pola uprawne, które zajmują całe zbocze wzgórza i kończą się dopiero pod lasem otaczającym Farleigh Park Hall.

Przez cały dzień, kiedy jej zespół prowadził poszukiwania, ona ukradkiem obserwowała na mapie tę lokalizację – w tajemnicy poświęcała całą uwagę rozłożonym na desce rozdzielczej planom i obliczała, ile czasu upłynie, zanim dotrą do tej drogi. To miejsce znajduje się tuż za obszarem zeszłorocznych poszukiwań, a tym razem znalazło się wewnątrz przeczesywanego okręgu. Pewno będą tam pojutrze po południu albo pojutrze.

Otwiera drzwi samochodu i stawia stopy na asfalcie. Tak daleko od cywilizacji panuje kompletna cisza – są tu tylko naprawdę żywe stworzenia, takie jak sarny, borsuki i króliki. Gdzieś spośród drzew na szczycie wzgórza dobiega pohukiwanie sowy. Nawet nadstawiając uszu, nie usłyszy się tu silnika – samochodu ani samolotu. Niczego. Flea wyciąga z wozu plecak i wkłada go na ramiona. Zamyka kopniakiem drzwi.

To wąska, rzadko używana droga – trochę pól uprawnych po lewej stronie, po prawej las. Dobrze ją zna. Idzie przed siebie, dopóki za linią drzew nie pojawią się blade światła osady. Niedawno popełniono w niej morderstwo. Wszyscy amerykańscy, chińscy i japońscy turyści, którzy tu przyjeżdżają i wybaluszają oczy na te śliczne domki, słomiane dachy i otaczającą wszystko zielen, nie znają nawet połowy prawdy o takich miejscach. Nie widzą ledwo skrywanej brzydoty: zabójstw, gwałtów, przemocy domowej, napadów zazdrości, ucieczek z miejsc wypadków.

Tak jest, ucieczek z miejsc wypadków. Ludzie w ogóle o nich nie myślą.

Droga ostro skręca w lewo i wiedzie dalej, prosto jak strzełił, przez kilkaset metrów – płaska i niewyraźna, już po stu metrach rozplywa się w mroku. Księżyc w pełni ponad chmurami rzuca rozproszone, mgliste światło, które wystarcza,

żeby nie zgubić drogi. Flea odlicza w myślach kroki. Po pięćdziesięciu zatrzymuje się i zwraca w kierunku pól, wpatruje się w nie, doskonale pamiętając topografię tego terenu. Odwraca się w kierunku osady i też jej się przygląda. Nie wszystko idealnie pasuje, więc idzie jeszcze kilka kroków dalej i obserwuje otoczenie. Tym razem wszystko jest na swoim miejscu. Tak. To stało się właśnie tutaj.

Stawia plecak na ziemi i włącza czołówkę. Musi kierować promień światła w dół, na asfalt, żeby drobiazgowo przeszukać cały obszar. Musi wszystko usunąć, zanim zjawi się tu zespół. Jedno potknięcie i znajdzie się po szyję w gównie. Nawet jeśli trzeba będzie zapakować do plecaka pół żywopłotu, zrobi to. Nic, absolutnie nic, nie może zasugerować, że to miejsce w jakikolwiek sposób wiąże się z zaginięciem Misty Kitson.

Wkłada nitrylowe rękawiczki i bierze się do roboty. To zadanie niczym się nie różni od tego, co robi codziennie: zwykłego poszukiwania śladów. Idzie po siatce, żeby się upewnić, że sprawdziła każdy centymetr terenu. Zbiera wszystko, co znajduje – bez względu na to, co to jest – i wkłada do plecaka. Paczka po chipsach, dwie puszki po piwie, kawałek papieru toaletowego. Zawlecza od konserwy, która wygląda na mniej więcej pięćdziesiąt lat, i stara płyta CD. Może żaden z tych przedmiotów nie ma znaczenia, a może wszystkie są związane ze sprawą.

Kiedy ma już stuprocentową pewność, że na miejscu nie zostało nic oprócz suchych liści i ogołoconych krzewów jeżyn, zdejmuje z głowy czołówkę i bada za jej pomocą nawierzchnię drogi. Wciąż widać ślady hamowania, ale są bardzo niewyraźne. Musi kucnąć i dotknąć ich ręką, żeby uwierzyć, że nadal istnieją. Półtora roku temu wyglądały jak głęboka blizna w asfalcie, ale osiemnaście miesięcy deszczu, słońca i angielskiej pogody wytrawiły resztki gumy.

Z oddali dobiega coraz głośniejszy odgłos silnika samochodowego. Kilka sekund później pojawiają się światła reflektorów – zbliżają się z kierunku, gdzie sama zaparkowała. Flea wstaje i rozsądnie schodzi na pobocze, pamiętając o wyłączeniu latarki. Kiedy samochód wyłania się zza zakrętu,

policjantka przytula się do pnia drzewa. Wkłada rękę do kieszeni i chowa twarz w kołnierzu, żeby zasłonić jak najwięcej powierzchni odbijających światło.

Samochód przejeżdża obok. I nagle zwalnia. A potem, ledwo pięćdziesiąt metrów dalej, zatrzymuje się. Flea czuje, że serce przestaje jej bić. Silnik gaśnie i w nagłej ciszy rozlega się trzask zamykanych drzwi. Kroki.

Chrzęst żwiru. Ktokolwiek to jest, podszedł blisko, naprawdę blisko. Wolno, ukradkiem Flea przesuwają się w głębszy cień, mocno ściągną łopatki, żeby było ją jak najmniej widać. Osuwa się po pniu na ziemię, a kiedy już siedzi, naciąga kaptur kurtki na twarz. Jak struś. Głowa w piasek. Absolutnie nieruchoma wsłuchuje się w kroki. Jest tylko ona, dudnienie krwi w uszach i zielonkawe smugi światła, które pulsują jej w oczach od patrzenia w reflektory. Kto mógłby mieć interes w tym, żeby się zatrzymać na takim pustkowiu? Nikt. To ziemia niczyja.

Kroki cichną i Flea zbiera się na odwagę, żeby zerknąć na boki. Mniej więcej metr od siebie widzi czyjeś nogi w butach terenowych. Jej wzrok, niczym wzrok jaszczurki, przebiega po nich wszerek i wzdłuż – wie, że wyglądają znajomo, ale nie potrafi ustalić, dlaczego ani co to znaczy.

Unosi głowę. Stoi przed nią detektyw inspektor Jack Caffery. Ma na sobie czarny kombinezon do pracy w trudnych warunkach. Trzyma ręce w kieszeniach i patrzy na nią z góry.

Ulica

CB czuje się jak natręt albo nerwowy nastolatek przed bramą szkoły, ale już po dziesięciu minutach Melanie znowu pojawia się w sklepie z alkoholem, tak samo jak poprzedniego dnia. CB czai się na ulicy, patrzy, jak Melanie rozmawia ze sprzedawcą, kiwa głową, ze skupioną miną wybiera numer PIN na terminalu.

Po chwili wychodzi ze sklepu. Długie rękawy jej bluzki wystają spod płaszcza przeciwdeszczowego i falują przy każdym kroku. Zauważa CB dopiero gdy jest bardzo blisko, może z dwa metry od niego.

– No nie – jęczy zaskoczona i staje w miejscu. – Znowu mnie nakryłeś.

– To nie tak, jak myślisz. Nie śledzę cię. Zawsze robię tu zakupy.

Melanie posyła mu zboląły uśmiech.

– Ze mną też nie jest tak, jak myślisz. – Otwiera reklamówkę i pokazuje mu dwa kartony soku pomarańczowego. – Do mieszania z wódką.

CB patrzy na ciemniejące niebo, na swój samochód, a potem rozgląda się po ulicy. Gdyby wiedział, z której strony najbardziej przypomina Presleya, chętnie wykorzystałby tę wiedzę właśnie teraz. Tymczasem mówi:

– Moim skromnym zdaniem wódka ma pewne ograniczenia. Ciekawe, czy kiedyś próbowałaś odkryć ekscytujący i niebezpieczny świat cydru.

– Ekscytujący i niebezpieczny?

– Tak... Jesteśmy... wiesz... tulimy się do drzew. Większość z nas nosi brody i grube swetry z wzorkiem. Ja jestem wyjątkiem. – CB wskazuje głową stary pub, ulubiony lokal miejscowych koneserów cydru. – Ale jeżeli kiedyś zechcesz sobie udowodnić, że niestraszne ci kosmate myśli i kosmate

stwory, to powinnaś zacząć właśnie tutaj.

Melanie obraca twarz i patrzy przez ramię na pub. Długo wbija wzrok w drzwi. CB traci pewność siebie – dyrektorka na pewno się zastanawia, jak mu odmówić. Ale ta po chwili odwraca się z uśmiechem. Osłania dłońią oczy, żeby nie raziło jej światło latarni, kiedy patrzy prosto na niego.

– Sama nie wiem – mówi. – Na pewno nie jestem zbyt elegancko ubrana?

Strus

– Cześć – mówi Caffery, jakby co najmniej wpadł na Fleę w jej biurze. – Masz chwilę, żeby pogadać?

Nie ma wyjścia – musi odpowiedzieć. Trzeba wyjąć z piachu swój duży, brzydki strusi łeb.

– Tak. – Przyjmuje swobodną pozycję, poprawia kurtkę i nonszalancko strzepuje z dłoni błoto, jakby siedzenie za drzewem na pustkowiu podczas mroźnej nocy było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Macha do niego ręką, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami niczym nastolatka. – Cześć, co słyhać?

– Wszystko w porządku. A u ciebie?

– Zimno. – Podchodzi i staje przed nim. Obejmuje się ramionami. Drży. – Jeden z chłopaków zostawił tu dzisiaj GPS-a. Są zbyt leniwi, żeby sami wrócić, więc kto zostaje małpą na posyłki? – Wyciąga ręce nad głowę i robi królicze uszy. – Sierżant. Bo przecież po to jesteśmy. Dostajemy co miesiąc kilkaset funtów ekstra, ale w zamian za to musimy przełknąć każde gówno, brać na siebie całą odpowiedzialność. Gdyby ktoś mi zaproponował, żebym znowu została szeregową funkcjonariuszką, zgodziłabym się o tak. – Pstryka palcami.

Caffery milczy i wolno kiwa głową. Jego oczy są bardzo ciemne i patrzą nieruchomo. Widać, że nie przyjmuje takich tłumaczeń. Flea wyciąga przed siebie ręce, jakby dając mu do zrozumienia: „Okej, już nic nie mówię”.

– Ale powiedz, jak, do diabła, mnie tu znalazłeś? – Wskazuje dłonią na pustą drogę, która ginie w ciemności. – Na takim...

– Domyśliłem się.

– Domyśliłeś się? Domyśliłeś się, że tu będę? Poważnie?

– Tak.

– Wytłumacz mi to.

Caffery śmieje się ironicznie, jakby teraz on chciał jej dać do

zrozumienia, że „wyjaśnienie zajęłoby wieki, jest tak złożone, takie misterne i pokrętne, że musiałbym to tłumaczyć przez tysiąc lat”. Po chwili znowu poważnieje.

– Zleciłem dodatkowe poszukiwania. Wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Flea ponuro się uśmiecha i wkłada ręce do kieszeni.

– Słuchaj, Jack, mam nadzieję, że cię to nie zdziwi, ale nikt nie rozumie, po jakiego grzyba to zrobiłeś. Dlaczego zleciłeś te poszukiwania. Jedyne powód, jaki nam przychodzi do głowy, to zaspokojenie ciekawości mediów.

Caffery potakuje:

– Masz rację. Nie ma żadnych nowych dowodów. Chodzi o odwrócenie ich uwagi od smakowitego kąska, jakim jest przyjazd matki Misty do miasta. Poszukiwania to strata czasu. Nie znajdziemy ciała Misty. Na pewno nie tutaj.

– Naprawdę? Skąd ta pewność?

Po chwili milczenia Caffery zwraca się do niej i patrzy jej prosto w oczy. Potrząsa głową. Ma tak poważną minę, że jej pewność siebie kurczy się i gaśnie.

– Co? – mamrocze Flea. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Caffery znowu potrząsa głową. Wygląda, jakby był bardzo smutny. Niesamowicie smutny.

– No co?

Detektyw przepaszająco wzrusza ramionami, a potem mówi:

– Wiem, co naprawdę się stało.

Pijani cydrem

Krople deszczu wciąż błyszczą na trawie w ogródku piwnym, ale właściciel pubu rozpałił ogień w przenośnych kominkach, więc zrobiło się dosyć ciepło, żeby usiąść na dworze. Wybrali sękaty, stary stół pod żywopłotem, który oddziela ogródek od ulicy. Żywopłot składa się z gęstych, wiecznie zielonych krzewów wawrzynu, ale między liśćmi i tak daje się dostrzec przechodzących po drugiej stronie ludzi.

CB postawił na stole rząd czterech szklanek różnych cydrów. Trzy są już niemal puste – Melanie zagłęda z namysłem do czwartej szklanki.

– I co? Widzisz dno?

Melanie potakuje:

– I bąbelki.

– Nie miej mi tego za złe, ale jeżeli mam być szczery, to sędzę, że ten cydr będzie ci smakował jeszcze bardziej niż tamte trzy.

Melanie unosi głowę i patrzy na niego.

– Dlaczego? Niby dlatego, że jestem kobietą?

– Nie da się zaprzeczyć, że to typowy „damski” cydr. Bardziej bąbelkowy. Słodszy i... taki złotawy, prawda? Da się na niego z przyjemnością popatrzeć. Jak dla mnie ma za mało taniny.

– W takim razie... – Melanie odsuwa szklankę i udaje obrażoną. – W takim razie nie interesuje mnie. Sam go wypij.

– Nie mogę. Na litość boską, nie zmuszaj mnie do tego. Muszę dbać o reputację. Ktoś mógłby mnie przypadkiem na tym przyłapać, a wtedy moje dobre imię zostałoby na zawsze zszargane.

– Szowinista.

– Lesba. Powinienem się od razu zorientować, kiedy zobaczyłem twój samochód. Volkswagen garbus mógł znaczyć tylko jedno.

– Fuj! – Melanie marszczy nos i patrzy na niego tak, jakby był

karaluchem, który właśnie wylał spod stołu. – Faszysta.

CB entuzjastycznie kiwa głową.

– I to najgorszy rodzaj faszysty. Liberał, który dał się okraść. To my stajemy się najgorszymi konserwatystami. Jesteśmy tacy źli, jak byli palacze; kiedy spotykamy na naszej drodze liberałów, pragniemy ich śmierci. Hun Attyła był niebezpiecznym, nieodpowiedzialnym liberałem.

Melanie się śmieje. Ma słodki śmiech. CB dziwi się swoim słowom i zastanawia się, czy w pewnym sensie przypadkiem nie mówi prawdy.

– Nie to miałem na myśli – mówi. – Nie jestem faszystą.

– To i tak nie miałoby dla mnie znaczenia. Przyszło nam pracować w trudnym systemie. Żal patrzeć, jak wszyscy go nadużywają.

– Marnowanie pieniędzy podatników. Poza tym najczęściej tańczymy tak, jak nam Bruksela zagra.

– Wiem. Wiem też, że gdybym nie była kobietą, nie zasłabym tak daleko. Konkurowałam o tę pracę z trzema mężczyznami, możliwe, że byłam równie dobra, jak dwaj z nich, ale na pewno nie lepsza od trzeciego, a jednak każda komisja postawiona przed takim wyborem zatrudniłaby kobietę.

– Co za skromność.

Melanie uśmiecha się nieco smutno.

– Może. Nie wiem. Ale na pewno mi zależy. Zależy mi na nich, na wszystkich. Na Zeldzie, Mosesie, Isaacu Handlu i na Matce Potworów. Wszyscy tak samo mnie obchodzą.

CB zaciska usta. Postanawia nie reagować na tę uwagę. Zeldą? Woli nic nie mówić, żeby nie skłamać.

– No i co? – zmienia temat. – Udało mi się przekonać cię do cydru? Polubiłaś go?

Melanie się rozpromienia.

– Uwielbiam cydr!

– Jeszcze jedna kolejka? Tym razem zamówię dla ciebie cydr dla prawdziwych facetów.

– Nie, dziękuję. – Uśmiech nie znika z jej twarzy. – Wezmę wódkę.

– Ty naprawdę nie znosisz cydru, prawda?

– Tak. Puszczę pawia, jeśli wypiję jeszcze łyk.

CB potrząsa głową.

– Brawo za odwagę. Nigdy nie znałem kobiety równie otwartej na nowości, elastycznej...

– Wiem. Zamów dla mnie podwójną.

CB przynosi drinki. Kiedy stawia je na stole, traci dobry humor.

– Co się stało? – pyta Melanie. – Coś się stało?

– Nie – odpowiada CB. – Nic.

– W takim razie, o co chodzi?

– O nic.

– Nie mów, że nic się nie stało, bo to nieprawda. Masz się wypowiedzieć. Jestem twoją szefową.

CB znalazł się w pułapce. Nie może powiedzieć, co naprawdę czuje – przemawiałby przez niego alkohol – więc mówi pierwszą rzecz, która przychodzi mu do głowy i brzmi chociaż trochę śmiesznie:

– Och, no wiesz. Dzisiaj znalazłem u siebie pierwszy siwy włos łonowy. Skończyłem dopiero czterdzieści trzy lata, a już mi siwieją łoniaki.

Melanie otwiera usta, żeby odpowiedzieć jakąś ciętą ripostą. Nagle dociera do niej sens jego słów i nieruchomieje, jakby ją sparaliżowało. Otwiera nieco szerzej oczy. CB kurczy się w sobie. Jego słowa miały zabrzmieć dowcipnie, ale wie, że przeholował. Pierwsza i podstawowa zasada relacji międzyludzkich: nie zakładaj pochopnie, że istnieje między wami intymna więź, i nie podejmuj za szybko działań opartych na tym założeniu. Chce coś powiedzieć w swojej obronie, ale oczywiście już jest za późno. Pewno nie tylko stracił swoją szansę, ale na domiar złego zostanie oskarżony o napastowanie seksualne – niewykluczone, że wyleci z pracy albo nawet trafi na czarną listę pracowników.

Tymczasem Melanie się uśmiecha.

– Co?

– To najlepsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

– Naprawdę?

– Tak. Ciekawe tylko, czy to zmyśliłeś. Bo sama mam dwa

takie włosy, odkąd skończyłam trzydzieści sześć lat. Kłują mnie w oczy za każdym razem, kiedy biorę prysznic i patrzę w lustro. Czasami mam wrażenie, że się ze mnie nabijają.

Zwykle CB potrafi wymyślić na poczekaniu jakąś odpowiedź, ale tym razem zapomniał języka w gębie i czuje się zagubiony. Przez cztery lata myślał, że Melanie jest totalnie poza jego zasięgiem, że jest zbyt poważna i sztywna, żeby się nim zainteresować. Tymczasem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin okazało się, że poza szpitalem zachowuje się zupełnie inaczej – że to naturalna, urocza osóbką, która ma takie same problemy jak reszta świata. Walczy o przetrwanie w pracy, lubi wypić, miała romans z niewłaściwym mężczyzną i zsiwiał jej dwa włosy łonowe. Które kłują ją w oczy, kiedy wychodzi spod prysznica.

Mogła już lepiej nie mówić o tych włosach łonowych ani o prysznicu. Za dużo – za dużo. CB robi gest, który wykonują staromodni faceci, kiedy się denerwują. Wsuwa palec za kołnierz i przesuwają w obie strony, jakby uwierała go grdyka.

– Tak czy owak, kłamiesz – mówi Melanie. – Od razu po tobie widać, że to nieprawda.

– Hm... Cóż, zgadłaś. Rzeczywiście, to nieprawda.

– No.

– Prawdę mówiąc, zauważyłem je już dwa tygodnie temu. Melanie kręci głową i wciąż się uśmiecha.

– Chodzi mi o to, że wcale nie martwią cię włosy łonowe. Chodzi o coś poważniejszego.

CB czuje się pokonany. I zmęczony. Przymyka oczy.

– Okej, powiem ci prawdę. Myślę o tym, co kiedyś zaszło między nami... Pamiętasz nasze nieporozumienie podczas przyjęcia?

– Pewno. Ale nie sądzę, żeby to było nieporozumienie.

CB zwiesza głowę.

– Nie odczytałem źle twoich intencji?

– Nie. Flirtowałam z tobą. Byłam samotna, tuż po rozwodzie. Szukałam partnera.

– A potem... – mówi wolno CB, dopasowując elementy układanki. – Kiedy wróciłem, żeby cię zaprosić na randkę, ty

już byłaś...

– Z Jonathanem.

– Z Jonathanem – powtarza CB, a w myślach dodaje: „Ależ ze mnie ciota! Co za frajer!”. Obejmuje dłońmi głowę i jęczy: – Nie do wiary. To znaczy, że już od tamtej pory ty i ja mogliśmy być...

Melanie uśmiecha się nieco wstydliwie, patrząc mu w oczy. Nagle wstaje z ławki, opiera dłonie o blat stołu, pochyla się i całuje go prosto w usta.

Ucieczka z miejsca wypadku

Flea czuje, że krew odpłynęła jej z twarzy. Jest blada jak kreda – jakby promieniowała blaskiem księżycy. Nie spuszcza wzroku z Caffery’ego.

– Co powiedziałaś? – pyta niewyraźnie. – Powtórz.

Caffery stoi w mroku nocy i jeszcze raz, prawie z poczuciem winy, mówi:

– Wiem, co się stało Misty. Wiem, co się zdarzyło i gdzie. To było tutaj. Na tym odcinku drogi.

Flea przygląda mu się nieufnie. Caffery mógłby niemal przysiąc, że widzi ogniki w jej oczach, dowód na to, że jej umysł pracuje na najwyższych obrotach, próbując sformułować rzeczową odpowiedź. W końcu jednak kobieta wybiera unik – spuszcza wzrok, wzrusza ramionami i mówi nieuprzejmie:

– Uhm, niestety, nie wiem, o czym mówisz. Naprawdę, nie mam bladego pojęcia. Widocznie jesteś bardziej stuknięty niż sądziłam, a to już poważna sprawa. – Pochyla się, żeby podnieść z ziemi plecak. Zarzuca go na ramię i odwraca się w kierunku samochodu. – Kiedy cię słucham, Jack, to mam wrażenie, że rozmawiam z facetem, któremu urwał się kontakt z rzeczywistością. Nie muszę dłużej tego... Hej! – Zatrzymuje się, bo Caffery chwycił zwisający pasek plecaka. – Puszczaj! – Siłuje się z nim, odchyła się i próbuje wyrwać Caffery’emu plecak, ale ten mocno go trzyma. – Co robisz? Puszczaj!

Teraz i Caffery zaczyna ciągnąć, używając obu rąk. Flea jest silna, zaskakująco silna, więc Jack musi użyć całej siły, żeby utrzymać torbę.

– Przestań! – mówi. – Przestań się szarpać i usiądź. Wszystko wiem, a teraz uspokój się i posłuchaj. Wiem, co on zrobił.

– Co kto zrobił? Kto? Kto!? No, kto!? Co zrobił!? Co!? Kto!? Co zrobił!? Widzisz? – Flea znowu próbuje mu wyrwać z rąk plecak. – Nawet nie jesteś w stanie odpowiedzieć! Nie jesteś

w stanie odpowiedzieć, kiedy...

– Thom! – krzyczy Caffery. – Thom, twój cholerny brat!

Z Flei całkiem uchodzi powietrze. Przestaje krzyczeć, ciągnąc, po prostu stoi bez ruchu z wysuniętą do przodu głową i wpatruje się w Caffery’ego. Na jej szyi widać wszystkie ścięgna.

– Wiem, co się stało. Znam wszystkie szczegóły. Lepiej, żebyś się z tym pogodziła.

Oboje długo milczą. W oddali po zachodniej stronie nieba jakiś niewidoczny samolot zmienia kurs. Jego silniki wydają jęczący, wysoki, samotny dźwięk. Oczy Flei groźnie błyszczą. Caffery jest pewny, że kobieta za chwilę na niego splunie, ale ta nagle wypuszcza z rąk plecak i osuwa się na ziemię. Jest śmiertelnie zmęczona – opiera głowę na kolanach i splata palce na karku.

Caffery stoi obok i ciężko łapie oddech. Nieco ponad trzy lata temu Flea Marley straciła rodziców w tragicznym wypadku. Od tamtej pory kilka spraw w jej życiu potoczyło się złym torem – bardzo złym – życie naprawdę jej nie rozpieszczało. Z tego powodu Caffery postanowił zachować dla siebie informacje o roli, którą odegrała w zniknięciu Misty. Minęło już jednak dosyć czasu. Nadeszła pora, żeby Flea oddała przysługę i teraz pomogła jemu. Wyobrażając sobie to spotkanie, w pewnym sensie oczekiwał, że Flea będzie mu wdzięczna aż do łez i rzuci mu się na szyję czy coś w tym rodzaju. Na pewno nie spodziewał się takiej reakcji, jakiej był świadkiem. Z drugiej strony, jeżeli ktoś równie długo tłumił w sobie coś takiego, to trudno oczekiwać, że obejdzie się bez bólu.

Uspokoiwszy się, Caffery odgarnia z czoła włosy, cofa się o pięć kroków, staje na środku drogi i zerka ponad ramieniem na Flea.

– Okej – mówi. – Coś ci pokażę. Niech to będzie lekcja. O ucieczkach z miejsca wypadku.

Skonsternowana, Flea unosi głowę. Patrzy na niego mętным wzrokiem.

– Samochód nadjeżdża stamtąd. – Wskazuje w kierunku wschodnim. – To srebrzysty ford focus. Jedzie z dużą

prędkością. Za dużą. Kierowca, Thom, jest pijany. Myśli, że na rzadko używanej prostej drodze nie musi uważać. Tymczasem z tamtego pola nadchodzi kobieta. Ona też jest pijana i naćpana heroiną, którą przemyciła do kliniki. Nie wie, co się z nią dzieje. Wchodzi na drogę, bo nie zdaje sobie sprawy, że to droga, więc nie zachowuje ostrożności, albo wchodzi specjalnie, żeby zatrzymać samochód. Możliwe, że chce poprosić kierowcę o podwiezienie. W każdym razie Thom zauważa ją dopiero tutaj.

Caffery wskazuje palcem miejsce, w którym stoi.

– Gwałtownie hamuje, ale samochód jedzie tak szybko, że zatrzymuje się... – Caffery idzie piętnaście kroków dalej, a potem staje i rozkłada ręce. – ...tutaj. Za późno. Misty przetacza się po dachu i ląduje... hm, dokładnie tam, gdzie siedzisz.

Przerywa wykład i oboje długo milczą. Ciszę przerywa pohukiwanie sowy gdzieś nad osadą. Zakłopotany Caffery lekko odkasłuje.

– W każdym razie Thom nie zgłasza wypadku. Jakoś udaje mu się pozbyć ciała. Ty zaś, Flea, w swojej nieskończonej mądrości postanawiasz chronić brata i tuszujesz całą sprawę.

Caffery przerywa wywód. Flea wstaje z ziemi – nieco niepewnie, wciąż zdezorientowana i roztrzęsiona. Udaje jej się jednak zachować równowagę. Sięga po plecak i zakłada go na ramię. Odwraca się na pięcie i sztywnym krokiem odchodzi. Po kilku sekundach Caffery rusza za nią, niestety, za późno. Kiedy wychodzi zza zakrętu, widzi, że Flea zerwała się do biegu i jest już przy samochodzie. Nie udaje mu się z nią zrównać, bo ta siada za kierownicą, uruchamia silnik i z piskiem opon wyjeżdża na drogę.

Caffery wyciąga rękę, żeby ją zatrzymać, ale ona zawraca w przeciwnym kierunku, wciska gaz do dechy i po kilku sekundach już jej nie widać. Został tylko Caffery, noc oraz wiszący w powietrzu zapach spalin i spalonej gumy, niczym odcisk palca.

Truskawki i cukierki z pianki

W końcu jadą taksówką do jej domu – okazuje się, że to wcale nie milion kilometrów od niego, chociaż wszystko wygląda zupełnie inaczej. Melanie mieszka w bardzo czystym, nowo zbudowanym budynku na przedmieściu Stroud. Ma zarośnięty ogród, do którego, jak tłumaczy się CB, nie ma czasu zaglądać. Z jednej strony rozciąga się widok na okoliczne wzgórza, a z drugiej na światła miasta. W mieszkaniu nie ma ekologicznych mebli z drewna wyrzuconego przez morze – prawdę mówiąc, w ogóle trudno wyodrębnić jakiś konkretny styl. Jest po prostu czysto i schludnie, i wcale nie tak idealnie ani dorośle, jak się spodziewał.

Melanie przygotowuje kolejne drinki – wódkę z sokiem pomarańczowym – które jednak stoją zapomniane na szklanym stoliku, bo CB i Melanie oddali się bez reszty namiętnym pocałunkom na sofie. CB czuje się zagubiony i nerwowo porusza głową. Melanie jest miękka, gładka i jedwabista. Pachnie dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał – truskawkami, cytryną i cukierkami z pianki. Ponadto zachowuje się, jakby chciała nadrobić stracony czas: pożera go, chwyta go za uszy i mocno przyciąga do siebie, miażdży mu usta wargami. CB przesuwa palcem wzdłuż jej pleców – czuje pod bluzką miękkie wybrzuszenie zapięcia stanika.

– Mmmmmmm – mruczy Melanie i wcale się nie opiera. – To miłe...

– Melanie...

CB musi się od niej odsunąć. Stawia stopy na podłodze, opiera łokcie na kolanach i pochyła głowę. Myśli galopują mu na złamanie karku.

Następuje pauza, Melanie siada wygodniej i poprawia włosy.

– CB? Co się stało?

– Nic. Po prostu minęło dużo czasu.

– No cóż... – Melanie śmieje się krótko, nerwowo. – To chyba nic złego, prawda?

– Nie, ja...

– Och, nie... – Melanie zasłania dłonią usta. – Jesteś gejem.

– Nie jestem gejem.

– W takim razie impotentem.

– Nie! Nie... Nic z tych rzeczy. Ja po prostu... – CB przęłyka ślinę. Mocno pociera dłonią twarz, chcąc się trochę otrzeźwić. – Jestem... – Odwraca się do niej, żeby na nią popatrzeć. Melanie ma rozmazany makijaż. – Jezu, trudno ci się oprzeć.

– Czyżby?

– Do licha, naprawdę.

– A więc...?

CB wzdycha.

– Tylko się nie przestrasz. Niektóre dziewczyny to zniechęca.

– Okej... – ostrożnie potakuje Melanie. – Zadaj mi cios. HIV? Opryszczka?

– Nie. Coś gorszego. Jestem staroświecki.

– Staroświecki? W jakim sensie? To jakaś perwersja? Czy po prostu jesteś wrażliwy?

– Nie, to nie perwersja.

– W takim razie wrażliwość? I to zniechęca kobiety?

– Pozwolisz mi wyjaśnić?

– Przepraszam. Nie powinnam ci przerywać.

– W porządku, a zatem: trzy lata temu byłem z pewną dziewczyną... kobietą...

– I wciąż ją kochasz?

– Chcesz, żebym mówił dalej, czy nie?

– Przepraszam.

– Odpowiedź brzmi: nie. Na pewno jej nie kocham i wtedy też na sto procent jej nie kochałem. Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętam jej imienia. Ale w tamtych czasach to akurat nie było dla mnie nic nadzwyczajnego.

– Mm, pikantne szczegóły.

– Owszem, pikantne... ale jednocześnie żalodne i puste. No więc leżę w łóżku z tą bezimienną dziewczyną, której twarzy też nie pamiętam, i wiem, że po seksie zapewne zamówię dla niej

taksówkę, a potem będę unikał telefonów od niej, bo po prostu takim już byłem facetem. Dziewczyny pojawiały się w moim życiu i szybko z niego znikaly. Leżymy w łóżku, jest popołudnie, wiesz, kiedy pracujemy w systemie zmianowym, musimy korzystać z każdej okazji, a na dworze moja mama pracuje w ogrodzie.

– Mieszkasz z matką?

– Tak... To znaczy nie. To nie tak, jak myślisz. To było dobre rozwiązanie. W każdym razie jesteśmy w sypialni, a mama na dworze i...

Milknie i przez chwilę zdaje się nieobecny. Relacjonując tamte zdarzenia, wciąż nie potrafi mówić o tym, co stało się później. Nigdy nie wychodzi tak, jak by chciał, żeby to zabrzmiało.

– Nagle mama dostała ataku, miewała je od czasu do czasu. Padaczka. Wozilem ją do kliniki neurologicznej we Frenchay, żeby się upewnić, że bierze przepisane lekarstwa. Lekarze twierdzili, że mają wszystko pod kontrolą, tyle że lekarstwa nie działały. Dostała więc konwulsji, upadła na ziemię i uderzyła głową o kamień. – CB przykłada palec do skroni. – O, tutaj.

– Pechowo. – Melanie syczy przez zęby. – To jedno z najgorszych miejsc.

– Przeżyłaby, gdyby od razu pojechała do szpitala. Ale ja byłem tak zajęty tym, co się działo z moim fiutem, że przestałem myśleć o matce. Słyszałem szczekanie psa za oknem, ale je zignorowałem. Nikogo innego nie było w domu, więc nikt mamie nie pomógł, kiedy tam leżała. Doszło do wylewu krwi do mózgu i zanim ktokolwiek się zorientował...

– Jezu... Jezu!

– No właśnie, Jezu.

Zapada między nimi długie, posępne milczenie, gdy oboje odtwarzają w myślach tę scenę – Melanie bardziej szczegółowo, a CB mniej. Po chwili, która zdaje się wiecznością, Melanie delikatnie opiera dłoń o plecy CB.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale mój tata też zmarł. Miał raka mózgu, więc trochę się nauczyłam o tym, jak działa mózg. Chodziłam z nim na radiologię. Widzisz? Mamy ze sobą coś

wspólnego.

CB pamięta oddział radiologiczny, przechodził koło niego z mamą. Wspomina żywe trupy z tego oddziału, czekające z maskami w rękach na napromieniowanie im głów. A więc jej tata był jednym z nich? CB głupio się czuje.

– Przepraszam. Wiem, że nie tylko mnie zdarzają się takie rzeczy. Zachowuję się egoistycznie.

– Nie, nie! Wcale nie jesteś egoistą. Rozumiem cię, naprawdę. Rozumiem też, że masz poczucie winy. Ale posłuchaj: wyobraź sobie, że to mogłoby się stać, kiedy byłeś w pracy. Albo w sklepie czy w pubie...

– Wiem, wiem, logicznie rzecz biorąc, wszystko jest jasne, nie tracę kontaktu z rzeczywistością. Nie twierdzę, że stałem się przez to fanatycznym katolikiem ani nikim w tym rodzaju, ale to przeżycie sprawiło, że jestem... Jak by to powiedzieć? Poważniejszy. Dojrzałszy. Szybkie numerki na jeden raz? To już nie dla mnie. Okazuje się, że takie podejście najbardziej zniechęca dziewczyny. Wygląda na to, że kobiety są w sprawach seksu bardziej wyrachowane i bezwzględne niż faceci.

– A to suki – mówi Melanie i mruży oczy. – Wredne, płytkie suki.

CB niewesoło się śmieje.

– Tak, ale co zrobić? Nie wiem, po co wyskoczyłem z tą gadką. Jakoś tak wyszło. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że jestem staroświecki.

– I dzięki Bogu.

Melanie wstaje i popycha go z powrotem na sofę, a potem siada na nim.

– Już się bałam, że powiesz, że ci nie staję.

Pod wiaduktem

Los wykonał powolną lecz nieuniknioną wolnę, sprawy przyjęły dokładnie taki obrót, jakiego Caffery chciał uniknąć. Wszystko poszło na opak – katastrofa okazała się doprawdy spektakularna. Wyobrażał sobie, że Flea przynajmniej zrozumie, ile kosztowało go dochowanie tajemnicy, a może nawet mu podziękuje i nazwie bohaterem. Życie lubi jednak płatać figle. Zresztą święci i bohaterowie to zdecydowanie nie są barwy klubowe drużyny Caffery’ego. Czas przyjrzeć się wszystkiemu od nowa.

Wolno wraca samochodem do biura, mijając ulice Bristolu i ostatnią falę klientów pubów, już zmierzających do domów. To miasto wyrosło na handlu niewolnikami – wąskie, filigranowe kamienice zbudowano za pieniądze z tego procederu i jest to fakt, którego nie da się zamaskować żadnymi zdobieniami. Caffery czuje się zmęczony. Jest głodny i ma ochotę się napić. Przykłada kartę magnetyczną do czytnika przy szlabanie i wjeżdża na parking. Prawie nikogo poza nim tam nie ma – jedna czy dwie furgonetki laboratorium kryminalistycznego i kilka samochodów należących do cywilnych pracowników biura. Parkuje pod wiaduktem, przodem do torów kolejowych, i zaciąga hamulec ręczny. Zbiera się do wyjścia, lecz nagle czuje, że nie jest sam. Ktoś jeszcze zaparkował pod wiaduktem.

To Flea. Siedzi cztery stanowiska dalej w swoim renault, na wpółlukryta za zielonym kontenerem, który stoi w krzakach na środku parkingu.

Caffery wysiada z samochodu i zakłada kurtkę. Zamyka drzwi, a potem przez chwilę tkwi w miejscu. Postać w renault się nie rusza. Caffery podchodzi i chwyta za kłamkę – drzwi są otwarte. Wie, że Flea zostawiła je specjalnie dla niego, więc wsiada, nie przepraszając ani niczego nie udając. Kobieta

opiera łokcie na kierownicy, ukryła twarz w dłoniach. Wciąż ma na sobie kombinezon taktyczny. Widać jedynie wystający spod potarganych włosów łuk jej ucha.

W samochodzie unosi się zapach poliuretanowych woreczków – takich jak te, w których grupy wsparcia przechowują swoje materiały – oraz ledwo wyczuwalna woń jakiegoś kobiecego kosmetyku. Szamponu albo płynu do kąpieli. Caffery czeka.

– Okej – mówi w końcu Flea. – Okej – powtarza, nie patrząc na niego. – Chyba jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak bardzo wstyd.

– Z jakiegoś powodu próbowałaś chronić brata.

– Tak. – Flea robi pauzę nieco dłuższą niż to konieczne. Bębni palcami w czoło. – Powiesz mi, skąd wiedziałeś?

– Ktoś widział wypadek.

– A tym kimś jesteś... ty?

– Nie.

– W takim razie kto?

– Mój kolega.

Chwila milczenia. Caffery spodziewa się, że Flea na niego popatrzy, ale jego przewidywania się nie sprawdzają.

– Kolega?

– Tak.

Caffery zastanawia się nad tym określeniem. Pewien stary włóczęga był świadkiem potrącenia Misty przez Thoma. Czy może nazwać go kolegą? Nie jest tego pewny. Cicho odkasłuje.

– Nie musisz się nim przejmować. Słowo.

– Słowo? I niby mam ci wierzyć, bo jesteś taki prawdomówny? Zawsze?

– Nie zawsze, ale w tym przypadku jestem. Zaufaj mi.

– Chyba nie mam wyboru. – Flea mocniej bębni palcami. – Następne pytanie: od kiedy znasz prawdę?

– Od półtora roku. Mniej więcej.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Czasami zadaję sobie to samo pytanie.

– Ale teraz postanowiłaś coś powiedzieć.

– Czekałem, aż wrócisz do zdrowia po wypadku. Poza tym krążą wokół mnie rekiny.

– Każdy z nas ma jakieś rekiny.

– Pewno. Ale moje już zaczęły mi działać na nerwy. Potrzebuję twojej pomocy, żeby się ich pozbyć. Widzisz? Nie wiem, jak Thom zdołał cię na to namówić, ale wiem, co zrobiłaś z ciałem.

Palce Flea przestają wystukiwać nerwowy rytm. Kobieta obraca nieznacznie twarz i w zasięgu wzroku Caffery'ego pojawia się jej oko. Pokrywają je rozmazane resztki tuszu. Mruga.

– Powtórz to.

– Widziałem cię, Flea. Widziałem, co zrobiłaś. W Grocie Elfa. Przy kamieniołomie. Utopiłaś ciało.

Flea unosi głowę i wpatruje się w niego z otwartymi ustami. Caffery niemal czuje żar jej pracującego na najwyższych obrotach mózgu, który przetwarza zmagazynowaną w organizmie glukozę, żeby umieścić wszystkie informacje we właściwych przegródkach – przyswoić jego słowa.

– To prawda. Przykro mi.

Usta policjantki poruszają się bezgłośnie. Nagle Flea spuszcza głowę i nią potrząsa.

– Nie do wiary – mówi. – Wszystko wiesz? Wiesz wszystko o mnie, o Thomie i o całej sprawie. A jednak trzymałeś to w tajemnicy? Dlaczego?

– Nie wiem. Może z tego samego powodu, z którego ty chroniłaś Thoma.

Flea otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale zmienia zdanie. Przyciska do oczu nadgarstki, jakby chciała pozbyć się jakiegoś obrazu. W porównaniu z mężczyznami z oddziału jest drobna i delikatna – trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób pozbyła się ciała. Gdyby Caffery nie widział tej sceny na własne oczy, ukrywając się pod osłoną ciemności, nie uwierzyłby, że coś takiego jest w ogóle możliwe. A jednak naprawdę do tego doszło. Zbadał plan kamieniołomu i ocenił, że Misty może się znajdować co najmniej sześćdziesiąt metrów pod wodą, na dnie wyrobiska. Na samą myśl o tym robi mu się zimno – kamieniołom jest jednym z najmroczniejszych, najbardziej upiornych miejsc, które widział w całym swoim życiu. Leży na

uboczu, dawno wycofany z użycia i zalany wodą – panuje tam budząca grozę aura, jakby na jego terenie działały siły nadprzyrodzone. To prawdziwa mekka samobójców – trudno zliczyć, ilu ludzi odebrało sobie życie w tym miejscu. Czasami ciała udaje się znaleźć, a czasami nie.

– Gdyby pewnego dnia osuszono tę kopalnię, spacer po niej przypominałby podróż przez piekło – mówi Caffery.

– Tak. Ale nawet gdyby ktoś to zrobił, i tak nie znalazłby Misty.

– Słucham?

– Nie ma jej na dnie kamieniołomu.

Caffery pochyła głowę i uważnie patrzy na Flea. Jej słowa nie pokrywają się z tym, co widział. W najmniejszym stopniu.

– Zataszczyłaś ją tam. Widziałem cię. Nie mam wątpliwości, że coś z nią zrobiłaś.

– Rzeczywiście, coś zrobiłam. Tego możesz być pewny. – Flea otula się szczelnie kurtką. – Chcesz o tym komuś powiedzieć?

– Nie.

– W takim razie dlaczego zleciłeś poszukiwanie? To ty wydałeś rozkaz, na pewno masz jakiś powód.

– Tak. Znalazłem... pewien sposób na rozwiązanie tej kwestii, żeby już nas nie dręczyła. Przemyślałem to na wszelkie sposoby. Musi się udać.

– Na pewno by się udało, gdybyśmy już nie wracali do tej sprawy. Nikt nigdy nie znajdzie Misty. Może i pali mnie wstyd, ale przynajmniej mogę zasnąć w nocy.

Caffery patrzy przez okno. Studiuje plamy rdzy na konstrukcji wiaduktu, błyski reflektorów, kiedy na autostradzie nad ich głowami przejeżdżają samochody. Czuje ciężar wody – milionów ton wody. Lodowaty czarny kamieniołom jak gigantyczne lodowe serce. Nie wierzy, że Flea spokojnie sypia w nocy.

– Muszę odzyskać jej szczątki.

Słyszy głośny syk wdychanego powietrza. Flea zwraca się w jego kierunku.

– Przepraszam, nie przesłyszałam się?

– Żeby mój pomysł zadziałał, muszę odzyskać to, co z niej

zostało. Sam nie będę w stanie tego wydobyć. Tylko ty to potrafisz. I... – Milknie. Patrzy w jej oczy rozszerzone szokiem i wie, że posunął się za daleko. Zaraz kompletnie straci szansę na współpracę. Odkasłuje zawstydzony. – Wiesz co? Na razie nie mówmy o tym więcej. Prześpij się i zastanów.

Flea nie odpowiada. Wpatruje się w niego nieruchomymi oczami.

– Nic ci nie jest?

Flea sztywno, ledwo dostrzegalnie potrząsa głową.

– Nie, nie.

– Masz ochotę na kawę? Albo na drinka?

– Nie, dziękuję. Lepiej już wrócę do domu.

– Dobrze – potakuje Caffery. – Dobrze.

Czeka jeszcze chwilę i zastanawia się, czy powinien coś dodać, ale Flea nie rusza się ani nic nie mówi, więc po chwili wysiada. Zapina zamek kurtki. Patrzy, jak Flea uruchamia silnik i wyjeżdża łukiem z parkingu. Renault skręca na drogę dojazdową i w końcu znika między budynkami. Caffery czeka jeszcze pięć minut, dopóki nie staje się jasne, że przyjaciółka nie wróci.

Podnosi kołnierz kurtki i rusza w kierunku biura.

Szron

CB znowu śni o jaskini. Tym razem jest w niej również kobieta. Stoi u wejścia do groty, ale patrzy w przeciwnym kierunku. CB myśli, że to Melanie. Woła ją, ale ta nie odpowiada. „Melanie!” Tym razem kobieta wykonuje niepozorny gest, jakby zamierzała się odwrócić, ale w tej chwili sen się rozwiewa i kończy. CB wyciąga rękę, lecz napotyka jedynie zimne powietrze.

Mija kilka sekund, zanim przypomina sobie, że jest w sypialni Melanie w Stroud. Po chwili dociera do niego, że ona też już nie śpi – siedzi obok. Zasłony są rozsunięte i przez okno sączy się księżycowy blask; na kobietę pada błękitna, niemal nadnaturalna poświata.

Melanie jest złana potem. Z niedowierzaniem patrzy na okno.

– Melanie? – CB opiera się na łokciach. – Melanie? Co się stało?

Ta jak w transie wskazuje na okno. Trudno powiedzieć, czy się zbudziła, czy wciąż śpi.

– Ma na sobie... – Urywa w pół zdania. Potrząsa głową i przykładła do czoła zaciśnięte pięści. – Nie. Nic nie widziałam.

– Melanie? – CB dotyka jej pleców i nieco się pochyla, żeby sprawdzić, co jest za oknem. Widzi drzewa za ogrodem, które lekko kołyszą się w blasku księżyca.

– Co ci się przywidziało?

– Nic. Byłam... Sama nie wiem. – Wzdryga się. – To na pewno sen.

– W porządku, ale jak sądzisz, co widziałaś?

– Nic. Zupełnie nic. Ja tylko...

– Tylko?

Melanie staje na dywanie, chwyta poduszkę i trzyma ją przed sobą, żeby zasłonić swą nagość. Idzie do okna. CB też wstaje, podchodzi i patrzy ponad jej ramieniem na ogród. Trawę

pokrywa szron – a od linii drzew mniej więcej do środka ogrodu prowadzi ciemna szrama. Wygląda tak, jakby ktoś wszedł do ogrodu, zatrzymał się, żeby popatrzeć na okno sypialni, a potem wrócił tą samą ścieżką tam, skąd przyszedł.

CB sięga po T-shirt i spodnie i zaczyna się ubierać.

– Co robisz?

– Ktoś tam jest.

– Nie... Nikogo nie ma. Coś mi się przyśniło. – W głosie Melanie słychać panikę. Jest oszołomiona i drży na całym ciele.

– CB... Nie wychodź na dwór... Proszę, nie wychodź.

– Masz latarkę?

– Proszę. Teraz naprawdę się boję.

– Masz latarkę?

– O Boże.

Melanie sztywno idzie do komody i przerzuca rzeczy w szufladach, w pośpiechu wysypując kilka z nich na podłogę. W końcu znajduje latarkę. Jest duża, a jej ciężar dodaje odwagi. CB waży ją w dłoniach.

– W sam raz.

Schodzi po schodach. Melanie drepcze ostrożnie za nim, wkładając po drodze kimono.

– Nikogo tam nie ma... Jak by wszedł? Proszę, nie zostawiaj mnie samej.

Drzwi kuchenne są zamknięte, ale kiedy CB naciska klamkę, okazuje się, że tego samego nie da się powiedzieć o zamku.

– Kurczę – mówi przez zęby Melanie. Zawiązuje pasek kimona. – Wciąż o nich zapominam. To z reguły bezpieczna okolica. – Wyciąga szyję, żeby zerknąć nad jego ramieniem do ogrodu. – Nie wychodź... Proszę. Nie chcę zostać sama.

– Lepiej włóż buty.

Melanie posłusznie wykonuje polecenie i po chwili ma na nogach kalosze. CB wkłada buty – bez skarpetek – i oboje wychodzą na dwór. Drzwi wydają przy zamknięciu cichy stukot.

Na zewnątrz panuje głęboka cisza. Z daleka dobiega stłumiony szum samochodów, który płynie nad dachami od strony miasta, ale w ogrodzie słychać jedynie delikatny szmer

wiatru między gałęziami. CB i Melanie stoją na progu i nasłuchują, wstrzymując oddech.

Nad ich głowami zapaliła się lampka na fotokomórkę, ale jej światło jest za słabe, żeby dosięgnąć ogrodu.

CB włącza latarkę. Ma silny promień, który oświetla pnie drzew.

– Nie ma ogrodzenia – szepcze Melanie. – Robotnicy zeszli z budowy, zanim wykończyli ogród.

Pośród drzew nie widać żadnego ruchu – nie daje się dostrzec błysku oczu ani żadnych innych podejrzanych zjawisk. CB kieruje światło na trawnik. Zapuszcza się na kilka kroków w głąb ogrodu – zmarznięta ziemia chrzęści pod jego stopami. Zatrzymuje się w miejscu, gdzie kończy się ciemny trop wiodący spod drzew. Świeci latarką pod nogi. Nic ciekawego. Daleko mu do tropiciela – Indianina Nawaho czy skauta – po prostu udaje, że wie, czego szuka. Wyobraźnia podsuwa mu niewyraźny kształt – koszulę nocną, tupot drobnych stóp. Bardziej prawdopodobne, że było to jakieś zwierzę. CB przypomina sobie mundzaka, który kiedyś przyszedł z lasu i buszował w zagonach sałaty ciotki Patience. Lepiej sobie wmówić, że to właśnie zwierzę, a nie coś innego.

– Jest tam kto!?! – woła w kierunku drzew. – Czym możemy służyć?

Cisza.

– Wracajmy do środka – ponagla szeptem Melanie. Jest kompletnie roztrzęsiona. – Chcę już wracać.

CB zostaje na miejscu jeszcze kilka minut – stara się, żeby jego sylwetka wyglądała na jak najszerszą. To pewno fałszywy alarm, ale jeżeli ktoś się kręci pod drzewami, to niech wie, że w domu jest mężczyzna. Tymczasem dalej nic nie słychać. W końcu gasi latarkę i cicho wraca do domu. Melanie przekręca klucz w zamku i zakłada skobel. Oboje sprawdzają wszystkie okna, a potem, trzęsąc się z zimna, wracają do łóżka.

Leżą razem i próbują się rozgrzać, ale Melanie dziwnie się zachowuje. Odwraca się plecami do CB i przestaje się odzywać, ale on nawet bez patrzenia wie, że kobieta nie śpi i już raczej nie zaśnie.

– Hej... – szepce. – Co tam widziałaś? Co to mogło być?

Melanie potrząsa głową.

– Nic nie widziałam. To był sen.

– Co ci się śniło?

– Już nie pamiętam. Coś... głupiego.

Zapada między nimi milczenie. Po jakimś czasie CB znowu zaczyna przysypiać. Nagle słyszy głos Melanie:

– CB?

– Mm?

– Wierzysz, że jeśli wystarczająco długo się czymś przejmujesz, to możesz zacząć o tym śnić? Albo nawet mieć halucynacje związane z tą rzeczą?

– Oczywiście. Powiedziałbym, że to nawet bardzo możliwe. Czym tak bardzo się przejmujesz, że aż sobie to wyśniłaś?

Melanie wzrusza ramionami.

– Nie wiem... Nie pamiętam. – Demonstracyjnie udaje, że ziewa. – Dobranoc, CB. Miłych snów.

Ktoś na pewno coś wie

Flea idzie do łóżka o drugiej, ale zasypia dopiero około czwartej. Zostawiła włączony telewizor, żeby dotrzymywał jej towarzystwa – nadal cicho gra w kacie. To uciążliwa noc; Flea wierci się i przewraca w pościeli, nie może znaleźć sobie wygodnej pozycji. Co chwila się budzi. Wciąż ma wrażenie, że ktoś wszedł do pokoju – rodzice albo Jack Caffery. Raz siada wyprostowana na łóżku i widzi odbitą w telewizyjnym ekranie czaszkę, pół kobiecą, pół końską, z długimi przednimi zębami odsłoniętymi przez dziąsła. Ma włosy blond i puste oczodoły.

Misty?

Tak, cześć, no i co? – odpowiada Misty. – Masz coś dla mnie czy żądam za wiele? A tak w ogóle, dlaczego mnie tam zostawiłaś? Znajdą mnie, on mnie znajdzie, jeżeli sama mu w tym nie pomożesz.

Flea wyciąga do niej rękę, ale twarz Misty rozplywa się i policjantka znowu leży na łóżku, a serce łomocze jej w piersi. Wpatruje się w ekran telewizora, który wciąż działa bez dźwięku. Sztuczna opalenizna i napuszone, rozgniewane kobiety na wysokich obcasach. Nagle w studiu pojawia się kobieta, która z poważną miną przysiadła na granatowej sofie. Krótka spódnica, opalone kolana, złączone, skromnie zwrócone w kierunku prezenterki, która przyjmuje zatroskaną, współczującą minę. Flea maca dookoła, szukając pilota, i po chwili zwiększa głośność.

– ...ktoś na pewno coś wie – mówi Jacqui Kitson. – Ktoś musi wiedzieć, gdzie ona jest.

Flea wciska czerwony przycisk. Z telewizora dobiega krótki wizg i obraz znika. Flea opiera łokcie na kolanach i masuje kciukami skronie. Czy wczorajszy wieczór naprawdę się zdarzył? Czy rzeczywiście stało się to, co się stało? Jack twierdzi, że widział ją w kamieniołomie. To na pewno prawda.

Inaczej nie mógłby się dowiedzieć.

Za oknem wschodzące słońce już zakrada się do długiej rysy na ziemi – doliny Avon. W mieście jedno po drugim zapalają się kolejne światła. Bath wolno wynurza się z monochromatycznej mgły. Flea gramoli się z łóżka, człapie do łazienki, ciężko stawiając stopy na chwiejnych deskach podłogi na korytarzu. Po lewej stronie znajduje się pokój, w którym przechowuje oklejone taśmą kartonowe pudła. Ten wysłużony budynek od zawsze był jej domem – miejscem, w którym się wychowała. Mama i tata nie żyją – zginęli kilka lat temu w wypadku podczas nurkowania – i bez nich dom zdaje się niesamowicie pusty. Jak skorupa. Ostatnio Flea w końcu wzięła się do pakowania ich rzeczy osobistych. Potraktowała to jak element terapii – rodzaj fartleku dla duszy. Dzięki temu może dalek latać.

Szczotkuje zęby, spryskuje twarz wodą i od razu wkłada strój do biegania – siada na brzegu wanny, żeby zasznurować buty. Nie może spełnić życzenia Caffery’ego, bo to wiązałoby się z uwolnieniem myśli, które spakowała równie starannie, jak te rzeczy w sąsiednim pokoju, i odłożyła na przechowanie w ciemnych zakamarkach pamięci. Musi zachować swą integralność. Jeżeli zacznie o tym myśleć albo dopuści do siebie wątpliwości, straci grunt pod nogami. Rozpadnie się na drobne kawałki. To nikomu nie przyniesie nic dobrego. Ani jej, ani Caffery’emu. Ani Jacqui Kitson.

Podskakuje kilka razy i zdecydowanym truchtem zbiega na parter.

Wszystko da się schować do skrzyni. Pewno, od czasu do czasu coś może się miotać w środku i będzie próbowało się wydostać, ale przy odrobinie silnej woli można to wepchnąć z powrotem pod wieko. Najważniejsze, żeby być w ciągłym ruchu. Nie patrzeć pod nogi. Flea wkłada kurtkę do biegania i zdejmuje klucze z haczyka. Potem otwiera drzwi i wychodzi w mroźną mgłę.

Bransoletka

Rano Melanie i CB zawierają milczący pakt, że już nie będą wracali do wypadków z ubiegłej nocy. Że przejdą nad nimi do porządku dziennego. Melanie opowiada kiepski dowcip o duchach. CB chichocze i sam też odpowiada żartami – o podglądaczach i o tym, że Melanie wkrótce zostanie pacjentką swojego szpitala, będzie chodzić uwalana resztkami obiadu, a z ust będzie jej zwisała ślina. Melanie łaskocze go i muska włosami. CB udaje, że poluje na jej piersi, a ona zwiija się i piszczy ze śmiechu.

Kochają się przy odsłoniętych oknach. Nagie gałęzie drzew w kępie graniczącej z ogrodem są białe od szronu, nieruchome. Po seksie Melanie leży na brzuchu, z głową opartą na ramionach, i opowiada o sobie.

Okazuje się, że ma całkiem pokaźny bagaż złych doświadczeń i wad. Nie chodzi jedynie o żal po stracie ojca – raczej o rozpad życia uczuciowego z powodu jej poświęcenia dla pracy. Thatcherizm doprowadził do zamknięcia szpitala w Gloucester, co zapoczątkowało jej pielgrzymkę po całym kraju. Wylądowała na dłużej w Rotherham, gdzie wspięła się po szczeblach kariery na stanowisko kierownika szpitala, a potem została dyrektorem. Pięć lat temu ten szpital też zamknięto, a ją oraz Jonathana Keaya przeniesiono do Beechway. W tamtych czasach Keay i Melanie byli jedynie znajomymi z pracy, ona zaś miała męża – doradcę podatkowego z Oldham. Małżeństwo trwało dziesięć miesięcy, dopóki Melanie nie przeszła do Beechway – mniej więcej w tym okresie pojawił się tam też CB – a jej mąż twierdził, że bardziej jej zależy na losach szpitala niż na gotowaniu mu obiadów, więc złożył pozew o rozwód.

– To właśnie wtedy poznaliśmy się na imprezie zakładowej, prawda?

– Uhm – potakuje Melanie z twarzą ukrytą w zgięciu pod łokciem. – Rozwód prawie mnie wykończył. Tamtej nocy podjęłam pierwszą próbę powrotu do normalności.

– Cholera, dlaczego nie skorzystałem z zaproszenia?

– No, właśnie nie wiem. Dlaczego?

CB śmieje się ponuro.

– Chyba jednak wiesz. Wczoraj o tym rozmawialiśmy. Nie sądziłem, że możesz się zainteresować kimś takim jak ja.

Trudno mu się pogodzić z faktem, że zmarnował tyle lat, ale rozumie też, że kiedyś był innym człowiekiem – zupełnie innym niż Jonathan Keay, któremu nie zabrakło sprytu i pewności siebie, żeby przejąć pałeczkę, którą on upuścił. Keay i Melanie długo utrzymywali swój związek w tajemnicy przed innymi pracownikami szpitala. Minęły niemal cztery lata, zanim postanowił od niej odejść.

– Potrzebował tyle czasu, żeby się przekonać, że nie zwolnię się z pracy. Że nie przestanę opiekować się pacjentami po to, żeby siedzieć w domu i piec mu ciasteczka. Może i przeżyłam piekło, ale wiesz co? – dodaje z namysłem. – Przynajmniej pierwszy raz, odkąd pamiętam, zgubiłam parę kilogramów. Czyli nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wiesz, jak to mówią, zawsze trzeba patrzeć na jasną stronę życia.

Z każdą sekundą Melanie nabiera coraz więcej ludzkich cech – CB coraz lepiej ją rozumie i nie może się nadziwić, jak swobodnie czuje się w jej towarzystwie. Zupełnie jakby robili to od zawsze – rozmawiali o swojej przeszłości, przyznawali się do swoich wad.

Razem piją kawę i jedzą tosty, które Melanie przypaliła. Mundzak zabłąkał się do ogrodu i chodzi po oszronionej trawie. CB patrzy na niego i zastanawia się, czy to on wczoraj w nocy napędził im strachu. Możliwe. A jeżeli tak, to czy nie jest to swego rodzaju błogosławieństwo? Jakby do miasta zakradł się wysłannik dzikiej natury, w otoczeniu której mieszka CB, żeby przekazać wiadomość, że podjął słuszną decyzję. Najlepszą. Zmęczenie i konsternacja, które mu towarzyszyły przez cały tydzień, ulotniły się niczym szkocka mgła. CB czuje, że rozpiera go dzika energia – jakby to był jego

pierwszy dzień na Ziemi. Pierwszy znany człowiekowi wschód słońca, pierwszy błękit nieba, pierwsze łóżko, poduszka, dywan i okno.

Czuje się tak naładowany energią, że kiedy Melanie szykuje się do pracy, zaczyna naprawiać różne drobiazgi. Jakby to już był jego dom. W kuchni brakuje uchwytu przy jednej z szafek, a w łazience poluzował się panel na obudowie wanny, więc CB bierze się do roboty – pierwszy facet na Ziemi, kwintesencja siły i cnót – jakby nagle się okazało, że jednak ma nogi czarnoskórego piłkarza, o których zawsze marzył. Leży na podłodze w bokserkach i T-shircie i sprawdza, czy zestaw narzędzi z różowymi uchwytami nadaje się do pracy, czy tylko ładnie wygląda. Tymczasem Melanie robi makijaż w łazience – i też wygląda bardzo ładnie. Ma na sobie krótkie różowe kimono z satyny, które na każdej innej kobiecie sprawiałoby tandetne wrażenie. Na niej jednak wygląda szalowo.

– Co? – pyta Melanie, widząc, że CB się jej przygląda.

Rozchyła ramiona i sprawdza, czy kimono nie odsłania więcej niż powinno. Pod tym względem kobiety są zabawne – pozwalają ci robić najbardziej nieprawdopodobne rzeczy ze swoim ciałem, a potem ni stąd, ni zowąd, zachowują się jak nieśmiałe cnotki.

– Jestem gruba?

– Opaśła. Nie wiem, jak możesz z tym żyć.

– Naprawdę? – pyta spanikowana.

Szczerze mówiąc, ma odrobinę sadelka – jedną małą fałdkę tłuszczu, która, zdaniem CB, wygląda niesamowicie seksownie. Ubiegłej nocy ta fałdka bardzo ją zawstydziała. Melanie wciąż próbowała zasłonić ją rękami i błagała, żeby na nią nie patrzył.

– Mówisz poważnie? – upewnia się. – Co widzisz?

– Melanie, to nic. Patrzę na ciebie i jeśli chcesz znać prawdę, to wcale nie zastanawiam się nad twoją figurą, tylko myślę o tym, że mam wielką ochotę znowu cię przelecieć.

Słyszac to, Melanie się rozluźnia. Chichocze i lekceważaco macha ręką.

– Głuptas.

– Mówię poważnie.

Melanie lekko się czerwieni i już otwiera usta – gotowa poważnie rozważyć tę ewentualność – ale nagle przypomina sobie o pracy. Zerka na zegarek.

– Och, CB...

– No to jak? Wieczorem? Po pracy?

– Nie widzę przeszkód.

– W takim razie umowa stoi.

CB dalej próbuje naprawić panel. To nie takie łatwe – jeden z wkrętów wygląda tak, jakby ktoś specjalnie próbował go wyrwać i uszkodził konstrukcję samej wanny. CB zastanawia się, jak to się mogło stać – wygląda na to, że wymagało to dużej siły. Cały czas ma przed oczami twarz Jonathana Keaya. Dziwne, że Jonathan nie zwracał uwagi na tyle usterek w domu Melanie. Może nie miał uzdolnień technicznych.

– To dziwne.

CB przerywa pracę i wygina szyję, żeby sprawdzić, co tak zaskoczyło Melanie w sypialni. Ta trzyma na kolanach torebkę i marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Co jest dziwne?

Melanie zerka na niego.

– Nie wiem. Moja bransoletka. Była tutaj. A teraz jej nie ma.

– Bransoletka?

– Tak... – Melanie przetrząsa torebkę. – Włożyłam ją tutaj wczoraj rano. Zdjęłam ją w pracy, żeby nie zwracać niczyjej uwagi na to. – Z ponurą miną unosi zabandażowaną rękę. – Stwierdziłam, że biżuteria za bardzo przyciągałaby wzrok.

– Co to była za bransoletka?

– Nic specjalnego, zwyczajny drobiazg. Dostałam ją od Jonathana.

CB gramoli się spod wanny i opiera na łokciach, żeby lepiej ją widzieć. Wygląda na szczerze zaniepokojoną, kiedy gorączkowo wyjmuje całą zawartość torebki.

– Do cholery – przeklina pod nosem. – No, do diabła.

Nagle widzi, że CB się jej przygląda. Przestaje się miotać i uśmiecha przepraszająco.

– Trudno. – Pociera dłonią kark i stara się zbagatelizować

sprawę, jakby należało się spodziewać, że coś takiego się stanie.
– I tak nie była nic warta. Złamanego pensa.

CB odnosi wrażenie, że to kłamstwo. Nie sądzi, żeby bransoletka nie była dla niej warta złamanego pensa. Wręcz przeciwnie. Czuje niespodziewane ukłucie zazdrości. Trudno mu się z tym pogodzić. Wpełza z powrotem pod wannę i dalej naprawia panel.

Szafka Zeldy

Wczoraj został wypisany jeden ze stałych pacjentów Beechway – zwykle tego rodzaju zmiana w dynamice szpitalnej egzystencji wpłynęłaby negatywnie na resztę pacjentów. Tymczasem, jak się zdaje, dzisiaj jest wręcz przeciwnie. Na oddziale panuje większy spokój niż przez ostatnie kilka miesięcy. Nie włączają się alarmy, nie dochodzi do sytuacji kryzysowych, nie podjeżdżają karetki, nie ma gróźb, łąz ani wypadków nietrzymania moczu. Szpital dryfuje w bezsennej idylli.

W dzień gabinet koordynatora zdaje się zupełnie innym miejscem. CB nie rozumie, dlaczego ubiegłej nocy tak bardzo chciał się stąd wyrwać. Czego tu się bać? Ciemność wyzwala strach – podstawową instynktowną reakcję człowieka. Czy to ten sam strach, który w nocy sprawił, że w ogrodzie Melanie zmaterializowała się wydeptana w szronie ścieżka? Nie – ta ścieżka istniała naprawdę. Nie wyobrazili jej sobie. Problem w tym, że przez panującą w szpitalu atmosferę – przez te zwariowane pomysły i plotki – wyobraźnia takich ludzi jak on i Mel pracowała na dwie albo i trzy zmiany.

CB próbuje znaleźć raporty techniczne z dnia, w którym Moses wydłubał sobie łyżką oko, ale Melanie miała rację – zostały zniszczone albo pogrzebane przez biurokratyczną maszynę tak głęboko, że już nie da się ich odkopać. Niektóre dokumenty związane ze śmiercią Zeldy znajdują się w jego gabinecie – i właśnie na nich postanawia się skoncentrować. Wciąż trzeba wypełnić formularze, rozesłać listy, zgromadzić i posortować rzeczy osobiste, a kiedy koroner wyda ciało, szpital będzie musiał okazać zainteresowanie przygotowaniami do pogrzebu. Prawdopodobnie Melanie weźmie udział we mszy, żeby okazać zmarłej szacunek. CB mógłby jej towarzyszyć, jednak to byłaby hipokryzja – nie znosił Zeldy.

Nie wypada iść na jej pogrzeb i udawać smutek przed rodziną.

Na jego biurku leży teczka zawierająca dokumentację z całej rehabilitacji Zeldy. Zostawili ją tutaj zatrudnieni przez szpital pracownicy socjalni. Dopisali wiadomość na kartce: „Znalezione w szafce Zeldy w ośrodku terapeutycznym. Przekazać śledczym? Rodzinie? W przeciwnym razie, zniszczyć – brak zastosowania”. CB przerzuca na chybił trafił kilka stron: niezliczone drobne zadania, które dostawała – między innymi fikcyjne podania o fikcyjną pracę. Lista rzeczy, które może zaoferować światu (wymieniła wśród nich: urok osobisty, życzliwość, umiejętność słuchania innych). Skopiowane z internetu przepisy kulinarne, prace plastyczne, wstępne wersje zażaleń na złe zachowanie pacjentów, personelu i demonów, które co noc ją gwałciły. Jeden z listów jest zaadresowany do Baracka Obamy. CB potrząsa głową. Biały Dom pewno zatrudnia cały zespół osób odpowiedzialnych za tego rodzaju korespondencję – mężczyzn w garniturach oraz absolwentki Brooks College, jak w *Prezydenckim pokerze*.

CB podnosi teczkę, żeby ją wyrzucić do kosza. Nagle jeden z bohomazów Zeldy przykuwa jego uwagę. Siada z powrotem na krześle, kładzie teczkę na kolanach i rozkłada na biurku dużą zamalowaną kartkę. Wie z doświadczenia, że chorzy psychicznie tworzą dwa rodzaje dzieł – takie, w których obsesyjnie dbają o szczegóły (na przykład odtwarzają panoramę Londynu we flakoniku po perfumach), albo dziecinne i kompletnie pozbawione polotu.

Obraz Zeldy należy do drugiej kategorii. Mógłby być z niego dumny ośmiolatek z podstawówki. Przedstawia koślawego konia niosącego na grzbiecie postać, która chyba miała być Heathcliffem, który mknie przez wrzosowiska, ale równie dobrze może być Drakulą. Wzrok CB przykuł jednak element widoczny w górnym rogu. Zdaje się, że to druga postać, która obserwuje scenę ze szczytu odległej góry. Przypomina człowieka, ma jednak dziwną twarz – niepokojąco gładką, pozbawioną rysów. Postać odziana jest w białą suknię. Włosy tej istoty sterczą na obie strony, a ręce są pomalowane w pomarańczowe i brązowe pasy. W obu dłoniach trzyma coś,

co wygląda jak dziecięce kukielki.

CB jak oparzony upuszcza kartkę na biurko. Wstaje i chodzi w tę i z powrotem po gabinecie, wycierając dłonie, i co chwila zerka ze strachem na malunek. W końcu przestawia lampkę na drugi koniec biurka i przygląda się uważniej. Tym razem dostrzega, że Heathcliff wygląda jak Drakula, bo jego język jest pokolorowany jasnoczerwoną farbą i spuchnięty. Po jego ramionach spływa krew. Wzrok CB znowu przyciąga pokurcz na horyzoncie. Czyżby ta postać kuciała? A może po prostu jest niskiego wzrostu? Jak karzeł. Każdy, kto opisywał wygląd Maude, twierdził, że ma gładką, niemal pozbawioną rysów twarz.

CB czuje, że wzbiera w nim złość. Już zaczął mu się poprawiać nastrój, już miał nadzieję, że w końcu przestanie myśleć o Maude, aż tu nagle musiał wpaść na to malowidło.

Jaskinia Peach Stone

Pomieszczenie jest ciasne, z niskim stropem. Jego ściany przywodzą na myśl wypolerowaną pestkę brzoskwini, miękkie podłoże ugina się pod stopami. Pachnie świerkiem, jest ciemno – tak ciemno, że Penny powinna się bać. Ale ona nigdy się nie boi. Wie, że w końcu ta czern się rozproszy i że gdzieś w tej ciasnej przestrzeni znajduje się portal, tunel do czegoś lepszego. Szuka po omacku drogi, pewna, że to przejście jest już blisko. Od czasu do czasu wyobraża sobie we śnie, że szuka zatyczki – korka w ścianie, który trzeba wyciągnąć. Czasami to maleńkie drzwi prowadzące do mikroskopijnego korytarza, którym można się precyzować. Innym razem gumowa zaślepka na łańcuszku. Wystarczy pociągnąć za łańcuszek, żeby odetkać otwór – uwolnić gwiazdy, słońca i układy słoneczne.

Sen zawsze się rozwiewa i znika w chwili, gdy – jak sądzi – już niewiele brakuje, żeby znalazła portal. Obraz łuszczy się jak stara farba, zrywa się porywisty wiatr, a po chwili zostaje już tylko Penny – leży na wznak na łóżku w starej przedalni. Serce wali jej jak młotem.

Instynktownie wyciąga rękę i próbuje znaleźć Suki na drugiej połowie łóżka. Nagle sobie przypomina. Ach, tak. Ten fragment jej życia już nie istnieje. Nieodwracalnie się skończył. Jeszcze przez chwilę głaszcze kocyk, pewna, że czuje pod dłonią ulotne ciepło – jakby dopiero co leżała tam jakaś żywa istota. Wie jednak, że to tylko pobożne życzenie. Duch jej psa.

Kolejny raz zwraca uwagę na to, jaki zniszczony jest kocyk Suki. Widzi, że brakuje małego kawałka – skrawka sukienki, którą kiedyś sama nosiła. Doskonale ją pamięta – fioletowy kwiatowy wzór z przeplatającymi się liśćmi. Bufiaste rękawy i asymetryczny rąbek. Jej fragment odpruł się i zgubił. To zaś przypomina Penny pewnego chłopca – chłopca, którego знаła wiele lat temu. Kradł ludziom ubrania. A właściwie małe

skrawki ubrań – ścinek bluzki albo nitkę z płaszcza. Biedny chłopiec. Biedny, chory chłopiec. Niebezpieczny i taki smutny. Penny odkłada kocyk i wstaje z łóżka. Nie czas na uzalanie się nad sobą – nie czas lamentować, żalić się, płakać i ubolewać. O tej porze roku jest najwięcej pracy, więc po dwóch dniach czuwania przy Suki nagromadziło się mnóstwo roboty.

Penny otwiera okiennice, bierze szybki prysznic, ubiera się i schodzi na parter. Tam znajduje się siedziba jej firmy – Forager's Fayre – którą zaczęła prowadzić jeszcze przed rozwodem i przed romansem z Grahamem. W głębi znajdują się dwie duże kuchnie gastronomiczne, a na ceglanych ścianach wiszą szafki zastawione przedmiotami niezbędnymi do produkcji przetworów: słojami, słoikami, pudełkami na etykiety oraz teczkami z danymi wszystkich klientów Penny. Przędzalnię zbudowano na początku dziewiętnastego wieku, kiedy okoliczni mieszkańcy czerpali ogromne korzyści z produkcji wełny. Pod podłogą jest jeszcze jedno piętro, zachowane w oryginalnym stanie; płynący tam strumień napędzał kiedyś urządzenia i maszyny w przędzalni i służył do płukania runa. Pomieszczenie nadaje się do adaptacji, ale Forager's Fayre już zagnieździło się na dobre w przytulnej wnęce pokoju na parterze. Penny nie ma siły ani ochoty powiększać interesu. Na śniadanie je kromkę chleba zanurzoną w schłodzonej, stężalej pianie zebranej z powierzchni kociołków, w których smażą się dżemy. Większość ludzi wyrzuca szumowiny, ale Penny przechowuje je w ceramicznych miseczkach w lodówce. W jej domu przetwarza się i wykorzystuje wszystko.

Penny idzie do pomieszczenia, gdzie przygotowuje produkty. Przed trzema dniami przyjęła dostawę dwudziestu kilogramów nieszpulki. Owoce są już na wpół dojrzałe, więc rano trzeba będzie je odwrócić na drugą stronę, żeby przejrzały równomiernie, i dopiero wtedy będą gotowe do przerobienia na dżem. Musi też wygotować dwa tuziny muślinowych ściereczek do odsączania i wydrukować etykiety. Na nic nie ma ochoty – brakuje jej towarzystwa Suki. Ale przewiązuje się fartuchem, chowa włosy pod czepkiem i bierze się do pracy.

Muślin wyzwala w niej falę wspomnień. Wygotowała

ściereczki i właśnie wiesz je do wyschnięcia. Nagle pamięć o tym, co się zdarzyło w Upton Farm, wraca do niej z takim impetem, że niemal ścina ją z nóg. To pewno przez zapach oraz charakterystyczny kolor wina imbirowego, na który zabarwiły się ściereczki. Penny przypomina sobie, że tamtego dnia, piętnaście lat temu, robiła dokładnie to samo. W tym roku, tak jak wtedy, sezon na nieszpulki zaczął się wyjątkowo wcześniej – tamtego dnia owoce też leżały w dojrzewalni. Muślinowe ściereczki do odsączania również suszyły się na sznurze. Trudno jej znieść widok zaplamionej bawełny oraz ledwo wyczuwalny metaliczny zapach. Kojarzą się jej z zaschniętą krwią.

Musi wrócić do kuchni. Zatrzymuje się na progu, zszokowana tym, jak podobnie wszystko dzisiaj wygląda – sterta słoików, pokrywki, przygotowane obok owalne arkusiki woskowanego papieru, które na końcu trzeba będzie nakleić na dżemy. W sieni widać parujący kopczyk nasion, które Penny tam odłożyła, żeby je wynieść do kompostownika. W powietrzu unosi się ten sam słodki zapach bulgoczącego syropu.

Na półce na przeciwległej ścianie, między rzędami świętecznej konfitury korzennej i marmolady z rajskich jabłek według zapomnianej receptury z Four Lane, stoi kalendarz. Penny sama go zrobiła pewnego grudniowego weekendu, bo akurat znalazła trochę wolnego czasu – już zrealizowała wszystkie zamówienia, z nikim nie musiała się spotykać ani nie miała nic lepszego do roboty, więc starannie pomalowała górną połowę każdej strony kolorami odpowiadającej jej pory roku i za pomocą starego pióra wykaligrafowała dni tygodnia. Podchodzi do kalendarza i marszczy brwi. Październik. Październik jest miesiącem zbiorów rajskich jabłek i tarniny. Miesiącem nastawiania nalewek na ginie. Penny odwraca kartkę, żeby zerknąć na listopad – który zaczyna się już za parę dni. Drugi listopada to Zaduszki. Tego dnia ludzie widzą bezcelowość posiadania ciała i rozumieją, że jedyną przestrzenią, w której istnieją naprawdę, jest ich dusza. Pradawne, mistyczne święto zmarłych. Minęło piętnaście lat – niemal co do dnia – odkąd Isaac Handel zabił swoich rodziców.

Isaac Handel

Idąc z malowidłem Zeldy do gabinetu Melanie, CB łapie się na tym, że pewno chodzi mu nie tyle o niepokój wywołany tymi gryzmołami, ile o pierwszy lepszy powód, żeby zamienić z nią kilka słów. Spędzić trochę czasu w jej towarzystwie. Wspinając się po schodach na półpiętro, przypomina sobie, jak ubiegłej nocy odwróciła się do niego plecami – i jak ten gest wyzwolił w nim pragnienie, by się nią zaopiekować. Przychodzi mu na myśl Jonathan Keay i jego silne ramiona. Ciekawe, czy on opiekował się Melanie. Pacjenci mówili o nim: „klawisz Keay”, bo traktował ich jak więźniów. Był opryskliwy i mówił z aroganckim, typowym dla arystokracji akcentem, jakby całe życie spędził na boisku polo. CB zastanawia się, czy Keay był opryskliwy wobec Melanie. Jeżeli tak, to na pewno nie zasłużyła na takie traktowanie.

Dla fasonu puka do drzwi i dość długo czeka na odpowiedź. W końcu zza drzwi daje się słyszeć półprzytomny głos:

- Tak?
- To ja.
- CB?
- Tak.

Znowu pauza. CB słyszy kroki, a potem zgrzyt klucza w zamku. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że drzwi były zamknięte na klucz. Kiedy Melanie je otwiera, a CB widzi jej twarz, wszystko staje się dla niego oczywiste. Melanie wygląda na nieco wymiętą, ma zmierzwiowane włosy – a zatem nadrabiała brak snu. Ogarnia go ochota, by ją pocałować.

– Och... – Melanie pociera twarz. – Przepraszam. Chyba trochę...

– Wiem. – CB podchodzi i zamyka za sobą drzwi. – Hej! – Wyciąga rękę. – Chodź do mnie.

Melanie uśmiecha się i przytula do jego piersi. On mocno ją

obejmuje, a potem całuje w głowę. Jest taka rozgrzana i miękka. Gdyby tylko wiedział jak i miał na to dosyć odwagi, mógłby się jej tu i teraz oświadczyć. Choćby po to, żeby już zawsze móc wdychać zapach jej potarganych włosów.

– Wczoraj nie zmrzyłam oka.

– Wiem – potakuje CB półgłosem. – Ja też. Zaparzyć ci kawy?

– Mój Boże, byłoby świetnie.

Gabinet Melanie jest wyposażony w aneks z łazienką i małą kuchnią, w której znajduje się mikrofalówka, płyta elektryczna, zlew, lodówka i ultranowoczesny ekspres do kawy z mnóstwem kolorowych emaliowanych filiżanek wielkości naparstka. Kiedy Melanie znika w łazience, żeby obmyć wodą twarz, CB nastawia trzy filiżanki – dwie dla niej i jedną dla siebie. Po kilku wspólnych śniadaniach już zdążył poznać jej przyzwyczajenia. Lubi mocną kawę, czarną i bardzo słodką. Jego zdaniem to fantastycznie, że Melanie nie używa słodzika zamiast cukru i nie dolewa mleka – to także ulubiona kawa mamy i Patience, bardzo europejska, a nie amerykańska. W pracy Melanie jest doskonale opanowana i wyznaje surowe zasady, ale gdy chodzi o przyjemności i pasje, to puszcza wodze fantazji.

Po chwili Mel wraca za biurko, a on stawia przed nią filiżanki. Po kilku łykach Melanie pytająco unosi brwi.

– Co chciałeś mi powiedzieć?

CB rozkłada przed nią obrazek Zeldy. Melanie wpatruje się przez chwilę, potem zakłada okulary i przygląda się jeszcze dokładniej. W końcu potrząsa głową.

– Przykro mi, ale dzisiaj mam watę zamiast mózgu. Co to jest?

– Dzieło Zeldy.

– I co z tego? Jakiś Drakula. Albo nietoperz. Trudno powiedzieć.

– Moim zdaniem to autoportret. Ucieka przed czymś. A tam...
Widzisz?

Wskazuje palcem postać na wzgórzu.

– Tak. No i co?

– Wiesz, co to jest... To coś na literę M.

Melanie znowu uważnie patrzy na obrazek. Po chwili unosi z dezaprobatą głowę. Niecierpliwie przeciera oczy.

– Och, CB, do licha, proszę, czy musimy do tego wracać? To już stara sprawa, wszystko zostało wyjaśnione...

– Jak to?

– Tak. Rano zadzwonili do mnie z komisji rewizyjnej. Jeszcze nie mogli potwierdzić nic oficjalnie, ale dali mi do zrozumienia, że wszystko w porządku, nie będzie dalszego śledztwa. Zelda zostanie pochowana z należąca czcią i wrócimy do normalności. Do normalności, CB – powtarza. – A tymczasem ty przychodzisz, żeby pokazać mi to? Wiesz, jakie skojarzenia od razu kłębią mi się w głowie? „Szerszenie” i „gniazdo” to pierwsze z nich. Drugie to „wtykać”, ale bez żadnych seksualnych podtekstów.

– Wysłuchaj mnie, proszę...

Melanie wydaje przeciągły, zniecierpliwiony jęk. Nie wstaje jednak z za biurka. Opiera łokcie na blacie i obejmuje dłońmi głowę.

– No dobrze, pastw się nade mną. Zamieniam się w słuch. Ale nie licz na to, że zamienię się też we wzrok. Dzisiaj nie kontroluję oczu. Jeżeli będzie ci się zdawało, że zasnęłam, to wiesz, gdzie szukać winnych.

CB siada naprzeciw niej.

– Popatrz tylko. – Przykłada palec do tajemniczej postaci na rysunku. – Nic ci to nie przypomina? Ani nikogo?

Melanie przez chwilę milczy i wpatruje się w obrazek. Nie udaje zainteresowania – patrzy naprawdę uważnie, z namysłem.

– Rzeczywiście – przyznaje, zdejmując okulary. – Okej, kogoś mi przypomina. Wygląda trochę jak Isaac Handel. Nosi taki sam sweter, jego ulubiony. I ma podobną fryzurę... No i zabawki.

– Isaac... – CB bierze długi, kontrolowany wdech. – Tak jest, Isaac.

– Wrócił do domu. Wczoraj go wypisaliśmy.

CB potakuje. Nie mówi głośno o swoich obawach, ale myśli o wczorajszym gościu w ogrodzie. Zastanawia się, czy Melanie myśli o tym samym.

– Melanie, może pamiętasz, czy Isaac czasami rozmawiał

z Zeldą?

– Możliwe.

– Z jakiego powodu zwrócił na nią uwagę?

– Nie wiem, CB. Naprawdę nie mam pojęcia.

– Isaac był pacjentem, kiedy zmarła Pauline. Wiadomo, czy spędzali razem czas?

– Nie pamiętam takich szczegółów. Minęło kilka lat. Ponadto, czy nie przekraczamy swoich kompetencji? Po śmierci Zeldy rozpętało się biurokratyczne piekło, jakby ktoś wetknął kij w gniazdo węży. Już myślałam, że sprawa przycichła i wszystko zaczyna układać się po staremu.

– Zastanów się, to dosyć dziwny zbieg okoliczności, te awarie prądu i napisy. Isaac noszący... – Wskazuje na obrazek, szukając odpowiednich słów. – No wiesz, namalowany z taką twarzą. Co ty na to, żebyśmy wezwali policję, na przykład jednego z detektywów z forum? Oni zajmują się właśnie takimi sprawami. Nie musimy nic zgłaszać oficjalnie, tylko poprosić o niezobowiązujące spotkanie i...

– CB, proszę. – Melanie kładzie dłonie na jego dłoniach. – Proszę. Wiem, że nie jestem idealna, ale... Czy mogę chociaż jedną rzecz totalnie sobie odpuścić? Zostawić i już do niej nie wracać? Niech nasz szpital znowu zacznie dryfować we właściwym kierunku. Bez skandali ani węszącej wszędzie policji. Fundusz nie znosi takich afer. – Melanie przygryza usta i przechyla głowę. – Proszę, CB. To dla mnie wiele znaczy.

CB milczy. Patrzy na palce Melanie. Tak bardzo zależy jej na szpitalu. Jeżeli chce zbudować z nią normalne relacje, musi się nauczyć, że nie ma sensu dyskutować o tych rzeczach.

– I jeszcze jedno. – Słyszy głos Melanie, samemu wciąż tocząc wewnętrzną walkę. – Chciałam cię zapytać, o ile nie masz nic przeciwko temu, czy już zaplanowałaś sobie coś na wieczór.

CB zerka na nią. Melanie się uśmiecha – jej czyste, błękitne oczy wyglądają jak niebo latem. Pytająco unosi brwi.

– No?

CB czuje się tak, jakby nagle nacisnęła włącznik wyzwalający strumień endorfin, który przelewa się przez niego. Potrząsa głową i wzdycha:

– Tak, tak, oczywiście... pewno. Ale przedtem muszę jeszcze zajrzeć do Stewarta, wyprowadzić go na spacer. Zbyt częste przebywanie z Patience mu nie służy. Zaczyna się zmieniać w kluchę.

– Szkoda, że nie możesz przyprowadzić go do mnie. Właściciele budynku są uprzedzeni do zwierząt. – Po chwili dodaje z uśmiechem: – U-psi-dzeni.

CB się śmieje. Okazało się, że Melanie ma wszystkie cechy, o które w ogóle jej nie podejrzewał: jest zabawna, urocza, zwariowana i kompletnie się w niej zadurzył. Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a on już czuje, że jest gotów skoczyć na oślep z klifu, który jeszcze niedawno zdawał mu się niedostępny.

– Może w takim razie spotkamy się po spacerze? Na przykład o ósmej u ciebie?

– A zatem randka.

CB wychodzi jak na skrzydłach z jej gabinetu. Piętro niżej niemal wpada na Dużego Lurcha, który akurat przechodzi korytarzem. CB waha się, czy wrócić na półpiętro, zanim zostanie zauważony, ale już jest za późno. Duży Lurch unosi głowę i widzi go – a szczególnie jego minę. Chyba daje się z niej wyczytać jak z otwartej księgi, że jego wizyta w gabinecie dyrektorki nie miała jedynie zawodowego charakteru, bo następuje chwila milczenia, podczas której żaden z nich nie wie, jak zareagować, a potem na twarzy Dużego Lurcha pojawia się chytry, porozumiewawczy uśmieszek. Ochroniarz rusza dalej korytarzem, ale unosi zaciśniętą w gangsterskim geście pięść.

W ten sposób daje mu do zrozumienia: czapki z głów. Szacun.

Plan

Czas dłuży się niemiłosiernie pod szarym niebem. Wiszące nisko chmury wyglądają jak zmierzwiona sierść. Drzewa wschodniego Somerset sięgają gałęziami ku ziemi i zrzucają kolorowe, mokre liście na kobiety i mężczyzn w czarnych kurtkach przeciwdeszczowych, którzy metodycznie, w wielkim skupieniu posuwają się naprzód przez parujący las. To grupa wsparcia oddziałów policji Avon i Somerset, która już drugi dzień poszukuje szczątków Misty Kitson.

Jack Caffery siedzi w samochodzie zaparkowanym w miejscu zbiórki, na wyznaczonym placu, gdzie oddziały zostawiły swoje pojazdy. Radio nadaje jakiś *talk show*, a rześkie powietrze wpada przez otwarte okno. Caffery włożył na garnitur służbowy polar i wolno pyka e-papierosa. Ubiegłej nocy nie zmrugał oka – nawet pół butelki szkockiej whisky nie zdołało powstrzymać myśli krążących mu po głowie niczym kołowrotek w klatce chomika. Próbował znaleźć sposób, by uporać się z sytuacją – określić swoje miejsce w wadliwym scenariuszu, który sam napisał. Sądził, że upłynęło już dosyć czasu, a Flea nabrała do wszystkiego dystansu i jest w stanie trzeźwo ocenić fakty. Tymczasem okazało się, że to wciąż za wcześnie. Nadal jest w szoku, reaguje agresją i odmawia współpracy. Caffery wie, że sam będzie musiał się tym zająć.

Spogląda na miejski krajobraz – nagie, wiotkie drzewa na tle zaparzonego do białości nieba. Nie zostało mu zbyt wiele dni, żeby podjąć konkretne działania i zakończyć tę długą grę. Na domiar złego dzisiaj rano nadinspektor czekał na niego w biurze, żeby mu burkliwie oznajmić, jakie ma wielkie szczęście, że nie wpłynęły żadne nowe sprawy do rozwiązania. Przypomniał mu, że gdy tylko coś takiego się pojawi, sytuacja ulegnie drastycznej zmianie.

Po jakimś czasie Caffery orientuje się, że wypowiadająca się

w radiu osoba to Jacqui Kitson. Odpina kartridż e-papierosa, zamyka okno i podkręca głośność.

– Policja robi wszystko, co w jej mocy. Moim zdaniem, na pewno sam pan wie... moim zdaniem był już najwyższy czas, żeby to zrobić.

Caffery słucha Jacqui, stukając kartridżem w kierownicę.

– Oczywiście wciąż się modłę o to, żeby znaleziono moją córkę żywą. Chociaż minęło tak dużo czasu, nie tracę nadziei.

Caffery wyłącza radio. Przez minutę siedzi ze zwieszoną głową. Jego matka była katoliczką; na pewno zarzuciłaby mu, że popełnił jeden z najcięższych grzechów. Próbowalaby ten grzech jakoś nazwać i zgadnąć, co pchnęło jej syna do występku – tchórzostwo czy pożądanie. Nie chciwość. To jedna z niewielu rzeczy, o które nie mogłaby go oskarżyć.

Stuk, stuk, stuk! Wyrwany z rozmyślań Caffery podskakuje na siedzeniu. Mruga. Flea patrzy na niego przez okno po stronie pasażera. Jej oddech osadza się na szybie. Wciąż ma na sobie biały kombinezon służbowy ze zsuniętym na plecy kapturem. Caffery waha się przez chwilę, a potem pochyła się nad fotelem i zwalnia zamek. Flea wsiada i zatrzaskuje drzwi.

– No dobra – mówi. – Co to za heca?

– Heca?

– Już przeszukaliśmy tę drogę, a teraz POLSA każe nam to zrobić jeszcze raz. Zaaranżowałeś to, prawda?

– Musiałem się upewnić, że nic nie przeoczyliście.

– Gówno prawda. To jedyne miejsce, które wybrałeś do powtórnego przeszukania. Zrobiłeś to, żeby mnie trochę przycisnąć.

Caffery zamyka oczy. Liczy do dziesięciu.

– W porządku. – Opiera łokieć o kierownicę i zwraca się w kierunku Flei. – Bardzo długo cię chronilem... a w zamian spotyka mnie jedynie jad i arogancja.

Flea bierze głęboki wdech, żeby uspokoić nerwy. Jej policzki są zaczerwienione z zimna, włosy ma w nieładzie.

– Przepraszam. Powiedz mi to, co chciałeś powiedzieć wczoraj wieczorem. Mogę się z tobą nie zgodzić, ale przynajmniej będziesz miał to z głowy.

Caffery wkłada kartridż atrapy papierosa do kieszeni polaru. Poświęca chwilę na dobranie w myślach właściwych słów. Przygotował sobie tę mowę wcześniej, ćwiczył ją, ale nie spodziewał się, że będzie musiał ją wygłosić w obliczu takiej wrogości.

– Opowiem ci, co mogłoby się zdarzyć. Wyobraź to sobie. Przeszukujecie obszar, który pominęliście za pierwszym razem. Nagle znajdujecie, dajmy na to, kości – no wiesz, czyjeś szczątki, w jakimś miejscu, gdzieś tutaj, i...

– Czekał. Czekał! Naprawdę mówisz to, co myślę, że chcesz powiedzieć?

– Zastanów się: jak często miałas do czynienia z taką sytuacją? Ktoś znika bez śladu. Prowadzicie poszukiwania, ale wyznaczacie odrobinę za mały obszar... Najczęściej rozkład jest już tak zaawansowany, że nie daje się zidentyfikować zwłok ani ustalić przyczyny zgonu. A jak to jest w przypadku Misty? Brała narkotyki, nie radziła sobie z depresją, jej małżeństwo się sypało, co chwila budziła niezdrowe zainteresowanie mediów. Może znalazła jakieś ustronne miejsce, żeby przypudrować nos, straciła orientację, położyła się, żeby odpocząć, i już się nie zbudziła. Był maj, ale tamtej nocy temperatura bardzo spadła. Sprawdziłem to. Odchylenie od normy było wyraźnie zauważalne. W jej stanie łatwo było o hipotermię. I mogła się całkowicie pogubić. To tak typowe, że aż banalne. Rozrzucamy kości po okolicy tak, jakby zrobiły to dzikie zwierzęta, to koszmar każdego lekarza sądowego. Nie zapominajmy też o najważniejszym: o osobie, która prowadzi śledztwo. Tak się składa, że detektywem prowadzącym jestem ja...

Flea odwraca się od niego. Wie, że jako detektyw prowadzący Caffery ma pełną kontrolę nad tym, jak zostanie wykorzystany budżet śledztwa. Może dowolnie sterować działaniami lekarzy sądowych.

– Ponadto – Caffery dochodzi do sedna – jeżeli byłbym obecny przy odnalezieniu zwłok, mógłbym zakwalifikować ślady, które przedtem pominęliśmy, jako dowody zanieczyszczone i niezdatne do wykorzystania. W każdym razie byłibyśmy zabezpieczeni.

Flea patrzy przez okno. Radiotelefon, który nosi w kaburze, wydaje trzeszczący dźwięk. Na dworze członkowie wszystkich zespołów chodzą w tę i z powrotem, od czasu do czasu zatrzymują się na parkingu, żeby porozmawiać. Mają zaaferowane miny ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że gonią za cieniem.

W końcu zwraca się do Caffery'ego cichym, opanowanym głosem:

– Nie mogę nurkować. Jeszcze nie wyleczyłam uszu. Zresztą nie da się dotrzeć w to miejsce, o którym myślisz. Nawet gdybyś znał dokładną lokalizację, musiałbyś być zdolnym nurkiem. Wyjątkowo zdolnym.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

– Co zrobisz, jeśli odmówię?

– Moje plany nie sięgają tak daleko w przeszłość.

Policjantka wzdycha. Pociera nos.

– Przykro mi, Jack. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś, ale nie mogę się zgodzić. Dokładnie to przemyślałam, zastanawiałam się dzień i noc i sądzę, że to naprawdę najlepsze wyjście. Najbezpieczniejsze. Bardzo, bardzo przepraszam.

Starbucks

Isaac Handel był obcięty na garnek facetem, który tamtego tragicznego dnia w stołowce poinformował CB, że Moses wyprawia coś dziwnego z łyżką. Aż do wczoraj rana, gdy przeniesiono go do ośrodka resocjalizacyjnego, spędził całe dorosłe życie w zakładzie zamkniętym dla psychicznie chorych Beechway. Trafił do szpitala wprost z zakładu poprawczego siedem lat przed tym, jak CB zaczął pracę. W opowieściach z tamtych czasów występuje jako pacjent, który od początku sprawiał kłopoty.

Skończył osiemnaście lat. Był przyszczaty, niedomyty i nie miał wyraźnego celu w życiu. Ohydnie śmierdział – ten smród ciągnął się za nim wszędzie. Zawsze miał przy sobie dwie lalki, które sadzał sobie na rękach, w zgięciach pod łokciami, i nazywał ludzikami – brzydactwa, które śmierdziały nie mniej niż on. Nigdy się z nimi nie rozstawał – przenigdy.

Smród dawał się coraz bardziej we znaki, więc personel musiał zastosować przymus fizyczny, żeby nakłonić Isaaca do umycia się. Trzej oddziałowi zaprowadzili go pod prysznic i zdołali go rozebrać. Ale gdy próbowali zabrać mu ludziki, ich wysiłek poszedł na marne, bo Isaac specjalnie ich obsikał. Po tym zdarzeniu już nikt nie próbował zabrać mu lalek.

Leczenie i terapia powoli zaczęły działać i Isaac się uspokoił. Częściej brał prysznic i już nie śmierdział tak bardzo, że nikt nie chciał siadać koło niego. Jego kolekcja lalek się rozrosła – za kieszonkowe kupował materiały i podczas zajęć z terapii sztuką z Jonathanem Keayem wciąż szył i malował kolejne paskudy. Keay często mu w tym pomagał; szczerze mówiąc, CB nieraz odnosił wrażenie, że Keay go faworyzuje. Ludziki budziły swoim wyglądem niepokój. Miały drobne, naszyte zęby i oczy z włóczki, które wyglądały jak żywe. Albo twarze z porcelany wypalanej w piecu ośrodka terapeutycznego – te

miały czerwone obwódki wokół oczu. Isaac jednak nigdy się z nimi nie rozstawał. Zawsze miał ich przy sobie tyle, ile mógł udźwignąć, a reszta lalek leżała rzucona na stertę na łóżku w jego pokoju – powyginane, bezwładne, zgniecione razem niczym miniaturowe trupy.

CB nie może się uspokoić. Pomimo obietnicy, którą dał Melanie, wciąż myśli o Isaacu Handlu. Dziwnym, niepozornym Isaacu. Czeką, aż jedna z sekretarek wstanie, żeby pójść do łazienki, i pyta ją, wołając z daleka:

– Mogę skorzystać z twojego biurka? Muszę sprawdzić grafik.

Dziewczyna przyzwalająco macha ręką, więc zajmuje jej stanowisko.

CB nie wie – nigdy nie chciał wiedzieć – z jakiego powodu Isaac trafił do Beechway. Kiedy zaczął pracę, Isaac był już zupełnie innym człowiekiem – cichym, ustepliwym i zgodnym. Bez mrugnięcia okiem brał przepisane lekarstwa. W pewnym sensie CB czuł do tego faceta pokretny rodzaj sympatii. Zachowanie Isaaca niezbyt mu się podobało jedynie wtedy, gdy w pobliżu była Melanie. Zdarzało się, że kiedy mijała go na korytarzu, zatrzymywał się i gapił na nią niczym podniecony pies, który nie może oderwać wzroku od suki – jakby Melanie roztracała feromony. Zadawał CB niestosowne pytania na jej temat: gdzie mieszka, ile ma lat, czy ma męża. CB przyzwyczał się, że męska część pacjentów reaguje w taki sposób na Melanie – jest dla nich tajemnicą, której ich przeżarte środkami odurzającymi mózgi nie potrafią rozwikłać. Ogólnie jednak rzecz biorąc, Isaac nie był bardziej natarczywy niż reszta pacjentów. CB nie miał innych powodów, żeby go nie lubić.

Sekretarka, której biurko zajęła, pełni zadania administracyjne podczas konsyliów lekarsko-sądowych. Sporządza między innymi stenogramy. CB bez problemu znajduje stenogram z konsylium w sprawie zwolnienia Isaaca Handla – sekretarka okazuje się wyjątkowo porządna i dobrze zorganizowana – i szybko kopiuje go na tani pendrive, który Patience dostała od zakładu bukmacherskiego za lojalność. Urządzenie ma kształt końskiej głowy. CB przeżył już kilka lat, pamięta stare filmy, więc ten gadżet przywołuje mu na myśl przede wszystkim

odciętą końską głowę z *Ojca chrzestnego* – ale pendrive spełnia swoje zadanie i po chwili CB chowa go do kieszeni.

Nie może przeczytać sprawozdania od razu, w szpitalu. Potrafi sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Melanie nagle weszła i go na tym nakryła. Jeżeli się dowie, że wciąż zajmuje się tą sprawą, to na pewno nigdy więcej nie zaprosi go do swojego domu w Stroud. Bez dwóch zdań. Wysłała jej SMS-a: „Kochanie, musiałem się zmyć trochę wcześniej. Patience dzwoniła, że nie daje sobie rady ze Stewartem. Do zobaczenia później, xxx. P.S. Pięknie wyglądasz po nieprzespanej nocy. Musisz mieć dobre geny”.

Jedzie do najbliższego Starbucksa, zamawia pierwszą lepszą rzecz z menu – napój smakuje raczej jak podgrzany *shake* o smaku kawowym niż prawdziwa kawa – i siada z otwartym laptopem w kącie, tyłem do reszty klientów. Otwiera stenogram z konsylium.

Konsylium lekarsko-sądowe w sprawie wypisu Isaaca Petera Handla z listy pacjentów

środa, 10 października

Szpital Psychiatryczny Beechway

Przewodniczący: Gerard Unsworth, prawnik JKM

CB uczestniczył w tym konsylium. Podczas swojej kariery zawodowej widział ich kilkaset i to niczym się nie wyróżniało. Personel pomocniczy przygotował i posprzątał salę konferencyjną w budynku administracji i dostarczył górę kanapek oraz termosy z kawą i herbatą. CB występował tam tylko przez chwilę jako świadek i przedstawił komisji raport z leczenia pacjenta. Nudna rutyna – opowiedział o reakcji Isaaca na zastosowane lekarstwa, opisał markery behawioralne, stopień jego zaangażowania w terapię i relacje z innymi pacjentami.

Większość konsyliów przed wypisaniem pacjenta to zwykła formalność; najczęściej nieformalna decyzja zapada już podczas rutynowego spotkania komisji pół roku wcześniej. Isaac i jego prawnik mieli już zatem otwarte drzwi, o ile od ostatniej narady nie stałoby się nic niezwykłego. Oczywiście wciąż było przed nim parę płotków do przeskoczenia, musiał

przestrzegać typowych procedur, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Z jednym wyjątkiem, który CB widzi dopiero z perspektywy czasu – pani Jane Potter.

Na każdym konsylium musi być obecna osoba z zewnątrz – ktoś odpowiedzialny, ale obiektywny. Jane Potter należy do takich osób. CB już widywał ją wśród członków komisji – jest przewodniczącą Instytutu Kobiet i inspektorką Ofsted. CB pamięta, że przez chwilę zwrócił uwagę na jej mowę ciała, zupełnie inną niż zwykle. Siedziała sztywno, z zaciśniętymi pięściami, jakby była wściekła – albo zszokowana.

Teraz próbuje dociec, co wywołało u niej takie napięcie. Popija łyk piany udającej kawę i przegląda stenogram, żeby znaleźć fragmenty sprzed swojego wejścia na salę. Chce sprawdzić, czy stało się coś, co usprawiedliwiało tę reakcję Jane Potter. Bezgłośnie porusza ustami, przebiegając wzrokiem dobrze mu znane wypowiedzi:

[...] komisja rozpatrzy podanie o warunkowe wypisanie ze szpitala Isaaca Petera Handla [...] w obecności wnioskodawcy i adwokata wnioskodawcy pani mecenas Lucy Tripple [...] komisja w składzie: przewodniczący sędzia Gerard Unsworth, lekarz psychiatra odpowiedzialny za ocenę stanu zdrowia wnioskodawcy dr Brian Yeats, dyrektor kliniki pani Melanie Arrow, pracownica administracji zdrowia publicznego panna Bryony Marsh, pani Jane Potter [...]

W zapisie spotkania wszyscy członkowie komisji zostali oznaczeni skrótami: IPH, LT, GU, BY, MA, JP. Na początku, jak zwykle, wszyscy się przedstawiają. Sędzia tłumaczy zebranym, kim jest – jego słowa brzmią jak żart, bo wszyscy doskonale znają Unswortha. Przewodniczył licznym rozprawom, a zanim został powołany do komisji, występował jako oskarżyciel podczas wielu głośnych spraw przeciwko szpitalom, reprezentując pacjentów przetrzymywanych tam na podstawie prawa o zdrowiu psychicznym. Kiedy Unsworth prowadził konsylium, wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Melanie na pewno czuła szczególną presję. Czy to spotkanie odbyło się tuż po jej rozstaniu z Jonathanem? To jeszcze

bardziej pogorszyłyby jej nastrój.

Unsworth wygłasza krótką mowę wstępną, w której informuje, że Handel przebywa w szpitalu od jedenastu lat, że przedtem – od czternastego do osiemnastego roku życia – był przetrzymywany gdzie indziej na mocy prawa karnego dotyczącego nieletnich, skąd przeniesiono go do Beechway na podstawie paragrafu trzydziestego siódmego ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. CB nie wiedział o tym – nigdy nie słyszał, by Isaac opowiadał o swoim dzieciństwie.

Sędzia poświęca trochę czasu na przedstawienie podstawowych faktów – z myślą o osobie spoza szpitala, która może się nie orientować w prawie:

Pani Potter, wiem, że to nie pierwsze konsylium z pani udziałem, ale pragnę przypomnieć, że paragraf trzydziesty siódmy dotyczy skierowania przestępcy na leczenie szpitalne zamiast do więzienia. W przypadku pana Handla mamy do czynienia z ustępem czterdziestym pierwszym paragrafu trzydziestego siódmego. Chodzi w nim o ograniczenie wolności w celu ochrony społeczeństwa przed poważnym zagrożeniem. Wnioski o tymczasowe opuszczenie szpitala albo o zaprzestanie leczenia muszą zostać formalnie zatwierdzone. Dzisiaj możemy wyrazić rekomendację, by zakończyć leczenie pana Handla, albo odrzucić jego prośbę – jednak ostateczna decyzja będzie należeć do ministra spraw wewnętrznych. Informuję, że zwrócono się do nas z prośbą, by niektóre części raportu objąć klauzulą poufności, ponieważ pewne aspekty tego przypadku mogą zaszkodzić panu Handlowi, kiedy je przeczyta albo gdy zostaną mu przypomniane szczegóły jego czynów.

CB mruży oczy, patrząc na monitor. O tym też zapomniał: kiedy podszedł, żeby przedłożyć dowody, zauważył, że niektóre kartki wleżące przed członkami komisji stercie akt – posegregowanych przez administratorkę sprawozdań i dokumentacji medycznej – były oznaczone pieczętką z napisem: „Nie ujawniać pacjentowi bez wyraźnej zgody komisji”.

Krótko mówiąc, dla dobra samego Isaaca nie wolno mu przypominać, dlaczego piętnaście lat temu trafił do szpitala

psychiatrycznego. CB już przedtem spotykał się z taką adnotacją, ale wtedy nie widział w niej nic niezwykłego ani godnego uwagi, tymczasem możliwe, że Jane Potter zapoznała się z treścią raportów o Handlu i że to one tak nią wstrząsnęły.

Przenosi wzrok na dół strony i zatrzymuje się w miejscu, w którym członkowie komisji analizują raport z przebiegu leczenia.

GU: Panie Yeats, mógłby nam pan w skrócie powiedzieć, jak się przedstawia sytuacja wnioskodawcy, jeżeli chodzi o lekarstwa?

BY: Oczywiście. Przez wiele lat Isaac reagował negatywnie na leki przeciwpsychotyczne, ale w ubiegłym roku zaczął przyjmować nowy środek, który jego organizm toleruje. Z powodu choroby można było u niego zaobserwować łagodne upośledzenia poznawcze, tymczasem najnowsze wyniki badania jego ilorazu inteligencji są o dziesięć punktów wyższe niż kiedykolwiek przedtem. W jego przypadku te lekarstwa nie stały się przyczyną objawów, które pacjenci zwykle nazywają „przyćmieniem umysłu”. Ponadto zastosowano inną metodę podawania leku. Wstrzykujemy go domięśniowo, co zapewnia wypełnienie procedury.

GU: Żeby pacjent nie zapomniał ani nie mógł odmówić przyjęcia lekarstwa?

BY: Właśnie. Na stronie trzydziestej trzeciej mojego sprawozdania znajdują państwo uwagi dotyczące jego reakcji na szeroki wachlarz środków przeciwłękowych i przeciwdepresyjnych, których użyliśmy w celu redukcji lęków, na które cierpiał. Jest tam również historia reakcji na różne leki przeciwpsychotyczne, poddaliśmy pacjenta działaniu wielu z nich. Haloperidol, droperidol, trifluoperazyna, flufenazyna i chlorpromazyna, czyli leki przeciwpsychotyczne pierwszej generacji zwane też psychotropami...

GU: Wiem, czym są psychotropy, ale może dla dobra wszystkich tu obecnych mógłby pan...

BY: Ależ tak, oczywiście! To dość powszechnie stosowane środki. Służą... Pani Potter?

GU: Pani Potter, czy coś pani... Czy możemy poprosić o coś

do picia dla pani Potter? Czy ktoś... wody...

JP: Przepraszam. Przepraszam... Po prostu...

GU: Proszę, czy ktoś mógłby podać pani Potter...

JP: Wszystko w porządku.

MA: Bryony, otwórz okno. Już dobrze, Jane? Masz, napij się...

JP: Dziękuję.

GU: Może powinniśmy przełożyć tę...

JP: Proszę, nie! Kontynuujmy. Nic mi nie jest. Mówmy dalej.

GU: Na pewno?

JP: Tak, to nic... Po prostu patrząc na opis przestępstwa popełnionego przez pana Handla... na to, czego się dopuścił... i jak to opisał lekarz sądowy... To trochę... Nie wiedziałam, że tak to wyglądało. Niepotrzebnie przeczytałam ten opis. Wiem, że to nie było konieczne.

GU: To prawda. Lekarze nalegają, żeby niektórych treści nie ujawniać pacjentowi. Może trzeba by rozszerzyć tę zasadę tak, żeby obejmowała członków komisji?

LT: Czy to konieczne? Klauzulę tajności stosuje się z konkretnego powodu i nie...

GU: Sądzę, że powinniśmy zawiesić dzisiejsze spotkanie...

JP: Nie, proszę. Naprawdę nic mi nie jest. Dobrze się czuję. Chodzi o to, że mieszkałam niedaleko Upton Farm... Nie pamiętam, żebym czytała w gazetach o tej sprawie. Nigdy nie podano szczegółów.

LT: Mój klient był wtedy niepełnoletni. Szkoda, pani Potter, że nikt nie odnotował pani relacji osobistych z panem Handlem, które mogą wpływać na pracę w komisji.

JP: Nie ma między mną a nim żadnych relacji osobistych! Przypadkiem mieszkałam niedaleko i tyle. Nic mi nie jest. Proszę kontynuować.

GU: Dziękuję, pani Potter.

LT: Jeżeli państwo pozwolą, pragnę przypomnieć wszystkim zebranym, że szczegóły rozprawy mojego klienta mają służyć jedynie jako kontekst, a państwa deliberacje powinny, a nawet muszą dotyczyć jedynie aktualnego stanu umysłu pana Handla.

GU: Oczywiście. Oczywiście.

MA: Naturalnie.

LT: A zatem wszyscy wyrażają zgodę? Wiemy, na czym się skupić?

GU: Tak, tak. Na czym skończyliśmy? Doktorze Yeats, zdaje się, że prezentował pan informacje o lekach przeciwpsychotycznych...

Siedząc z kubkiem kawowej piany w Starbucksie, CB nie może oderwać wzroku od monitora. Tak jak Jane Potter, on też zna Upton Farm. To tylko sześć, siedem kilometrów od Eden Hole Cottages. Od wielu lat wie, że stało się tam coś złego, ale nigdy nie poznał szczegółów. A już na pewno aż do teraz nie wiązał tamtych zdarzeń z Isaakiem – nawet nie wiedział, że ten mieszkał w okolicy.

Nigdy nie chciał wiedzieć, za co jego pacjenci trafili do szpitala. Teraz zaczyna się zastanawiać, czy było to takie rozsądne.

Grota Elfa

Wzgórza Mendip to pasmo wapiennych wzniesień ciągnące się ze wschodu na zachód mniej więcej trzydzieści kilometrów na południe od Bristolu. Przez dwa tysiące lat, aż do drugiej połowy dziewiętnastego wieku, rozwijało się tam górnictwo, najczęściej na małą skalę. Mniej niż jedna piąta pierwotnej liczby kopalń wciąż jest eksploatowana, a wiele opuszczonych i aktualnie zalanych szybów opada stromo dwadzieścia metrów od skalnej półki do powierzchni wody i schodzi jeszcze niżej, aż do sześćdziesięciu metrów w turkusową głębinę. Jeden system szybów łączy się podziemnymi kanałami z siecią naturalnych jaskiń znanych jako Grota Elfa. Są tam kolumny, łuki i sklepienia – jak w katakumbach starożytnej katedry – niewykute przez człowieka, lecz wydrążone przez wodę, która wypełnia cały system.

Szyb numer osiem znajduje się na końcu łańcucha wyrobisk, głęboko w lesie, dlatego mało kto o nim pamięta, a jeszcze rzadziej go odwiedza. Nie prowadzi tu żadna droga publiczna – jedynie pobrużdżony koleinami i szczelinami krasowymi skalisty dukt, tak rzadko używany, że chętniej korzystają z niego dzikie zwierzęta. Tej nocy jednak zwierzęta rozpierzchają się w mrok, bo na drodze pojawia się samochód. Światła reflektorów podrygują i odbijają się od liści na nisko zwieszonych gałęziach. To małe miejskie auto, renault clio, zaprojektowane z myślą o asfaltowych jezdniach i ciasnych parkingach, a nie o jeździe terenowej. Gałęzie wydają zgrzytliwy dźwięk, skrobiąc metalowy dach. Samochód podskakuje na wyboju, zatacza się na pobocze, a po chwili wraca na szlak dookoła szybu. W końcu zatrzymuje się przed usypiskiem kamieni pociętych w równą kostkę, które zostały tu porzucone tak dawno, że w szczelinach już wyrosły drzewa. Gaśnie silnik. Reflektory zmieniają się w dwa świetliki

odbijające się w wodzie.

Flea Marley otwiera okno i wystawia głowę, sprawdzając, czy czegoś nie słychać: kasznięcia, szelestu stóp, zdradliwego chrzęstu kamyków osuwających się ze skalnej ściany. Wokół szybu panuje jednak cisza. Jest tu dokuczliwie zimno, wręcz lodowato. Używając lornetki, Flea uważnie rozgląda się po skalnym amfiteatrze w kształcie podkowy. W najdalszym miejscu wyrobiska leżą hałdy sproszkowanej kredy, nad którymi unosi się mdły blask. Gwiazdy i chmury odbijają się w nieruchomym lustrze wody.

Ponad czterdzieści pięć metrów pod powierzchnią – na głębokości, którą trudno sobie wyobrazić, porównywalnej z wysokością dwunastopiętrowego bloku – w pozbawionej światła lodowatej wodzie w ścianie klifu znajduje się nieudokumentowana szczelina. Nie ma jej na żadnych planach kopalni. Można ją odszukać jedynie kierując się pamięcią i ślepym instynktem. Korytarz prowadzi trzy metry w głąb skały, a potem wiedzie do góry, tworząc naturalny, wypełniony wodą tunel o średnicy metra. To wąskie gardło wznosi się pionowo przez czterdzieści sześć metrów, otwierając się po drodze na groty, do których nie można się dostać w żaden inny sposób. Te w części naturalne, a częściowo wydrążone przez starożytnych robotników rzymskich groty są niestabilne i niedostępne – z wyjątkiem tego nikomu nieznanego szybu. Śmiałek, który zapuściłby się do tego komina, miałby do wyboru jedynie dwie drogi – do góry albo na dół. Jest tu za mało miejsca, żeby nagle zmienić zdanie i zawrócić – jeśli już raz się zdecydujesz wpłynąć, to musisz wytrwać do końca. Ze względu na wysokie ciśnienie wody musisz być wyjątkowo doświadczonym płetwonurkiem, żeby bezpiecznie dopłynąć na górę.

Caffery nie umie nurkować. Nie może się też pochwalić taką znajomością terenu jak Flea. Wie tylko, że Misty znajduje się gdzieś tutaj. Do tej pory zachowywał cierpliwość, ale kiedy zostaje przyparty do muru, potrafi udowodnić, że jest cholernie zawziętą bestią i jeżeli będzie trzeba, to podejmie się nawet tak karkołomnego zadania – prywatnie albo z grupą nurków

z innego oddziału. Zajmuje na tyle ważne stanowisko, że gdyby się uparł, bez trudu przeforsowałby to zadanie – wystarczyłoby znaleźć dowolny pretekst. Flea nie może sobie pozwolić na takie ryzyko.

Ma na sobie zwyczajny polar, ale pod spód włożyła zrolowany do pasa skafander do nurkowania. Wysiada z samochodu, wyciąga z tylnego siedzenia torbę ze sprzętem i delikatnie zamyka drzwi. Trzask zamka, który w innych warunkach byłby zupełnie niesłyszalny, rozbrzmiewa nad cichą taflą wody jak wystrzał. Flea otwiera torbę i zaczyna się przebierać. Nie znosi tego momentu. W wodzie czuje się świetnie, tam nie ma znaczenia, czy ktoś jest drobny, czy postawny, ale na łądzie czuje się niekomfortowo. Trudno udźwignąć ten ciężar – butle, balast.

Podchodzi na skraj szybu, siada i nakłada płetwy. Dalej zardzewiała drabinka schodzi do wody, której Flea znowu się przygląda, szuka jakiejś zmarszczki albo innych zmian na lustrzanej powierzchni. Na całym świecie oprócz niej tylko jeden człowiek wie o tym miejscu – jeden człowiek znający się na rzeczy na tyle, żeby tam zanurkować. Ale od dawna go nie widziała. Flea nie wie, gdzie zniknął, a on nie zdradzi swojego miejsca pobytu – jest tego pewna. Był jednym z ludzi- duchów, ale znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie i nic dziwnego, że się stąd wyniósł. Może nawet nie żyje? Zaglądała do niego parę razy, ale w mieszkaniu od kilku miesięcy nikt nie przebywał. Została całkiem sama.

Ostatni raz sprawdza paski i kłamry. System balastowy, zawory, powietrze. Tępy nacisk gumy po przygryzieniu ustnika – a potem syk zasysanego powietrza i świszczący oddech Dartha Vadera. Wejście do jaskini znajduje się sporo poniżej poziomu pięćdziesięciu metrów, który brytyjskie organizacje nurkowe uznają za granicę bezpieczeństwa. Na tej głębokości nie wolno nurkować ze sprężonym powietrzem – a już na pewno nie powinien tego robić płetwonurek, który nie przeszedł badań pod kątem odporności na uraz ciśnieniowy. Ucho Flea to jej słaby punkt – lewe ucho. Musi zwracać szczególną uwagę na niepokojące objawy – mdłości lub ból

promieniujący na jedną stronę twarzy. Jeżeli dojdzie do uszkodzenia bębienka słuchowego, mogą się pojawić zawroty głowy i utrata orientacji przestrzennej. Flea nie może do tego dopuścić. Jeśli znowu pęknie jej bębenek, to koniec z nurkowaniem. Na zawsze.

Przyciska dłonią regulator, żeby go nie zgubić podczas zanurzenia, a w drugiej ręce trzyma inflator do kamizelki. Wreszcie schodzi pod wodę i zanurza się w ciemność.

Sezon na konfitury

Zamyślony CB wraca do samochodu. Jadąc do domu, nie włącza radia, bo woli zachować czysty umysł. Wizytówki policjantów z konferencji o prawie karnym znajdują się w dużej teczce w gabinecie Melanie – ale CB nie potrzebuje ich nazwisk. W każdej chwili może zatelefonować do wydziału, w którym pracują – o ile dobrze pamięta, są członkami sekcji dochodzeniowo-śledczej wydziału kryminalnego. Znalezienie ich nie powinno być trudne. Gdyby miał pewność, że jego podejrzenia dotyczące Handla są uzasadnione, mógłby zrobić to od razu.

Tak, oczywiście, myśli, skręcając na wyłobioną koleinami drogę do Eden Hole. A zatem zwlekasz jedynie dlatego, że nie masz stuprocentowej pewności? I w ogóle nie chodzi o to, że wkurzyłbyś Melanie, gdybyś poszedł na policję? Ty tchórzu.

Wysiada i przez chwilę stoi na zimnie, tyłem do samochodu. W tym miejscu teren zaczyna się wznosić i tworzy płaskowyż, który kończy się stromym urwiskiem i zmienia we wzgórze Cotswold. Urwisko wygląda posępnie, wiecznie targa nim wiatr, a na szczycie sterczą pojedyncze szkielety drzew.

Upton Farm jest oddalone o sześć i pół kilometra – leży po drugiej stronie Dżicy. CB nigdy tam nie był, ale wie, gdzie to jest, bo od czasu do czasu lokalni mieszkańcy powtarzają szeptem tę nazwę. Do tej pory CB żył według zasady, żeby zdobywać jedynie te informacje, na których mu zależy, i nie zajmować się resztą, więc nie chciał wiedzieć, co się tam stało. Nie słyszał o popełnionym przez Isaaca przestępstwie, które tak wstrząsnęło Jane Potter.

W chacie jest ciepło. Pali się ogień i z kuchni dochodzą przyjemne zapachy. Zaczął się sezon na konfitury, a to znaczy, że kuchnię opanowały wiecznie bulgoczące kotły, łyżeczki dżemu rozsmarowanego na talerzykach w lodówce i wałające

się dookoła lepkie termometry do przetworów. Patience często kpi z wassailingu, przytulania się do drzew i tego rodzaju zwyczajów, ale nie kryje radości, kiedy CB wraca ze spaceru obładowany jeżynami z pobliskiego żywoplotu albo lekko zabarwionymi na różowo jabłkami Kingston Black, które spadły z drzew w opuszczonym sadzie. Od razu podwija rękawy i zaczyna sterylizować słoiki.

Dzisiaj przepasała się fartuchem i pobrzękuje po całej kuchni łyżkami cedzakowymi oraz metalowymi pokrywkami. Śniadanie jest już gotowe – banany smażone w cieście, tost, kawa i jeden z dżemów Forager's Fayre, które jej kupił. CB zdejmuje kurtkę, wita się ze Stewartem, a potem siada, smaruje tosta masłem i nakłada trochę dżemu. Stewart obserwuje go ze swojego posłania koło pieca.

– Okazuje się, że twój pies to stary powsinoga – mówi bez uśmiechu Patience. – Może wdał się w pana i znalazł sobie sympatię.

– Dlaczego? Gdzie był?

– Skąd mam wiedzieć? Pewno rozsiewał swoje czarcie nasienie.

– Patience, przecież wiesz, że jest wysterylizowany.

– Widocznie to nie przeszkadza mu uciekać. Może ciebie też powinniśmy wysterylizować.

CB wyczuwa cierpką nutę w jej słowach i zastanawia się, czy wytłumaczyć, gdzie spędził wczorajszą noc i gdzie się dzisiaj wybiera. W końcu postanawia milczeć. Patience jest dorosła, sama może sobie odpowiedzieć na te pytania. Smaruje masłem drugiego tosta.

– Wybierałaś się kiedyś za sad? – pyta. – Wiesz, ten, z którego przynoszę kingstony. To w kierunku tamtych odludnych terenów. Między kościołem a ziemią Raymonda Atheya.

– Wiem, gdzie to jest, nie musisz mi tłumaczyć. Ale nigdy mnie tam nie zobaczysz. Gospodarstwo na drugim końcu jest nawiedzone przez duchy.

– Duchy?

– Dzieją się tam nieczyste sprawy.

– Masz na myśli Upton Farm?

Patience nie odpowiada. Zirytowana wydyma usta i gorączkowo krząta się przy słoiczkach do konfitur, stawiając je na stole, przy którym wciąż je CB. On jednak nie odpuszcza:

– Piętnaście lat temu już tu mieszkaliśmy. W Upton Farm coś się zdarzyło. Pamiętasz, o co chodziło?

– Pamiętam, że chłopak stamtąd się wściekł. Zamordował rodziców. Czy powinnam wiedzieć coś więcej?

– Zamordował rodziców?

– Właśnie to powiedziałam.

CB tak długo pracuje w służbie zdrowia, że już nic go nie szokuje – zna seryjnych morderców, którzy mają na sumieniu o wiele więcej niż dwie ofiary. Ale i tak trudno mu sobie wyobrazić w tej roli Isaaca Handla. I to w najbliższej okolicy.

– Dlaczego chcesz o tym rozmawiać? – pyta Patience. – Hej, Stewart, twój pan wrócił do domu, ale zamiast wziąć cię na spacer, siedzi sobie przy stole i gawędzi o duchach. Co ty na to?

Zrezygnowany CB potrząsa głową. Kończy tosta, a potem niesie kubek i talerz do zlewu, zmywa i odstawia je na suszarkę.

Tylko pomyśleć! Mały, obcięty na garnek Handel zamordował dwoje ludzi. Jak to się dzieje, że niektórzy popełniają taką zbrodnię, a na twarzach nie zostaje im po czymś takim żaden ślad?

CB sięga po płaszcz i smycz.

– Do nogi, Stewie! Idziemy pobiegać na świeżym powietrzu.

Na dworze szybko się okazuje, że może i Patience ugryzła dziś osa, ale w jednej sprawie rzeczywiście ma rację – Stewart zachowuje się jakoś dziwnie. CB stoi w deszczu z naciągniętym na głowę kapturem i rzuca mu patyk, ale pies nie rwie się do aportowania – jakby nagle stał się nadzwyczaj ostrożny.

– No dalej, piesku. Aport! – zachęca CB.

W końcu Stewart biegnie na pole, ale wyraźnie widać, że coś jest z nim nie w porządku. Przede wszystkim nie podnosi patyka, tylko węszy dokoła. Potem rusza truchtem na skraj pola, gdzie przez kładkę nad ogrodzeniem idzie się do zagajnika.

– Co robisz? Wracaj!

Stewart niechętnie słucha. Podchodzi kilka kroków, zawraca

łukiem, wreszcie siada. Kiedy CB zbliża się ze smyczą, pies zaczyna skamleć.

– Stewart, ty głupolu, co się stało?

Kładka, przy której zatrzymał się Stewart, to po prostu duży, płaski głąz z poprzeczką, której można się przytrzymać. CB pochyła się nad nim i zerka w obie strony, a potem prosto w las. Ścieżka zaczyna się przy kładce i prowadzi zakosami wśród drzew. W powietrzu wisi delikatna mgiełka. CB nie widzi nic, co mogło aż tak zaniepokoić Stewarta. Przeżył tu wiele lat, często włóczył się po okolicy, a mimo to może policzyć na palcach, ile razy w życiu szedł tą ścieżką – inne są o wiele ładniejsze i łatwiejsze. Trudno mu sobie przypomnieć, jak dokładnie biegnie szlak, ale pamięta, że można nim dotrzeć na koniec płaskowyżu. Wie też, że idąc dalej, można zejść z drugiej strony, przeciąć miejsce, które nazywają Dziczą i – jeśli ktoś się uprze – dotrzeć do Upton Farm.

Isaac, myśli. Zabiłeś tam mamę i tatę.

Zerka w dół na Stewarta. Z tym psem nigdy nic nie wiadomo. Nie tak trudno uwierzyć, że Stewart wyczuwa niewypowiedziane intencje ludzi, ale żeby zaraz był jasnowidzem?

– Bez przesady, Stew, nie jesteś taki wyjątkowy. Przykro mi, stary, nic tam nie ma. A teraz do nogi! Wracamy do domu. Twój pan wybiera się dzisiaj na gorącą randkę.

Nurkowanie bez uprawnień

Jest zimniej niż na Arktyce. Tak zimno, że Flea ma wrażenie, że ciężar zgniata jej płuca, i musi się z całej siły koncentrować na oddychaniu. Spada niczym kamień coraz niżej i niżej w czerni. W ten sam sposób wiele lat temu zginęli jej rodzice. Tyle że prawdopodobnie opadali głowami naprzód. Nikt nie jest w stanie ocenić, jak bardzo byli świadomi swojego losu.

Flea zerka na nadgarstek. Komputer nurkowy, który tam nosi, to jej prywatne, tajne urządzenie – kiedy z niego nie korzysta, przechowuje go pod kluczem. Gdyby wpadł w niepowołane ręce, zapisy jej nieautoryzowanych zejść pod wodę mogłyby ją wpędzić w poważne kłopoty.

Dociera do pierwszego punktu orientacyjnego – wskaźnika pięćdziesięciu metrów głębokości – i wpuszcza do kamizelki odrobinę powietrza, żeby spowolnić zanurzanie. Odzyskuje pływalność zerową i stabilizuje pion. Z uchem wszystko w porządku. Przynajmniej na razie.

Znalezienie śluzu wymaga trochę czasu, ale w końcu widzi ją w świetle latarki. Jest też sieć obwieszona tabliczkami ostrzegawczymi: **GŁĘBOKOŚĆ 50 METRÓW. ZAKAZ PRZEKRACZANIA BEZ UPRAWNIENIŃ I KWALIFIKACJI.** Umieszczono ją tutaj, żeby zniechęcić niedzielnych pletwonurków do zapuszczania się na niezbadane głębiny. To rodzaj progów. Brama piekieł. Nie da się przewidzieć, co wydarzy się za tym punktem, nie wolno też zakładać niczego z góry.

Niska temperatura wkrótce spowolni jej reakcje, więc Flea działa metodycznie, ściśle według procedury, nie spieszy się – kontroluje za pomocą latarki głębokość, co chwila sprawdza zapas powietrza i czas wykonania poszczególnych etapów, niemal fanatycznie porównując je z zaplanowanymi wartościami. Z prawego ucha promieniuje na skronie i oko

słaby ból. Możliwe, że powoduje go jedynie ucisk nienoszonej przez kilka miesięcy maski, ale jeżeli ból zacznie dokuczać jej bardziej, będzie musiała wypłynąć na powierzchnię. Na razie nie czuje mdłości, a to dobry znak.

Dwa krótkie trzaski z zaworu dozującego. System automatyczny. Flea wolno przechyla się do poziomu i unosząc się w wodzie, dla równowagi przytrzymuje siatkę. Potem odsuwa ją na bok, przenosi nad nią nogi i stopami do przodu, z rękami blisko ciała, zanurza się jeszcze głębiej.

Nagle z ciemności wyrasta przed nią skała. Flea łapie ją i obraca się o dziewięćdziesiąt stopni. Przywiera do ściany, wymacuje drogę, pełźnie szybem niczym krab, jej dłoń w rękawiczce przesuwana się nad twardą powierzchnią, omija mech i porosty.

Szyb schodzi jeszcze głębiej. Cel znajduje się w połowie drogi stąd do dna. Z każdym metrem, który Flea musi pokonać, rośnie jej ciśnienie w uszach, zwiększając szansę katastrofy.

Zatrzymuje się na sześćdziesiątym metrze. Wokół niej jest tylko ciemność i zwielokrotniony dźwięk własnego oddechu. Nie wolno myśleć o tym, ile wody masz nad głową – jeżeli to zrobisz, zwariujesz. Wejście do sztolni jest już blisko. Flea nie przestaje szukać, utrzymując stały rytm oddechu. Przygląda się otoczeniu w świetle latarki i próbuje sobie przypomnieć charakterystyczne wgłębienia i wypukłości na powierzchni ścian. Serce bije jej jak młotem, ale Flea rozmyślnie spowalnia oddech. Panika jest główną przyczyną śmierci na takich głębokościach. Podstawa to równomierne oddychanie.

Jej dłoń pierwsza wyczuwa wskazówkę, a dopiero po chwili wykrywa ją promień latarki – to wąski gzyms, który wyznacza górną krawędź otworu. Wejście jest na tyle szerokie, że zmieściłoby się w nim dwoje płetwonurków z pełnym osprzętem.

Dopiero dalej robi się naprawdę ciasno. Nikt nie znalazłby tego przejścia, gdyby nie wiedział, czego konkretnie ma szukać. Bez względu na kwalifikacje.

W uszach Flea rozbrzmiewa głuchy, pulsujący dźwięk: ua-ua-ua. Może to pierwszy sygnał ostrzegawczy. Ona jednak go

ignoruje. Dzisiaj już nie będzie schodzić na większą głębokość – dalsza droga prowadzi jedynie do góry. Gdyby sprawdził się najbardziej nieprawdopodobny scenariusz i ktoś odkrył to wejście, i tak nie odważyłby się zapuścić w głąb. W kominie skalnym czyha wiele niebezpieczeństw – spadające kamienie, które ciągną za sobą lawinę odłamków skalnych i gliny, płatanina korzeni, które zaczepiają się o butle z tlenem i ściągają je z pleców nurka, i wystające ostre skały, które mogą rozedrzeć skafander.

Ale przynajmniej płynie cały czas do góry. Dzięki temu organizm może odpocząć od ekstremalnych ciśnień.

Flea bierze parę płytkich oddechów, które pomagają jej się zanurzyć jeszcze o kilka centymetrów, a potem zapiera się palcami o gzyms i wpływa do sztolni.

Płynie naprzód pochyłym korytarzem, kierując snop światła w górę. Wreszcie znajduje drugi otwór w sklepieniu – wejście do wąskiego komina skalnego. Bańki powietrza z regulatora unoszą się niczym srebrzysta mgła i osadzają na różnych wystęпах i ostrych grzbietach nad głową Flei. Kiedy zbierze się ich wystarczająco dużo, odrywają się od ścian i pędzą za innymi w kierunku powierzchni. Znikają. Flea wie, gdzie wypływają – dokładnie czterdzieści sześć metrów wyżej. Szkoda, że za pomocą bąbelków nie można przesłać danych o sytuacji na górze. Czy coś się zmieniło? Czego może się spodziewać?

Komputer na jej nadgarstku wskazuje głębokość – sześćdziesiąt trzy metry. Flea staje dokładnie pod wylotem komina, prostuje rękę nad głowę i wpuszcza do skafandra strumień skompresowanego powietrza. Zaczyna się wolno unosić w ślad za bańkami. Ta czynność wywołuje dziwne uczucie lekkości – jakby wlatywała do nieba.

Czterdzieści pięć metrów. Pierwszy z zaplanowanych przystanków dekompresyjnych. Flea zatrzymuje się i przytrzymuje ramieniem skały. Ból w uszach już zelżał. Udało się. Znowu to zrobiła. Uszy wytrzymały i udało jej się pokonać pierwszą przeszkodę.

Wtopieni w siebie

Dochodzi czwarta rano. Nagle za oknem Melanie zapala się reflektor na fotokomórkę.

CB już nie śpi. Znowu miał koszmar – ten, w którym szykuje się do skoku do króliczej nory prowadzącej do nieba – a potem leżał na plecach z otwartymi oczami i słuchał cichego oddechu Melanie. W głowie miał gonitwę myśli dotyczących różnych spraw. Isaaca. Zbrodni, którą ten popełnił w Upton Farm – morderstwa rodziców. Ledwie kilka kilometrów od Eden Hole.

Życie zdawało mu się fantastyczne, ale też kompletnie pokrecone. Zerknął na pogrążoną we śnie Melanie. Wciąż nie mógł uwierzyć, jak łatwa, jak oczywista była ta decyzja – jakby po prostu wtopili się nawzajem w swoje życie. Już nie był samotny. Możliwe, że na zawsze pożegnał się ze stanem kawalerskim.

I właśnie wtedy zapalił się reflektor.

Przez chwilę leży bez ruchu. Widzi insekty wirujące w strumieniu światła – po deszczu zdają się szczególnie tłuste i ruchliwe. Widok owadów wywołuje wrażenie, że wróciło lato, a nie nadeszła późna jesień.

Cicho zsuwa kołdrę i boso idzie przez pokój. Gdy zbliża się do okna w przeciwległej ścianie, reflektor na dworze gaśnie. W ostatniej chwili CB udaje się na mgnienie oka zobaczyć w ogrodzie jakąś postać.

Ta chwila trwa tak krótko, że równie dobrze mogło to być złudzenie – pyłek na siatkówce oka. CB mruga, żeby dostosować wzrok do nagle pociemniałego ogrodu. Nie jest pewny, co zobaczył. Czy coś sobie uroił, czy postać naprawdę miała białą, pozbawioną rysów twarz? Bez cech charakterystycznych. Zdaje się, że zamajaczyła mu też koszula nocna z koronką.

– CB? – mruczy sennie Melanie. – Co się stało?

– Nic. – CB otwiera okno i wychyla się na zewnątrz. Cienie w ogrodzie zaczynają tężeć, zmieniają się w rozpoznawalne kształty.

– CB?

– Tsssss!

Wstrzymuje oddech i wychyla się jeszcze dalej, nasłuchując odgłosów z ogrodu. Słyszy coś pośród drzew, ale nic konkretnego – może szelest spadającego liścia albo cichutki trzask gałązki. A może to po prostu kapią z liści krople wieczornego deszczu. Ciemna, wydeptana ubiegłej nocy ścieżka wciąż nie zniknęła – trudno powiedzieć, czy ktoś ją wydeptał od nowa.

– Co tam zobaczyłeś? – Melanie podchodzi i staje koło niego. Patrzy na ogród, a strach wyciska jej z oczu łzy. – Co to było?

– Nie wiem.

Melanie patrzy na niego.

– Jak to nie wiesz?

– Nie wiem.

CB idzie do łazienki i włącza światło. Pochyla się pod kranem, odkręca wodę i pozwala, by swobodnie spływała mu po głowie. Chce się przez chwilę nie odzywać. Wszystkie drzwi na parterze są zamknięte na klucz. Przed pójściem do łóżka specjalnie się co do tego upewnił. Sprawdził też, czy okna są zabezpieczone. Latarka – ciężki, masywny kloc, którego można by w razie potrzeby użyć jako broni – leży koło łóżka.

CB zwilża myjkę i przeciera nią włosy oraz kark. Przypomina sobie, jak Isaac gapił się na Melanie, wciąż pytając: „Gdzie ona mieszka? Gdzie mieszka?”.

Zakręca kurek, a potem zdejmuje z drążka ręcznik i przykładą go do twarzy. Kiedy zerka ponad ręcznikiem na Melanie, widzi, że ta przesiadła się na łóżko i milcząco, obserwuje go przez uchylone drzwi.

– CB... – mówi Melanie i tym razem nie ma ucieczki przed jej natarczywością. – CB?

– Mel, jak dobrze znasz Isaaca? Wiesz, za co zamknięto go w Beechway?

– Wiem o nim wszystko. Jestem dyrektorką szpitala. Moja

praca wymaga, żebym znała historie pacjentów.

– Nie boisz się?

Melanie mruga.

– Był chory, kiedy popełnił przestępstwo, ale skutecznie go wyleczyliśmy. Dlaczego miałabym się bać?

– Nie przyszło ci do głowy, że przed chwilą w ogrodzie to mógł być on? Że mógł się jakoś dowiedzieć, gdzie mieszkasz?

Melanie przelyka ślinę.

– Nie wiem, co widziałeś.

– Rzeczywiście, ale wczoraj sama coś widziałeś.

– To był sen.

– Nieprawda. Przepraszam, ale oboje wiemy, o czym mówię, i sądzę, że żarty się skończyły. Chcę to zgłosić na policję.

– CB, proszę. – Melanie robi zbolaną minę. – Jeśli to zrobisz, stracę pracę. Nie mogę na to pozwolić. Przykro mi, ale za bardzo się starałam o tę posesję. Musiałam... – Wzdycha. – Naprawdę musiałam o nią walczyć. Nie mogę jej teraz stracić. To wszystko, co mam.

CB nie odpowiada. Odkłada ręcznik i schodzi na parter. Sprawdza wszystkie zamki. Kiedy wraca na górę, Melanie leży na łóżku zwrócona do niego plecami. CB kładzie się koło niej i słucha jej oddechu, który w końcu zwalnia. Albo zasnęła, albo udaje. CB nie śpi. Czujnie wsłuchuje się w każdy odgłos, w każdy trzask pośród drzew za oknem.

Spadanie z wielkim hukiem

Flea nie może pominąć żadnego przystanku dekompresyjnego. Szczególnie kiedy nurkuje sama i przekracza głębokości, na które oficjalnie pozwalają jej kwalifikacje. Płynąc w górę kolina, uważnie obserwuje reakcje organizmu. Wznoszenie trwa tak długo, że z jej mięśni i stawów wydzielilo się dużo azotu. Ostatni przystanek znajduje się ledwie pięć metrów od powierzchni, ale jest najważniejszy. Flea zapiera się o ściany i zmusza się do wytrzymania kilku minut, chociaż niecierpliwość już pcha ją do góry. Po stu oddechach – których odliczenie wymaga koncentracji godnej mistrza zen – Flea otwiera oczy i włącza latarkę.

Powyżej kolin się rozszerza. Rozlega się stłumiony syk, kiedy skafander wypełnia się gazem, i Flea zaczyna się wznosić. Jedną rękę trzyma nad głową, jak zwykle przy wznoszeniu, żeby się ochronić przed niewidocznymi przeszkodami, a drugą przytrzymuje regulator pod takim kątem, żeby jednocześnie widzieć, jak komputer na nadgarstku odlicza ostatnie metry. W pewnej chwili butle z tlenem trą o skalną ścianę. Jeszcze dwa metry i w końcu woda wypiera ją niczym korek na powierzchnię.

To olbrzymia, wysoka na dwanaście metrów pieczara – pozostałość po rzymskich kopalniach ołowiu.

Flea wystawia z wody latarkę i niedbale rzuca ją na kamienną podłogę. Już za pierwszym razem sprawdziła skład powietrza i wie, że można nim bezpiecznie oddychać, więc zdejmuje maskę i chwilę odpoczywa, opierając głowę na ramionach skrzyżowanych na krawędzi otworu. Udało się jej. Bez żadnych problemów – wsuwa palec do ucha i kręci nim kilka razy. Panie doktorze, mogę panu powiedzieć, jeszcze zanim wpadnę na wizytę, że moje uszy są w najlepszym porządku. Idealnym. Wytrzymały zejście na niemal sześćdziesiąt pięć metrów – i kto

im podskoczy?

Kiedy czuje, że ramiona jej odpoczęły, podciąga się i wychodzi ze szczeliny. Po długich minutach spędzonych w szybie ręce i plecy okropnie jej ścierpły od zapierania się o ściany. Flea szybko odpina balast i butle i sięga po latarkę. Trochę się potłukła podczas wznoszenia, ale wciąż działa. Snop światła omiata ściany jaskini. Czarne skały migoczą niczym antracyt – rudę ołowiu i galenę wydobywano ze wzgórz Mendip już od pierwszego tysiąclecia. Jedynej osoby, która wiedziała o tym miejscu, już od dawna nie ma – panuje tu taka sama cisza i spokój jak ostatnim razem, kiedy Flea tu przyплыła.

Pochyla się, żeby zdjąć pletwy.

Nagle zza jej pleców dobiega przenikliwy pisk; Flea w półobrocie chwytając latarkę, prześlizguje promieniem wzdłuż północnej ściany i rejestruje dwa bliźniacze błyszczące punkty. Szczur. Siedzi na tylnych łapach i wpatruje się w nią, a po chwili, jakby nigdy nic, odwraca się i oddala – rozplywa się w ciemności. Rozlega się pisk innego szczura, który odpowiada na nawoływanie, i cichy tupot. Dźwięk w jaskini rozchodzi się tak, jak w komorze akustycznej – nie da się zlokalizować jego źródła, ale sądząc po różnych natężeniach i wysokościach dźwięku, Flea zgaduje, że w grocie roi się od gryzoni. W ścianach jest mnóstwo szczelin, przez które zwierzęta mogły dostać się do środka – były tu, odkąd Flea pamięta. Ich obecność nie ma żadnego znaczenia. Nic się nie zmieniło.

Przytrzymując latarkę pod pachą, Flea zdejmując drugą pletwę, a potem oświetla sobie drogę i idzie w cienkich butach do nurkowania w głąb groty. Po jakimś czasie widzi lekko połyskujący w świetle, wąski, podłużny grzebień skalny zbudowany z czarnych kamieni. Wygląda jak zgrubiała blizna. Łatwo go przeoczyć, jeśli nie wiesz, czego szukać – albo jeśli akurat nie prowadzisz śledztwa na tym terenie. Pod tą niepozorną formacją skalną leżą szczątki Misty. Flea kuca i rozgrzebuje ziemię rękami. W końcu trafia na rąbek brudnej folii. Serce lekko podskakuje jej z radości, kiedy okazuje się, że wszystko jest dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawiła.

Folię pokrywa warstwa gliny. Flea wyciąga ją i oświetla

latarką zawartość. Za życia Misty Kitson była zgrabną, opaloną blondynką. Niektóre gazety nazywały ją pięknoscią. Tygodnik „Nuts” okrzyknął ją „ciałem roku”. Czas jednak nie obszedł się z nią laskawie. Odarł ją ze skóry, twarzy, tłuszczu i mięśni. Jej złociste włosy to już tylko kilka kosmyków przyklejonych do spękanej, pożółkłej czaszki. Szkielet złożył się jak akordeon. Goleń leży na prawej skroni, a pomiędzy żeber wystają kości palców stóp. To niesamowite, że dorosłą kobietę można zredukować do tak małych rozmiarów – do woreczka kości. Oto człowiek.

Flea dokładnie ogląda folię. W wielu miejscach jest przegryziona zębami szczurów. Caffery oczywiście nie wziął pod uwagę tego czynnika. Badania laboratoryjne wykażą obecność na kościach Misty śladów przechowywania w foliowej torbie, które wyglądają zupełnie inaczej niż gdyby szczątki uległy rozkładowi w lesie. Zupełnie zapomniał o wpływie zwierząt na stan dowodów. Zwierzęta potrafią zmienić ludzkie zwłoki w niedającą się zidentyfikować masę – nie trzeba na to dużo czasu.

Flea zwraca promień latarki w kierunku komina – a potem kieruje go znowu na szczątki. Ocenia odległość. Mogłaby z nich zrobić mały pakunek, uszczelnić i wynieść Misty na powierzchnię. Otworzyć puszkę, której nie powinna otwierać. Mogłaby, ale tego nie robi. Tutaj nic jej nie grozi. Nikt tu nie przyjdzie – nikt się nie dowie. Flea może dalej latać.

Składa z powrotem folię i przysypuje ją kamieniami.

Tak mi przykro, Misty. Przepraszam ciebie i twoją mamę. Wiem, jak to jest kogoś stracić i nie móc mu wyprawić pogrzebu, ale na razie nic na to nie poradzę. To jeszcze nie czas, żebym spadła z wielkim hukiem na ziemię.

Jeszcze nie teraz. Może nigdy.

Żółta

Melanie i CB są w impasie. Ich związek wciąż jest bardzo świeży, a tymczasem stali się wobec siebie nieufni i podejrzliwi niczym rozwodnicy. Przy śniadaniu zachowują się sztywno i nienaturalnie, prawie się nie odzywają. Melanie zdziwiła CB, a raczej zbiła go z tropu, gwałtownie spuszczać rolety w oknach. Na pewno teraz się tego wstydzi. CB zna wiele kobiet, które wspięły się po szczeblach kariery i zdobyły władzę; wielu z nich utrzymanie się tam sprawia ogromną trudność. Zupełnie jakby się zdziwiły, że w ogóle dostały się na szczyt, i trzymają się posad bardziej kurczowo niż to potrzebne.

CB wkłada talerze po śniadaniu do zmywarki i znowu wychodzi do ogrodu – żeby się tam rozejrzeć w świetle dziennym. Nie wie, czego ma szukać, więc rozgarnia trawę czubkiem buta i próbuje wyglądać na bardzo zamyślonego, a po chwili wraca do domu. Co chwila zauważa, że Melanie posyła ku niemu ukradkowe spojrzenia. Sam też ją obserwuje, kiedy ta zajmuje się czymś innym. Próbuje dopatrzeć się sygnałów wskazujących, że Melanie nie chce przedłużać konfliktu, że wolałaby ostudzić atmosferę. Nie zdziwi go to. Melanie robi tak, bo czuje się zawstydzona – najgorszy z możliwych powodów, ale ma swoją dumę.

Kiedy zaczynają pracę, CB czuje się totalnie sponiewierany. Brakuje mu siły, a wspomnienie o nocnym gościu w ogrodzie wciąż nie daje mu spokoju. Obrazy z ubiegłej nocy stają mu przed oczami – twarz ukryta pod maską, która wyglądała jak naciągnięta na głowę pończocha. Najgorsze było absolutne opanowanie, brak jakichkolwiek oznak pośpiechu u tej postaci – tak nieruchomej, że CB wciąż nie jest pewny, czy był to żywy człowiek. Nie może się pozbyć tego widoku, więc w końcu postanawia mu się poddać. Polegając jedynie na podświadomości, pozwala, żeby nogi same poprowadziły go

tam, dokąd chcą. Po chwili bez zdziwienia odkrywa, że stoi przed drzwiami pokoju Matki Potworów.

Matka Potworów siedzi jak zwykle przy oknie. Trzyma kikut ręki wysoko nad głową. Trudno się dopatrzeć, dlaczego tak robi, ale zdaje się, że taka pozycja wcale jej nie męczy. Matka Potworów nie porusza tego tematu, tylko wdzięcznie uśmiecha się do CB i lekko wstaje z krzesła, żeby dygnąć na powitanie, przytrzymując zdrową ręką rąbek zwiewnej żółtej koronki, a drugą wciąż unosząc nad głową.

– Gabriello.

– Witaj, najdroższy CB. Wyjątkowo dziś żółto na świecie.

– Żółto, czyli...

– Czyli słonecznie. – Siada rozpromieniona. Ręka pozostaje w górze, beztrudnie odsłaniając gąszcz rudawych włosów pod pachą. – Świat się cieszy.

– Cieszy się, bo...?

– Bo Maude odeszła. Teraz zapanuje spokój. Jesteśmy bezpieczni. Och, CB. – Zwraca w jego kierunku swoje niesamowite oczy. Te oczy są w stanie rozświetlić cały świat. – To wszystko dzięki tobie. Jesteś cudowny. Ze wszystkich moich dzieci na tobie zależy mi najbardziej. Wyrosłeś na najporządniejszego z nich.

CB blade się uśmiecha. Isaac Handel opuścił szpital, a Matce Potworów od razu wrócił dobry humor. To nie może być jedynie zbieg okoliczności.

– Mogę usiąść?

– Ależ oczywiście, ukochany synku. – Matka Potworów wciąż trzyma kikut w górze. – Siadaj, siadaj. Napijesz się herbaty? Poczęstujesz się ciastkiem? Truskawkowe są smaczne.

W pokoju Matki Potworów nie ma przyborów kuchennych ani produktów, z których można by upiec ciastka czy zaparzyć herbatę, ale CB uprzejmie skłania głowę.

– To bardzo miłe, Gabriello, ale dzisiaj już jadłem. Dziękuję. – Siada. Bierze głęboki oddech. – Gabriello, myślisz, że Isaac coś wie o Maude?

Nastrój Matki Potworów nagle się zmienia. Opuszcza kikut, a jej twarz ciemnieje, jakby zasnęła ją chmura.

– Gabriello?

Kobieta porusza językiem w półotwartych ustach, jakby prowadziła sama ze sobą wewnętrzną dyskusję. Wodzi oczami to w lewo, to w prawo.

– Gabriello? Pytałem, czy...

– Urodziłam go. Jak mogłabym zapomnieć? Pamiętam o każdym z was. Nadal płaczę z powodu Isaaca. – Milknie i jedynie mamrocze do siebie, wpatrując się w podłogę, jakby strofowała kogoś lub coś. W końcu szybkim ruchem unosi głowę i bez mrugnięcia przygląda się CB.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. Już go tu nie ma.

– Gdzie teraz jest? Wybiera się z powrotem?

– Nie. Nie wróci. Obiecuję.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję.

Matka Potworów zwiesza głowę na piersi i marszczy brwi. Przymyka oczy. Znowu mamrocze słowa, które CB ledwo słyszy.

– Gabriello, powiedz mi jeszcze jedno. Kojarzysz dyrektorkę naszego szpitala, pannę Arrow... Czy Isaac kiedykolwiek o niej wspominał?

Matka Potworów rzuca mu gniewne spojrzenie, a jej oddech nagle przyspiesza.

– Gabriello?

Zamiast odpowiedzieć, kobieta zrywa się z krzesła i zwraca do okna.

Kołysze się i mamrocze pod nosem, masując kikut ręki, jak zawsze, kiedy czegoś się boi.

CB pociera zmęczone oczy. Wie, że nic więcej nie może zrobić. Jej milczenie wystarcza mu za odpowiedź.

Miarka się przebrała.

Triumf

Caffery znowu źle spał i budzi się obolały. Wypija kawę, łyka paracetamol, bierze prysznic, ubiera się i jedzie zatłoczonymi ulicami Bristolu, otoczony syrenami policyjnymi, klaksonami, głosami z radia. Dzisiaj rano nikt nie mówi o Misty Kitson. To jednak nie znaczy, że jej nie ma. Jest – czai się za informacjami, dzingłami i muzyką. Misty nie znika ani na chwilę ze świadomości masowego odbiorcy.

Flea twierdzi, że ciała nie ma na dnie kopalni. Mówi, że to bardziej skomplikowane. Czy kłamie? Nurkowanie to nie jego bajka – jest skomplikowaną, bardzo specjalistyczną umiejętnością – ale na pewno znalazłby kogoś zdolnego mu pomóc. Ścisła dłońmi obita skórą kierownicę i bardzo głęboko zastanawia się nad tą kwestią. Istnieją jeszcze inne oddziały nurków. Ponadto można skorzystać z usług fachowców spoza policji. Od czego by zacząć? Dostrzega ironię sytuacji – jeżeli i tak chce prosić o pomoc kogoś z zewnątrz, to po jakiego grzyba tak długo utrzymywał wszystko w tajemnicy?

Zamyśla się nad pytaniem, kto go bardziej wkurza – Flea czy on sam, ponieważ wciąż podsyczał płomyk nadziei, że dziewczyna zmieni jeszcze zdanie.

Kiedy Caffery wchodzi do biura, nadinspektor już czeka na niego w recepcji. Po jego chytrej minie od razu widać, że wpłynęła jakaś nowa sprawa. Stoi oparty nonszalancko o dystrybutor wody, pod oprawioną fotografią zmarłego naczelnika, i uśmiecha się powściągliwie, ale z cieniem triumfu na ustach. Towarzyszy mu ciemnowłosa mężczyzna – ma czterdzieści kilka lat i wygląda, jakby czuł się w garniturze niekomfortowo. Caffery skądś kojarzy tę twarz.

– Jack, pozwól, że przedstawię ci pana LeGrande’a. Chciałby zamienić z tobą kilka słów.

Caffery wyciąga rękę.

– Miło mi, panie LeGrande.

– Mnie też.

Wymieniają uściski dłoni.

LeGrande już dostał przepustkę dla gości, którą zawiesił sobie na szyi, przypiętą do smyczy z nowej dostawy dla MCIT z nadrukiem komiksowych postaci Sherlocka Holmesa i Isambarda Kingdoma Brunela.

– Wystarczy CB zamiast nazwiska. Czy nie widzieliśmy się na forum prawa karnego?

– Rzeczywiście. Teraz pana poznaję.

– Jack! – Nadinspektor niczym wytrawny polityk opiera dłonie na ramionach obu mężczyzn i zachęca ich do dalszej rozmowy. Wyraźnie triumfuje, a satysfakcja dodaje mu skrzydeł. – Zaproś pana LeGrande’a na górę. A potem powiedz mi, co ustaliliście.

Idą zatem do biura. Na korytarzu Caffery próbuje w myślach zgadnąć, czego może od niego chcieć CB. Oby tylko nie okazało się, że to jakiś oszołom: „Panie Caffery, dobrze, że zgodził się pan ze mną spotkać. Chciałbym wrócić do tematu, który poruszyliśmy na forum. Napisałem dla pana projekt wdrożenia programu bezkonfliktowego transferu zatrzymanych z aresztu śledczego do...” i tak dalej.

Po wejściu do biura Caffery od razu idzie zaparzyć dwie kawy – CB sprawia wrażenie, jakby jej potrzebował nie mniej niż on, a może nawet bardziej – a potem siadają, CB na sofie, a Caffery za biurkiem.

– A więc, CB, co mogę dla ciebie zrobić?

CB przykładą dłoń do ust i odkasłuje, zawstydzony.

– No, hm... Zanim przejdziemy do rzeczy... To poufna sprawa.

Caffery unosi brew.

– Teoretycznie nie widzę problemu. Ale nie mogę nic obiecać, dopóki się nie dowiem, czego dotyczy ta rozmowa.

– To bardzo ważne, żeby nikt się nie dowiedział, że tu przyszedłem.

– Ktoś ci groził?

– Nie, chodzi o coś innego... Bo... – Waha się, a po chwili szybko wyrzuca z siebie słowa: – Coś się dzieje w moim miejscu

pracy. A raczej, coś się działo. Zapewne pan pamięta, że pracuję w strzeżonym szpitalu psychiatrycznym. Ostatnio mieliśmy do czynienia ze zjawiskami, które trudno wytłumaczyć... Mam pewne obawy.

Caffery zdejmuje okulary i zmęczonym gestem pociera oczy.

– Panie LeGrande, proszę sobie na przyszłość zapamiętać, że policja nie przepada za zwrotem: „Mam pewne obawy”. Niech pan nie oczekuje pozytywnego przyjęcia, jeżeli w taki sposób zaczyna pan rozmowę. Te słowa brzmią szczególnie zniechęcająco. Proszę, niech pan mówi dalej.

– Dobrze. Może się panu zdawać, że mi odbiło... ale to zrozumiałe. Pracuję z czubkami, czego innego się spodziewać?

– Wolno panu nazywać ich czubkami?

– Mnie tak, ale panu nie. Pan jest z zewnątrz. My, pracownicy, mamy specjalne przywileje. Może mi pan wierzyć, że na nie zasługujemy. – Lekko się uśmiecha. – To prawdziwe wariatkowo. A po naszym wariatkowie, odkąd pamiętam, krąży legenda, która jest najbardziej zwariowana ze wszystkiego. To... – Wzdycha, zażenowany. – To historia o duchach, którą od czasu do czasu straszą się nasi pacjenci. Są bardzo podatni na sugestie, na pewno łatwo panu to sobie wyobrazić. W miarę możliwości staramy się nie dopuszczać do rozprzestrzeniania się takich opowieści, ale zdarza się, wiem o co najmniej trzech takich przypadkach, że nie udaje się ich opanować. Za każdym razem skutek był taki sam: CS.

– Ce-es?

– Przepraszam, celowe samookaleczenie. Cięcie się i tego rodzaju wypadki. Kilka lat temu te historie doprowadziły nawet do śmierci, może samobójstwa, ale tego nie wiemy na pewno. Przed tygodniem mieliśmy kolejny zgon. Zdaniem lekarzy to był zawał, ale coś mi tu nie pasuje.

Caffery zamyślony stuka długopisem w blat biurka i przygląda się twarzy CB. To smutna historia, ale już kilka razy słyszał podobne. Samobójstwa w zakładach zamkniętych zawsze martwią pracowników – nawet bardzo ich martwią – jednak rzadko się okazuje, że to przypadki, którymi powinien interesować się zespół interwencyjny. Może uda się szybko

załatwić tę sprawę.

– Jeden z pacjentów wylupił sobie oko.

– To okropne.

– Okropne, ale nie takie niezwykle w... wie pan, w wariatkowie. Sęk w tym, że miał takie same halucynacje, jak pacjentka, którą straciliśmy w ubiegłym tygodniu. Jej też coś się przywidziało. Podobny przypadek zdarzył się kilka lat temu. Wtedy też skończyło się śmiercią pacjentki. Wmówiła sobie, że widziała Mau... Przepraszam, zapomniałem wyjaśnić. Pacjenci nazywają to coś Maude.

– Maude?

CB kręci głową.

– To długa historia. Ale to, co uroiło się tej pacjentce, było na tyle negatywne, że pewnego dnia po prostu wyszła ze szpitala i nikt jej więcej nie widział. Znaleziono ją dopiero po kilku miesiącach, na terenie należącym do Beechway. Autopsja nie wskazała jednoznacznie przyczyny zgonu. Myślę, że wszyscy podejrzewali samobójstwo, ale szybko odstawiono tę sprawę na boczny tor.

– Jak się nazywała ta pacjentka?

– Pauline Scott.

To nazwisko coś Caffery'emu mówi.

Słyszał je w związku z jakimiś zdarzeniami sprzed przeprowadzki do Bristolu. Jest niemal pewny, że Flea o tym wspominała, bo ta sprawa przyniosła wstyd wszystkim zainteresowanym stronom: szpitalowi Beechway, bo dopuszczono, żeby pacjentka sama opuściła jego mury, i oficerowi śledczemu z zespołu Flei, który objął poszukiwaniami za mały teren. Ta wpadka potwierdza, jak łatwo przeoczyć kogoś, kto znajduje się zaledwie kilka metrów poza wyznaczoną strefą. Caffery nie spuszcza gościa z oczu, ale jego myśli wędrują na drugi koniec biura – do fotografii Misty. W takim śledztwie ważny może być każdy metr, a nawet centymetr.

– Tyle że moim zdaniem to polowanie na ducha rodem ze *Scooby-Doo* – mówi CB.

– Skąd?

– Z kreskówki o Scooby-Doo. No, wie pan: Scooby, Kudłaty i reszta ekipy zawsze ścigają jakiegoś ducha, a na końcu demaskują go jako... no, nie wiem, na przykład miejscowego sprzedawcę nieruchomości czy kogoś w tym rodzaju. Faceta, który wszystkim wmawia, że dom jest nawiedzony, żeby zbić cenę. Właśnie to mam na myśli: coś realnego, ale upozorowanego tak, żeby wyglądało na zjawiska nadprzyrodzone. Sądzę, że taki duch ze *Scooby-Doo* nawiedza korytarze Beechway.

– A Kudłaty to pan...

– Nie, ja jestem Velmą. Mózgiem. A, i od razu uprzedzam, że jestem również Scully, bo o to też niektórzy mnie pytają.

– Velma. Scully. Okej, scena należy do pana. Słucham.

CB wykonuje lekki ruch głową. Gdyby nosił okulary w rogowej oprawie, to w tym momencie poprawiłby je palcem na nosie.

– Dobrze. Nie mogę tego ustalić na sto procent, ale jestem niemal pewny, że za każdym razem, kiedy dochodzi do wypadku, następuje awaria prądu.

– Aha.

– Brak prądu odcina kamery monitoringu.

– Często wam się to zdarza, prawda?

– Nie. Pamiętam dwa, może trzy takie przypadki w ciągu czterech lat pracy. – CB stawia plecak na podłodze i rozpina zamek. – Mam tu coś, co chciałbym panu pokazać. Dla pana to nic nie znaczy, ale dla mnie... – Uśmiecha się niewesoło. – No cóż, mnie się od tego zjeżyły włosy na głowie.

Kalkulator żałoby

Flea stoi w swojej kuchni pod niskim sufitem i przyrządza śniadanie. Dzięki bliskości rozgrzanego pieca w końcu do jej ciała wsącza się odrobina ciepła. Wzięła prysznic i dokładnie się wyszorowała, ale mija wieczność, zanim udaje jej się zneutralizować skutki chłodu w sztolni.

Patrzy nieobecny wzrokiem na skwierczące na patelni jajka i bekon i automatycznie przewraca je na drugą stronę. Bekon to Old Spot kupiony na miejscowym targowisku, a jajka pochodzą od rodziny z sąsiedztwa, która wbrew sprzeciwom wciąż próbuje się odwdziżyć za dwie godziny, które Flea poświęciła na naprawę pompy obiegowej w ich instalacji ogrzewania podłogowego. Jako pletwonurek Flea zna się na pompach, więc to było łatwe, ale oni do dzisiaj zostawiają dla niej jaja pod kuchennymi drzwiami. Od jakiegoś czasu gdzie nie spojrzy, tam widzi jajka. Już jej wychodzą czubkiem nosa.

Zsuwa jajka z patelni na talerz i bez zbędnych ceregieli stawia go na stole obok ciężkiego kubka mocnej kawy i słoika cukru z wetkniętą weń łyżeczką. Jest z krwi i kości sierżantem grupy wsparcia – na śniadanie lubi zjeść tłusto i prosto. Wyciska ketchup z plastikowej butelki. Nie ma miejsca ani czasu na zgrywanie damy. Mama i tata padliby trupem, gdyby dostrzegli u niej choćby cień pretensjonalności.

– W takim razie – mamrocze pod nosem Flea, przysuwając sobie krzesło – dobrze, że was tu nie ma, no nie?

Przeżuwa w skupieniu – łokcie trzyma na stole. Nie odrywa wzroku od talerza, nie rozgląda się na boki. Czasami lepiej nie pamiętać, gdzie się jest. Szczególnie jeżeli tym miejscem jest dom zmarłych rodziców. Tata wiedziałby, co powiedzieć – położyłby dłoń na jej ramieniu i odpowiedział na wszystkie pytania. Zapytałaby go: „Tato, czy można zostawić sprawy własnemu biegowi? A jeśli tak, to co mam powiedzieć temu

człowiekowi? Jak mu to wytłumaczyć? Bo jedno wiem na pewno – on nie odpuści”.

Tata pocałowałby ją w głowę i porozmawiał z nią spokojnie, logicznie. Znałby wszystkie odpowiedzi. A gdyby czegoś nie był pewien, skonsultowałby się z mamą. Poszliby do pokoju na drugim końcu domu, zapalili lampę nad fortepianem i usiedli naprzeciw siebie w fotelach. Dyskutowaliby półgłosem tak długo, aż znaleźliby rozwiązanie problemu. Stanęliby za nią murem i byłaby bezpieczna.

Musi przerwać na chwilę jedzenie. Przestaje gryźć i z wysiłkiem połyka przeżutą papkę. Sięga po kubek i łąpczywie popija kilka łyków kawy, żeby przepchnąć jajko i bekon. Potem siedzi bez ruchu ze spuszczoną głową i wbija wzrok w talerz.

Gdzieś na pewno istnieje równanie, za pomocą którego można obliczyć, jak długo trwa żałoba. Kalkulator w rodzaju tych, które przeliczają w internecie waluty. Wystarczy wpisać swój wiek, płeć, wykonywany zawód, kilka faktów z życia prywatnego. Potem podzielić przez stopień zażyłości ze zmarłą osobą i dodać punkty – dużo punktów – za brak ciała, które można pochować w grobie. Otrzymany wynik – konkretna liczba – zagwarantuje ci, że dokładnie po pięciuset siedemdziesięciu trzech dniach ból minie. Jezu, jeżeli tak łatwo można dokonać konwersji rupii pakistańskich na złotówki, jeżeli da się mapować ludzki genom i zbadać skład gleby na Marsie, to musi być jakiś sposób na obliczenie, kiedy przeminie żal po stracie bliskich.

Flea wstaje i wyrzuca do kosza resztę jedzenia. Zmywa naczynia. Przed nią długi dzień. Przy odrobinie szczęścia uda się jej wymyślić przekonujące argumenty, zanim Jack Caffery przyjedzie na miejsce poszukiwań. Jeżeli jednak szczęście jej nie dopisze, to będzie najzimniejszy, najwilgotniejszy dzień roku, a wieczorem znowu skończy się płaczem pod prysznicem.

Mandaty drogowe

CB dobrze pamięta Caffery'ego. Na forum prawa karnego podsłuchał dwie uczestniczki, które po jego wyjściu z hotelu szeptem wymieniały uwagi na jego temat. Z ich chichotu i zaróżowionych policzków wywnioskował, że Caffery uchodzi za przystojniaka. Zapewne z tych samych powodów kobiety nie chichoczą ani nie czerwienią się na widok CB. Caffery roztacza jakąś szczególną aurę, rodzaj pewności siebie i nonszalancji – trudno to dokładnie nazwać, ale CB chciałby mieć chociaż niektóre z tych cech.

Siedząc w jego biurze, CB widzi, że inspektor nic nie stracił ze swojego uroku osobistego, sukinkot. Zdaje się, że jest już po czterdzieście i nieco siwieje na skroniach w sposób, za którym kobiety wręcz szaleją. Rozgląda się czujnie, jakby za szybko, ale CB domyśla się, że to oznaka inteligencji i determinacji, a nie nieszczerých zamiarów. W biurze brak jakichkolwiek śladów życia prywatnego. Żadnych oprawionych w ramki fotografii ani dyplomów – jedynie dwie usiane kolorowymi pinezkami szczegółowe mapy hrabstw Avon i Somerset, i wielka fotografia kobiety, której twarz CB skądś kojarzy. To chyba ta zaginiona w ubiegłym roku gwiazdka telewizyjna? Kitty czy jakoś tak. Nie pamięta szczegółów.

– Zelda Lornton, pacjentka, która zmarła tydzień temu na atak serca... – CB wyjmując z plecaka namalowany przez Zeldę obrazek i kładzie go na biurku. Caffery pochyła się, żeby popatrzeć. – Ona też trzy tygodnie przed śmiercią się samookaleczyła. Twierdziła, że zmusiła ją do tego... zjawa, Maude. Że to ona wryła na jej rękach napisy, cytaty z Biblii. Wątpię, żeby Zelda sama wpadła na taki pomysł. Dwa tygodnie później już nie żyła. – CB dotyka palcami gładkiej twarzy Maude na obrazku. – Znalazłem to wśród jej prac z terapii sztuką. Widzi pan tego karłowatego cudaka? O, tutaj.

Doskonale pasuje do opisu Maude, który podają pacjenci. Proszę zwrócić uwagę na sweter tej postaci i dwie lalki, które trzyma w rękach.

– Widzę.

– Te elementy pasują z kolei do jednego z naszych pacjentów. To nie może być przypadek, że Zelda w taki sposób przedstawiła tę istotę.

– To wasz pacjent? – Caffery zerka znad szkieł okularów. CB nie jest pewny, czy policjant z niego kpi, czy traktuje go poważnie. – Jeden z waszych pacjentów jest duchem ze *Scooby-Doo*?

– Właściwie mam na myśli jednego z byłych pacjentów. Dwa dni temu wypisaliśmy go do domu. To znaczy, że teraz – CB wskazuje ruchem głowy na okno – gdzieś tam krąży. Mam poważne wątpliwości, czy to dobra wiadomość.

Caffery bierze do ręki długopis i coś notuje. Wpisuje dzisiejszą datę.

– Nazwisko tego mężczyzny?

– Isaac Handel.

– Isaac... – Caffery przestaje pisać i patrzy na CB. – Isaac Handel? Ten Isaac Handel? Z Upton Farm?

– Zna go pan?

– Słyszałem o nim. To przypadek sprzed mojego przyjazdu w te strony, a oficer prowadzący śledztwo w jego sprawie już od jakiegoś czasu jest na emeryturze. Pyta pan jednak, czy wiem o Handlu i o zdarzeniach na Upton Farm? Dużo się o tym tutaj mówi.

– Dlatego, że rozślawiło go to, co zrobił?

– Rozślawiło... – Caffery potakuje. – Tak, można powiedzieć, że rozślawiło.

– Nie znam zbyt dobrze jego historii. Przez wiele lat był pod moją opieką pielęgniarską, ale dopiero niedawno odkryłem jego związek z Upton Farm. I chociaż dorastałem niedaleko od tego miejsca i wiedziałem, że zabił rodziców, to szczegóły tamtego zdarzenia... Wie pan, ludzie lubią plotkować i powtarzać szeptem różne niestworzone rzeczy. – Przez chwilę zastanawia się, czy Caffery nie udostępniłby mu stenogramu

rozprawy, gdyby go o to poprosił. W końcu jednak decyduje, że nie chce poznawać szczegółów. To było nietypowe morderstwo, wyjątkowo ohydne, więc wystarczy mu ogólny zarys bez wnikania w detale. – Wiele można sobie dopowiedzieć. Odczytałem między wierszami, że pacjent nie trafił do nas za mandat drogowy.

– Mogę pana zapewnić, że nie chodziło o mandat.

– Miał czternaście lat? Dobrze pamiętam?

– Dobrze.

– Zamordował rodziców. Niektórym schizofrenikom zdarzają się napady nieuzasadnionej... agresji. Pod wpływem niesprzyjających warunków...

Caffery potakuje, jakby się z nim zgadzał.

– Nie znam szczegółów. Musiałbym zajrzeć do akt. Pamiętam, że był jakiś problem z sekcją zwłok. Lekarz sądowy musiał długo czekać na dostęp do ciała. To niespotykane. – Przekłada dokumenty na biurku, jakby nagle poczuł się niezręcznie. Odkasłuje, sięga po długopis i znowu zaczyna pisać. – A zatem sądzi pan, że może mieć on jakiś związek ze śmiercią pacjentki podejrzanej o samobójstwo? I zaobserwował pan dwa... nie, trzy przypadki określane jako celowe samookaleczenie?

– Tak. – CB przygląda się mu, gdy ten notuje odpowiedź. – Jeszcze raz podkreślam, że to poufne informacje.

– Kto nie może się o nich dowiedzieć?

– Nikt z funduszu.

Caffery unosi głowę.

– To bardzo ograniczy moje możliwości. Jeżeli mam się zająć tą sprawą, będę musiał odwiedzić szpital.

– Czy to konieczne? Nie może pan po prostu, na przykład, znaleźć Isaaca Handla i dowiedzieć się, co robi? Porozmawiać z nim? Wie pan, mnie tu w ogóle nie powinno być. Naprawdę, jeżeli to wyjdzie na jaw, mogę stracić więcej niż pracę. A jeżeli pańska wizyta w szpitalu jest konieczna, to muszę... – Robi ręką nieokreślony gest w kierunku drzwi. – Będę musiał udawać, że się nie widzieliśmy. Nikt się nie może dowiedzieć o naszej rozmowie.

Caffery lekko wzrusza ramionami, co równie dobrze może

znaczyć „tak” i „nie”, i odkłada długopis. Rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, w końcu to nie mnie zależy na rozwiązaniu tego problemu”.

– Proszę. I przepraszam – mówi CB. – To po prostu niewygodna sytuacja.

– Może zatem pan uściśli, kogo konkretnie nie powinniśmy informować?

– Niektórych członków funduszu. Bardzo im zależy na wizerunku szpitala, nie byłiby zadowoleni, że wezwałem policję. Szczególnie dyrektorka. Melanie Arrow.

– Chyba ją poznałem. Była na konferencji? Taka blondynka?

CB jest trochę zaskoczony, słysząc z ust Caffery’ego to określenie. Wie, że ze sobą rozmawiali, ale jak długo? Caffery pamięta, że jest blondynką. Ciekawe, co jeszcze. I czy z nią flirtował? A co gorsza, czy ona flirtowała z nim?

– Tak, blondynka. Na pewno nie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, że postanowiłem otworzyć puszkę Pandory. Nie dlatego, że jest złą osobą. Nie ma też nic do ukrycia. Po prostu nie chce stracić pracy.

– Nikt nie chce stracić pracy. Wszyscy marzymy o idealnym świecie.

– Potraktuje mnie pan poważnie? – niecierpliwi się CB. – Czy może mi pan obiecać choć tyle?

Po długiej chwili milczenia Caffery odsuwa krzesło.

– Zajmę się tym, panie LeGrande. Zobaczymy, co da się zrobić.

Hotel Avonmere

Caffery nie był entuzjastycznie nastawiony do nowego projektu, który podrzucił mu nadinspektor, ale teraz już nie jest taki sceptyczny. Możliwe, że jednak będą z tego jakieś korzyści. Według starego powiedzenia, czekającemu czas się dłuży – warto więc czymś się zająć, dopóki Flea nie otrząśnie się z pierwszego szoku i nie zdecyduje, co dalej. Może do tej pory uda się wymyślić plan B na wypadek, gdyby postanowiła pójść w zaparte.

Caffery składa raport nadinspektorowi i cierpliwie znosi jego nieunikniony wykład. Jak długo jeszcze zespoły będą w terenie, szukając Misty Kitson? Czy jest w stanie usprawiedliwić wydatki? Czy prasa wciąż nie czuje się usatysfakcjonowana? W końcu udaje mu się oznajmić, że zajmie się szpitalem Beechway. Trochę powęszy wokół tej sprawy.

Nadinspektor nie daje się łatwo udobruchać.

– Dobrze – mówi. – Ale najpóźniej do jutra chcę wiedzieć, jak ją zaklasyfikujemy. Jeżeli to sprawa dla nas, to chcę, żebyś poświęcił jej całą energię.

Pierwszym zadaniem Caffery’ego jest zdobycie trzech tysięcy funtów na zatwierdzone przez zastępcę dyrektora zakładu medycyny sądowej powtórzenie obdukcji, potem telefonuje do koronera, żeby zaklepać ciało Zeldy – wstrzymać czynności związane z pogrzebem. Zelda wciąż leży w kostnicy we Flax Bourton, gdzie ostatnio przeprowadza się wszystkie obdukcje, bo inne szpitale w okolicy zlikwidowały taką działalność. Sekretarka łączy go z wieloletnią znajomą, dyżurną lekarz sądową Beatrice Foxton. Caffery ma szczęście, że to nie ona wykonała pierwszą sekcję zwłok – czułby się niezręcznie, gdyby musiał ją prosić o powtórzenie badań. Mimo to Beatrice ma pewne wątpliwości. Przede wszystkim wyniki poprzedniej sekcji – atak serca wskutek otyłości – to nowy syndrom, który

dopiero od niedawna wpisuje się do aktu zgonu. Ponadto jeszcze nie widziała zmarłej, ale obawia się, że wykonano u niej nacięcie typowe dla zwykłych szpitalnych obdukcji, które mogło uszkodzić okolice szyi, a właśnie im chciałaby się przyjrzeć. Beatrice deklaruje jednak, że zrobi wszystko, co w jej mocy, i że potraktuje Zeldę priorytetowo.

Caffery wysłała furgonetką jednego ze swoich ludzi do archiwum po teczkę z dokumentami Isaaca Handla. Na jego powrót będzie musiał czekać prawie cały dzień, więc tymczasem czyta o sprawie Handla w bazie danych HOLMES. Telefonuje do dwóch policyjnych weteranów, którzy są w służbie wystarczająco długo, żeby pamiętać podwójne morderstwo w Upton Farm. Wypytuje ich o szczegóły, których nie znalazł w bazie HOLMES. To nic przyjemnego.

Pracując, wciąż ma wrażenie, że Misty wodzi za nim wzrokiem. Za każdym razem, kiedy unosi głowę znad biurka, słyszy w myślach pytanie: „A co ze mną? Zapomniałeś o mnie?”. Musi się powstrzymać, żeby nie zasłaniać oczu przed jej palącym spojrzeniem. Najchętniej odwróciłby fotografię przodem do ściany, ale wie, że to jeszcze bardziej pogorszyłoby mu samopoczucie.

Zerka na pusty wyświetlacz telefonu i zastanawia się, czy zadzwonić do Flei. Zaczyna pisać SMS-a, ale się rozmyśla, wkłada telefon do kieszeni i przez chwilę siedzi, kołysząc rękami po bokach krzesła, niepewny, co dalej robić. Jeżeli ta sprawa kiedykolwiek zostanie rozwiązana, to stanie się tak jedynie na zasadach Flei i we właściwym czasie.

Podenerwowany wkłada kurtkę, schodzi na parking i wsiada do samochodu. Dobrze znowu być w ruchu. Dobrze jest w końcu pomyśleć o czymś innym. Nawet o Isaacu Handlu – nastoletnim psychopacie, który zamordował oboje rodziców i barbarzyńsko zbezczeszczył ich ciała.

Caffery wyjeżdża zachodnimi przedmieściami z Bristolu, rozmyślając o tym, na ile można ufać angielskiemu systemowi ochrony zdrowia psychicznego i wymiarowi sprawiedliwości. Odpowiedź jest oczywista – na pewno nie na sto procent. Jak często się zdarza, że jeden z pacjentów potajemnie dręczy

innych chorych? Jak często udaje mu się uniknąć odpowiedzialności za takie postępowanie? Może nawet zostać wypisany do domu, gdzie nikt nie monitoruje jego stanu zdrowia ani nie ma nad nim żadnej kontroli.

W normalnych okolicznościach Caffery dałby popalić delikwentowi, który przychodzi prosić o przysługę, a potem stawia swoje warunki. Nieoczekiwanie jednak poczuł sympatię do CB. Ponadto po tym, co usłyszał, chętnie odpuści sobie wizytę w szpitalu Beechway, lecz raczej odwiedzi bezpośrednio Isaaca Handla. Choćby po to, żeby się upewnić, czy Handel przestrzega warunków zwolnienia. Chce się też dowiedzieć, kto aktualnie sprawuje nad nim opiekę i śledzi każdy jego krok.

Handel mieszka w domu opieki pod szyldem hotelu Avonmere, z którego okien widać błotniste brzegi rzeki. Mija południe, gdy Caffery parkuje przed budynkiem. Z zewnątrz dom wygląda jak przeciętny tani pensjonat, ale na tabliczce w oknie na pewno zawsze widnieje napis: BRAK MIEJSC. Caffery zna takie hotele. Ich klienci w niczym nie przypominają biznesmenów w podróży służbowej ani turystów. To raczej narkomani i byli pacjenci zamkniętych szpitali psychiatrycznych.

Nikt nie zatrzymuje Caffery'ego, kiedy ten wchodzi i zaczyna zaglądać do pokoi. Parter jest urządzony jako przestrzeń dla wspólnego spędzania czasu – salon, jadalnia i pokój do oglądania telewizji i do gier; piętra zapewne zostały podzielone na wąskie klitki. Na końcu korytarza Caffery trafia na drzwi z tabliczką BIURO i wchodzi do środka. Nadal nikt go nie zatrzymuje. Kierownik ma klienta, ale wystarcza mu rzut oka na Caffery'ego w garniturze i krawacie, żeby pochylić się do swego rozmówcy i półgłosem powiedzieć:

– Dokończymy później, dobrze?

Klient obraca się na krześle w kierunku Caffery'ego. Jego ruchy są powolne i jakby mechaniczne, patrzy nieobecnym wzrokiem, ale podrywa się z krzesła tak szybko, że niemal się przewraca.

– Nie ma co się tak spieszyć – uspokaja go kierownik.

Facet kłania się trzy razy, patrząc na swoje stopy. Unosi dłoń

do czubka głowy, przygląda włosy i przyklepuje je do czoła. Caffery stoi z boku, przytrzymuje otwarte drzwi. Tamten wytacza się ociężałym krokiem z biura. Nie patrzy nikomu w oczy. Caffery czeka, aż mężczyzna wyjdzie, i dopiero wtedy wyjmuje legitymację policyjną.

– Detektyw inspektor Jack Caffery.

– Tak – mówi kierownik. – Czekałem na pana.

Mężczyzna dobiega czterdziestki, ale ma twarz dziecka – paradoksalnie jego łysina podkreśla ten fakt. Zgolił na zero resztki włosów, co nadało mu wygląd podstarzałego cherubina. W prawym uchu nosi czarny ćwiek, a na środkowym palcu prawej ręki metalowy pierścień z węzłem celtyckim. Nad jego biurkiem wisi plakat z występu The Smiths w Glastonbury w 1984 roku. Podaje Caffery'emu rękę na powitanie.

– Bill Hurst.

Caffery odwzajemnia uścisk. Zwraca uwagę na to, że Hurst od razu cofa rękę i nerwowo pociera kark.

– Przyszedłem porozmawiać z Isaakiem Handlem.

– Tak... Tak. – Hurst stoi zakłopotany i drapie się w kark. Cały czas unika wzroku Caffery'ego. – Tak, uprzedzał mnie pan o tym.

– A zatem proszę mi wskazać miejsce, gdzie mógłbym z nim zamienić w spokoju parę słów.

– Problem w tym... – mówi wstydliwie Hurst. – Chodzi o to, że Isaac...

– Tak?

– No cóż, to trochę kłopotliwa sytuacja.

– W jakim sensie?

– Bo tak jakby... No, akurat go nie ma.

– Słucham?

– Nie ma go.

– A więc się nie przesłyszałem. W takim razie gdzie, tak jakby, jest?

– Hm... Prawdę mówiąc, nie jestem na sto procent pewny.

– Kiedy zatelefonowałem, powiedział pan, że będę mógł z nim porozmawiać.

– Tak... Myślałem, że do tej pory wróci. Proszę zrozumieć, że

to nie jest strzeżony hostel. Klienci mają tu wracać na noc, ale w dzień mogą chodzić, gdzie chcą, o ile nie łamią nałożonych na nich ograniczeń.

Caffery przez chwilę milczy i próbuje zapanować nad zniecierpliwieniem. Liczy w myślach do dziesięciu.

– Okej, okej, zacznijmy od początku. Kiedy widział go pan ostatni raz?

Hurst niespokojnie się wije.

– Hm...

– Dalej, człowieku, wykrztuś to wreszcie! Dzisiaj rano? – Hurst nie odpowiada, tylko jeszcze mocniej skrobie się w kark.

– No, Jezu! – Caffery głośno wypuszcza powietrze z płuc. – Wczoraj?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Pracujemy w trudnych warunkach. Brakuje mi ludzi. Dopiero co dzwoniło dwoje pracowników, że idą na chorobowe. Nikt nie jest pewny, co rząd zamierza zrobić z naszymi etatami.

– Fantastycznie. Fenomenalnie. – Znużony Caffery potrząsa głową. Im więcej widzi, tym bardziej się dziwi, dlaczego Handel w ogóle został zwolniony ze szpitala do tak niesprawnie działającego miejsca. – Przecież gdzieś musiał spać ubiegłej nocy?

Hurst wzrusza ramionami.

– Zgłosił pan zaginięcie?

– Dzisiaj rano. Zajmie się tym społeczny zespół opieki nad psychicznie chorymi.

Wciąż unika wzroku Caffery'ego. Boże, co za niewiarygodny dupek!

– Czy ktoś z nim tutaj rozmawiał? Ktoś, kto mógłby mi dać jakąś wskazówkę?

– Raczej nie. O ile się orientuję, Handel jest samotnikiem. Nie widziałem, żeby z kimś rozmawiał. Cały czas słuchał iPod'a i zajmował się swoimi sprawami.

– Nie sprawiał kłopotów?

– Nie. Może jedynie chodził trochę podminowany. Wciąż słuchał z iPod'a *All Souls' Day*. Zna to pan? – Zerka z cieniem

nadziei na Caffery'ego. – The Ataris. Najlepszy punk, jaki w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat powstał w Stanach.

Caffery wzdycha i kręci głowę.

– Nie było go tylko jeden dzień – broni się Hurst. – To nie tak długo.

– Wiesz, jak nędznie to brzmi? Mówisz to i na pewno sam w duchu myślisz: „Ale ściema”.

Hurst pochyla głowę.

– Punkt dla pana.

– Na kiedy ma wyznaczone zastrzyki?

– Na pojutrze.

Zostały zatem dwa dni do chwili, kiedy Handel powinien przyjąć zastrzyki z lekami przeciwpowrotowymi o przedłużonym działaniu. Ze szczątkowej wiedzy o chorobach psychicznych, którą dysponuje Caffery, wynika, że jeżeli Handel nie zgłosi się na zabieg, to od tego momentu jego kondycja psychiczna stanie się niestabilna i będzie się szybko pogarszać.

– Muszę obejrzeć jego pokój.

Oczy Hursta nieznacznie się rozszerzają.

– Eee... Przykro mi, człowieku, ale nie mogę się na to zgodzić. U nas wszystko opiera się na zaufaniu. Pracownicy i klienci ufają sobie nawzajem. Nie mogę cię wpuścić do czyjegoś pokoju, chyba że miałbyś naprawdę wyjątkowo ważny powód.

– Handel jest na zwolnieniu warunkowym na podstawie paragrafu czterdziestego siódmego, a jednym z warunków było meldowanie się co noc w waszym hostelu. Nie przestrzega ich, więc popełnia przestępstwo, i tak dalej, stara śpiewka. Nie chcę cię nią zanudzać, bo znasz ją na pamięć, to na pewno nie pierwszy raz. Pokoje są na piętrze, tak? – Caffery już wstał z krzesła. – Może po prostu będę pukał do wszystkich drzwi, dopóki nie znajdę właściwych?

Hurst obchodzi biurko, ale Caffery już wyszedł z pomieszczenia. Kierownik dogania go w holu. Ciężko oddycha.

– Okej – dyszy. – Da się jednak nie robić wokół tego za dużo rozgłosu?

- Idź przodem – mówi Caffery.
- Hurst ostrożnie go wymija.
- Bez rozgłosu, dobrze? – powtarza.
- Oczywiście.

Caffery idzie za nim schodami na pierwsze piętro. Tam dwoje drzwi otwiera się w kilkusekundowym odstępie; najpierw na półpiętro wychodzi pierwszy lokator – naćpany, w poplamionej bluzie, ze spodniami opuszczonymi do połowy dupy. Widząc Caffery’ego, robi szybki zwrot w tył i wraca do pokoju. Drugie drzwi zatrząskują się, zanim Caffery może się przyjrzeć lokatorowi.

We wszystkich drzwiach są zainstalowane zamki. Kiedy Hurst wyciąga klucz do pokoju numer pięć, zaczyna się niespokojnie wiercić.

Odwraca się plecami do drzwi i unosi rękę.

– No nie wiem, stary. Może powinniśmy poczekać na zgodę zespołu opieki zdrowia psychicznego.

Z prawnego punktu widzenia Caffery nie może wejść bez zaproszenia, ale zdobycie nakazu przeszukania wiązałoby się ze stratą czasu i niepotrzebną biurokracją. Wbija w kierownika lodowaty wzrok.

– Nie interesuje cię, za co Handel wylądował na piętnaście lat w psychiatryku?

– Nie, i wcale nie chcę tego wiedzieć. – Uszy Hursta oblewają się czerwienią. – Nie znamy szczegółów dotyczących zdrowia psychicznego pacjentów, tylko dostajemy wskazówki, na co uważać, gdyby ich stan stał się niestabilny. Naszym zadaniem jest rehabilitacja, a nie ferowanie wyroków.

Caffery opiera się o poręcz schodów. Studiuje cherubinową twarz od bladego, lśniącego czoła do dołka w brodzie.

– Może to i dobrze, że nie macie pojęcia, dlaczego wasi „klienci” trafili pod opiekę systemu. Niestety, ja znam te powody. W przypadku Handla, ujmijmy to tak, że „chory” to określenie, które pasuje do niego tak, jak słowo „kociak” do tygrysa.

Hurst ścisną w garści pęk kluczy przypiętych do paska, ale wciąż się waha.

– Na razie mówię o jego dzieciństwie – przekonuje dalej Caffery. – Chyba nikt z nas nie wie, do czego może być zdolny jako dorosły. No wiesz, schizofrenik paranoidalny na zwolnieniu warunkowym, o którym od dwudziestu czterech godzin nikt nic nie wie?

Hurst wbija wzrok w numer na drzwiach, a od jego uszu do czubka głowy rozlewa się plama czerwieni.

– Na domiar złego, dopiero teraz zgłosiłeś jego zaginięcie...

– Okej, okej – mamrocze Hurst i odpina od paska klucze. – Obejdzie się bez kazania.

Skarpetki z pomponem

Funduszowi daleko do doskonałości, ale nawet taki sceptyk jak CB musi przyznać, że ośrodek sportowy, do którego zarząd załatwił tanie karnety dla pracowników, jest cholernie dobry. Klub Tarlington Manor znajduje się na obrzeżach Thornbury i może się pochwalić dwudziestopięciometrowym basenem oraz siłownią pełną najnowszych gadżetów. Są tam pasy do ćwiczeń, platformy Core-Tex i urządzenia do treningu wibracyjnego. Jest sauna mokra, sauna sucha, dwadzieścia kortów do tenisa i gorąca balia przy ognisku na dworze, w której kobiety w średnim wieku sączą szampana podczas przerwy na lunch.

Trzy razy w tygodniu Melanie wychodzi wcześniej z pracy, przychodzi tu i przez godzinę samotnie pastwi się nad piłką do squasha. CB musi zajrzeć do co najmniej sześciu balkonów dla widzów, zanim udaje mu się ją znaleźć. Melanie jest złana potem, ale nie przestaje gonić piłki, a jej spięte w koński ogon włosy wściekle podskakują przy każdym uderzeniu. Na jej różowym T-shircie, nad lewą piersią, widnieje czarne logo pumy. Wygląda piekielnie seksownie w obcisłych, krótkich spodenkach z lycry, oślepiająco białych tenisówkach i krótkich białych skarpetkach z pomponikami z tyłu – takie same CB widział u dziewczyn na Wimbledonie, kiedy był nastolatkiem. W tamtych czasach spędzał długie godziny na oglądaniu meczów tenisistek, co często było powodem rozbawienia i kpiny ze strony mamy i Patience.

Ustalenie, gdzie mieszka Melanie, nie nastęrczałoby Isaacowi Handlowi szczególnych kłopotów. CB znowu widzi w myślach tajemniczą postać w jej ogrodzie. Przypomina sobie detektywa Caffery'ego i jego zakłopotanie, kiedy mówił o morderstwach w Upton Farm.

CB schodzi na niższy poziom i otwiera drzwi na kort. Widząc go, Melanie przerywa grę – zdziwiona wydaje krótki okrzyk

i odpędza go ręką.

– CB! Wyjdź, do licha! Przestań się gapić, bo przez ciebie się peszę.

– Peszysz się? Po wszystkim, na co mi pozwalalaś ubiegłej nocy?

– Och, przestań. – Melanie podchodzi do swojej torby w kącie i wyjmuje ręcznik. Przykłada go do twarzy i zasłania się tak, że widać ją tylko od pasa w dół. Nosi na rękach opaski na nadgarstki; jeszcze jeden detal w stylu retro, który przynosi CB wprost do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. – Wyjdź. Będę musiała przerwać trening, jeśli zostaniesz.

– Musimy porozmawiać.

– Musimy porozmawiać? – Opuszcza ręce i patrzy na niego znad ręcznika. Pot rozmazał jej tusz do rzęs. – Oho, to brzmi złowieszczo.

– Mel, skończmy udawać. Tamtego dnia rano widziałas coś w ogrodzie. Ubiegłej nocy ja też to zobaczyłem.

– Nie. – Melanie z poważną miną kręci głową. – Nic nie widzieliśmy. Coś sobie wyobraziliśmy, to były resztki snu. Niedospanie, nadmiar seksu i nadmiar alkoholu. Wciąż go czuję. – Unosi rękę, zwraca głowę w bok i lekko pociąga nosem. – Cały czas ze mnie paruje. Boże, całe szczęście, że trenuję w pojedynkę.

– Ja wczoraj nie byłem pijany. A nawet jeżeli poprzedniej nocy oboje przesadziliśmy z alkoholem i coś sobie wyobraziliśmy, to fakt, że mieliśmy identyczne halucynacje, prowadzi do jednego wniosku: że obojgu nam nie daje spokoju to samo. Martwimy się dlatego, że w jakimś sensie Zeldy, Pauline i Moses mogli widzieć coś podobnego. Ja zaś jestem absolutnie pewny, że wiem, kto stał za ich „halucynacjami” czy też „urojeniami”, jeżeli tak mamy nazywać te zjawiska.

Melanie otwiera oczy jeszcze szerzej.

– Tylko już nie wracajmy do Handla! Proszę. Naprawdę sądzę, że powinniśmy...

– Nie chodzi jedynie o obrazek Zeldy ani o to, co Handel zrobił swoim rodzicom. Raczej... Mam złe przecucia. Proszę, musisz mi uwierzyć.

– Już o tym rozmawialiśmy.

Melanie unosi dłoń i zbiera się do wyjścia, ale CB nie rusza się z miejsca.

– Melanie... Czytałem stenogram z konsylium.

Po tych słowach Melanie kompletnie się zmienia. Jej oczy tężeją niczym wyjęty z pieca metal i nagle staje jak wryta.

– Słucham??? Jak to czytałeś stenogram?

– Czytałem twoje oświadczenie z konsylium w sprawie zwolnienia Handla. Nie wiedziałem, że był dla ciebie tak ważny.

– Ważny? O czym ty, do diabła, mówisz?

– Z twoich słów można było wywnioskować, że widywałeś się z nim codziennie. Użyłaś takich zwrotów jak: „zawsze nastawiony na współpracę”, „absolutny brak problemów, jeżeli chodzi o wykonywanie poleceń”, „rozumie, na czym polega jego choroba, i wie, jak ważny jest codzienny kontakt z zespołem, żeby utrzymać stabilny stan po wypisaniu ze szpitala”, „odniosłam wrażenie, że rozumie powagę swojego przestępstwa i że szczerze żałuje tamtych czynów”... Mam cytować dalej?

Twarz Melanie płonie. Jej nozdrza się rozszerzyły; dla uspokojenia nerwów bardzo wolno nabiera powietrza przez zaciśnięte zęby.

– Mam cytować dalej, Melanie? Bo dokładnie wszystko przeczytałem i wiem, że to gówno prawda. Nigdy nie spędzałaś czasu z Isaakiem. Ani razu nie widziałem, żebyś z nim rozmawiała.

– Nie rozumiem cię – mówi gorzko Melanie. – W ogóle cię nie rozumiem. Odpycha go łokciem, żeby dostać się do drzwi. Zarzuca torbę na ramię i odchodzi, stawiając precyzyjnie kroki w idealnie prostej linii.

– Melanie! – CB zwraca się do jej oddalających się pleców. – Melanie, przepraszam, nie chcę się kłócić.

– Prawie dałam się nabrać.

– Nie, naprawdę. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało...

Słowa więzną mu w gardle. Melanie już dotarła do damskiej szatni. Nie oglądając się, wchodzi do środka i zatraskuje drzwi.

Plastikowe reklamówki

Gdy Caffery się nad tym zastanawia, trudno mu sobie wyobrazić, jak Isaac zdołał przetrwać zimną październikową noc, nie mając dachu nad głową. Pacjenci szpitala dostają kieszonkowe, a zdaniem CB Isaac odłożył całkiem pokaźną kwotę; mimo to Caffery sądzi, że znalezienie noclegu nastęrczyłoby mu kłopotów. Dziwnie zachowującemu się schizofrenikowi wszyscy na pewno pokazaliby tabliczkę BRAK MIEJSC, bez względu na to, ile gotówki miałby przy sobie. W jego myślach pojawia się obraz: ciepłe łóżko, jedzenie. Czy ktoś pomaga Handlowi? CB wspominał o awariach prądu w szpitalu, które zbiegły się w czasie z wypadkami. Trudno uwierzyć, żeby pacjent miał dosyć swobody, żeby samemu coś takiego zaaranżować.

Jest w to zamieszany ktoś jeszcze. Caffery odkłada tę myśl na półkę w swojej głowie. Wróci do niej później.

Stoi na środku pokoju w hotelu Avonmere i chłonie otoczenie wzrokiem. Pomieszczenie jest na tyle ciasne, że ledwo mieści się w nim jednoosobowe łóżko, szafka nocna, komoda i szafa na ubrania. Zasłony są cienkie, w przetartym dywanie widać pojedyncze nitki; wygląda, jakby niedawno ktoś tu sprzątał. Wszystko jest porządne, poukładane – łóżko zaścielone, na wierzchu nie walają się ubrania, widać tylko parę kapci. Na komodzie leży wysoka sterta czasopism. Caffery przegląda je: „What Hi-Fi”, „Computing”, „Computer Weekly”, dwa katalogi wysyłkowe sieci Maplin i jeden Screwfix. W pokoju nie ma telewizora, tylko stacja dokująca do iPoda.

Caffery otwiera szufladę szafki nocnej i wyjmuje brązową apteczną buteleczkę. Seroxat – widnieje na niej nazwisko Handla. Caffery pokazuje ją Hurstowi i potrzęsa nią, żeby zademonstrować, że jest pusta.

Hurst rozkłada szeroko ręce.

– Proszę na mnie nie patrzeć. Niech pan porozmawia z zespołem opieki.

– Jasne. W policji też mamy taki oddział. Nazywa się NNP.

– Czyli?

– Nie Nasz Problem.

Hurst mruży oczy. Wygląda na podminowanego.

– Ale ja nie dostaję pensji gliniarza – mówi. – Nie mam co liczyć na wczesną godną emeryturę, ani waloryzowaną, ani żadną inną.

Caffery odkłada buteleczkę do szuflady. Zagląda pod łóżko, wsuwa dłoń między ramę łóżka a materac. Przesuwa palcami wzdłuż górnej powierzchni karniszy, a potem rozgarnia puste wieszaki w garderobie, które grzechoczą. Nie ma pojęcia, czego właściwie szuka. Nie jest nawet pewny, dlaczego to robi; chyba przede wszystkim chce zagrać Hurstowi na nerwach. Ilu ludzi pokroju Handla prześlizguje się w ten sposób przez oczka sieci systemu? W podobnych miejscach takie rzeczy to zapewne normalka.

Nagle Caffery przerywa poszukiwania. Na dnie garderoby Handla leży stosik równo złożonych reklamówek. Kuca i opiera na nich dłoń. Wszystkie mają nadrukowane logo sieci Wickes. Sklep z materiałami budowlanymi to nie najszcześniejszy wybór miejsca zakupów dla kogoś takiego jak Handel – szczególnie w kontekście tego, jak potraktował swoich rodziców.

Caffery wyjmując reklamówki i ostrożnie każdą potrząsa. Wszystkie są puste, oprócz piątej, w której znajduje paragon na stację dokującą do iPoda i puste pudełko po niej.

– Większość naszych klientów wydaje kieszonkowe na słodycze i chipsy.

– Jestem pewny, że ma pan absolutną rację – potakuje oschle Caffery. – Mogę to wziąć?

– A jeśli będzie potrzebował paragonu do gwarancji?

Detektyw przeciągle na niego patrzy.

W końcu Hurst wzrusza ramionami:

– Niech się pan czuje jak u siebie w domu.

Fred Astaire

Mija piętnaście po siódmej. CB siedzi na ławce przed damską szatnią i z minuty na minutę czuje się coraz bardziej podle. Wypił dwie kawy z automatu i zjadł batonik Mars, a teraz pozostało mu jedynie gapić się na tablicę ogłoszeń i zdrapywać czubkiem buta kawałek gumy do żucia, która przykleiła się do podłogi i mocno się trzyma. To już czterdzieści pięć minut i chociaż w tym czasie przez szatnię przewinęło się wiele kobiet – które patrzyły na niego tak podejrzliwie, że czuł się jak rasowy zboczeniec – to nie było wśród nich Melanie. Albo cierpi za cały świat, albo uciekła przez okno – nie ma innej możliwości.

Żałuje swoich słów i tonu, którym je wypowiedział. Wysłał trzy SMS-y z przeprosinami, ale w tym miejscu jest słaby zasięg, więc nie wiadomo, czy w ogóle dotarły, czy raczej Melanie go ignoruje. Sięga do kieszeni, żeby wyjąć telefon i spróbować jeszcze raz. Nagle drzwi szatni się otwierają i Melanie wychodzi na korytarz.

Przebrała się w prostą białą sukienkę z wełny i puszyste zamszowe botki. Jej włosy wciąż są lekko wilgotne po prysznicu. Nie ma makijażu i wygląda tak pięknie, że CB serce zamiera w piersi.

– Melanie... – zaczyna, wstając. Ona jednak przykłada palec do ust i lekko potrząsa głową. Stawia torbę na ziemi, siada na ławce kilkadziesiąt centymetrów od niego i uważnie się mu przygląda.

– CB...

– Melanie, przepraszam.

– To nie ty powinieneś przeproszać. Wina jest po mojej stronie. Okłamałam cię. Zrobiłam to, bo... Czasami patrzysz na pacjentów, którym zdarzyło się popełnić jeden... tylko jeden błąd, za który płacą zamknięciem na całe życie w szpitalu, i bez

przerwy tańczą, jak im zagramy, a ty wiesz, że zasługują na to, żeby wyjść na wolność i mieć normalne życie. Uniemożliwia im to jednak jakiś element układanki: okienko zaznaczone długopisem w niewłaściwym kolorze albo inny szczegół, który sprawia, że machina biurokratyczna zawsze odrzuca ich podania i nie pozwala im wrócić do domu. Taki pacjent z cudzej winy wraca na start i znowu musi mozolnie przejść cały cykl.

CB opiera dłonie na kolanach i nerwowo wybija rytm palcami. Nie zgadza się z Melanie, że każdy pacjent – bez względu na to, kim jest – zasługuje na szansę. Wielu pacjentów szpitala odebrało komuś innemu prawo do życia; w każdym innym miejscu nazywano by ich po prostu mordercami. Niektórym nie pomoże żadna rehabilitacja. Szczególnie tym, którzy popełnili tak spektakularne zbrodnie, jak Isaac Handel.

– CB? Powiedziałaś coś niewłaściwego?

– Nie, nie. O nic cię nie winię. Tym bardziej że fundusz wiecznie suszy ci głowę o poprawę wydajności.

CB ma na myśli „nieuleczalnych”, pacjentów długoterminowych, którzy blokują łóżka szpitalne. Pacjentów, których nie można przywrócić społeczeństwu, bo rodziny nie chcą ich przyjąć z powrotem. Albo tych, którzy nie mają ochoty opuścić szpitala i stawić czoło obowiązkom codziennego życia, więc sami wymyślają przeszkody, by nie dopuścić do swojego zwolnienia.

Tacy pacjenci tworzą gigantyczny zator w systemie. Chcąc rozładować tę blokadę, zarząd nieustannie bombarduje personel szpitala dyrektywami, które przypominają o potrzebie obniżenia wskaźnika średniej długości leczenia. Melanie na pewno wciąż jest nimi zasypywana.

– Możesz mi wierzyć, Melanie, że wszyscy odczuwamy tę presję. Nie ma w naszym szpitalu pielęgniarki ani terapeuty, który nie miałby nic przeciwko paru zagranicom niezgodnym z regulaminem, gdyby oznaczały przyspieszenie rotacji pacjentów. Ty zaś... No cóż, zapewne czujesz ją jeszcze silniej niż my.

Zapada milczenie – potem Melanie zwiesza głowę.

– Och, Boże... – Żałośnie wzdycha. – Wiesz, jak jest. Przyjrzałam się Isaacowi i... – Splata palce na głowie, jakby chciała opanować ból. – Cholera, dobrze, będę szczerą. Pomyślałam, że od wielu lat nie sprawiał kłopotów, przestrzegał bez szemrania wszystkich zasad, był doskonałym kandydatem do wypisania. Kurwa! – Melanie kopie piętami w metalową kratkę pod ławką. – Wygląda na to, że strzeliłam sobie w stopę. Masz rację, CB, w moim ogrodzie to rzeczywiście był Isaac. Dwie noce z rzędu. Brakowało mi odwagi, żeby to przyznać przed samą sobą. – Przeciągle wzdycha. – No proszę. Wyrzuciłam to z siebie. Domyślam się, że to oznacza kurtynę dla naszego małego flirtu. Teraz na pewno mnie znienawidzisz.

– Znienawidzić cię? Jezu! – CB się podśmiewa. – Znienawidzić? Boże, gdybyś tylko wiedziała...

– O czym?

– Melanie – mówi, potrząsając głową. – Daj spokój, ślicznotko. Totalnie mi odbiło na twoim punkcie. Wystarczy, że o tobie pomyślę, i przez cały czas czuję się jak Matka Potworów podczas swoich liliowych dni. Albo jak Moses, kiedy usłyszy, że na śniadanie będą parówki. Jestem jak Fred Astaire w tańcu, kompletnie ześwirowałem z twojego powodu.

– Poważnie?

– Mówię ci. Przy tobie zupełnie się rozklejam, jestem żalorny. Melanie uśmiecha się z nadzieją. Szybko pociąga nosem – jakby miała się rozplakać.

– Przepraszam. Zwariuję przez tę historię.

– Wiem.

– Boję się. Jeżeli tym typem w ogrodzie był Isaac, to po co przyszedł? Czego chce?

CB nie odpowiada. Pewne wspomnienie pojawia się w jego umyśle niczym wielki billboard – Isaac obserwujący Melanie na szpitalnym korytarzu.

– Zawsze można pójść z tym na policję – mówi ostrożnie.

– Nie można – mówi znużonym głosem Melanie. – Może Isaac po prostu... no wiesz... rozplynie się w powietrzu. Ale bez względu na wszystko nie możemy mieszać w to policji. Wyobrażasz sobie, co może się stać osobie z moją pozycją,

jeżeli wyjdzie na jaw, że skłamała na konsylium? CB, okłamałam komisję!

Na dźwięk słowa „kłamać” twarz CB ciemnieje. Melanie na pewno nie wie, gdzie dzisiaj był, ale on i tak przyjmuje obronny ton.

Głośno odkasłuje. Szybciej i mocniej przebiera palcami na kolanach.

– Dobrze, założmy jednak, że nie rozplynie się w powietrzu. Nie możemy iść na policję, ale i tak nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i nie pozwolę, żeby nas prześladował. Jestem pewny, że to jego widzieliśmy w twoim ogrodzie. Pewno pierwszą rzeczą, którą zrobił po wyjściu ze szpitala, było ustalenie, gdzie mieszkasz. Zawziął się. Na razie twój dom jest niebezpiecznym miejscem. To, co powiem, może zabrzmieć dosyć bezpośrednio... Proszę, nie zrozum mnie źle, ale...

– Ale?

CB się waha. Nie wie, jak to powiedzieć. Nie jest też pewny, czy to dobra decyzja. Wie tylko, że woli mieć Melanie na oku.

– Mieszkam... no cóż, mieszkam bliżej Upton Farm niż ty, ale Isaac nie ma o tym pojęcia. Pomyślałem więc... Może zechciałabyś na jakiś czas się do mnie przeprowadzić? Niech sprawy trochę się ułożą i zobaczymy, co się wydarzy. Nie... to szalony pomysł, wiem, zapomnij, że to powiedziałem. Po prostu głośno myślałem. Ale mogłabyś przynajmniej zameldować się w jakimś hotelu... Dla bezpieczeństwa... Żeby się zdystansować od...

– CB!

CB milknie. Uśmiech rozjaśnia twarz Melanie, odsłaniając jej drobne, idealne zęby.

– CB, no jasne! To wcale nie szalone. Prawdę mówiąc, to doskonały pomysł. Już nie mogę się doczekać, żeby poznać Patience.

Wickes

Jest późna jesień i dni stają się krótkie, więc już się ściemnia, kiedy Caffery podjeżdża pod sklep w północnej części Bristolu. Kamery bezpieczeństwa są skierowane na wejście i kasy, pozostałe trzy wiszą nad trzema czy czterema alejkami wśród regałów. W sklepie znajdują się cztery działy: Artykuły Dekoracyjne, Instalacje Wodno-Kanalizacyjne, Instalacje Elektryczne i Narzędzia. Co najmniej dwie z tych nazw sprawiają, że Caffery zwiększa czujność. Nie musiał czytać całego raportu ze śledztwa, by wiedzieć, że Handel użył do uśmiercenia rodziców narzędzi zakupionych właśnie w takim miejscu.

– Do kierownika. – Pokazuje ochroniarzowi legitymację służbową. – Proszę.

Ten prowadzi go do ciasnego biura wypełnionego stertami dokumentów. Kieran Bolt to niski, gładko ogolony mężczyzna o zaczerwienionych z przemęczenia oczach. Właśnie wychodzi do domu, więc wizyta Caffery'ego go nie uszczęśliwia. Przez kilka sekund wpatruje się w paragon.

– Zapłacone gotówką. Nie jestem w stanie sprawdzić nazwiska klienta.

– Nie potrzebuję jego nazwiska – mówi Caffery. – Znam je. Interesuje mnie raczej, co jeszcze kupił.

– Ma pan podstawy sądzić, że kupił coś jeszcze?

– Siedem pustych reklamówek.

Bolt zerka na niego zaskoczony, a potem znowu uważnie studiuje paragon, jakby myślał, że coś przeoczył.

– Proszę mi przypomnieć, skąd pan jest?

– Z wydziału kryminalnego.

Caffery obserwuje kierownika, który intensywnie próbuje się domyślić, dlaczego oficer policji wypytuje go o zakupy w jego sklepie. W końcu Bolt unosi głowę, a jego wzrok zdradza, że boi

się posądzenia o współudział w stworzeniu jakiegoś zagrożenia terrorystycznego.

– My tylko sprzedajemy towar. Nie pytamy klientów, do czego mają zamiar go użyć.

– Nikt pana o nic nie oskarża. Próbuję tylko zorientować się w sytuacji. Rozumie pan?

Kierownika łatwo przejrzeć – boi się, więc stanie na głowie, żeby mu pomóc.

– Mogę sprawdzić wydruki z kasy. Jeżeli za którymś razem użył karty kredytowej, będzie to widać. Ale jeśli płacił gotówką...

– Nie trzeba. Znajdziemy go na nagraniach z kamer bezpieczeństwa.

Bolt uderza się dłonią w czoło.

– Będzie z tym jakiś problem?

– Nie. Nie, absolutnie. Tylko... – Zerka na zegarek. – Nie... Muszę tylko szybko zatelefonować i możemy je przejrzeć. Zostanę z panem.

Bolt wyjaśnia, że obejrzenie nagrań zajmie wieki. W sklepie zainstalowano osiem kamer, które przechowują zapis w pamięci przez mniej więcej dwadzieścia jeden dni. Sklep jest czynny od siódmej do dwudziestej od poniedziałku do soboty, a w niedzielę przez sześć godzin.

– W porządku – mówi Caffery. – Obiecuję, że wróci pan dzisiaj na noc do domu.

Eden Hole

Kiedy CB i Melanie dojeżdżają do domu, Stewart szceka jak szalony. Zdaje się, że nawet nie poznaje CB, kiedy ten otwiera drzwi – siedzi w korytarzu, unosi wysoko głowę i szceka.

– Hej, hej! Stewie! Co ci odbiło? To tylko ja. – CB kuca przy psie. – Co ci jest, Stewie?

Stewart przestaje szcekać i niepewnie obwąchuje dłonie CB, podejrzliwie spoglądając spode łba na Melanie. Ta zachowuje bezpieczną odległość i trzyma torebkę wysoko, poza jego zasięgiem.

– Jaki... miły piesek – mówi bez przekonania.

– Słowo daję, że na co dzień zachowuje się zupełnie inaczej. – CB drapie Stewarta za uchem. Pies dyszy, a serce łomocze mu w klatce piersiowej. – Od wczoraj jest jakiś dziwny. Znikł na cały dzień, a teraz struga wariata. Nic z tego nie rozumiem. Co ci jest, chłopie?

Stewart nerwowo kręci się w miejscu. Po chwili niechętnie siada z wywalonym ozorem. CB jest zakłopotany.

– Później wyprowadzę go na spacer. Niech się wybiega tak, żeby neurotyczne zachowania wywietrzały mu z głowy. Chodź, przedstawię cię Patience.

Wnoszą bagaż Melanie do salonu. CB zatelefonował przed przyjazdem i uprzedził ciotkę, że Melanie zamieszka z nimi na jakiś czas. Patience skwitowała tę rewelację słowami:

– Powiedz tej nieszczęsnej dziewczynie, że będzie musiała polubić moją kuchnię. Nie życzę sobie w moim domu żadnych paniuś liczących z hitlerowskim zapalem każdą kalorię. Jeśli jest jedną z tych, które chcą żyć sałatą i powietrzem, to niech mieszka w królikarni.

CB zwrócił uwagę na ton, którym Patience wypowiedziała zwrot „nieszczęsna dziewczyna” – jakby sądziła, że stać go jedynie na związek z desperatką. Albo z zakochaną w sobie

landryną. Kiedy Melanie w prostej, białej, wełnianej sukience, z burzą miodowo-złotych włosów staje w drzwiach pokoju, Patience opada szczęką. Nie spodziewała się kogoś takiego. CB mimowolnie uśmiecha się pod nosem.

– No, no – mówi Patience, wstając. – Melanie, miło cię poznać.

Podaje Melanie rękę i wolno mierzy ją wzrokiem od stóp do głów i z powrotem. Potem wypuszcza z uścisku jej dłoń i cofa się o krok, żeby jeszcze raz się przyjrzeć. Stoi zachwycona ze skrzyżowanymi rękami, a jej brwi unoszą się i wyginają w znaki zapytania. Głośno cmoka, potrząsa głową i wychodzi zamaszystym krokiem do kuchni, dostojnie kołyszając biodrami.

– Boże! – Zawstydzony CB drapie się w głowę. – Przepraszam. Widać, że się nie spodziewała, że mogę być z kimś tak... no wiesz... ładnym jak ty.

– Okeeeeeej... – Melanie opuszcza ręce. Ukradkiem wyciera w sukienkę dłoń, której dotykała Patience. – Nie szkodzi. Rozumiem.

Rozgląda się z niepewnym uśmiechem po pokoju, w którym panuje totalny chaos – słoiki konfitur Patience są wszędzie, na parapecie stoją wiechcie polnych kwiatów w butelkach po mleku wypełnionych brązową wodą. Melanie zagląda do kuchni, a potem do korytarza, gdzie Stewart wciąż siedzi i obserwuje ich ponurym wzrokiem.

CB traci rezon. To nie wygląda zbyt dobrze – nie, nie, wcale nie dobrze.

– Melanie, posłuchaj, jesteś tu bardzo mile widziana. Wiem, że trudno nas nazwać konwencjonalną rodziną. Do Patience trzeba się przekonać...

– Wszystko słyszę! – dobiega z kuchni głos Patience. – Powinieneś raczej powiedzieć, że to ja będę musiała się do niej przekonać!

CB potrząsa głową. Uśmiecha się przepraszająco.

– A zatem do mojej kochanej ciotuni trzeba się przekonać, ale naprawdę chcemy, żebyś dobrze się tutaj czuła. Jeżeli potrzebujesz trochę prywatności, miejsca, w którym mogłabyś być sobą, zawsze możesz zamieszkać w dawnym pokoju mamy.

– CB wskazuje palcem na sufit. – Dokładnie nad nami znajduje się sypialnia z łazienką, całkowicie ustronna. I czysta, słowo honoru, wbrew temu, co widzisz tu, na parterze. Sam tam posprzątałem.

– To też słyszałam! Będziesz teraz jadł śniadanie czy nie?

– Śniadanie? – szepcze Melanie. – Śniadanie?!

– To rodzinna tradycja, zawsze jem śniadanie, gdy wracam z pracy. Nie wpadaj w panikę. – Wyciąga rękę w kierunku schodów prowadzących do jego części domu. – Tamtędy idzie się do mojego pokoju. Jest taki sam jak twój, lustrzane odbicie. Będzie nas dzielić tylko jedna ściana.

Melanie wznosi wzrok do sufitu – patrzy na dębowe belki.

– Czy w tej ścianie są drzwi?

– Nie.

– A więc żeby się do ciebie dostać, muszę... co? Zejść tutaj i wejść tamtędy?

– Tak. Ale możesz też rzucić wszystko na jedną szalę i wprowadzić się do mnie.

Człowiek omijany lukiem

Kawa jest tylko w saszetkach – podobnych do tych z herbatą – i pływają w niej fusy. Jest jednak czarna i mocna, a właśnie tego potrzeba Caffery’emu o tej porze. Sypie do niej zdecydowanie za dużo cukru i zjada cztery herbatniki w oświetlonym zbyt jasnymi jarzeniówkami pokoju socjalnym sklepu Wickes. Ostatnio łapie się na tym, że jedzenie jest dla niego jedynie nudnym obowiązkiem, którego musi dopilnować. Kiedy o nim zapomina, to mijając wystawę sklepową, widzi w szybie odbicie twarzy jakiegoś obcego faceta, którego jego analityczny umysł automatycznie przypisuje do szufladki: „Po czterdziestce. Stresująca praca. Kawaler”.

Bolt – który oczywiście ma żonę, co widać na pierwszy rzut oka, i już nie może się doczekać, kiedy pójdzie do domu – sprawdził dokumenty kasowe, ale nie znalazł żadnych zakupów powiązanych z nazwiskiem Handel. Teraz podłącza do laptopa dysk zewnętrzny kamer. Caffery wiesza kurtkę na oparciu krzesła, stawia na stole kawę i wyjmuje telefon. Powiększa fotografię Handla, którą przysłał mu CB, i opiera telefon o monitor.

Na dysku znajduje się tysiąc pięćset godzin nagrań, ale wystarczy sprawdzić jedynie część z nich. Handel wyszedł na wolność przed pięćdziesięcioma czterema godzinami. Zakupy zrobił na pewno między zwolnieniem ze szpitala a ubiegłą nocą, kiedy ostatni raz widziano go w hostelu. Już tyle informacji wystarczy, żeby pominąć ogromny zakres danych. Ponadto na paragonie na stację dokującą widnieje data i godzina zakupu, wtorek o piątej po południu, i Caffery podejrzewa – chociaż to ryzykowna teza – że Handel nie jeździł tu aż z hostelu więcej niż jeden raz. Zapewne kupił stację, a potem przypomniał sobie o reszcie potrzebnych rzeczy i wrócił po nie do sklepu. Albo odwrotnie. Prawdopodobnie to

drugie, bo raczej nie zapomina się o zakupie siedmiu reklamówek sprzętu instalacyjnego, materiałów budowlanych i narzędzi.

Szybko przewija do wtorkowego popołudnia nagranie z kamery nad kasą i rzeczywiście widzi czekającego w kolejce Handla. Caffery porównuje jego twarz z portretem w telefonie. Poplamione spodnie od dresu i pulower w pomarańczowo-brązowe pasy, o których mówił mu CB. Jego fryzura też jest zupełnie przypadkowa – przypomina tonsurę. Natrętnie przygląda się innym klientom, wprawiając ich w zakłopotanie, i stoi o wiele za blisko kobiety przed nim. Ta co chwila nerwowo zerka na niego ponad ramieniem.

Nie – niemożliwe, żeby taki gość mógł wejść do hotelu i swobodnie zarezerwować pokój.

Handel niesie kilka foliowych toreb. Są pełne towarów. Musi je postawić na podłodze, kiedy płaci za stację dokującą. Kiedy to robi, kasjerka kilka razy niespokojnie spogląda w przestrzeń za nim. Pewno próbuje nawiązać kontakt wzrokowy z ochroniarzem na wypadek, gdyby zaczęło się dziać coś podejrzanego. Jednak Handel po prostu płaci, bierze siatki i wychodzi ze sklepu. W kolejce do kasy wyraźnie opada napięcie.

Caffery cofa na podglądzie nagranie – w przyspieszonym tempie klienci zmieniają się w smugi, pracownicy wyrastają jak spod ziemi, nagle pojawiają się w kadrze, zatrzymują na milisekundy, żeby zamienić parę słów z kasjerami i klientami, i równie szybko znikają. Potem – ledwie dziesięć minut przed zakupem stacji dokującej – w kolejce do kasy staje Handel. Tym razem nie niesie foliowych reklamówek, tylko pcha wózek wypełniony towarem.

Caffery zatrzymuje klatkę. Na obrazie trudno zidentyfikować pudełka, rolki i puszki w wózku. Caffery zwalnia pauzę i odtwarza nagranie w normalnym tempie.

Handel wywołuje poruszenie w kolejce tak samo jak podczas późniejszych zakupów. Nie imponuje wzrostem, ale coś w jego twarzy deprymuje otaczających go ludzi. Jeden czy dwoje klientów pcha wózki na koniec kolejki, ale w ostatniej chwili –

już w bezpośrednim sąsiedztwie Handla – nagle zmieniają zdanie i kierują się do drugiej kasy. Jakaś klientka zaczyna wykladać na taśmę towary, lecz ona też się rozmyśla. Wkłada zakupy z powrotem do wózka i oddala się, próbując zachować pozory, że po prostu o czymś zapomniała.

Caffery przygląda się, jak pracownik kasuje zakupy Handla. Znowu zatrzymuje nagranie. Nie ma pod ręką kartki, więc podwija rękaw i zapisuje na przedramieniu godzinę transakcji. Wstaje, podchodzi do drzwi biura Kierana Bolta i puka.

Anioł

Czasami rzeczy zdają się takie piękne, że choćbyś pękł, nie jesteś w stanie ich opisać ani uwiecznić w inny sposób. Może to za sprawą śmierci mamy albo wspomnień o niej, a może po prostu przez wejście w dorosłość – bez względu na powód CB nauczył się, że piękno trzeba akceptować, kiedy pojawia się w życiu, docenić je i wierzyć, że nie przeminie. Nie obchodzi go, że ta filozofia brzmi jak jedna z zasad ruchu New Age. Takiego postrzegania świata się nauczył i już.

Tyle że tym razem ma z nią pewien problem. O ile łatwo jest patrzeć na rozciągające się za oknem akry zieleni i na nieskończony pochmurny horyzont – akceptować je, wierzyć w nie i w ich ciągłość – o tyle nie sposób uwierzyć, że Melanie Arrow siedzi przy jego starym kuchennym stole i je przyrządzone przez Patience wieczorne śniadanie. To tak nierealne, że mimowolnie chciałby zatrzymać tę chwilę, w jakiś sposób ją utrwalić i mieć tylko dla siebie. Żałuje, że stało się to tak późno, a jednocześnie cieszy się, że odczekał na właściwy moment. Czuje się tak, jakby mama siedziała w kącie i szczerze uśmiechała się na widok Melanie – dumna i zadowolona, że w końcu zrobił coś jak należy. Bo równie dobrze do ich chaty mógł zawitać anioł prosto z nieba. Nieziemska istota, która wpłynie na CB i sprawi, że będzie lepszym człowiekiem.

– Jeszcze? – Patience stoi z ręką wspartą o biodro, w drugiej ręce trzyma patelnię i uważnie patrzy na Melanie, która właśnie wspaniałomyślnie pochłonęła całą górę parówek, jajecznicy, kokosowych placków *bammy* i smażonej dyni. Wygląda na to, że w tym roku dynie na grządce obrodziły jak nigdy dotąd, a Patience postanowiła nakarmić Melanie całym plonem. Nie wspominając już o brandy lubczykowej, której wciąż jej hojnie dolewa. – Masz ochotę na więcej?

CB przygryza brzeg kubka, z którego sący kawę. Przysiągł

sobie, że nie będzie się wtrącał ani wypowiadał swoich opinii. Gdyby mama żyła, powiedziałyby, że Patience ma dzisiaj używanie. Melanie to jej największe wyzwanie od wielu lat. Prawdopodobnie od czasu, gdy podczas wyścigów w Kempton Park postawiła na konia, za którego zwycięstwo płacono pięćdziesiąt do jednego. Jest ucieleśnieniem weryfikacji, skrupulatnie obserwuje pierwszą sympatię, którą CB przyprowadził do domu wprost pod jej lupę. Najgorszą wpadką Melanie byłoby okazanie strachu przed jedzeniem. Patience chce dla CB dużych, płodnych kobiet o rozłożystych biodrach i wielkich piersiach. Najmniejsza oznaka jadłowstrętu zmieniałaby ją w jadowitą sukę z piekła rodem.

– Może pierożków? Ryby? Mam łupacza w mlecznej marynacie. Mogę ci zrobić porcję z pierogiem i tostem do maczania. Jeszcze łyżeczek brandy z lubczykiem?

Śniadanie Patience dla Melanie to najwystawniejsza uczta, którą widział ten stół, odkąd CB sięga pamięcią. Melanie pokornie godzi się na kolejne dania, każdy ma jednak swoje granice.

– Miałam stosować się do diety – informuje Patience – ale widzę, że pani hołduje zasadzie „śmierć diecie”.

Próbuje przełamać lody z Patience, ale zamiast uśmiechu dostaje na talerz kolejną porcję jedzenia. Patience odwraca się tyłem, niewzruszona – zatem test trwa. Melanie je posłusznie dalej, wpatrzona w plecy Patience. Od czasu do czasu rzuca CB męzne spojrzenia, a on dla zachęty kiwa głową. Chciałby jej dokładnie wytłumaczyć, o co chodzi: „To rytuał twojej inicjacji, Melanie. Dobrze ci idzie. Coś takiego nie zdarza się co dzień...”. Możliwe jednak, że już sama się domyśliła, bo podchodzi do tego zadania z zawziętością, którą widział u niej jedynie w szpitalu.

W końcu wszystko znika z talerza. Melanie przykładą chusteczkę do ust i podaje talerz Patience, która odbiera go bez mrugnienia okiem. Nie proponuje Melanie nic więcej.

To znaczy, że test został zaliczony.

Inwentaryzacja

Transakcji w Wickes dokonano gotówką, a sklep wyszczególnił pozycje na rachunku. Kieranowi Boltowi wystarczyły dwie minuty, żeby ją znaleźć. Obaj z Cafferym milczą, czytając na stojąco listę artykułów, które Handel kupił piętnaście minut przed zapłaceniem za stację dokującą do iPod'a. Każdemu innemu człowiekowi ta lista mogłaby się wydawać zupełnie niewinna. Caffery jednak na tyle dobrze zna historię Handla, że czyta ją jak spis znaków ostrzegawczych:

Drut miedziany

Zaciski szczękowe typu „krokodylek” (siedem kolorów)

Piłka do metalu

Nóż z wysuwającym ostrzem Stanley

Kombinerki

Na szczęście, gdy Caffery wrócił do biura MCIT, nadinspektora już tam nie było – dzięki temu nie trzeba wymyślać żadnych usprawiedliwień. Budynek jest prawie pusty. Caffery zaciąga żaluzje i robi miejsce na biurku. W kącie stoi siedem zielonych skrzynek – wypełniają je dokumenty z archiwum dotyczące Isaaca. Caffery kładzie pierwszą z nich na blacie. Otwiera teczkę i zaczyna czytać.

Handel od urodzenia mieszkał w Upton Farm. Już w wieku dwunastu lat budził zainteresowanie w szkole z powodu coraz bardziej widocznego wycofania i dziwnych wybuchów. Przeniesiono go do szkoły dla opóźnionych w rozwoju. Wszyscy wiedzieli, że Isaac ma problemy, ale najwyraźniej nauczyciele, pracownicy służb społecznych ani jego rodzice nie zdawali sobie sprawy z tego, jaki jest niebezpieczny. Przekonali się o tym, dopiero kiedy było już za późno.

Koło podkładki pod mysz leży paragon z Wickes. Lista kupionych towarów tak wyraźnie pokrywa się z dalszą częścią raportu, że to niemal surrealne. Jakby ktoś próbował „wkręcić”

Caffery'ego. Pierwszy towar na paragonie to „nóż z wysuwającym ostrzem Stanley”.

Drugiego listopada Isaac – wówczas czternastoletni – posłużył się nożem do tapet marki Stanley, by podciąć gardła swoim rodzicom w ich sypialni w domu rodzinnym. Ojciec Isaaca próbował się bronić, ale chorował na serce, więc nie miał szans ze swoim dorastającym synem. Isaac unieruchomił go, podcinając mu gardło tuż pod podbródkiem, co poskutkowało otwarciem dróg oddechowych i uszkodzeniem przełyku. Potem zrobił to samo z matką. Przez jakiś czas obie ofiary wciąż były w stanie oddychać przez rany w szyjach. Zmarły dopiero wskutek wykrwawienia.

„Kombinerki”. Podcięcie rodzicom gardel było tylko wstępem do festiwalu zbrodni. Isaac został przy nich przez kilka godzin. Podczas gdy umierali, dosłownie pokroił im twarze, odciął uszy i języki i wyrwał część zębów – zdaniem lekarza użył w tym celu kombinerek. Takich jak te na paragonie z Wickes.

Żadnej wyciętej przez Handla części ciał rodziców nie znaleziono na miejscu zbrodni. Do dzisiaj nikt nie wpadł na ich trop. Niektórzy śledczy spekulowali, że Handel wyrzucił je za okno i zostały zjedzone przez dzikie zwierzęta. Inni twierdzą, że jedynym możliwym sposobem zatarcia przez niego śladów było ich skonsumowanie. Nie ma jednak żadnych dokumentów stwierdzających, że Isaaca zbadano lub prześwietlono rentgenem. Zdaniem Caffery'ego dzięki takiemu postępowaniu można by co najmniej zauważyć zęby w jego żołądku. Ale kiedy śledztwo dotyczy zbrodni rodem z serialu CSI – a linią obrony jest niepoczytalność sprawcy – żadne siły policyjne w kraju nie rozbiją swojej skarbonki, żeby dokładniej zbadać sprawę. Takie rzeczy są możliwe tylko w przypadku zaginięcia Misty Kitson.

„Drut i zaciski szczękowe”. Graham i Louise Handel leżeli na plecach i mieli szeroko rozwarte usta, kiedy policja znalazła ich ciała. Takie ułożenie mogło być wynikiem spazmów mięśniowych, które nastąpiły, gdy ich syn wyrwał im zęby. Na fotografiach dziury po zębach są czarne i zalane krwią. Lekarz sądowy w swoim raporcie powtarza kilka razy, że nie był w stanie przeprowadzić szczegółowych badań z powodu

opóźnień wywołanych przez „szczególne okoliczności” na miejscu zbrodni. Nie miał okazji, by niezwłocznie zbadać ciała, wiele jego wniosków to zatem domysły. Mógł jedynie przypuszczać, że pani Handel umierała ponad trzydzieści minut, a pan Handel niewiele krócej – może osiemnaście do dwudziestu minut. Nie potrafił też ocenić, czy otwarte usta były skutkiem stężenia pośmiertnego, czy Isaac specjalnie je tak ułożył po śmierci ofiar.

„Szczególne okoliczności” uniemożliwiające śledczym dostęp do ciał zostały opisane przez kilka osób – techników śledczych, pierwszego policjanta przybyłego na miejsce oraz przez detektywa prowadzącego. One wywołują jeszcze większy niepokój Caffery’ego.

Dokładnie w połowie odległości od drzwi do ciał Handel rozciągnął drut. Na szczęście pierwszy przybyły policjant okazał się na tyle czujny, że go zauważył, i od razu wezwał oddział saperów. Minęło dziewięćdziesiąt minut, zanim przyjechali z Salisbury i zabezpieczyli miejsce przestępstwa. Wyjaśnili, że jeśli ktoś wszedłby do środka, wywołałby eksplozję substancji chemicznej, która doprowadziłaby do spalenia pokoju wraz ze wszystkimi śladami. Zaminowane miejsce zbrodni. Bardzo sprytne.

Caffery kończy czytać, odkłada do kartonu ostatnią kartkę raportu CSI zapisaną stroną w dół, zamyka pokrywkę i przez chwilę siedzi wpatrzony w pudełko. Coś tu nie gra – jest w tej sprawie jakaś niespójność czy anomalia, której nie da się jednoznacznie wskazać... Caffery pochyla się nad biurkiem i wbija kciuki w skronie, żeby się skoncentrować. Nie potrafi jednak zrozumieć, co wywołało w nim to przecucie.

Przysuwa z drugiego końca biurka fotografię Isaaca Handla. Ludzie często twierdzą, że umieją dostrzec zło w oczach innej osoby, co sprawia, że Caffery zastanawia się, czy nie brakuje mu jakiejś ważnej cechy, bo przez wszystkie lata przepracowane w zawodzie policjanta spotkał wielu morderców, gwałcicieli i dzieciobójców, ale patrząc im w oczy, nigdy nie widział zła. Nie dostrzega nic we wzroku Isaaca Handla. Absolutnie nic. Jakby za źrenicami tego mężczyzny

była nieprzenikniona zasłona.

Caffery znowu się zastanawia, czego brakuje w raporcie. Nie może znaleźć odpowiedzi, więc opiera się na krześle, splata dłonie na brzuchu i próbuje uporządkować myśli.

Założmy – stawia tezę, którą sugerują różne znaki – że Handel nie został zresocjalizowany i wciąż stanowi zagrożenie dla siebie oraz dla otoczenia.

Założmy, że to, co zdarzyło się w zakładzie zamkniętym Beechway, miało jedynie drugorzędne znaczenie.

Założmy, że podstawowym zadaniem jest znalezienie Isaaca Handla.

Założmy, że dopóki nie zostanie powtórzona sekcja zwłok Zeldy, nadinspektor nie potraktuje tej sprawy jak zabójstwa, więc nie zwiększy budżetu, a już na pewno nie będzie chciał słyszeć o duchach w szpitalu psychiatrycznym.

W związku z tym Caffery jest skazany na trudniejszy wariant – będzie musiał na własną rękę znaleźć Handla.

Jak to często w życiu bywa, należy postawić hipotezę, że najlepszym miejscem, by zacząć, jest początek.

Stewart i włóczęga

Melanie wciąż czuje się pełna po kolacji i porusza się ociężale. Seks, który uprawiają z CB tej nocy, należy do tej samej kategorii co miłość na bezludnej wyspie – jest niespieszny, relaksujący i pozbawiony fajerwerków. Trwa bardzo długo i nie wymaga żadnych słów. Po wszystkim Melanie zaskakuje CB, bo mocno się do niego przytula i obejmuje ramionami, jakby chwyciła się łodzi ratunkowej. Patrząc na nią, zapamiętując każdy szczegół jej twarzy, CB spokojnie odpływa w sen. Kiedy się budzi, wciąż leży w tej samej pozycji – na wznak, z wyprostowaną w jej kierunku ręką.

Melanie nadal opiera głowę na jego ramieniu, ale już nie śpi, tylko go szturcha.

– CB! CB!

– Uhm. Co? – CB pociera oczy, unosi się na łokciach i półprzyciemnie patrzy dokoła. Pierwsze, co przychodzi mu na myśl, to Isaac Handel, ale zasłony są zaciągnięte. – Co się stało?

Mel całuje go w ucho. Pachnie rozgrzаныmi pomarańczami i szamponem.

– Kochany, nie zrozum mnie źle, nie myśl, że jestem okropna, ale czy mógłbyś wypuścić Stewarta na korytarz?

Stewart leży w swoim ulubionym miejscu pod drzwiami. On też nie śpi – wpatruje się w CB i Melanie.

– Stewarta? Dlaczego? Co zrobił?

– Nic. – Ciałem Melanie wstrząsa lekki dreszcz. Dziewczyna wyciera chusteczką nos. Siąka. – Chyba wytarzał się w trawie czy coś w tym rodzaju... Nie wiem. Zdaje się, że mam nawrót alergii.

CB wciąż trwa w półśnie, ale nawet w tym stanie widzi, że Melanie udaje. Siada i przygląda się jej zaniepokojony.

– Melanie... Alergia? Jesteś pewna? Przecież już jesień.

– Tak... Przepraszam, wygląda na to, że stary, dobry Stewart i ja nie...

CB patrzy na Stewarta, potem na Melanie i z powrotem. Nie wie, co o tym sądzić. W końcu jednak wstaje, wyprowadza Stewarta za drzwi, zamyka je i wraca do łóżka.

– Dziękuję. – Melanie znowu się w niego wtula. Jest wyziębiona, a jej ciało pokryło się gęsią skórką. CB poznaje po jej oddechu, że wcale nie ma zatkanego nosa. – Dziękuję.

– O co tak naprawdę chodzi? – pyta CB. – Bo to na pewno nie alergia.

Dziewczyna przestaje się o niego ocierać i nieruchomieje jak zwierzę schwymane w pułapkę. CB czuje, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada.

– Melanie? Co się stało? Widziałaś coś?

– Nie. Przysięgam. To tylko alergia.

– Proszę. Bądźmy ze sobą szczerzy.

Następuje długie milczenie. Potem Melanie potrząsa głową.

– Nie. Pomyślisz, że zwariowałam.

– Zobaczymy.

– Nie mogłam zasnąć...

– Tak się objadłaś na noc, że to nic dziwnego.

– Nie... Za każdym razem, kiedy otwierałam oczy, Stewart wpatrywał się we mnie. Cały czas myślałam o tym, co powiedziałeś: że się dziwnie zachowuje. Że... – Melanie przełyka ślinę. – Że zniknął na jakiś czas. CB, jak sądzisz, co mógł widzieć?

CB marszczy brwi i zerka na Melanie, żeby się upewnić, czy mówi poważnie. Melanie Arrow – trzeźwa, rzeczowa pracoholiczka – zaczyna wierzyć w zjawiska paranormalne?

– Hej... – Całuje ją w czoło. – Tutaj jesteś bezpieczna. Przysięgam.

Melanie blade się uśmiecha.

– Słowo harcerza?

– Jak bum-cyk-cyk. A teraz idź spać.

W końcu Melanie rzeczywiście zasypia. CB też. Zapadają w głęboki sen bez marzeń – oboje są tak zmęczeni, że przesypiają alarm budzika. Ze snu wyrywa ich dopiero Stewart,

który drapie w drzwi i popiskuje. Wskakują z łóżka i miotają się po pokoju, próbując nadgonić stracony czas. Pacience wciąż śpi, ale całą noc była na nogach i zostawiła im na piecu gorącą kawę. CB nalewa kubek dla Melanie, a swoją pije stojąc w drzwiach i obserwując Stewarta, który załatwia własne sprawy na polu.

Zastanawia się, co się, do licha, dzieje z tym psem. Mel ma rację, że dziwnie się zachowuje. Wysikał się, ale zamiast wrócić truchtem do domu na śniadanie, odwraca się i patrzy w kierunku lasu.

– Nie! – CB kręci głową. – Nie, Stewart. Nie zaczynaj znowu. Wracaj! Chodź tu! Do nogi!

Stewart nie może się zdecydować, czy posłuchać rozkazu. Tęsknie spogląda na las, a potem znów patrzy na CB.

– Stewart! Powiedziałem: do nogi!

Wreszcie pusty żołądek bierze górę i pies posłusznie wraca do środka. Nie wiadomo, czy ma komuś za złe wyrzucenie z sypialni ubiegłej nocy – w każdym razie nic nie daje po sobie poznać, kiedy pochłania śniadanie. Przez chwilę CB obserwuje go z namysłem, a potem płucze kubek po kawie i idzie na piętro.

Melanie już wzięła prysznic, ubrała się, a teraz siedzi na krześle pod oknem sypialni i szuka czegoś w torebce. Ma na sobie białą bluzkę z marynarskim kołnierzykiem i małą czarną muszką. Strój uzupełniają srebrne kolczyki. Kiedy CB wchodzi, szybko wysuwa dłoń z torebki. Robi to jednak nie dość szybko, więc zdążył zauważyć, co robi.

CB wskazuje głową na torebkę.

– Twoja bransoletka nadal się nie znalazła?

– Och... – Melanie wzrusza ramionami. – Nie. Nie, ja... Nieważne, to nie koniec świata.

– Nigdy nie jest miło zgubić rzecz, która wiele dla ciebie znaczy.

Melanie mruga i dalej się do niego uśmiecha. CB widzi jednak, że robi to z wysiłkiem. Stara się coś ukryć – jakieś emocje, które próbują się przebić przez cienką skorupę.

– Melanie?

– Tak – odpowiada rażno jego dziewczyna. Szybko wstaje, odwraca się i zaczyna upychać rzeczy w torebce. – Muszę już lecieć, CB. Czas na nas. Pacjenci i szpitale wzywają. Pospiesz się. – Unosi dłoń i wciąż nie patrząc na niego, pstryka palcami. – *Vamos, vamos, vamos, bejbeeee.*

Łazienka

Umysł CB wariuje – jego myśli podążają torami, których wolałby unikać. Albo rozważa, czy Melanie wciąż coś czuje do Jonathana Keaya, albo zastanawia się, dlaczego detektyw Caffery nie dzwoni. W zasadzie wcale tego nie oczekuje, ale jakiś kontakt by nie zaszkodził. A także informacja o postępach w dochodzeniu. Cały czas chodzi mu po głowie tamta rozmowa: „Naprawdę nie wie pan, co się stało w Upton Farm...?”

Gdy tylko wchodzi z Melanie do szpitala, CB wymyśla jakąś wymówkę i zmierza prosto do pokoju Handla. Jeszcze nie przygotowano go na przyjęcie kolejnego pacjenta z oddziału ostrych przypadków. CB otwiera drzwi, wchodzi i niezauważony przez nikogo, obraca z powrotem klucz w zamku. Pokoje w tej części szpitala są przeznaczone dla pacjentów niestwarzających ryzyka, którzy mają wkrótce wrócić do życia w społeczeństwie albo zostać przeniesieni na oddział o zmniejszonym rygorze. W takich pokojach są meble, a pacjenci mogą wieszać plakaty. Ci, którzy pomyślnie przeszli testy, mają nawet prywatne łazienki. Handlowi pozwolono na wannę, wieszaki i lampkę nad łóżkiem do czytania.

Prace porządkowe w tym pokoju dopiero się zaczęły. Ktoś przyniósł przybory do sprzątnięcia i zostawił je w kącie. Pod oknem stoją dwa worki pełne śmieci. CB kuca i zaczyna przeglądać ich zawartość. Nie ma w nich nic niezwykłego – jak zwykle pełno papierków po słodyczach, zepsute jabłko, czasopisma i stara bielizna.

Pacjenci są mistrzami chowania rzeczy w skrytkach – chociaż rzadko się zdarza, że ukrywają rzeczy, których można by się spodziewać, takie jak papierosy lub środki odurzające. Często to po prostu jedzenie. CB już nie potrafi zliczyć, ile razy znalazł takie skarby jak spleśniałe kawałki ciasta lub pizzy w poszewkach na poduszki, za szafami, a nawet wciśnięte

w trampki ze starannie zawiązanymi sznurowadłami. Zdarza się, że chowają brudne ubrania, które z różnych przypadkowych powodów wydają im się ważne. Kiedyś CB znalazł staroświecki ceramiczny naporstek wypełniony po brzegi jakąś gęstą, kleistą mazią. Wbił w nią czubek długopisu i gmerał przez parę sekund, zanim sobie uświadomił, że to zbierana od dawna woskownina z uszu pacjenta.

Praca w Beechway to doprawdy życie usłane różami.

Nie znalazłszy w workach na śmieci niczego, co miałoby istotne znaczenie, CB siada na materacu i się rozgląda. Ściany są gładkie, z wyjątkiem kilku śladów po kleju Blu-Tack w miejscach, gdzie zdjęto plakaty Isaaca. W jednej z zasłon jest dziura – trzeba będzie to zgłosić do działu technicznego. Drzwi do prysznicza stoją otworem. Uwagę CB przykuwa kurek nad umywalką, z którego kapie woda.

Łazienki zaprojektowano tak, żeby były niezniszczalne – są bezpieczne, czyli nie mają żadnych „punktów zaczepienia”, na których pacjent mógłby się powiesić. Wszystkie kurki i uchwyty są skierowane w dół. Łazienki to dla personelu szpitala prawdziwe czarne dziury grozy. Rzadko się zdarza wejść do toalety i stwierdzić, że nie była używana. Na podłodze zwykle tworzy się poszycie z niedbale rzuconych pozostałości po różnych czynnościach fizjologicznych – chustek posklejanych smarkami, a w przypadku mężczyzn również innymi wydzielinami ciała. Pełno tam włosów łonowych, strupów, wymiocin. Zdaje się, że nawet najbardziej pedantyczni pacjenci z natręctwami przymykają oko na bałagan w łazience.

CB długo rozgląda się po pomieszczeniu. Tryby w jego głowie wolno się obracają. W końcu wstaje, podchodzi do drzwi i włącza światło.

Na szczęście ekipa sprzątająca już tu była – w toalecie unosi się zapach chloru, a w świeżo wyczyszczonej umywalce odbijają się refleksy światła. Widać stąd dziedziniec i budynek administracji, a w nim jedno lub dwa oświetlone okna. Zaciągnięte chmurami niebo zwiastuje deszcz. Na dworze zrobiło się ciemno, jakby już zapadł wieczór. CB popycha czubkiem buta osłonę wanny – plastik wygina się, a potem

sprężynuje z powrotem, wydając głuchy dźwięk. Kuca i przesuwa dłonią wzdłuż krawędzi, gdzie obudowa łączy się z wanną. Palcem wskazującym wymacuje przerwę – w prawym górnym rogu po stronie kurków z wodą brakuje jednego płaskownika.

Wyjmuje klucze z kieszeni spodni i za pomocą breloczka z twardego plastiku, który pełni funkcję pilota do drzwi awaryjnych, podważa róg panelu, żeby zajrzeć do środka. Widzi dno wanny z włókna szklanego, ale niewiele więcej. Wyciąga telefon i używa go jako latarki. Wsuwa prawą rękę głębiej między osłonę i wannę, rozpychając ramieniem szczelinę, i świeci dokoła.

Coś jest tam wetknięte. Duża torba sportowa z logo Adidas. CB zaciska zęby, wysuwa rękę jeszcze dalej, dotyka czubkami palców uchwytów torby i przyciąga ją do siebie. Nie będzie mógł jej wyjąć, nie niszcząc panelu. Musi ją otworzyć i opróżnić w tej niewygodnej pozycji. Kiedy torba jest już dosyć blisko, CB przesuwa się, żeby dalej świecić telefonem, a jednocześnie dostać się do zamka.

Po chwili pociąga suwak, który delikatnie zgrzyta i drży na ząbkach zamka. Z torby wydobywa się zapach – stęchła woń starego prania. Trzeba pracować w takim miejscu jak to, żeby wiedzieć, że pacjenci chowają najdziwniejsze rzeczy w najdziwniejszych kryjówkach – lepiej nigdy nie wkładać rąk w miejsca, których się najpierw nie obejrzało. Zatem CB przybliży telefon i zagląda przez szparę w torbie do środka.

Nagle szybko cofa rękę. Osłona wanny wraca z głośnym trzaskiem na miejsce, a CB opiera się o ścianę i głośno oddycha.

Sportowa torba

Dzwonek telefonu budzi Caffery'ego. Wstał nowy dzień, a on leży na sofie w swoim biurze. Gwałtownie siada, myśląc, że to Flea dzwoni na jego komórkę. Nie, to telefon służbowy. Caffery obraca się w miejscu i sięga do aparatu na biurku. Zgłasza się centrala – CB znowu tu jest i chce o czymś porozmawiać.

– Daj mi pięć minut. Zaraz zejść.

Rozluźnia krawat i przez chwilę siedzi, pocierając twarz. Próbuje się zorientować w sytuacji. Raport o Isaacu leży rozrzucony na podłodze – zdaje się, że zasnął podczas jego lektury. Trzej funkcjonariusze w cywilu już siedzą przy komputerach w centrum operacyjnym. Zasnął. Pierwszy raz od pięciu dni – odkąd Jacqui Kitson wtargnęła do restauracji Browns – porządnie się wyspał.

Znajduje w kieszeni komórkę i sprawdza, czy Flea telefonowała, wysłała SMS-a albo zostawiła wiadomość na poczcie. Ani słowa. Jakoś go to nie dziwi. Po chwili wstaje. Specjalnie nie patrzy na fotografię Misty – jakby się wstydził, że w ogóle zaprzęta sobie głowę czymś innym. Znajduje w górnej szufladzie szczoteczkę do zębów, szybko doprowadza się do porządku w męskiej toalecie, a potem schodzi na parter, żeby się spotkać z CB, który niepewnie stoi w poczekalni i trzyma wielką torbę z logo Adidasa. Czy to jedynie wyobraźnia Caffery'ego, czy naprawdę wygląda na bledszego niż wczoraj?

– Dziękuję, że zaprosił mnie pan na górę – mówi CB, kiedy wchodzi do biura. – Wszystko w porządku?

Caffery wzrusza ramionami. Podsuwa CB krzesło. W centrum operacyjnym akurat trwa sprawozdanie z innego śledztwa – Caffery zamyka drzwi, żeby nie przeszkadzał im hałas.

– Wczoraj po południu rozmawiałem z lekarzem sądowym. Jeszcze raz zbadają Zeldę.

– A zatem zajmie się pan moim zgłoszeniem?

– Już zacząłem działać. Wczoraj pojechałem do hostelu, w którym miał zamieszkać Isaac.

– I co?

– Nie ma go tam. Od przedwczoraj nikt go nie widział.

– Kurwa... – CB ciężko siada na krześle. – Kurwa.

– Wiem. – Caffery znowu zerka na zegarek. Nie powinien był tak długo spać. Przez to ma zaległości. – Nie znamy jego miejsca pobytu, ale znalazłem tropy, które zamierzam zbadać.

– Jego wzrok pada na torbę. – Domyślam się, że w tej torbie jest coś ważnego, prawda?

– Tak... A raczej, nie jestem pewien. Nie wiem, czy to ważne, ale znalazłem ją ukrytą w łazience Handla.

Kładzie torbę na biurku, rozpiną zamek i wysypuje zawartość. Caffery wkłada okulary i podsuwa się na krześle, żeby lepiej się przyjrzeć. Wdycha powietrze przez nos i zasłania go dłonią.

– Jezu, co za smród!

– To prawda. Przepraszam. Nie jestem pewny, czy powinienem to zabierać: czy to skradzione rzeczy, dowody czy coś w tym rodzaju. Może powinienem był je zostawić tam, gdzie były... Ale nie zostawiłem.

– A szkoda.

Caffery odsuwa krzesło i wstaje, żeby otworzyć okno.

– Pomyślałem, że chciałby je pan dostać.

– Niby po co?

CB nerwowo zmienia pozycję. Wkłada ręce do kieszeni kurtki i patrzy na czubki butów.

– Nie wiem – mówi bez przekonania. – Chyba mi się zdawało, że może pan z nich pobrać próbki DNA Handla... Czy coś...

– Aha. – Caffery otwiera okno tak szeroko, jak się da. Do gabinetu wpada powiew zimnego powietrza. – Aha.

Obaj stoją, milcząc, i patrzą na rzeczy rozsypane na biurku – na stertę lalek. Koszmarnych kukielek zrobionych z różnych rodzajów plastiku i tkanin. Większość ma makabryczne oczy, które wyglądają jak prawdziwe – plastikowe gadzety ze sklepu dla hobbystów. Te żabie oczy mrugają, kiedy ktoś porusza lalką. Niektóre mają szwy w miejscu oczu. U jednej po lewej stronie twarzy znajduje się oko, a w miejscu prawego przyszyto

jej czerwoną landrynkę.

Każda wygląda inaczej, ale jest równie ohydna. Zdaje się, że część z nich przedstawia kobiety – mają długie włosy z włóczki i prymitywne szydełkowe piersi. Inne wyobrażają mężczyzn z miniaturowymi wyrostkami z filcu dla amatorów szycia albo z wiszącymi między nogami wydzierganymi na szydełku woreczkami. Oczy i usta niektórych są zaklejone wąskimi paskami taśmy malarskiej. Kilka ma ręce związane za plecami sznurkiem. Są wśród nich lalki ze strasznymi zębami – chyba z muszli albo sztucznych pereł, trudno powiedzieć. Część została posadzona na różowych satynowych poduszkach i ma złożone na piersiach ręce; w podobny sposób przedstawiano w średniowieczu świętych i męczenników na ich nagrobkach – jako wzniosłych, udręczonych bohaterów.

– Trzymał je w łazience?

– Uhm. Ukryte za osłoną wanny.

– Potwornie śmierdzą. Nikt nie zwrócił uwagi na ten odór?

– Musi pan wziąć pod uwagę okoliczności. Wie pan, wszechobecny, kompletnie nieunikniony, absolutnie trwałe i odpychający zapach, który na co dzień unosi się w szpitalu. Proszę mi nie mówić, że nigdy nie był pan w takim miejscu.

Caffery kiwa potakująco głową.

– Ma pan rację, nie przyjemnego.

– Ponadto wszyscy się przyzwyczaili, że Isaac brzydko pachnie. Było tak szczególnie na początku. Te... – Wskazuje lalki i lekko wykonuje ręką nieokreślony gest, jakby nie umiał znaleźć właściwego słowa, żeby je opisać. – Te rzeczy, które tworzył... Poświęcał im cały wolny czas. Zawsze miał przy sobie jedną albo dwie, nie pozwalał ich sobie odebrać. Ani na chwilę. W końcu się poddał. Gdyby pan spędzał większość czasu wciśnięty pod pachę Isaaca, też by pan cuchnął.

Rozkłada kartkę wyrwaną z kołonoatnika i podaje ją Caffery'emu. Jest na niej kilka linijek tekstu napisanych drobnym, starannym pismem. Caffery czyta uważnie. Poznaje jedno, może dwa zdania, które brzmią jak cytaty z Biblii.

CB wskazuje palcem kilka z nich: „Nie bądź z tych, którzy czynią zło”. „Wystrzegaj się próżniactwa i wszeteczeństw”.

– To są słowa, które Pauline napisała sobie na udach. To napisała Zelda. A to...

Znajduje wers pod koniec tekstu i stuka w niego palcem. „Każdy, kto pożądlawie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”.

– Moses napisał to na ścianach pokoju, zanim wyłupił sobie oko.

Caffery wolno kiwa głową. Unosi wzrok i widzi, że CB twardo mu się przygląda.

– Przedtem mogłem mieć wątpliwości, ale kiedy to zobaczyłem, pomyślałem...

– Wiem, co pan pomyślał. – Caffery chce już wyjść, i to jak najszybciej. – Żeby było jasne, ja też tak myślę.

Upton Farm

Chwilę po wyjściu CB lekarz sądowy Beatrice Foxton telefonuje do Caffery'ego. Przeprowadziła drugą sekcję zwłok Zeldy i nie była w stanie sformułować na jej podstawie nowych wniosków. Tłumaczy, że czasami trzeba po prostu rozłożyć ręce i przyznać, że czegoś nie wiemy.

Caffery uznaje, że to już nie ma znaczenia. Widział i słyszał o Handlu dosyć, by dalej prowadzić śledztwo. Wkłada nitrylowe rękawiczki – zarówno dla higieny, jak i z obawy przed zanieczyszczeniem materiału dowodowego – i chowa lalki z powrotem do torby. Potem umieszcza ją w szczelnym worku, który dostał od jednego z funkcjonariuszy CSI, i niesie do samochodu. Zamyka pakunek w bagażniku i siada za kierownicą. Przez kilka minut rozgrzewa silnik na jałowym biegu. Po chwili wciąga nosem powietrze. Z torby z lalkami nie wydostaje się zapach. Doskonale. Wrzuca bieg i wyjeżdża z parkingu.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy Handel zamordował rodziców, wciąż istniały wiejskie posterunki. Jeżeli miejscowość była za mała, żeby utworzyć w niej komisariat, wysyłano tam jednego policjanta, który mieszkał w służbowym domu. Był to policjant, który cały czas pozostawał na służbie – i znał nie tylko mieszkańców swojej wioski, ale też tych, którzy żyli przy najmniejszych drogach i na wszystkich farmach w okolicy. Na pewno pamięta Isaaca i jego rodziców. Z kserokopii notatki służbowej z dnia morderstwa wynika, że ktoś zadzwonił na posterunek z pobliskiej budki telefonicznej. Sierżant Harry Pilson w ciągu dziesięciu minut przybył na miejsce zbrodni.

Po morderstwach Upton Farm trzy razy zmieniali właściciele. Aktualni właściciele, mieszkająca dwie mile dalej para, kupili to gospodarstwo pięć lat temu i wynajmują je jako lotnisko.

Caffery zatrzymuje się przed ich domem, żeby poprosić o klucze. Mężczyzny nie ma, ale Caffery zastaje jego żonę. To kobieta po czterdziestce, z gniewnym wzrokiem i wyzywająco miastową fryzurą; od razu widać, że mieszka na wsi z powodów estetycznych, a nie dlatego, że się tu urodziła. Każdy centymetr kwadratowy obejścia zajmują akcesoria, które mieszkańcy miast kojarzą z prowincją, takie jak sztormiaki czy designerskie gumowce. Obrazy na ścianach imitują sztukę ludową. Kobieta zapewne ma nadzieję, że Caffery się nimi zachwyci, ale on dobrze zna ten rodzaj ludzi i jest za stary, żeby marnować czas na kłamstwa. Odrzuca propozycję kawy i prosi o klucze do Upton Farm.

– Zawsze pani wynajmowała to gospodarstwo?

Kobieta śmieje się drwiąco, bez śladu rozbawienia.

– Raczej od zawsze próbujemy je wynająć. Nikt nie chce go wziąć. Podobno to okolica atrakcyjna dla turystów, a tymczasem w tym roku mieliśmy ledwie sześcioro gości. Spośród nich dwoje rozmyśliło się już po pierwszej nocy. Przyszli i zażądali zwrotu pieniędzy. – Potrząsa głową. – Wystawiłabym je na sprzedaż, ale kto by je kupił? Może jedynie jacyś idioci z Londynu, którzy nie znają jego historii.

Tego dnia na dworze jest zimno i mokro. Strzępy mgły snują się od linii czerwono-pomarańczowych lasów, które otaczają doliny, i przyklejają się do stromych skał niczym nisko toczące się chmury. Caffery włącza na pełną moc ogrzewanie, kiedy jedzie wiejskimi drogami, szerokimi jedynie na tyle, żeby zmieścił się na nich jeden samochód, i poznaczonymi co jakiś czas zatoczkami mijania – i nie daj Boże, żeby z naprzeciwka jechał traktor. Na fotelu pasażera leży raport sierżanta Pilsona z dnia, w którym dokonano podwójnego morderstwa. Jeden z pracowników w MCIT właśnie sprawdza, czy Pilson wciąż mieszka w okolicy. Jeżeli tak, to ma przysłać Caffery'emu namiary na niego.

W latach dziewięćdziesiątych na wsiach stały budki telefoniczne, bo wielkie sieci telefoniczne jeszcze nie miały tam zasięgu. Sierżanta Pilsona wezwano z budki tuż na południe od Upton Farm – jakaś przejeżdżająca obok kobieta domyśliła się,

że coś jest nie w porządku. Minęła gospodarstwo, stanęła przy budce i zadzwoniła. Przedstawiła się i powiedziała, gdzie mieszka, ale kiedy zespół śledczy próbował skontaktować się ze świadkiem, okazało się, że taki adres nie istnieje. Albo skłamała, albo Pilson źle zanotował go w swoim zeznaniu. Ogłoszenia policji w lokalnej prasie wzywające tę osobę, żeby zgłosiła się na komisariat, nie dały rezultatu. Był to jedyny niewyjaśniony wątek w bardzo drobiazgowym śledztwie.

Upton Farm znajduje się w jednym z najwyższych punktów tej części świata i kiedy Caffery zbliża się do zabudowań, chmury wokół niego gęstnieją. Powietrze staje się mlecznobiałe, a widzialność szybko spada. Jedzie zachodnim skrajem podległego dyrekcji lasów ciemnego boru sosnowego, a potem skręca na północ. W okolicach gospodarstwa zaczyna padać. Podjazd przypomina wyprawę w Himalaje. Znak przy drodze informuje: „Upton Farm Cottage – letnisko do wynajęcia”.

Okolica jest podobna do tej, w której mieszka Caffery – ale położona wyżej i bardziej odludna. Ostatni skręt na podjazd i już z mgły wyłania się dom. To ładny dwupiętrowy budynek w stylu edwardiańskim, zbudowany z szarosinych kamieni łupkowych. Widać, że niedawno wymieniono tu dachówki i odmalowano okna. W czystych, błyszczących szybach odbija się rząd świerków. Po drugiej stronie cementowego dziedzińca stoją dwie duże stodoły ze smołowanego drewna. Za nimi zaczynają się chmury – zamiast odległych wzgórz widać jedynie nieprzenikloną, ruchomą ścianę bieli.

Caffery parkuje przed domem. Z części dziedzińca zerwano beton i zastąpiono go kamiennymi płytami, co stanowi dość osobliwy widok. Po obu stronach drzwi rosną wawrzyny w donicach. Edwardiańska skrobaczka do butów po lewej stronie schodów dopełnia obrazu stylizowanego folkloru.

Otwiera kluczem drzwi i wchodzi do środka. W domu pachnie pastą do mebli i odświeżaczem powietrza – wszędzie stoją kompozycje z suszonych kwiatów. Wzdłuż schodów w ścianę została wbudowana poręcz z polerowanego dębu, a stopnie są wyłożone grubym chodnikiem. Caffery zapisał w telefonie zdjęcia z miejsca zbrodni. Ogląda fotografie, które zrobiono

w tym korytarzu, i porównuje je z aktualnym stanem. W latach dziewięćdziesiątych schody miały wolno stojącą balustradę ozdobioną tapetą w drobne cętki imitujące kleksy farby. Tu, gdzie teraz stoi, ściana była pomazana krwawymi odciskami dłoni.

Odciski idealnie pasowały do Handla. Torturował, zabił i okaleczył swoich rodziców – nikt nie miał co do tego wątpliwości. Akurat ten fakt jest oczywisty. Nie zgadza się jednak coś innego. Caffery jeszcze nie jest pewny co. Wolno wchodzi na piętro, otwierając umysł, uszy i ciało na wszystkie bodźce, które to miejsce może mu przekazać.

Pokój, w którym znaleziono ciała Grahama i Louise Handlów, znajduje się na końcu antresoli, na prawo od schodów. Kiedy Isaac tu mieszkał, było tutaj dosyć ciemno – na podłodze leżał zielony dywan ze spiralnym liściastym wzorem. Teraz zastąpiły go deski z woskowanego surowego drewna. Zdjęcia w telefonie Caffery’ego przedstawiają siedem oprawionych reprodukcji, które wisiały na ścianie – przekrzywionych z powodu gwałtownych zajęć, które chwilę przedtem miały tam miejsce. Dzisiaj ściany są gołe. Pomalowane na popielato.

Caffery ostrożnie otwiera drzwi do pokoju. Zasłony są rozsunięte, kredowobiałe światło zdaje się płaskie. Tutaj też wszystko kompletnie się zmieniło. Dębowe łóże ze skrzynią i rzeźbionym, obitym skórą wezglowiem zastąpiło proste łóżko; owcza skóra u stóp łóżka zasłania miejsce, w którym zginęli rodzice Isaaca.

Drut pułapki był rozciągnięty stąd do łóżka. Saperzy musieli pracować zaledwie kilka centymetrów od zdeformowanych ciał Grahama i Louise. Żołnierze na pewno byli przyzwyczajeni do widoku śmierci, ale to doświadczenie bardzo ich poruszyło – jeden z nich następnego dnia zrezygnował ze służby i został nauczycielem. Podobno nigdy nikomu nie zdradził powodów tej decyzji.

Caffery wchodzi do pokoju, kuca i lekko unosi owczą skórę. Deski pod nią są gładkie i nawoskowane, tak jak wszędzie, ale daje się zauważyć delikatną różnicę w odcieniu, nieco ciemniejszą patynę w fakturze drewna. Kolejni właściciele nie

byli w stanie usunąć wszystkich śladów krwi.

Caffery wyciąga rękę z telefonem, nakładając cyfrowe zdjęcie na rzeczywisty obraz pokoju. Przybliża sfotografowaną z tego miejsca postać Louise. Kobieta ma na sobie spodnie dresowe i T-shirt z nadrukiem Dunlop. Leży na wznak z szeroko otwartymi ustami. Krew spływa z kąćków ust na szyję. Brakuje jej uszu i kilku zębów.

Caffery patrzy dokoła – próbuje sobie wyobrazić, jak ten minimalistycznie urządzonej pokój bez zasłon wyglądał w latach dziewięćdziesiątych: stare, ciężkie meble i grube zasłony na ciemnych oknach. Zamyka oczy i cofa się w czasie. Wyobrażenie sobie tamtej epoki nie stanowi szczególnego wysiłku, ale nie przybliża go ani o krok do odpowiedzi na pytanie, co nie pasuje w całym scenariuszu.

Nie. Czeka go jeszcze długa droga.

Ostatni raz rozgląda się po pokoju, a potem wraca antresolą do schodów i schodzi na parter. Na dworze niebo na chwilę się przejaśniło; blade słońce zalewa podwórze i odbija się w szybie samochodu. Caffery rozmyśla o kobiecie, która zgłosiła morderstwo. Co takiego zobaczyła, że poczuła niepokój?

Caffery odwraca się i ocenia odległość do drogi. Coś tu nie gra – przede wszystkim z drogi nie widać dolnej połowy domu. W raporcie z miejsca zbrodni można przeczytać, że Pilson odebrał wezwanie i przyjechał o osiemnastej czterdzieści pięć. Że poszedł tropem krwi wiodącym z domu do stodoły. Płot i część podwórza wybrukowana kamieniami to nowe dodatki. Piętnaście lat temu dom i obie stodoły zapewne stały na jednolicie cementowym podwórzu. Policjant odpowiadający na telefon alarmowy prawdopodobnie zatrzymał się przed domem i od razu powinien szukać ofiar. Według raportu drzwi wejściowe były otwarte. Odległość między domem i stodołami to mniej więcej dwadzieścia pięć metrów. Dlaczego więc Harry Pilson nie wszedł najpierw do domu?

Caffery kieruje się do budynku po prawej stronie. To właśnie tam, w większej stodole, Handel został przyparty do muru i aresztowany. Na szerokich drzwiach z przodu budynku wisi kłódka, więc Caffery próbuje się dostać do środka wąskimi

drzwiami bocznymi. Są zamknięte jedynie na skobel i po chwili stoją otworem. Stodoła wciąż służy jako magazyn siana i słomy. Wewnątrz jest zaskakująco ciepło, w powietrzu unoszą się drobinki kurzu, a dźwięki za ścianą zdają się przytłumione. Caffery mruga – jego oczy wciąż się przyzwyczajają do półmroku. Szary promień światła wpada ukośnie do środka po jego prawej stronie, wyłuskując z ciemności pyłki i rozjaśniając mały kwadrat podłogi. Skądś dobiega coraz wyższy dźwięk: „grrro, grrro”... Jeszcze raz, potem jeszcze raz, w końcu pojedynczy: „grrro”... I zdecydowane: „ko, ko, ko, ko”. Kury – jest ich sześć – wybiegają z cienia w kierunku kwadratu światła i zaczynają grzebać i dziobać, szukając robaków oraz rozsypanego ziarna.

Caffery przygląda się zdjęciu w telefonie. Pilson zeznał, że zobaczył Handla na strychu właśnie z tego miejsca. Strych znajduje się niemal dokładnie nad jego głową. Caffery wygina szyję, żeby znaleźć właściwą pozycję. Widzi jednak same deski, nie da się stąd zobaczyć wejścia na strych. Postępuje kilka kroków do wnętrza stodoły, przytrzymując dłonią drzwi, żeby się nie zatrzasnęły i nie odcięły światła. Wejście na strych wciąż znajduje się poza polem widzenia.

– Co to ma znaczyć? – mruczy pod nosem.

Wsuwa pałkę policyjną w szparę między framugą a drzwiami i wchodzi dalej. Kury hałaśliwie rozpierzchają się w mrok. Caffery jeszcze raz unosi głowę.

Długo stoi w tej pozycji – myśli o wezwaniu telefonicznym, o krwawym tropie i o reszcie bzdur w raporcie. Tak, myśli, właśnie bzdur.

To jest ta rzecz, która cały czas nie dawała mu spokoju. Raport sierżanta Harry’ego Pilsona jest po prostu stekiem kłamstw.

Ludziki

Dzemu już jest włożony do słoików i potrzebuje jedynie czasu, żeby ostygnąć. Penny kładzie się na sofie i otula kocem. Jest zmęczona, źle spała, a rano po przebudzeniu nie miała cienia wątpliwości: miejsce na kołdrze koło niej było ciepłe. Macając dokoła, próbowała sobie wytłumaczyć ten fenomen. Okienne były zamknięte, więc promienie słońca nie mogły padać na łóżko, sama też go nie wygrzała, bo wciąż leży otulona kocem w tej samej pozycji. Trudno to racjonalnie wyjaśnić. Zupełnie jakby Suki spędziła z nią noc.

Penny wzdycha, podkłada rękę pod głowę i patrzy na sufit. Jej piersi ocierają się o kołdrę – niespodziewanie, szeleszcząco przypominają jej o zapomnianej seksualności. To właśnie wrażliwość seksualna ją zgubiła. Przez wiele lat jadła bez umiaru, piła bez umiaru i kochała się bez umiaru, gdzie popadnie. W młodości wszyscy zewsząd słyszą, że taka emocjonalna rozwiąłość, takie pasmo hedonistycznych eksperymentów nie mogą prowadzić do niczego dobrego. Nigdy w to nie wierzą, dopóki ni stąd, ni zowąd nie okaże się, że te eksperymenty rzeczywiście źle się skończyły.

Piętnaście lat temu Penny miała męża. To nie było szczęśliwe małżeństwo, ale oparte na szacunku i pozbawione nienawiści. Niewiele w nim było seksu, ale równie mało kłótni i jadu. Potem hormony Penny wywróciły wszystko do góry nogami. Poznała Handlów podczas wiejskiej zabawy i wkrótce oboje z mężem zaprzyjaźnili się z atrakcyjną parą z Upton Farm. Zwłaszcza Graham dobrze wyglądał – był wysoki i roztaczał dyskretną aurę niebezpieczeństwa, która rozbudziła zmysły Penny. Grahamowi zaś wystarczyło jedno spojrzenie na ładną kucharkę, która wprowadziła się do starej przędzalni, żeby wiedzieć, w którym dokładnie kierunku poprowadzi go los. Penny nie miała z nim żadnych szans.

Romans rozwijał się wolno, niemal na oczach małżonków Penny i Grahama. Louise Handel często wyjeżdżała w sprawach służbowych, co umożliwiało kochankom wspólne spędzanie czasu. Penny poznała wiele tajemnic Handlów. Więcej niżby chciała. Dowiedziała się, że mają syna, który nie uczy się w miejscowej szkole, tylko został umieszczony w szkole specjalnej poza granicami hrabstwa. Isaac miał pewne braki, to oczywiste. Był zamknięty w sobie i nie potrafił nikomu patrzeć prosto w oczy. Kiedy Penny spotykała go w towarzystwie rodziców, próbowała do niego dotrzeć, ale bez skutku.

Czasami, kiedy Louise wyjeżdżała, Graham kazał Isaacowi bawić się na dworze, a sam zamykał się z Penny na klucz w sypialni gościnnej na ostatnim piętrze. Penny martwiła się, że Isaac za każdym razem musi wychodzić na dwór; niepokoiło ją jego milczenie, może domyślał się prawdy. Mógł się wygadać matce. Po miłosnych uniesieniach patrzyła przez okno na poddaszu i obserwowała bawiącego się Isaaca – zawsze samego i trochę zbyt skupionego jak na trzynastolatka, który powinien kopać piłkę z rówieśnikami. Najczęściej kucał kompletnie zaabsorbowany jakąś tajemniczą czynnością. Coś tworzył.

Pewnego dnia, kiedy Isaac był w szkole, Penny przypadkiem minęła jego pokój, idąc po szklankę wody. W normalnych okolicznościach poszłaby dalej – przestrzegала zasady, żeby nie wtykać nosa w prywatne sprawy rodziny Grahama. Tego dnia jednak Graham brał prysznic, Louise była w podróży służbowej, a drzwi do pokoju Isaaca stały szeroko otwarte. Pokusa okazała się zbyt silna. Na łóżku chłopca leżała mała puszka. W środku Penny znalazła kolekcję dziwnych lalczek ze skrawków skóry i patyków. Jedna miała na sobie dres, nieporadnie uszyty z kawałków takiego samego materiału jak ubrania Louise. Inna przedstawiała męską postać. Ta nosiła spodnie z brązowego sztruksu – podobne do tych, które Graham miał w swojej garderobie.

Penny postanowiła nie mówić Grahamowi o tych kukielkach. Nie była pewna, dlaczego – może dlatego, że się ich przestraszyła? A może dlatego, że odniosła wrażenie, że stanowią subtelny klucz do prywatnego świata jej kochanka?

Przez kolejne tygodnie częściej zaglądała do pokoju Isaaca i na podstawie znalezionych tam przedmiotów oraz szczątkowych informacji wyniesionych z rozmów z Grahamem zaczęła się domyślać, co działo się w umyśle chłopca. Odkryła, że Isaac robił lalki wyobrażające wszystkich i wszystko, co go niepokoiło albo złościło. Świat dziecka zaludniały dziwne miniaturowe imitacje ludzi i zwierząt. Złośliwy kot sąsiadów, który kiedyś podrapał Isaaca, został przedstawiony za pomocą tekturowej rolki po papierze toaletowym z przypiętą do tułowia zszywkami prawdziwą sierścią i groteskowo przyklejonymi oczami. Penny zwróciła uwagę, że jego łapy były związane, a sierść chyba prawdziwa. Podkraśniała parę kosmyków i porównała z sierścią kota sąsiadów. Wyglądało na to, że to te same włosy.

Graham powiedział Penny, że w szkole Isaaca uczy się dziewczynka, która nałogowo kradnie. Zapewne najważniejszy był dla niej sam dreszcz emocji, bo jej łupem padały zupełnie przypadkowe przedmioty: słodczyce, zabawki, pieniądze, części garderoby, kredki, skrawki papieru albo skarpetki. Raz zwędziła komuś wiórki z temperówki – tylko po to, żeby coś ukraść. Kiedy Isaacowi zginęła z półki w szkole piłka nożna, której potrzebował do swojej prezentacji, wrócił do domu i zrobił kukielkę dziewczynki w podartej niebieskiej spódniczce w kratę, identycznej z wzorem mundurka szkolnego dziewcząt w jego szkole. Lalka miała długie czarne włosy z wełny i jedną rękę skrópowaną za plecami. Ręka, która sięga po cudzą własność, została na zawsze unieszkodliwiona.

Penny poszła do miejscowej biblioteki i przejrzała kilka książek o voodoo. Dowiedziała się z nich, że fetysz voodoo, zwykle w postaci laleczki, musi zawierać przedmiot bliski osobie, którą wyobraża – najlepiej coś pochodzącego z jej ciała, na przykład paznokieć albo włos. Można też zebrać i wykorzystać różne wydzieliny ciała: urynę, odchody, nasienie, flegmę, pot albo krew. Szaman albo znachor intonuje śpiewnym, monotonnym głosem zaklęcia, które mają moc przenoszenia dokonywanych na nich obrzędów na osobę lub rzecz, którą symbolizują.

– Pani Handel wciąż wypożycza te książki – mówi

bibliotekarka, pociągając nosem. – Zastanawiające, prawda? No wie pani, w kontekście tego, na jakiego dziwaka wyrósł jej syn.

Louise studiowała historię na uniwersytecie otwartym i kiedy Penny zaczęła drążyć temat trochę dokładniej, dowiedziała się, że Louise rzeczywiście wybrała voodoo i handel niewolnikami jako temat jednej ze swoich prac naukowych. Zdawało się oczywiste, że Isaac w jakiś sposób poznał treść tych książek albo udzieliło mu się zainteresowanie Louise, ale kiedy Penny zapytała o to Grahama, ten zbagatelizował jej obawy. Od tego momentu zaczęła powoli tracić zaufanie do kochanka. W ciągu następnych miesięcy nabrała przekonania, że nie traktuje jej poważnie. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy jest jedyną kochanką, z którą Graham się związał podczas swojego małżeństwa, i czy „służbowe” podróże Louise nie były przypadkiem wymówką, żeby także spotykać się z amantami. Z powodu tych pytań w końcu wybuchło w niej poczucie winy wobec męża – jej milczącego, zgodnego, nudnego, nieatrakcyjnego męża.

Penny i jej mąż zostali zaproszeni do Handlów na przyjęcie z okazji Halloween. Graham nalegał, żeby przyszli, bo ich nieobecność byłaby podejrzana. Penny wciąż pamięta ze szczegółami tamten wieczór, który spędziła niemal w całości w kuchni. Miała na sobie cygańską bluzkę i spódnicę z kolorowych łątek i przyciskała do piersi własnoręcznie zrobiony kapelusz wiedźmy, onieśmielona obecnością tłumu obcych kobiet w zielonych perukach i szelkach, które paliły papierosy, śmiały się, zachłannie piły kolejne kieliszki szampana i wciąż poprawiały usta brokatowymi, czerwonymi szminkami.

Jej mąż nie mógł zrozumieć, dlaczego płacze, kiedy wrócili do domu. Ujrzała w pełnym świetle popełniony przez siebie błąd. Graham okazał się innym człowiekiem niż ten, w którym się zakochała. Postanowiła, że zakończy ten związek bez względu na to, jak bardzo będzie cierpieć.

Penny siedzi na sofie i patrzy w okno. Rozciąga się z nich widok na dno doliny. Na drugim brzegu strumienia las pnie się

aż do szczytu zbocza – kończy się dopiero w chmurach, które gęstnieją wokół Upton Farm. Może to była dla niej kara, może los dał jej nauczkę, ale nie miała szansy powiedzieć Grahamowi, że między nimi koniec.

Jak na ironię, w dniu, w którym zamierzała mu to oznajmić – w Zaduszki – Isaac Handel postanowił odebrać rodzicom życie.

Robota

Harry Pilson wciąż mieszka w policyjnym domu, w którym przez trzydzieści lat pełnił służbę. Po pięćdziesiątce przeszedł na emeryturę, żeby uniknąć przeprowadzki ze wsi na komisariat w Chipping Sodbury, i kupił służbowy dom, w którym mieszkał.

Pilson dopiero co wrócił – roznosi obiady starszym mieszkańcom w tej okolicy. Jest szczupłym, zdrowym sześćdziesięcioletkiem w pulowerze i sztruksach. Zerka na legitymację Caffery’ego, a potem prowadzi go do pokoju w głębi domu, mijając po drodze żonę, która wyciera naczynia w kuchni i przygląda się gościowi.

– Robota – informuje ją półgłosem Pilson i zamyka drzwi, ignorując jej zmarszczone brwi. – To nie potrwa długo.

Caffery zna policjantów na tyle, że mógłby się założyć, że życie w domu Pilsona od wielu lat właśnie tak wygląda – robota wciąż wzywa Harry’ego, a jego żona zawsze zostaje sama w kuchni z jakimś niedokończonym zadaniem i zastanawia się, kiedy to się wreszcie skończy.

Pilson zamyka drzwi do salonu i przez kilka sekund się o nie opiera. To typowy, bardzo uporządkowany pokój – serwantka pełna kryształów i figurek, pilot telewizora wygodnie ułożony na złożonej dzisiejszej gazecie, na półce płyty DVD w porządku alfabetycznym.

– W czym mogę panu pomóc, inspektorze?

– Czy możemy porozmawiać? Ale szczerze?

– Właśnie to robimy, prawda?

– Nie, mam na myśli bardzo szczerą rozmowę. – Caffery siada przy małym stole i kładzie przed sobą teczkę z aktami sprawy. Popycha czubkiem buta krzesło naprzeciwko. Patrzy na Pilsona. – Bez lawirowania, gadania o pracy ani towarzyskich pogaduszek.

Pilson się waha. Potulnie siada, ale na jego twarzy pojawia się ledwo uchwytny grymas, który jest dla Caffery'ego sygnałem ostrzegawczym, że nie powinien przeholować. Były policjant splata ręce na piersi.

– Proszę bardzo.

– Chodzi o Isaaca Handla i zdarzenia w Upton Farm.

Wyraźnie widać, jak Pilsonowi rzednie mina. Caffery trafił w czuły punkt. Otworzył korytarz do przeszłości.

– Dlaczego akurat teraz? Minęło tyle czasu. I dlaczego zajmuje się tym MCIT?

– Możemy zatem porozmawiać czy nie?

– Tak – odpowiada Pilson. – Możemy porozmawiać.

– Na pewno znał pan tę rodzinę. Jacy byli?

– Co ma pan o nich w bazie?

– Niewiele.

Pilson bębni palcami w blat stołu, jakby rozważał dostępne możliwości.

– Okej – stwierdza w końcu. – Ale mówię panu o tym tylko dlatego, że to taka dawna sprawa. Rzeczywiście, znałem ich. Graham Handel, czyli ojciec, był głównym źródłem problemu. Miewał skoki w bok, jakby był od nich uzależniony. Nie przepuszczał żadnej okazji. A co na to jego żona? Przestała oczekiwać, że się zmieni, i poszła w jego ślady. Upadła niemal równie nisko.

– W raporcie jest mowa o tym, że mieszkańcy wioski posądzali ich o praktyki voodoo.

Pilson prycha pogardliwie.

– Nie. Louise zajmowała się tą tematyką na studiach i wypożyczała z biblioteki książki o voodoo. Ot i cała tajemnica. Wystarczy, że ktoś popełni nietypowe morderstwo, a od razu cała okolica wrze od plotek, dwa plus dwa zaczyna się równać sto.

– Proszę mi opowiedzieć wszystko po kolei od chwili, kiedy otrzymał pan zgłoszenie.

– To było dawno temu... Pamięć już mnie zawodzi.

– Na pewno pamięta pan wezwanie.

– Wszystko, co pamiętam, znajduje się w aktach.

– Czyżby?

Ton głosu Caffery’ego wywołuje nieuchwytną zmianę atmosfery w pokoju. Nagle Pilson zdaje się bardzo skoncentrowany.

– Oczywiście. Dlaczego miałyby być inaczej?

– Byłem tam. Tego gospodarstwa nie widać z drogi. Trudno mimochodem zobaczyć, że dzieje się tam coś dziwnego. Pański informator musiał więc tam zboczyć w jakimś celu.

Harry w roztargnieniu pociera czoło.

– Trudno powiedzieć, przysięgam. Minęło tyle lat, że nie potrafię sobie przypomnieć szczegółów.

Caffery potrząsa głową i otwiera teczkę.

– Wie pan co? W pana przypadku tłumaczenie się kiepską pamięcią nie brzmi zbyt przekonująco. – Znajduje w aktach raport Pilsona i wyjmuje go. – Ta notatka służbowa jest bardzo szczegółowa, wielu policjantom mogłaby służyć za przykład. Tyle że niektóre opisane detale nie mają sensu, kiedy się je skonfrontuje z innymi.

Wysuwa z folii fotografie z miejsca zbrodni i kładzie je na stole.

Pilson nagle zastyga bez ruchu. Sztywnieje. Odwraca wzrok od twarzy Grahama i Louise, leżących z szeroko rozwartymi ustami.

– Musimy to robić?

– Tak. Lubię od razu rozwiewać wątpliwości. A wiedząc, przez co pan musiał przejść, mogę sobie wyobrazić, że fakty mogły ulec pewnemu zniekształceniu. – Na sekundę zawiesza głos. – Pewne szczegóły mogły panu umknąć.

Caffery dał w ten sposób Pilsonowi szansę na rehabilitację i uratowanie reputacji. Ten jednak z niej nie korzysta. Odsuwa fotografie na drugi koniec stołu, żeby ich nie oglądać.

Caffery krzyżuje ręce na piersi i wzdycha.

– No dobrze, w takim razie wytoczmy ciężkie działa. Przyjrzyjmy się... Przyjechał pan na miejsce o osiemnastej czterdzieści pięć, dziesięć minut po przyjęciu zgłoszenia? Drzwi wejściowe były otwarte, ale nie poszedł pan do domu, tylko prosto do stodoły. Dlaczego?

- Nie pamiętam.
- Tutaj jest napisane, że zobaczył pan ślady krwi prowadzące do stodoły.
- W takim razie tak musiało być.
- Nie jest pan pewny?
- Już mówiłem, że to było dawno temu.

Caffery przygląda się Pilsonowi.

– Nie musi pan już kłamać. Porozmawiajmy o tych śladach krwi. – Znajduje fotografię przedstawiającą podwórze i stodołę. Demonstracyjnie przygląda się z bliska temu zdjęciu. – Nie widzę tu żadnych śladów krwi. A pan?

– Może na zdjęciach ich nie widać.

– Nie wspomina się o nich również w raporcie CSI. W holu na parterze jest trochę krwi, ale żeby zostawić widoczny ślad na dworze, Isaac musiałby nią dosłownie ociekać. Zresztą Graham i Louise nie żyli już od trzech godzin, do tej pory ich krew już zaschła.

– Nie pamiętam, co widziałem. Wiedziałem tylko, że był w stodole.

– Drzwi wejściowe są otwarte na oścież, a pan z jakiegoś powodu, zamiast iść do domu, kieruje swe kroki najpierw do stodoły?

Pilson nie odpowiada. Caffery próbuje innej taktyki.

– Dobrze, na potrzeby naszej dyskusji załóżmy, że coś, może niezwykła policyjna przenikliwość, każe panu wbrew wszystkim poszlakom oddalić się od domu i iść do stodoły. A tam... – Caffery znajduje odpowiedni fragment raportu i czyta: – „Wrota stodoły były otwarte. Stanąłem na progu, zajrzałem do środka i dostrzegłem Isaaca Handla na strychu na siano. Zdawało mi się, że jest cały umazany krwią”.

Caffery przesuwa kciukiem wzdłuż kartki, żeby pozostawić akta otwarte na tej stronie.

– Chce pan zmienić oświadczenie, panie Pilson?

– Co? Oczekuje pan, że po takim czasie będę pamiętał lepiej, co się stało?

– Nie, oczekuję, że opisz pan to dokładniej. Zgodnie z prawdą. Dopiero co byłem w tej stodole. Ciemno tam.

Z progu w ogóle nie widać strychu, trzeba wejść dobre dwa metry do środka, a nawet stamtąd trzeba się porządnie wychylić, żeby go zobaczyć.

Pilson potrząsa głową, ale już nie wygląda jak emerytowany policjant, tylko jak człowiek przyłapany na kłamstwie, który nie chce się do tego przyznać.

– W porządku – mówi Caffery. – Na pewno zastanawia pana, jak duże ma pan kłopoty. Może zatem zaspokoję pańską ciekawość. Próbuje pan kogoś chronić. Jeszcze nie wiem kogo, ale się dowiem. Jasne? – Milczy przez kilka sekund, żeby jego słowa wywarły pożądany efekt. – A kiedy się dowiem, wrócę do pana z zarzutem utrudniania śledztwa. Jeżeli zaś Handel popełni kolejne przestępstwo, będzie pan współwinny.

Na twarzy Pilsona pojawia się na chwilę niepokój.

– Handel nie może popełnić żadnego przestępstwa. Siedzi. Jest w zakładzie zamkniętym.

– To prawda. W zakładzie zamkniętym, w którym co pół roku, czy pacjent tego chce, czy nie, zbiera się konsylium lekarsko-sądowe decydujące o zwolnieniach pacjentów. I właśnie tym razem... Ta-dam! – Wykonuje dłonią zamaszty gest niczym magik. – Zwolniono Isaaca Handla. Domyślam się, że właśnie temu służą ich skomplikowane procedury: zapewnieniu miejsc w szpitalu jedynie tym, którzy absolutnie powinni się leczyć. A ci, którzy nie muszą, wracają do domu.

Pilson zamyka usta. Niemal słyhać, jak dzwonią mu zęby.

– Wypuścili go??? Jest pan pewny...? Nie powinni nas informować, kiedy zwalniają kogoś takiego, jak on?

– Zgodnie z protokołem poinformowali naszą komendę. Cóż, osoby, które były najbardziej zaangażowane, między innymi pan, są już na emeryturze. Zresztą, czym tu się przejmować? Lekarze twierdzą, że jego stan umysłowy jest stabilny. Konsylium uznało, że można go bezpiecznie przywrócić społeczeństwu.

Na skroni Pilsona widać pulsujące żyły. Były policjant zerka w kierunku kuchni, gdzie krząta się jego żona.

– Mam jej powiedzieć, żeby zamknęła wszystkie drzwi? – pyta Caffery. – Czy dzięki temu czuje się pan bezpieczniej?

– Oni nie mają pojęcia, kogo wypuścili na wolność.

– Ale pan wie. Kto zgłosił morderstwo? Kogo pan chroni?

Przez pół minuty Pilson się nie odzywa, tylko głęboko oddycha, potrząsając od czasu do czasu głową. Podchodzi do stołu i drżącymi palcami odwraca fotografie z miejsca zbrodni wizerunkami w dół.

– Moją siostrę – mówi zbolalym głosem. – Chronię Penny.

Stara przędzalnia

To, co mówi Pilson, jest stare jak świat i niestety Caffery zna takie historie na wylot – przez wszystkie lata, które przepracował w policji, słyszał niezliczone opowieści o zdradach małżeńskich. We wszystkich wariantach i ze wszystkimi możliwymi zwrotami akcji. Mimo to trudno nie współczuć temu facetowi. Im dłużej mówi, tym lepiej Caffery rozumie, dlaczego ukrywał prawdę.

Piętnaście lat temu siostra Pilsona Penny – w tamtych czasach kobieta zamężna – miała romans z Grahamem Handlem, ojcem Isaaca. W dniu morderstwa poszła do jego domu, żeby się z nim spotkać. Chciała zakończyć ten związek. Kiedy dotarła na miejsce, Graham Handel i jego żona nie żyli już od kilku godzin.

Penny wiedziała, że powinna to zgłosić, ale nie miała alibi przed swoim mężem, które tłumaczyłoby jej obecność w tej okolicy. Harry zgodził się więc zataić jej udział w sprawie. Razem wymyślili rozmowę telefoniczną, nieistniejącą kobietę, fałszywe nazwisko i adres.

– Oddaliła się ode mnie – mówi Harry. – Albo ja od niej. Sądzę, że do dzisiaj jej wstyd. To nie był najlepszy okres w jej życiu. Pozdrowi ją pan ode mnie, kiedy pojedzie pan do niej? Proszę jej powiedzieć, że wciąż o niej myślę. Niech ją pan zapyta, co słyhać u jej kundla.

Penny rozwiodła się z mężem, bo chciała go chronić, i mieszka w ostatnim domu na skraju wsi. W dawnym budynku przędzalni. Harry wytłumaczył Caffery'emu, że to dom z trawą rosnącą na dachu, więc mimo ciemności łatwo go znaleźć – wygląda tak, jakby na starych glinianych dachówkach utworzyła się zielona piana. Okna zdobią okiennice w szwajcarskim stylu, z wyciętymi w środku sercami, a nad gankiem wisi ręcznie rzeźbiony szyld – FORAGER'S FAYRE,

DOMOWE PRZETWORY.

Caffery musi głośno pukać, żeby go wpuszczono. Kiedy drzwi się otwierają, widzi, że Penny jest zupełnie niepodobna do brata. Przede wszystkim jest o wiele młodsza – może mieć czterdzieści kilka lat – i bardzo ładna. Ma mocno umalowane oczy i farbowane henną, jasne, obcięte na pazia włosy. Na jej twarzy pojawia się dyskretny, pytający uśmiech.

– Tak?

– Penny Pilson?

– To ja.

Caffery pokazuje jej legitymację policyjną.

– Ma pani chwilę? Muszę zadać pani kilka rutynowych pytań.

Uśmiech na chwilę gaśnie, ale Penny nie wnika, o jakie rutynowe pytania chodzi. Przytrzymuje drzwi i wpuszcza go do środka. Sień jest wąska, ma ściany z kamienia oraz kamienną podłogę – przez kilkaset lat użytkowania stopy mieszkańców i robotników wyłobily w niej dwie równoległe koleiny. Penny przyzywa gestem Caffery’ego, żeby wskazać mu drogę, i rusza korytarzem. Jest drobna i zmysłowa. Nosi kaskadę luźnych bransoletek, wytarte jeansy i ozdobione koralikami rzemieńne sandały na wąskich stopach – gołych pomimo zimna.

To dom o wysokich stropach – ma kamienne ściany, ale stojący pośrodku piecyk na drewniane szczapy dobrze go ogrzewa. Pod jedną ścianą widać urządzenia rodem z kuchni przemysłowych. Ogromne kotły pyrkają na wielkim palniku ze stali nierdzewnej, wypełniając powietrze zapachem smażonych owoców. W kącie leżą piramidy świeżo zebranych jabłek, a na solidnym drewnianym stole po przeciwnej stronie stoją przewiązane sznurkiem konopnym albo rafią słoiki z ręcznie opisanymi etykietami. Wzdłuż wszystkich ścian ciągną się rzędy półek pełnych takich samych weków.

Penny włącza lampę pod sufitem i zdejmuje z krzesła stertę papierów, żeby zrobić miejsce dla Caffery’ego.

– Herbaty? Kawy? Czegoś mocniejszego?

Caffery się uśmiecha.

– Napiliłbym się szkockiej, ale w tych okolicznościach...

– Robię doskonałą śliwowicę. Należę panu.

Caffery odchyła się na krzesło i wyciąga szyję, obserwując, jak kobieta krząta się w kuchni.

– Wygląda na to, że jest pani bardzo złą kobietą. Gdybym był alkoholikiem, a w jakimś stopniu pewno jestem, to śmiało mógłbym panią nazwać osobą współuzależnioną albo namawiaczką. Pominę milczeniem fakt, że przyjechałem samochodem...

– Należę bardzo mało. Tylko na spróbowanie. Żeby rozbudzić w panu ochotę na więcej.

Caffery kręci głową. Takie kobiety najczęściej wpędzają mężczyzn w kłopoty. Są pragmatyczne i ponętne. Ta zdecydowanie wie, jak rozbudzić zmysły. Widać, że Graham Handel nie stłamsił jej uroku. Napełnia kieliszek rubinowym napojem. Kiedy odbija się w nim refleks światła, Caffery'emu przychodzi na myśl, że Boże Narodzenie już za pasem. Wącha alkohol i wypija. Czuje smak stu różnych owoców, stu różnych przypraw.

– Forager's Fayre? Jak to się stało, że nigdy przedtem nie słyszałem tej nazwy?

– Nie wiem. Witamy wśród dzikusów w nieokrzesanym, zapadłym Gloucestershire. O naszym zacofaniu świadczy mój strój. Wszystkie owoce, które pan tu widzi, sama nabierałam. Albo przynieśli je znajomi. Ludziom po prostu nie chce się po nie schylać. Zauważył pan?

– Coś w tym jest.

– Wszyscy wolą chodzić do supermarketu i kupować rzeczy hodowane tysiące mil stąd niż jeść to, co rośnie w ich ogródkach. No i niech ich pan zrozumie. Wie pan, który z moich przetworów najlepiej się sprzedaje?

– Od samego początku chciałem panią o to zapytać.

– Dżem z rajskich jabłek z parkingu za kościołem.

– Z parkingu?

– Tak. – Sięga na półkę i zdejmuje z niej słoik. – Przy kościelnym parkingu w Wotton stoi dziesięć jabłoni, z których co roku we wrześniu spadają jabłka. Jak pan myśli, co diecezja robiła z owocami? Na pewno ani razu nie wysłała nikogo, żeby je wybierał. Co to, to nie. Księża woleli odgrodzić tę część

parkingu, żeby nikt tam nie stawiał samochodów. Nie chcieli, żeby ich wierni skarżyli się na zabrudzony lakier. Proszę...

Podchodzi do stołu i otwiera dla niego słoiczek. Rozlega się cichy syk zasysanego powietrza. Caffery pochyla się, żeby powąchać.

– Mm.

– Smakuje jeszcze lepiej. Proszę, to dla pana.

– Dziękuję. – Caffery bierze słoik, zakręca go i stawia przed sobą na stole. Potem krzyżuje ręce na piersiach. – A teraz już chyba powinniśmy porozmawiać.

– Naprawdę musimy?

– Musimy. Chociaż robi pani wszystko, żeby tego uniknąć.

Penny uśmiecha się pośpiesznie.

– A jak pan by się zachował na moim miejscu, gdyby ni stąd, ni zowąd zapukał do pana policjant? Od razu można się domyślić, że przynosi pan jakieś złe wieści. Jedyna osoba, która przychodzi mi na myśl, to Harry, a ja wolałabym nie...

– Harry’emu nic się nie stało. Kazał mi panią pozdrowić.

Penny lekko marszczy brwi.

– Nie chodzi o Harry’ego?

– On mnie tu przysłał. Ale nic mu nie jest.

Po chwili milczenia Penny siada przy stole i patrzy Caffery’emu w oczy.

– No dobrze. W takim razie w jakiej sprawie pan przyszedł?

– W sprawie Upton Farm. Harry powiedział mi prawdę.

Tym razem Penny długo milczy, wpatrując się w twarz Caffery’ego. Potem potrząsa głową.

– Niech mi pan zatem powie, czy mam się obawiać kłopotów. Od tamtej pory minęło wiele lat. Ponadto nie wiem, jak nasze zachowanie mogło utrudnić pracę policji. Przecież sama zgłosiłam zajście i...

Nie kończy zdania. Caffery kręci głową.

– Nie chodzi o to, co wtedy zrobiliście, tylko o to, co dzieje się obecnie. O Isaaca.

– O Isaaca? Co mu się stało?

– Jest na wolności.

Ta informacja kompletnie wytrąca Penny z równowagi. Twarz

jej blednie. Rozchyła usta, ale nic nie mówi. Stojący w kącie zegar głośno odmierza sekundy, jakby podkreślał fakt, że nagle czas zaczął płynąć wolniej. W końcu Penny pochyła się nad stołem, opierając łokcie o blat.

– Na wolności? Naprawdę?

– Naprawdę.

– Okej, okej... Okej. – Penny mocno ścisną palcami nos. – To jakieś szaleństwo. Dopiero co dzisiaj rano o nim myślałam... A pan mówi, że jest wolny? Jak to się stało? Uciekł?

– Nie. Stał przed konsylium lekarsko-sądowym i został zwolniony. Uznano, że rehabilitacja była skuteczna.

– Skuteczna? Nie... O nie. Kogoś takiego jak on nie da się... – Nie kończy zdania. – Dokąd go wypuszczono?

Caffery nie odpowiada.

– Chyba nie tutaj? Żartuje pan, prawda?

– Potrzebna mi pani pomoc, muszę poznać wszystkie szczegóły. Próbuję sobie stworzyć psychologiczny portret Isaaca. Jakie rzeczy go fascynowały? Czym się interesował?

– Dlaczego?

– Bo dzięki temu łatwiej mi będzie namierzyć miejsca, do których może się udać.

– Zgubiliście go, prawda? Straciliście go z oczu.

– Nie przyszedłem pani straszyć... Nic nie wskazuje na to, że jest niebezpieczny. Po prostu próbuję się zorientować, jakim jest człowiekiem. Proszę mi opowiedzieć, co się wtedy stało.

Penny, szurając, odsuwa krzesło. Przez jakiś czas stoi, w roztargnieniu skubie guziki swetra i nerwowo rozgląda się po kuchni. Podchodzi do okien, za którymi widać dolinę. W gasnącym świetle drzewa na przeciwległym zboczu nabrały fioletowych barw. Penny otwiera okno i kompletnie nieruchoma patrzy przez chwilę w kierunku Upton Farm.

Potem zamyka okiennice. Zasuwa skoble. Podchodzi do drugiego okna i tam też powtarza tę czynność. To samo przy następnym. Obchodzi całą kuchnię i wszędzie szczelnie zamyka okna. Wychodzi do bocznego pomieszczenia, gdzie Caffery widzi stertę owoców, i po chwili dobiega stamtąd szcęk ryglowanych na wszystkie zamki drzwi. W końcu Penny

przechodzi przez salon do drzwi wejściowych, które też zabezpiecza.

– Jezu. – Bierze kieliszek i wraca do stołu. Siada, nalewa sobie śliwowicy i wypija duszkiem. Od razu szykuje jeszcze jedną kolejkę. Pociera oczy i z wyraźnym wysiłkiem próbuje się uspokoić. – Przepraszam. Chyba sobie na to zasłużyłam. Gdyby Harry umieścił w raporcie moje nazwisko, gdybyśmy byli szczerzy, ostrzeżono by mnie, prawda?

– Prawdopodobnie tak.

– Na domiar złego właśnie zmarła moja ukochana suczka. Jak widać, nieszczęścia chodzą parami. Sama jestem sobie winna. Wiem, sama jestem sobie winna.

Caffery patrzy na nią, kiedy kobieta wypija kolejną wódkę. Widzi, że kolory wracają jej na twarz.

– Drugiego listopada – mówi nagle Penny. – Wtedy się to stało. To był okropny listopad, zły rok dla zbiorów. Mieliśmy mokre lato i niektóre drzewa w ogóle nie owocowały. Pamiętam, jak się martwiłam, że zwierzętom w lesie, ptakom i wiewiórkom, zabraknie jedzenia. Dopiero rozkręcałam biznes, więc tym też się przejmowałam. Poza tym próbowałam wymyślić, jak zakończyć znajomość z Grahamem. Okazało się, że to była ostatnia rzecz, którą powinnam zaprzętać sobie głowę. Później powiedziano mi, że Isaac spędził trzy godziny przy ciałach. Robił im różne rzeczy. Myślę, że gdybym tam nie przyszła, dalej by się nad nimi znęcał.

Caffery potakuje w milczeniu głową.

– Słyszała pani o pułapce, którą zastawił, prawda?

Penny unosi głowę.

– O środkach wybuchowych? Tak. Podobno zastawił ją na osoby, które pierwsze dotarły na miejsce, ale Isaac zwierzył się Harry’emu, że zamierzał zdalnie podpalić ciała. Wszystkie okropności, których się dopuścił na ciałach rodziców, były dla niego do zniesienia, ale nie chciał patrzeć, jak płoną. Zmontował jakiś przyrząd, który miał wywołać pożar. Zawsze miał smykałkę do spraw technicznych, elektroniki i tego rodzaju rzeczy. Urodził się z tym.

Caffery odkaśluje. Miał smykałkę do elektroniki?

– I co teraz? – pyta Penny.

– Właśnie o to przyszedłem zapytać. Co się teraz stanie pani zdaniem?

Przez otwory w kształcie serc w okiennicach wpada strumień światła reflektorów i prześlizguje się po rzędach szklanych słoików z kolorowymi przetworami. Miody rozbłyskują złotem, dzemy z czarnej porzeczki – głęboką barwą ametystów. Penny kilka razy stuka stopą o podłogę. Wygląda, jakby się zastanawiała, czy mówić dalej. Kiedy znowu się odzywa, jej głos jest o pół tonu cichszy, brzmi tak, jakby zdradzała jakiś sekret.

– Będzie się włóczył po dziczy, żył jak zwierzę. Ale wkrótce wróci. Czuje nienawiść do świata, naprawdę szczerą nienawiść. Cały czas pojawiały się znaki ostrzegawcze. Gdybym tylko potrafiła je odczytać, mogłam przewidzieć, co zamierza zrobić.

– To znaczy?

– Jego ludziki. Te, które wyobrażały jego mamę i tatę. Zaszył im oczy. Powinnam była się domyślić.

– Przepraszam? Jego co?

– Ludziki. Lalki. Nie wie pan o jego ludzikach?

– Wiem. Tyle że nigdy nie słyszałem, żeby ktoś je nazywał...

– Trzymał je, kiedy wyszedł z domu. Po jednej w każdej ręce. Wiedziałałam, co zrobił, już po samym sposobie, w jaki je niósł. Miały zaszyte oczy. – Penny uśmiecha się pobłaźliwie do Caffery’ego, jakby był niedouczony. – Nie wie pan, do czego służą mu ludziki? Nie wie pan, dlaczego Isaac szyje te lalki?

Thom Marley

Oddział kulących się z powodu zimna i wilgoci płetwonurków spędził cały dzień na poszukiwaniach i zrządzeniu. Przeczesali szeroki pas terenu – Flea ociężale snuła się razem z nimi od żywopłotu do żywopłotu, od pola do pola, chociaż zdawało jej się, że zamiast ciała ma jedynie pustą skorupę. To były najdłuższe dwa dni, odkąd sięga pamięcią. Nie udało jej się odzyskać siły po całonocnym nurkowaniu, bo rano poszła prosto do pracy – marzy jedynie o tym, by zasnąć. Jednak bez względu na to, co i gdzie się dzieje, zawsze trzeba iść ramię w ramię ze swoimi kolegami.

Jack Caffery, który – jakkolwiek by na to patrzeć – jest śledczym prowadzącym tę sprawę, ani razu nie zaszczycił ich obecnością na miejscu poszukiwań. No bo po co właściwie miałby przyjeżdżać? – próbuje tłumaczyć sobie Flea. Przecież wie, że i tak nic nie znajdą, nie będzie żadnych nowych dowodów. Może to i lepiej, przynajmniej ma czas zastanowić się nad tym, co chce mu powiedzieć.

O siedemnastej zaczyna się ściemniać, a cała ekipa jest zziębnięta i wykończona. Flea zwołuje funkcjonariuszy, żeby się rozgrzali, częstuje ich gorącą czekoladą, którą trzyma w wielkim termosie na tylnym siedzeniu, i ciastkami z supermarketu przesypanymi do plastikowego pojemnika. Oświadczą, że gdyby to zależało od niej, wprowadziłyby zasadę, że członkom zespołu nie płaci się za godziny pracy, tylko na podstawie trudności zadań i ich szkodliwego wpływu na morale. Wokół nich na doraźnym postoju panuje chaos – oddziały wspomagające pakują się i rozjeżdżają na noc. Stary ford mondeo niemal umyka uwadze Flea. Samochód zjeżdża z szosy i zatrzymuje się w najdalszym kącie parkingu. Po chwili jednak dwie duże furgonetki policyjne ruszają w drogę i go odsłaniają.

Jack Caffery. W końcu. Flea odprawia furgonetkę z zespołem do domu, a gdy jest już pewna, że oddalili się na bezpieczną odległość, podchodzi do forda. Caffery opuszcza szybę.

– Cześć. Jak się czujesz?

– W porządku.

– Chcesz porozmawiać?

Flea wzrusza ramionami i podchodzi do drzwi od strony pasażera. Kilka razy pociąga za klamkę. Caffery odblokowuje zamek i Flea wsiada. Po dniu spędzonym na polach – gdzie musiała udawać, że próbuje znaleźć Misty – z zimna boli ją całe ciało, a w samochodzie nie jest aż tak ciepło, jak się spodziewała. Ten model nie należy do najbardziej komfortowych i wygodnych, jej oddech zaś sprawia, że wnętrze od razu zaparowuje. Caffery wciąż nosi ubranie służbowe, na które narzucił grubą sztruksową kurtkę. Zwrócił się w kierunku Flei i cierpliwie czeka na to, co powie.

– Tak. – Flea zapina pasy. Wskazuje ruchem głowy, żeby ruszał. – Możemy się przejechać?

Caffery nie protestuje. Uruchamia silnik i wyjeżdża z parkingu.

– Skręć w prawo. Dalej przez Monkton Farleigh.

Caffery posłusznie spełnia polecenia. Flea siedzi z łokciem wbitym w tapicerkę na drzwiach, podpira pięścią czoło. Wieczorny krajobraz szybko przesuwa się za oknem, kolejne kilometry asfaltu znikają pod kołami samochodu.

– Przy głównej drodze skręć w prawo. Jedź w kierunku Bath.

Caffery zachowuje milczenie i robi to, co każe Flea. Ta dyskretnie zerka w bok na jego rękę i dłoń na drążku zmiany biegów. Już nie pierwszy raz patrzy na jego dłonie. Są twarde, lekko opalone, bez żadnych ozdób. Nigdy nie widziała, żeby nosił na palcu obrączkę. Nie ma na nim nawet jaśniejszego śladu po obrączce, która znajdowała się tam w poprzednim życiu.

– Okej – mówi, kiedy wjeżdżają na główną drogę i przyspieszają. – Naprawdę chciałam porozmawiać. Nie przyjeżdżałeś na miejsce poszukiwań, więc pomyślałam, żeby do ciebie zatelefonować. Naprawdę. Nie wiedziałam tylko, od

czego zacząć.

– Teraz też jest dobry moment.

– Przede wszystkim przepraszam za wczoraj. Nie chciałam zachować się tak grubiańsko.

Caffery uśmiecha się niewesoło. Zmienia bieg.

– Rozumiem. To raczej nie była luźna pogawędka przy kawie.

– Na pewno nie.

– Ja też mogłem rozegrać to lepiej. Nie musiałem od razu walić z grubej rury.

Flea odwraca wzrok – patrzy na drogę, bo wie, że Caffery będzie próbował zobaczyć jej minę.

– Zanim ocenisz, czy to źle, że ci odmówiłam, muszę ci opowiedzieć o kilku rzeczach, które zdarzyły się po zgłoszeniu, że Misty... – Milknie w pół zdania i zaczyna od nowa: – Po śmierci Misty.

– O jakich faktach?

– Przekonasz się, że to, co zrobiłam, było najlepszym wyjściem z sytuacji. Nie mogłam postąpić inaczej. To nie takie proste, jak myślisz.

– Zobaczymy.

Flea bierze długi, głęboki wdech. Opiera się wygodniej na fotelu. Wolalaby nie przeżywać tego jeszcze raz. To nic przyjemnego.

– Dobrze – zaczyna. – Wyobraź sobie, że jest późna wiosna. Tutaj... na tej samej drodze, ale przed osiemnastoma miesiącami. Thom pożyczył ode mnie samochód. Jest jedenasta w nocy, a on sporo wypił i... No, oboje wiemy, co zdarzyło się na tamtej drodze. Przyjeżdża tutaj, tak jak my, tyle że jest wstawiony i zasuwają jak wariat, bo w bagażniku wiezie makabryczny ładunek. Coś, czego nie powinien... Wiesz, o czym mówię. Za zakrętem na tym skrzyżowaniu ktoś zaczyna mu siedzieć na ogonie...

– Radiowóz?

– Tak. Jeden z naszych. Duma hrabstw Avon i Somerset, tak się składa, że oboje go znamy, ale to inna historia. Tutaj w lewo.

Caffery skręca w lewo i dalej jadą krętą drogą wzdłuż doliny

oddalającej się od stromej ściany skał.

– Przyjeżdża tu z glinami na karku, a ja siedzę akurat w domu... Zaraz tam będziemy, zobaczysz. Widzę reflektory, słyszę hałas i po chwili do domu wtacza się Thom, tak zalany, że od razu idzie do toalety, żeby zwymiotować. Płacze. Potem, kilka minut po nim, puka do drzwi policjant. Podjęłam decyzję w mgnieniu oka, nie miałam nawet czasu, żeby pomyśleć, co się dalej stanie i jakie będą konsekwencje. – Flea milknie na chwilę, wiedząc, że następna rewelacja zabrzmiała jak dowód, że straciła rozum. – W każdym razie powiedziałam policjantowi, że to ja prowadziłam.

– Co powiedziałaś!?! – Caffery patrzy na nią, a ona nie dość szybko odwraca głowę. – Powtórz, bo chyba się przesłyszałem.

– Dmuchiłam też zamiast Thoma w balonik.

– Co ty, do...

– Wiem, wiem... – Flea zmęczonym gestem masuje skronie. – Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, co się stało. Nie miałam pojęcia, że Misty jest w bagażniku. Odkryłam to dopiero po czterech dniach. Jeździłam z nią przez cztery dni, zanim ją znalazłam! Widzisz, jakim gnojem jest mój braciszek? Zabrał ciało z miejsca wypadku, podrzucił mi je do samochodu i nawet nic mi nie powiedział. Zrobił mi niespodziankę. Rano, jakby nigdy nic, znikł. Od tamtej pory nie mogłam się z nim skontaktować, nie odbierał telefonów. Musiałam się zacząć pod jego domem, żeby w ogóle wyciągnąć z niego jakieś informacje.

Caffery potrząsa głową i wydaje przeciągły gwizd.

– A mimo to go chronisz?

– Teraz już nie chronię jego, tylko siebie. Przed nim i tą punkową suką, jego laską. Oboje tak wszystko zaaranżowali, żeby podejrzenia padły na mnie... – Flea pociera ramiona. Zdaje sobie sprawę z tego, że cała się trzęsie. Na czoło wystąpił jej pot. – Przez nich poszlaki wskazują, że to ja wszystko uknułam. Skręć tutaj w prawo. Jesteśmy na miejscu. To mój dom.

Przysięga

CB musi skłamać, kiedy Melanie go pyta, gdzie był rano. Mówi, że Patience zatelefonowała – Stewart nie dawał jej spokoju, chciał wyjść na spacer. Patience bolała głowa, więc CB musiał pojechać do domu i go wyprowadzić, bo jego psu ostatnio odbija szajba, nie można go po prostu wypuścić, ponieważ zaraz ucieknie do lasu. CB nienawidzi się za to kłamstwo, niemal sam podważa jego wiarygodność, wypowiada je przez zaciśnięte zęby, ale brak mu odwagi, żeby wyjawić Melanie, co naprawdę zrobił. Ogarnia go panika, kiedy myśli, że wkrótce zadzwoni telefon i z drugiego końca linii dobiegnie głos Caffery’ego: „Muszę złożyć pani wizytę w Beechway”.

Do tej pory będzie już gotowy. Obiecał to sobie. Wy tłumaczy wszystko Melanie, a ta zrozumie jego motywy. Zrozumie, bo w końcu musi zacząć myśleć logicznie. CB stoi w męskiej toalecie, patrzy na swoje odbicie w lustrze i powtarza sobie:

– CB, wkrótce nadejdzie właściwy moment, żeby jej to powiedzieć. Przysięgnij, że to zrobisz. Przysięgasz? Przysięgam. Na życie Stewarta, przysięgam.

O piątej po południu kończy układać harmonogram i nadgodziny, upewnia się, czy dostał wszystkie raporty z konsultacji w sprawie przebiegu terapii, i na dzisiaj kończy pracę. Dosyć zostawania na noc w szpitalu. Zamyka gabinet na klucz i wraca do domu. Melanie musi przygotować sprawozdanie z prac komisji, więc dołączy do niego później.

Patience przez cały dzień szykowała kolejny trudny test na „śniadanie” – tradycyjne angielskie *kedgeree* z jajkami, szczypiorkiem i kolendrą. Kiedy CB wchodzi sam do domu, na jej twarzy pojawia się wielkie rozczarowanie.

– Och, Patience, nie każ jej znowu tego robić. Już zdała egzamin.

– Dziewczyna musi coś jeść.

– Przez ciebie się rozchoruje.

Patience zaciska usta i wraca do kuchennej krzątaniny – szykuje kubek kawy ze śmietanką i ketchup do *kedgeree*. Stołując się od tyłu lat w jej kuchni, CB powinien być gruby jak beczka.

– Wyprałam twoje rzeczy. Gdybyś chciał mi za to podziękować, to wiszą wyprasowane w twojej garderobie.

– Dziękuję, Patience.

– Aha, zanim zaczniesz się zastanawiać... – Nakłada mu na talerz wielką chochlę ciemnożółtego ryżu z rybą. – Odwiedził nas dzisiaj święty patron dobrego stylu. Wiatr porwał twoją hawajską koszulę.

– Co?

– Suszyła się na sznurze. Zniknęła.

– Patience – CB przyjmuje ostrzegawczy ton. – To była moja ulubiona koszula.

– Wiem. Ale mówię prawdę. Przypięłam ją klamerkami, tak samo jak inne rzeczy. To na pewno wiatr. Widać, że ma lepszy gust niż niektórzy z nas.

Odwraca się i cmoka nad konfiturą, która smaży się na patelniach. Unosi wszystkie pokrywki i zagląda do środka w gęstych kłębach pary. CB wzdycha i bierze do rąk nóż i widelec. Kiedy Patience kończy swoje zabiegi przy przetworach, wszystkie okna są zaparowane, a CB dojada resztki swojej porcji. Patience zabiera mu talerz sprzed nosa, idzie do pieca i powtórnie nakłada wielką porcję.

– Uważaj – mówi CB – bo nie wystarczy dla Melanie.

– Zobaczmy – odpowiada kwaśno Patience. – Zobaczmy.

CB mruży oczy i długo, z namysłem się jej przygląda, zachodząc w głowę, co ją ugryzło. Chyba wie. Sięga po ketchup i wyciska trochę na brzeg talerza.

– I co sądzisz? – pyta, nonszalancko zamykając z powrotem plastikową butelkę.

– Co sądzę o czym? Co sądzę o twojej hawajskiej koszuli? Znasz odpowiedź. Co sądzę o twojej pracy? Znasz odpowiedź. Co sądzę o tym, jak rozpuszczasz twojego psa? Znasz odpowiedź.

– A ty doskonale wiesz, o co pytam.

Z głębi gardła Patience wydobywa się odgłos, który może wyrażać jedynie dezaprobatę. Odstawia garnek z *kedgeree* na płytę pieca i hałaśliwie zamyka go ciężką pokrywką.

– No? Powiedz to, wyrzuc to z siebie.

– Podoba mi się, że je – mówi powściągliwie Patience. – Przynajmniej je jak normalny człowiek.

– A poza tym co o niej sądzisz?

Patience nie odpowiada. Nakłada rękawicę kuchenną i pochyła się przy piekarniku, żeby zerknąć na słoiki, które się w nim sterylizują.

– Patience? Zadałem ci pytanie.

Ta zatrząskuje drzwiczki piekarnika.

– Słyszałam twoje pytanie. Słyszałam.

– I co?

– Martwię się. – Wyciera ręce w ściereczkę i rzuca ją na stół.

– Jeżeli zależy ci na szczerej opinii, to myślę, że tym razem jest inaczej.

– Inaczej?

– Tak. Pierwszy raz widzę, że mój siostrzeniec zachowuje się jak dorosły mężczyzna, a nie jak dwunastolatek, który dopiero co odkrył, do czego służy siusiak.

– Czy to źle? – CB odkłada nóż i widelec. – To źle, że w końcu kogoś traktuję poważnie?

– Hej – mówi spokojnie Patience. Siada naprzeciw niego i patrzy łagodnymi brązowymi oczami. – Nie wiesz, kim jesteś. Naprawdę nie wiesz. Nie zdajesz sobie sprawy, jak ważny dla mnie jesteś. Nigdy nie miałam własnych dzieci, i dzięki Bogu, bo wyrosłyby na dzikusów. Ale wiele lat przed śmiercią Dolly, kiedy ty byłeś zasmarkanym bobasem niewiele większym od landrynki i tak brzydkim, że od patrzenia na ciebie bolały oczy, przysięgłyśmy sobie z nią, że jeżeli jedna z nas odejdzie pierwsza, to druga zajmie się twoim wychowaniem. To ona wydała cię na świat, ale tak naprawdę miałeś dwie matki. Może żadna z nas nie była idealna, ale myślę, że razem całkiem nieźle wykonałyśmy zadanie.

– I?

Patience uśmiecha się, co jest doprawdy rzadkim widokiem. Jej zęby wydają się bielsze niż mleko, a gdy w jej oczach pojawia się błysk, jest najładniejszą kobietą na świecie.

– Jestem niedźwiedzicą, mój mały. I kiedy widzę, że mój misiek po raz pierwszy szczerze wyciągnął do kogoś serce na dłoni, chcę być pewna, że zostanie odpowiednio potraktowany i że jego wybranka nie ma podejrzanych zamiarów.

Kartony

Po wizycie u Penny Pilson Caffery pojechał prosto na miejsce poszukiwań. Przez całą drogę torba z lalkami Handla objęła się o ostre krawędzie w bagażniku, szeleszcząc. Znając przeznaczenie tych lalek i wiedząc, co znaczą dla Handla, nie mógł przestać o nich myśleć. Miał ochotę zatrzymać się i otworzyć bagażnik – przynajmniej po to, żeby sprawdzić, czy te cholerstwa nie wypełzły z torby. Potem jednak Flea wsiadła do samochodu i zapomniał o Isaacu Handlu, a jego myśli znowu zaczęła zaprzętać Misty.

Stanęli w miejscu znajdującym się na północny wschód od Bath. Flea wskazuje mu zwirowy plac, gdzie może zaparkować. Przed nimi stoi wiejska chata. Jest wąska i niska, ma tylko dwa piętra, ale prawie dwadzieścia metrów długości. Pod kątem prostym przylega do niej tworzący drugą ścianę podwórza duży budynek z gołych cegieł, zwieńczony rzędem kominów, które zasłaniają nocne niebo. W oknach – umieszczonych wysoko, jakby to było więzienie – palą się światła.

– Tam mieszkają sąsiedzi. – Flea wskazuje ręką ten dom. – A tu... – Zwraca się w kierunku pochylonej chaty, którą oświetla jedynie stara, omszała latarnia. – Tu mieszkam ja.

Wysiada z forda, zarzuca na plecy torbę ze sprzętem do nurkowania i idzie do drzwi. Caffery stoi koło samochodu i obserwuje otoczenie. W blasku księżyca widać ogród – wygląda na bardzo rozległy i zapuszczony. Wszędzie rośnie zielsko, tu i ówdzie widać nieudane próby wprowadzenia ładu, który jednak przegrał z dziką roślinnością. Rabaty różane rozpełzły się na trawniki, które zmieniły się w dziewicze łąki i zostały pokonane przez deszcz i mróz. Tam, gdzie kiedyś zapewne znajdowały się eleganckie skalne platformy, teraz z mroku wyłaniają się zdeformowane wertepy rodem z dżungli.

Zrywa się wiatr – przewiewa Caffery’ego na wskroś. W tej okolicy jesień atakuje szczególnie wściekle. Caffery szczelnie otula się kurtką i idzie za Fleą.

Ta zrzuca sprzęt przed drzwiami i zdejmuje buty, pomagając sobie skrobaczką do kaloszy.

– Wejź – mówi. – Wejź do środka.

Caffery rozwiązuje na stojąco sznurowadła butów i rozgląda się dokoła. Dom jest długi, zaniedbany i panuje w nim nie mniejszy bałagan niż u niego. Wzdłuż całego korytarza stoją nierozpakowane kartony. Ale mimo to panuje tu domowa atmosfera, której Caffery nigdy nie poczuł w swoim obcym, nielubianym przez siebie domu. Wszędzie unosi się ledwo wyczuwalny zapach ognia. Caffery patrzy w głąb korytarza prowadzącego w lewo – widzi nierówną podłogę i suszone kwiaty w ozdobionych kratką oknach. Zwraca się w prawo, tam, gdzie zniknęła Flea. Z tej strony na malowanej tablicy z wieszakami wiszą kurtki i płaszcze.

Doszło do tego w tym miejscu. To tutaj Flea wzięła na siebie odpowiedzialność za wypadek brata. Caffery stawia buty pod ścianą i rusza w ślad za nią. W każdym zakamarku stoją kartony – sterty zaklejonych taśmą pudeł. Flea parzy kawę w kuchni. Zdjęła kurtkę i bluzę, została w czarnych bojówkach i w koszulce polo z naszytym na piersi identyfikatorem oddziału poszukiwań podwodnych. Luźno związała jasne włosy. Ręce ma usiane zadrapaniami i otarciami po dzisiejszych poszukiwaniach. Napełniając czajnik, musi omijać zaklejony karton pod nogami.

– Co tu się dzieje? Przeprowadzasz się?

– Nie w takim sensie, o jakim myślisz.

– Oho, jaka tajemnicza.

– No, tajemnicza.

Flea tłucze się po kuchni, trzaskając i robiąc dużo hałasu, kiedy wyjmuje rzeczy z szafek. Zamaszyście stawia na stole filiżanki, kładzie łyżeczki i cukier.

– To twój rodzinny dom? – pyta Caffery. – Wychowałaś się tutaj?

– Mleko? Cukier?

– Tak, jedno i drugie. Dzięki. Na pewno przyjemnie było dorastać w takim domu.

Flea nieruchomieje z czajnikiem uniesionym nad filiżanką, a Caffery nagle rozumie swój błąd. Jej rodzice. Ależ z niego idiota.

– Przepraszam – mamrocze. – Przepraszam.

Flea zalewa kawę wrzątkiem, dodaje mleka, szybko miesza i podaje mu filiżankę.

– Weź ją ze sobą. Pokażę ci, co musiałam zrobić.

Idą kolejnym wąskim korytarzem – Caffery’emu przychodzi na myśl, że cały dom przypomina labirynt ciasnych średniowiecznych przejść – aż docierają do drzwi, za którymi znajduje się garaż.

– Tutaj – mówi Flea. – W tym miejscu przeżyłam prawdziwy koszmar.

Księżyc przedziera się przez wyrwę w chmurach, jakby celowo wybrał właśnie tę chwilę, żeby jego sierp ukazał się w oknach nad drzwiami garażu. Wysrebrza misterny wzór pajęczych sieci, które migoczą w jego blasku niczym świąteczne dekoracje. Narzędzia ogrodowe wiszą na ścianach w nienagannym porządku. Tutaj też jest pełno kartonów. Na środku garażu stoi żeliwna wiktoriańska wanna.

– Czyli co dokładnie?

– Po czterech dniach, kiedy się zorientowałam, co Thom zostawił w moim bagażniku, wprowadziłam tu samochód. W pierwszej chwili pomyślałam o zamrażarce... – Wskazuje dużą zamrażarkę w kącie. – Ale potem przypomniałam sobie, że któryś z lekarzy sądowych mówił o artefaktach po kryształkach lodu. Słyszałeś coś o tym?

– Chyba tak. Na mięśniu sercowym czy coś w tym rodzaju: że można poznać, czy ciało było zamrożone.

– No właśnie. Dlatego raczej musiałam je schłodzić. Miało być zimne, ale nie mogło zamarznąć. – Wskazuje ruchem głowy wannę. – Wsypałam tam litry lodu, zanim wykombinowałam, co z nią zrobić.

– Jezu...

– Widzisz? A przecież powinnam być przyzwyczajona do

obcowania z trupami. Taka praca.

Flea podchodzi do okien i staje na palcach, żeby im się przyjrzeć; ogląda ich ramy, jakby zawierały jakieś ukryte wskazówki. W pomieszczeniu jest zimno – jej oddech osiada na szybach. Księżyc oświetla z ukosa jej twarz. Patrząc na nią przy oknie, z twarzą w księżycowym blasku, Caffery znowu uświadamia sobie, jaka jest krucha i delikatna. Zawsze kiedy ją obserwuje, budzą się w nim zwierzęce instynkty. Jego układ limbiczny wchodzi na najwyższe obroty. Czasami wysyła sygnał „seks”. Innym razem, tak jak teraz, brzmi on inaczej: „chronić”. „Zniszczyć wszystko, co może jej zagrozić...”.

– Zakleiałam taśmą wszystkie okna, ale sąsiadka i tak podejrzewała, że coś się święci. – Flea zerka na monumentalną ścianę sąsiedniego domu. – Nie przestawała węszyć, a ja odchodziłam od zmysłów. To było kompletnie... – Przykłada palec do czoła. Znowu staje twardo na ziemi. – Surrealne. Wciąż nie wierzę w to, co się stało.

Zwraca się w kierunku Caffery’ego i żałośnie się uśmiecha.

– To już dwa czynniki przemawiające za moją winą: notatka policjanta, że to ja prowadziłam tamtej nocy, i sąsiadka. A jakby tego było mało, stało się coś jeszcze. Pamiętasz tego łysego faceta, technika śledczego, który nam doradzał, kiedy badaliśmy samobójstwo przy Strawberry Lane?

Caffery doskonale go pamięta. Flea i ten oficer – specjalista od poszukiwań zaginionych osób – gryźli się jak pies z kotem.

– Tak. Nie znosiłaś go.

– Z wzajemnością.

– Nazywałaś go przylizanym starym pacanem.

– I miałam rację – był przylizanym starym pacanem, a na domiar złego służbistą. To była nienawiść od pierwszego wejrzenia. Nie wiesz jednak, jak zaczęła się nasza znajomość. Poznaliśmy się dzień po tym, gdy Misty nie wróciła do kliniki. Kazałam zespołowi skończyć trochę wcześniej niż pacan tego oczekiwał, a on zrobił z tego wielkie halo. Powiedział, że jeśli jestem taka pewna, że Misty nie utonęła w jeziorze, to może coś wiem na temat miejsca jej pobytu.

– Och, okej... No tak, niezbyt różowo.

– Niezbyt różowo? Zostałam spisana za przekroczenie prędkości tamtej nocy, sąsiadka wie, że w tym czasie dzieje się u mnie coś podejrzanego, a możesz się założyć, że jej ciekawość nie wygasa po jednej nocy. Teraz usłyszałam przy świadkach, że zachowuję się tak, jakbym wiedziała, gdzie jest Misty. – Flea przeciągle wzdycha. – A to było, zanim jeszcze zaczęłam zawracać sobie głowę samochodem.

– Samochodem?

– Samochodem, który ją potrafił. Fordem, którym jechał Thom. Moim fordem. To bomba z opóźnionym zapłonem. Wystarczy, że ktoś pobierze z niego ślady, a ja będę po uszy w gównie.

Caffery dopija kawę. Przechyla filiżankę do góry dnem, żeby się upewnić, że nie została ani kropla.

– Ja też umiem parzyć kawę – mówi.

– Och? – Flea unosi brew. – Brawo, zuch z ciebie.

– Myślę, że powinnaś jej spróbować, a dopiero potem mi pogratulujesz.

Duchy

Melanie wraca z pracy o ósmej wieczorem. CB rzuca patyk Stewartowi na łące przed domem, bo z tej strony jest ogrodzenie, za które pies nie może wybiec. Szukał koszuli w okolicznych żywopłotach, ale jej nie znalazł. Ale jeżeli Patience ją wyrzuciła, to może dzięki temu wyładowała gniew. Nie jest pewien, czy jej słowa powinny go cieszyć, czy złościć. Jej wybuch jedynie potwierdził, że czuje to samo, co jemu wciąż podświadomie nie daje spokoju – że jeżeli Melanie nadal coś czuje do Jonathana, to wszystko może się dla niego źle skończyć.

Drugiego dnia po przeprowadzce Melanie CB został sam w sypialni, kiedy jego dziewczyna brała poranny prysznic. Był narażony na wiele pokus – jej torebka leżała otwarta na stole w kuchni, na szafce nocnej została jej komórka. Wciąż pamięta, że obrócił się na łóżku na bok, poprawił poduszkę pod głowę i wpatrywał się w wąski profil telefonu, a w głowie czuł pulsowanie krwi. Każdy atom jego ciała wyrывał się do tego kawałka plastiku i gumy.

Jakie informacje mógł w nim znaleźć? Jakie okna do duszy Melanie otworzyć? Coś na temat Jonathana Keaya? Czy jego imię i fotografia wyświetliłyby się na liście ostatnich połączeń? Może jakaś wymiana SMS-ów, e-maili albo nawet prywatne spostrzeżenia na jego temat? Zzerała go ciekawość, ale się jej nie dał. W końcu odwrócił się na drugi bok, sięgnął po swój telefon i zaczął grać w jakąś odmóżdżającą grę, żeby zająć czymś ręce.

Widząc na podjeździe snop światła reflektorów, CB przypina Stewartowi smycz i idzie pomóc Melanie wnieść do domu torbę. Co chwila ukradkiem na nią zerka. Jest taka ładna! Patience ma rację. Powinien zachować czujność.

W domu jest ciepło, para osiada na oknach. Melanie wchodzi

i cmoka Patience na powitanie, czym wprawia CB w osłupienie. Patience nic nie mówi, tylko się odwraca i nakłada na talerz *kedgeree*, które trzymała na gorącej płycie pieca. Na szczęście nie przesadza z ilością. Zachowuje się w cywilizowany sposób – możliwe, że wcześniejsza rozmowa z CB trochę złagodziła jej nastawienie, bo jest uprzejma, a nawet wdaje się w towarzyską rozmowę z Melanie i pyta ją o pracę.

Wszystko się dobrze układa, CB czuje się tak zrelaksowany, że aż otwiera gąsior cydru, który nastawił w ubiegłym roku.

– Kingston Black. Jeśli cydr, to tylko z tej odmiany jabłek. – Napełnia trzy szklanki z duraleksu, które wyjął ze starej, rozchwianej szafki nad zlewem. – Sam je zwałdziłem spod drzew za polem starego Atheya.

Melanie niepostrzeżenie wyciera rękawem bluzki krawędź szklanki i pije, żeby nie było mu przykro. Wolalaby wódkę, ale dobrze wychowane kobiety nie mówią głośno takich rzeczy. Patience wychyla duszkiem swoją szklankę i stawia ją z powrotem na stole, żeby CB znowu ją napełnił.

– To znaczy tam, gdzie Stewart chciałby się przeprowadzić i zamieszkać. Wśród duchów.

CB znacząco patrzy w jej kierunku – nie chce, żeby zepsuła atmosferę, ale zdaje się, że Melanie i tak nie odczytała aluzji do Upton Farm.

– Wciąż próbuje się wymknąć do lasu? – pyta Melanie i patrzy z uśmiechem na Stewarta, który drzemie przy piecu. – Dzisiaj jest jakby spokojniejszy.

– Dopiero co wróciliśmy z pola na wzgórzu. Nie można się stamtąd wydostać, ale na szczęście dzisiaj nie był zainteresowany ucieczką. Prawda, piesku?

– Może i nie, ale rano cały czas go nosiło. – Patience wypija drugą szklankę cydru, jakby to był mały naparstek. – Nie mogłam go uspokoić. W końcu zabrałam go do miasta. Pomógł mi wybrać rybę do *kedgeree*.

Dopiero przy słowie „ryba” CB zdaje sobie sprawę z tego, co powiedziała. Rano wcisnął Melanie bajkę, że pojechał wyprowadzić Stewarta, bo nie chciał się przyznać do spotkania z detektywem Cafferym. Patrzy nad brzegiem szklanki,

szukając oznak, czy Melanie zwróciła uwagę na tę wpadkę. Nie jest pewny. Ani nie mrugnęła. CB szybko zatem zmienia temat, wymyśla naprędce jakąś historyjkę, ale cały czas wyobraża sobie, że nad jego głową błyska wielki czerwony neon z napisem: KŁAMCA! KŁAMCA!

Wszystko wskazuje na to, że jakoś się udało. Melanie uśmiecha się i uczestniczy w rozmowie. Śmieje się z jego głupich żartów i komplementuje talent kulinarny Patience. Dopiero późnym wieczorem w sypialni okazuje się, że nie uda mu się tak łatwo wykpić. Zamiast iść do łóżka, Melanie stoi przy oknie i patrzy na dwór. Tej nocy nie ma księżycy ani gwiazd, a cały świat zdaje się przygnieciony chmurami. W bladej elektrycznej poświacie padającej z okien kuchni ledwo widać pergole i szklarnię – za nimi nie ma nic.

CB podchodzi i niepewnie dotyka jej ramienia.

– Mel?

– Powiedziałeś mi, że pojechałeś wyprowadzić Stewarta.

– Wiem... Przepraszam... Wybacz, przepraszam. – Opiera dłoń o okienną ramę, żeby się pochylić i popatrzeć dziewczynie w oczy. Melanie ma nieruchomy wzrok, dobrze się kontroluje.

– Zachowałem się jak głupek. Normalnie nie zdarza mi się kłamać, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie miałem... nie mam odwagi powiedzieć, dlaczego cię okłamałem.

– Zawsze możesz spróbować.

– Byłem w mieście, w pewnym sklepie winiarskim. Przywieźli specjalne uchwyty do mojej starej prasy do owoców. Strasznie trudno je dostać, nie chciałem, żeby ktoś je przede mną wykupił. Wiesz, jak to jest z cydrem: zawsze na pierwszym miejscu w życiu każdego mężczyzny.

Melanie zwraca oczy w jego kierunku. Przenikliwie przygląda się jego twarzy, ale nie widzi na niej oznak żartobliwego nastroju. CB czuje, że najchętniej skuliłby się pod ścianą.

Łgarz, łgarz, w portkach ogień masz!

– Melanie? Na pewno już myślisz, że słoma wystaje mi z butów.

– Czy ja to powiedziałam?

– No nie... Ale myślałem, że jednak dostrzegasz u mnie

jakieś... wiesz... źdźbła słomy... Chyba nie chciałem wzmacniać tego wizerunku. Tego... stereotypu.

– Nie widzę stereotypów. Widzę tylko ludzi.

– Wszyscy powinni się kierować tą zasadą. Właśnie dlatego jesteś taka dobra. – Nieśmiało się uśmiecha. – Przyjmujesz przeprosiny? Wybaczysz mi?

– Nie pamiętam ani jednego związku, w którym mój chłopak mnie nie oszukiwał.

– Masz na myśli Jonathana?

Ech, za szybko się wyrwał! Czeka na jej reakcję, ale ona zamiast wpaść we wściekłość, kiwa głową. Potakuje.

– Prawie zniszczył mnie swoimi kłamstwami. Wiem, że ja też nie jestem bez winy, na przykład podczas konsylium w sprawie Isaaca, więc nie mam prawa się skarżyć, ale kiedy to mnie ktoś okłamuje... – Bezradnie zaciska pięści. – Mam na tym punkcie jakąś obsesję. Sama nie wiem dlaczego. Może z powodu taty i jego raka... Mama nie powiedziała mi, że ojciec umiera. Kłamała. Wmawiała mi, że niedługo wyjdzie ze szpitala, ale oczywiście... – Melanie wzrusza ramionami. – Cóż, już nie wyszedł.

O ile przedtem CB chciał się skulić pod ścianą, o tyle teraz marzy, żeby kompletnie zapaść się pod ziemię. Usiąść, podciągnąć kolana pod brodę, objąć głowę rękami i kołysać się w przód i w tył.

– Wiesz co? – Odkasłuje. – Zawrzyjmy umowę. Jeżeli przysięgnę, że nigdy więcej cię nie okłamię, to czy ty będziesz w stanie mi przysiąc, że nie stanę się w twoich oczach zarośniętym hobbitem, który przytula drzewa i wymachuje kuflem tradycyjnego *ale*?

Następuje długa cisza. I nagle, niczym słońce zza chmury, na twarzy Melanie pojawia się uśmiech.

– Och, CB – mówi ze smutkiem. – Czy nie widzisz, że to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia? Interesujesz mnie ty, jako człowiek. W nosie mam, jak się ubierasz, co pijesz albo co jesz. Interesujesz mnie tylko ty.

Priddy

Flea jedzie swoim samochodem za Cafferym. Przez całą drogę słyszy, jak w uszach dudni jej krew. Dostyc często próbowała zgadnąć, gdzie mieszka Caffery. Oczekuje, że zobaczy modny apartament w rewitalizowanym budynku w dzielnicy doków – w jednym z nowych bristolskich ekodomów ze stali i szkła. Tymczasem jadą wiejskimi drogami w kierunku wzgórz Mendip, mijają ogołocone przymrozkiem pastwiska i w końcu zwalniają w widmowej wiosce Priddy. Flea czasami przez nią przejeżdżała, ale nigdy się tutaj nie zatrzymywała. Gdzieś w ciemnościach z lewej strony znajdują się kręgi z Priddy – słynne pradawne wały ziemne. Po prawej, w ogródku lokalnego pubu, Flea widzi mokrą, brudną, plastikową drabinkę dla dzieci. Na zjeżdżalni stoi zostawiona przez kogoś szklanka po piwie wypełniona do połowy deszczówką.

Flea spodziewa się, że zaparkują przed willą, sekretnym polem golfowym albo na eleganckim podjeździe, więc jest zaskoczona, kiedy nagle Caffery włącza kierunkowskaz i skręca na błotnistą dróżkę, która prowadzi do krytej strzechą chaty.

To krasowa okolica – w światłach reflektorów łatwo można dostrzec liczne zagłębienia, rynny i leje, które są dziełem kwaśnych deszczów i porowatych skał. Ziemia tutaj jest uboga, podatna na podtopienia i zarośnięta turzycą, która nie nadaje się na paszę dla zwierząt. Jest też niebezpieczna – w każdej chwili może się zmienić w zapaść i pochłonąć tych, którzy nie patrzą pod nogi. Flea wyobrażała sobie coś zupełnie innego. Powinna poczuć ulgę, ale ten widok wytrąca ją z równowagi. Kolejny raz Caffery'emu udało się sprawić, że jej oczekiwania i uprzedzenia lądują na śmietniku.

Wysiada z clio, zakłada polar i przygląda się pochyłym bielonym ścianom, głęboko osadzonym oknom ze szprosami i dachowi z szarej trzciny.

– Co to jest?

Caffery zatrząskuje drzwiami samochodu.

– To? – Rozgląda się. – Tutaj mieszkam.

Dom jest taki mały, podniszczony i sielski! Taki romantyczny! Spodziewała się ogromnych szklanych ścian odbijających refleksy na wodzie i światła miasta, a zamiast tego widzi mnóstwo sympatycznych małych okienek. Największym zagrożeniem w takim miejscu jest jego swojskość.

– A co? – pyta Caffery, patrząc na nią nad dachem samochodu. – Coś nie w porządku?

– Nie.

– Wynajmuję go.

– Aha – mówi wymijająco Flea. – Bardzo ładny. To gdzie ta kawa?

Caffery uderza dwa razy otwartą dłonią w dach forda. Kiwa na nią palcem.

– Chodź. Bierzmy się do roboty.

Wchodzą do chaty. W środku czeka Fleę kolejne zaskoczenie. Czuje się zupełnie jak u siebie – wszędzie walają się kartony i sterty papierów oraz teczek. Na korytarzu, oparty o listwę podłogową pod grzejnikiem, ładuje się iPad. Schody na piętro znajdują się w salonie; kiedyś zapewne były zabudowane, ale teraz mają tylko ażurową balustradę. Za pierwszą tralką widać przewieszony przez nią sweter.

Flea ma wielką ochotę napatrzeć się na ten sweter – chłonać wszystko, co mogłoby jej dać pojęcie o tym, jakim człowiekiem jest prywatnie Caffery. Nie może jednak tak ostentacyjnie od razu się odsłonić, więc ogranicza się do ukradkowych spojrzeń, rejestrując szczegóły, od leżącej pod schodami pustej papierowej torebki z samolotu do niemal pustej butelki drogiej szkockiej whisky na parapecie. Jej wzrok jest jak kamera. Klik i rejestruje wszystko w pamięci do późniejszej analizy. Klik, zapis. Klik, zapis.

Wchodzi do kuchni, gdzie Caffery wyjmuje z lodówki mleko. Na kuchence już bulgocze metalowy dzbanuszek do espresso.

– Przeprowadzasz się? – Tym razem to Flea zadaje to pytanie.

– Nie, jeszcze się nie rozpakowałem.

– Jak długo tu mieszkasz?
– Nie pamiętam. Jakieś dwa lata.
– Przez dwa lata nie zdążyłeś się rozpakować? – Flea nie jest pewna, czy ten fakt robi na niej niesamowite wrażenie, czy raczej bardzo ją smuci. – To chyba jakiś rekord.

Caffery patrzy na nią. Mruga, jakby jej komentarz uświadomił mu, jakim jest głupcem.

– Żaden rekord – mówi bezbarwnym głosem. – Raczej problem. Właśnie tak się dzieje, jeżeli nie doprowadzisz pewnych spraw do końca. Już nigdy nie będziesz miała z nimi spokoju. Nigdy.

Mówi to tak stanowczo, że Flea od razu wie, co ma na myśli. Jego zaginiony wiele lat temu brat nigdy się nie odnalazł. Ciała rodziców Flei też nie wróciły ze szpitala po wypadku. Ich bliscy zniknęli bez śladu. Jacqui Kitson też wciąż się zastanawia, jaki los spotkał Misty. Słowa Caffery’ego brzmią jak przygana. Mają jej przypomnieć, dlaczego tu przyjechali. Flea czeka, aż Caffery skończy parzyć kawę. Milczy, bo nie przychodzi jej na myśl nic sensownego. Kiedy Caffery podaje jej filiżankę, uśmiecha się do niego i uprzejmie unosi ją do ust.

– Dobra – chwali. – Bardzo dobra.

– Dziękuję.

– Prawdę mówiąc, wyśmienita... Ale nie sprawi, że zmienię zdanie. Nie mogę tego zrobić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę ani nie chcę. Proszę cię... Dopiero zaczynam znowu układać sobie życie. Nie mogę zrobić kroku w tył. Poza tym znasz resztę powodów.

– To prawda, ale można sobie z nimi poradzić. Usiądź. Teraz moja kolej.

Zrezygnowana, Flea robi to, o co ją prosi – siada przy kuchennym stole z blatem oznaczonym nacięciami i plamami. Caffery stawia przed nią cukier i karton mleka. Flea odruchowo studiuje opakowanie, chłonie szczegóły – jakie mleko pija Caffery? Dostrzega też, że na kredensie leży zapas kartridżów do e-papierosów, a na parapecie piętczą się listy w zaklejonych kopertach. Flea szykuje się na to, co mężczyzna ma jej do

powiedzenia, ale część jej uwagi – ta, która zawsze potajemnie podpowiada jej, że Caffery jest nieziemsko seksowny – doskakuje do okna i buszuje w górze poczty. Otwiera każdą kopertę, która może jej powiedzieć coś więcej o jego sekretach.

– Wiesz, co robiłem przez cały dzień? – Caffery słodzi kawę. – Rozmawiałem z różnymi osobami o pewnym zdarzeniu w szpitalu psychiatrycznym Beechway. Coś ci to mówi?

Beechway. Flea zna ten szpital – prowadziła tam śledztwo, ale nie wie, dlaczego Caffery ją o to pyta.

– Pauline Scott – podpowiada Caffery.

Pauline. Jeżeli pamięć jej nie myli, tak miała na imię zaginiona pacjentka, której nie udało się odszukać jej zespołowi. Ciało zaginionej znaleziono trzy miesiące później zaledwie trzy metry poza wyznaczonym obszarem poszukiwań. Flea do dzisiaj nie pozbyła się wstydu z tego powodu.

– Dlaczego o niej mówisz?

– Nie znalazłaś jej tylko z jednego powodu: bo znajdowała się poza terenem poszukiwań. Terenem wyznaczonym przez pewnego ulizanego pacana, który miał wam doradzać. A zatem wszystko jest możliwe. I prawdopodobne.

Flea się uśmiecha.

– Jezu – mówi. – Szkoda, że nie znałeś mojego taty. Uwielbiałby się z tobą spierać. Rozszarpałby cię na kawałki.

– Nie, pozwoliłbym mu wygrać.

– Wygrałby bez względu na to, czy pozwoliłbyś mu na to, czy nie.

Caffery pojednawczo kiwa głową, jakby przyjmował do wiadomości taką możliwość.

– Pozwól mi jednak wykorzystać mój czas na podium dla świadków, okej? Po pierwsze, twój samochód nie jest bombą z opóźnionym zapłonem.

– Jest. Rozbiłam go, ale na złomowisku nie chcieli go sprasować, bo w środku było dużo wartościowych rzeczy, a ja nie chciałam na ten temat dyskutować. Wciąż tam stoi i powoli rozbierają go na części zamienne.

– Naprawdę? Kiedy ostatni raz go widziałas?

Flea wzrusza ramionami. Naprawdę nie pamięta. Wie jedynie,

że to było przed eksplozją, bo po wyjściu ze szpitala w ogóle niewiele robiła. Wydarzenia sprzed tego wypadku są jakby spowite mgłą.

– Przypomnę ci – mówi Caffery. – Od tamtej pory minął prawie rok. Od ubiegłego listopada twój wóz jest jedynie kostką metalu. Widziałem na własne oczy, jak trafił pod prasę. Już nikt go nie zbada, a jeśli ktoś wpadnie na taki pomysł, to nieźle się uśmieje, próbując znaleźć na nim jakieś ślady.

Ironicznie unosi brwi, widząc jej minę.

– Długo o tym myślałem. Nie pytaj o nic, po prostu skreśl ten samochód ze swojej listy problemów. Możesz też zapomnieć o alkomacie. Jeżeli nikt nie wie, że ten samochód brał udział w wypadku, to nie ma powodu sprawdzać historii jego kierowcy.

– Jest jeszcze jeden powód: uszkodzenia głowy. Misty przetoczyła się przez maskę samochodu. Jedna strona czaszki była kompletnie roztrzaskana.

– Pozbędziemy się głowy.

– Co?

– Okej – mówi Caffery. – W porządku. – Przez minutę milczy, a potem pyta: – Która strona czaszki?

– Jak to, która strona? Czaszka to czaszka, Jack.

– Jeżeli samochód uderzył ją z tyłu, to domyślałam się, że uszkodził ją tutaj. – Dotyka swojej potylicy, tuż nad karkiem. – Jeśli stała przodem do Thoma, to miała strzaskane czoło. A może, o ile w ostatniej chwili odruchowo się odwróciła... – Sam też odwraca głowę. – Tutaj. – Przesuwa palcem wzdłuż boku głowy, nad prawym uchem.

Flea nie odpowiada. W istocie Misty miała pogruchotaną lewą stronę czaszki, ale Caffery i tak jest cholernie bliski prawdy. Tak jak ona, sam też uczestniczył w niejednym wypadku. Siła zderzenia z dachem samochodu niemal oderwała Misty ucho.

– Dobrze. – Zdaje się, że Caffery uznał jej milczenie za znak, że ma rację. – Możemy zostawić szczękę do identyfikacji. Jeżeli nie znajda czaszki, pomyślą, że porwał ją lis albo borsuk.

– Jack... To się nie uda. Nie masz ubrania. Żadnych rzeczy osobistych. Wszystko spaliłam.

– I co z tego?

– Brak ubrania to czerwona płachta na każdego lekarza sądowego. Brak ubrania oznacza motyw seksualny, czyli udział osób trzecich, czyli na pewno nie hipotermię ani przedawkowanie. Brak rzeczy osobistych oznacza kradzież, a to prowadzi do tych samych wniosków. Kiedy ofiara nie ma ubrania, wszyscy chcą, żebyś szukał dalej.

– Niekoniecznie. Hipotermia właśnie tym się objawia, prawda? Ludzie sami nie wiedzą, czy jest im gorąco, czy zimno. Zresztą rozwleczone po okolicy kości mogą sugerować, że jej ubranie może być wszędzie, w krzakach albo w lisiej norze.

Caffery odsuwa krzesło i wstaje. Wciąż ma na sobie kurtkę. Flea przez chwilę widzi tuż przed sobą jego koszulę – jest wygnieciona nad paskiem. Po raz pierwszy uderza ją myśl, że on też czasami ma w życiu pod górkę. Musi mu być trudno w tej starej chacie, wśród zamkniętych pudeł. Kto wie, może by zrozumiał, gdyby mu powiedziała o swoich kartonach? O tym, jakie są dla niej ważne.

– Odstaw filizankę – mówi Caffery. – Chcę ci coś pokazać.

Flea wstaje i idzie z nim do ogrodu. Teraz wszystko widać lepiej, bo z okien chaty pada światło. Caffery kieruje się do garażu. Po chwili wraca z łopatą. Kiedy zaczyna kopać, Flea nic nie mówi. Jack wyjmuje z kieszeni parę nitrylowych rękawiczek. Zakłada je i zaczyna wyciągać spod ziemi coś, co wygląda na szczątki organiczne. Flea obejmuje się ramionami. W pracy kilka razy musiała asystować przy wydobywaniu ciał – z wody i nie tylko – a to, co Caffery robi, kojarzy jej się tylko z płytkim grobem. Rozgląda się na wszystkie strony, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie widzi.

Caffery jeszcze raz pociąga za materiał i wyrywa z ziemi tę rzecz. Kiedy nią potrząsa – otrzepując grudki błota – Flea w końcu widzi, co to jest. Suknia.

– Skąd się...

– Suknia Misty.

– Nie... Spaliłam ją.

– Spaliłaś jej prawdziwą suknię, ale zrobiliśmy rekonstrukcję. Pamiętasz?

Flea pamięta dziewczynę, która schodziła po schodach kliniki i udawała odurzoną narkotykami. Wyglądała jak modelka w reklamie szamponu, a nie narkomanka. Flea potrząsa głową i cicho gwizdże.

– To jest kostium, który miała na sobie tamta aktorka?

– Znikł z magazynu naszego biura, pewno się zgubił podczas przeprowadzki do nowego budynku. To skandal, jak często takie rzeczy nam giną. – Wyciąga jeszcze torebkę i parę sandałów i układa je na zamrożonej ziemi. – Nawet gdyby wezwali rzeczoznawcę, żeby zbadał te ubrania, chociaż szczerze w to wątpię, bo kto miałby zgłosić takie zastrzeżenie, jeżeli to ja prowadzę śledztwo, to tutejsza gleba jest mniej więcej taka jak w lesie. Podrzucimy je w lesie albo na pastwisku z ziemią o podobnym składzie. Osadzone na tkaninie minerały będą się zgadzać. – Otrzepuje dłonie i wyciera rękawem kurtki czoło. – No i co? Łatwiej być nie może, no nie?

Flea patrzy mu w oczy.

– Powiedziałaś ci, że nie mogę nurkować.

– I mówisz szczerze? Czy to jedynie wymówka?

Flea nie może odpowiedzieć. Nie może, bo musiałaby powiedzieć coś w rodzaju: „Wymówka. Mogę nurkować, tyle że nie chcę wracać do przeszłości... Jeśli to zrobię, wszystko zacznie się sypać i cała moja praca pójdzie na marne”.

Potem pewno zaczęłyby płakać.

– Muszę już iść.

Poklepuje się po kieszeniach, żeby znaleźć kluczyki do samochodu.

Caffery, pokonany, potrząsa głową.

– Znowu? Znowu chcesz się odwrócić i uciec?

– Przykro mi, Jack. Robi się późno.

– Nie! To już przestało być śmieszne. Naprawdę. Nie jest śmieszne. Jestem tym zmęczony... a szczególnie męczy mnie fakt, że tak bardzo się starasz osłaniać tego palanta, twojego braciszka.

– Tu nie chodzi o niego – mówi Flea. Jest w szoku. – Nie chodzi o mojego brata.

– W takim razie o co? Hm? O co ci chodzi?

Flea długo stoi i patrzy na niego. Targają nią emocje, które próbują się uwolnić. Nie będzie płakać. Tylko nie to.

– Proszę, Jack... Proszę. Nic nie rozumiesz.

– Daj spokój. – Caffery odwraca się od niej. Unosi dłoń, żeby ją uciszyć. – Daj mi spokój. Nie chcę tego słyszeć.

Stara przedziałnia

Penny leży ubrana na łóżku, a w głowie ma kamienną pustkę. W starej przedziałni nie ma nikogo oprócz niej, wokół panuje cisza – nie rozlega się żaden dźwięk, żadne skrzypienie desek. Od wizyty detektywa Caffery’ego minęło już sporo czasu. Penny patrzyła przez otwory w kształcie serc w okiennicach, gdy zbliżył się do samochodu. Nie usiadł od razu za kierownicą, lecz wyszedł przez bramkę z boku podwórza. Penny musiała pobiec na drugą stronę domu, żeby go zobaczyć na trawniku, gdzie odkładała puste doniczki. Stał tam przez jakiś czas, patrząc na wzgórze za doliną, gdzie wśród drzew na szczycie kryło się Upton Farm. Zerwał się wiatr – zaczął łopotać jego kurtkę, zarzucił mu krawat na ramię, przygniótł do ciała koszulę i nogawki. To przywołało go z powrotem do rzeczywistości i hipnotyzujący czar przestał na niego działać – cokolwiek to było. Ruszył z powrotem do samochodu i po chwili odjechał.

Caffery wygląda na jej rówieśnika – możliwe, że był trochę młodszy. Wiele kobiet potwierdziłoby, że jest ponętny, ale żadna nie chciałaby za niego wyjść. Wiele kobiet potrzebuje czarujących komplementarzy, którzy chętnie wydają pieniądze na walentynkowe prezenty w szeleszczących opakowaniach. On na pewno się do nich nie zalicza – widać to na pierwszy rzut oka. Jest w nim jednak coś przystępnego, z czym Penny się identyfikuje – szczerłość. Zauważyła, że nie nosi obrączki. Może właśnie z powodu tych prezentów.

Zamyka oczy. Nie ma sensu zastanawiać się nad wiekiem Caffery’ego. Nieważne, czy ma żonę, czy nie, bo na pewno mieszka w jakimś ekskluzywnym lofcie w sercu miasta. Jada w najlepszych restauracjach i co wieczór spotyka tłumy przyjaciół. Ustawia się do niego kolejka pięknych, utalentowanych dziewczyn. Należy do zupełnie innego gatunku niż Penny. Jak wszyscy mężczyźni. A raczej to ona należy do

innego gatunku.

Penny nie rozumie innych ludzi – nie potrafi rozszyfrować ich nastrojów ani przedzierać się przez warstwy pozorów, którymi się otaczają. Na przykład Isaac. W pewnym momencie miała wrażenie, że ją polubił – a nawet uwierzyła, że widział w niej osobę, która dba o niego bardziej niż matka. Wierzyła też, że Graham widział w niej kogoś bardziej czułego niż jego żona. Pomyliła się, jak wiele razy przedtem. Co chwila powtarzała te same błędy i odczuwała na własnej skórze ich skutki – uczyła się wciąż od nowa, że w wielkiej ludzkiej układance brakuje klocków pasujących do niej, nie ma żadnego wolnego miejsca, do którego mogłaby się dopasować. W końcu kompletnie porzuciła nadzieję.

Wspomina tamten dzień sprzed wielu lat. Było zimno i mokro, a chmury zawisły nisko nad światem niczym groźba. Pamięta, że Isaac zbiegł po schodach i uciekł na dwór, przewracając wieszak na płaszcze, który stał na korytarzu. Miał na sobie szkolne mokasyny, skarpetki i nic ponadto – jego tors i ramiona były umazane krwią i odchodami. Ktoś obcy mógł to źle zrozumieć – mogłoby mu się zdawać, że to Isaac został zaatakowany i potrzebuje pomocy. Ale Penny wiedziała, że jest inaczej.

Szybko wsiadła z powrotem do samochodu. Zamknęła centralny zamek. Chłopiec podbiegł do niej. „Penny, Penny” – jego głos brzmiał nienaturalnie, gardłowo. Kiedy uruchomiła silnik, wczułgał się na maskę samochodu. Widziała przed sobą jego brudne, zakrwawione nogi i genitalia. Z całej siły wcisnęła klakson i wrzuciła wsteczny bieg z takim impetem, że Isaac przekoziółkował i spadł na ziemię. Penny gwałtownie zahamowała, włączyła reflektory i siedząc roztrzęsiona, patrzyła na niego. Zaczął wstawać, niepewnie trzymał się na nogach, możliwe, że był pod wpływem alkoholu; kiwał się z boku na bok, macając dookoła, dopóki nie znalazł rzeczy, którą wypuścił z rąk – jednego z jego ludzików. Był tak nabuzowany krwią i śmiercią, że w przenikliwie zimnym powietrzu unosiła się z niego para.

Stanął wyprostowany i odwrócił się w kierunku Penny.

– Nie – syknęła. – Mnie nie dostaniesz.

Penny wcisnęła gaz do dechy. Samochód zatańczył w błocie, zabuksował i wystrzelił naprzód, zmuszając Isaaca, by uskoczył w kierunku stodoły. Zamknął za sobą wrota, a Penny – pijana strachem i adrenaliną – miała dosyć odwagi, żeby szybko wysiąść i założyć na drzwi sztabę, odcinając mu drogę ucieczki. Dopiero gdy dojechała do najbliższej budki telefonicznej i wykręciła numer Harry’ego, zaczęła się spazmatycznie trząść.

Kuli się na łóżku w ciemnym pokoju. Naciąga kołdrę po same uszy. Nie widziała ciała, nie była w sypialni Handlów. Sama odtworzyła kolejność zdarzeń – z krwi rozmazanej na nagim ciele Isaaca, z późniejszych artykułów w gazetach, ale przede wszystkim z pytań, na które Harry nie chciał jej odpowiedzieć. Po tym, co zobaczył w domu Handlów, stał się innym człowiekiem.

Nagle coś przychodzi jej na myśl. Penny siada i zapala lampkę nocną. Sięga po okulary i unosi patchworkowy pled. Brakująca łatka. Przed dwoma dniami jej zniknięcie przypomniało Penny Isaaca i jego nawyk podkradania części garderoby, z których potem robił ludziki. Wtedy nie wiedziała, że wyszedł ze szpitala, więc szybko o tym zapomniała. Teraz, drżąc ze strachu, gorączkowo szuka tamtego miejsca na pledzie. Wszystkie szwy już się wysłużyły. Łatka łatwo mogła się po prostu odpruć ze starości. Nic nie wskazuje na to, że została wycięta.

Ta myśl nie daje jej jednak spokoju – Penny niejasno przeczuwa, że Isaac wrócił. Wstaje i schodzi na parter. Stary, wysoki, pomalowany zegar z kukułką wskazuje ósmą wieczorem. Penny upewnia się, że wszystkie drzwi i okna są szczelnie zamknięte. Już zamierza wrócić do sypialni, lecz nagle jej wzrok pada na nieszpułki w pomieszczeniu do przebierania i suszenia owoców. Stoi tam szafka, w której Penny przechowuje pudełka z kwaskiem cytrynowym i żelatyną. Dalej znajdują się drzwi. Prowadzą do piwnicy. Można je zamknąć na klucz, ale akurat tych drzwi nie sprawdziła.

Glupia, głupia – strofuje się – nie przesadzaj, zmieniasz się

w kłębek nerwów. Zachowujesz się jak paranoiczka. Lekarz powiedziałby ci, że cierpisz na kłutwę kobiet – histerię wywołaną zaburzeniami równowagi hormonalnej. Jak dawno temu miała pani ostatni okres, panno Pilson? Nie może jednak oderwać wzroku od tej szafki.

Pod podłogą znajdują się szkieletowe pozostałości przedzalni. Koło wodne dawno przegniło, ale wciąż są tam wielkie kamienne rynny, których używano do prania runa, i stare włazy, dokąd wysyłano dzieci, kiedy zdarzało się, że gałąź zaplątała się w mechanizm koła i trzeba ją było wyciągnąć. Pod ziemią wije się prawdziwy labirynt tuneli, przepustów i śluz – większość jest zatkana i uszczelniona, żeby spod podłogi nie wiały przeciągi, ale gdyby ktoś bardzo chciał się dostać do domu... gdyby naprawdę mu na tym zależało...

Penny wraca do kuchni po najcięższą patelnię, jaką ma. Przy drzwiach kuchennych wisi latarka. Penny owija sobie jej tasiemkę wokół nadgarstka i przesuwa włącznik. Ostrożnie zagląda do przebieralni owoców i do spiżarni. W komórcie wisi pod sufitem goła żarówka, którą Penny włącza. Po chwili zmienia zdanie i wyłącza światło. Próbuje sobie wyobrazić, jak może wyglądać z punktu widzenia kogoś, kto czai się za drzwiami – jasno oświetlona niczym postać na ekranie kinowym. Cel idealny.

Robi jeszcze jeden krok naprzód. Dotyka palcami klamki. Parę razy przechodziła przez te drzwi – za nimi są rozchybotane schody, które jęczą i skrzypią pod najmniejszym ciężarem. Na dole nie ma prądu – panuje tam absolutna ciemność. Tylko mech, skały i stwardniała pianka montażowa wypełniająca pęknięcia i szczeliny.

Otwórz. No otwórz. Nic tam nie ma. Zupełnie nic.

Drży jej ręka.

Otwórz. Otwórz – udowodnij sobie, że on tam na ciebie nie czyha. Otwórz.

Penny wypuszcza powietrze z płuc. Zasuwa dwa duże rygle na górze i przekręca klucz w zamku. Potem szybko zdejmuje pudełka z półek i zastawia nimi drzwi. Wszystkie ciężkie rzeczy się przydadzą – i kartony pełne szkła, które narobią hałasu,

jeżeli ktoś je poruszy. Zewnętrzne drzwi nie mają zamka, tylko archaiczny skobel. Penny obwiązuje go parę razy sznurkiem i dla pewności zastawia wejście krzesłem. W końcu opiera się o ścianę, spocona i drżąca.

Graham i Louise Handel

Caffery zaczyna pisać SMS-a do Flei. Po dwudziestu słowach się rozmyśla, wkłada telefon do kieszeni i niecierpliwie chodzi w tę i z powrotem po ogrodzie, niczym bomba z odbezpieczonym zapłonem. Czuje się jak czubek, który sam się okłada po twarzy. Wciąż wierzy, że Flea w końcu zmieni zdanie? Wolne żarty. Bez względu na to, jakie emocje ją powstrzymują, same nie przeminają. Najlepiej zrobi, jeżeli zajmie się Isaakiem Handlem, a potem weźmie głęboki oddech i zacznie szukać innych sposobów rozwiązania sprawy zaginięcia Misty Kitson.

W końcu z powrotem zakopuje w ogrodzie kostium Misty – bez konkretnego powodu, chyba jedynie dlatego, że nie wie, co innego z nim zrobić. Zасыpuje ubranie ziemią. Nie ma ochoty wyjmować z bagażnika torby z lalkami – to ostatnia rzecz, której sobie życzy – ale i tak to robi. Jedynym pomieszczeniem, które może zamknąć, żeby nie zasmrodzić całego domu, jest pralnia, więc właśnie tam niesie ten bagaż. Bierze prysznic i przebiera się w stary T-shirt i spodnie od dresu. Przez godzinę drukuje wszystko, co udaje mu się znaleźć na temat lalek voodoo, a potem nalewa sobie dużą szklankę whisky i idzie z wydrukami do pralni. Nakłada rękawiczki i zanurza ręce wśród lalek.

Zawartość torby stanowi nieprzyjemną mieszankę faktur i kształtów – zdaje się, że Handel wykorzystał szeroki wachlarz materiałów: skrawki tkanin, surową wełnę owczą, kawałki ceramiki, drobne patyki albo listewki. Wszystko, co udało mu się wygrzebać w śmieciach. Lalki są brzydkie i budzą w nim dziwne emocje – przyniósłszy je do domu, czuje się, jakby wpuścił tłum obcych ludzi.

Z wydruków dowiaduje się, że pojęcie lalki voodoo to popularny mit. Niemal nic ich nie łączy z tą haitańską religią –

jedynym regionem, gdzie te fetysze się pojawiają, jest Nowy Orlean, miasto, w którym voodoo przeżyło swego rodzaju amerykański renesans nastawiony na przemysł turystyczny. Niemniej w spopularyzowanej mitologii voodoo – w obrzędach, o których mógł czytać czternastoletni chłopiec – lalki voodoo nie tylko istnieją, ale nawet budzą grozę. Mają konkretne przeznaczenie, mogą służyć do kontrolowania osób, które wyobrażają.

Caffery ostrożnie odsuwa na bok dwie lalki. Obie są wykonane ze skóry – ludzkie cechy zostały niedbale naszyte za pomocą czegoś, co wygląda na nic chirurgiczną albo strunę jakiegoś instrumentu. Kiedy Isaac wybiegł z domu po zamordowaniu rodziców, miał w rękach dwie lalki. Penny widziała je tylko przez chwilę i nie wie, co się z nimi stało, ale twierdzi, że już przedtem je widziała i że miały symbolizować Grahama i Louise Handlów.

Dokumentacja pobytu Isaaca w zakładzie karnym dla nieletnich została zniszczona po trzech latach – zgodnie z przepisami – więc nie ma możliwości sprawdzenia, jakie przedmioty osobiste zarekwirowano. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak uznać, że kukły, na które właśnie patrzy Caffery, są tymi samymi lalkami, które tamtego dnia trzymał Isaac. Mają na sobie stroje uderzająco podobne do ubrań Handlów, o których mowa w raporcie koronera z miejsca zbrodni – spodnie do biegania i T-shirt na lalce przedstawiającej kobietę oraz brązowe sztruksy na mężczyźnie. Niewykluczone, że kolejnym oficerom więziennym i pielęgniarzom zdawały się na tyle niewinne, że niepostrzeżenie prześliznęły się przez sito systemu. Co w tym dziwnego, że pacjent szpitala dla psychicznie chorych wykazuje szczególne przywiązanie do przedmiotu? I to takiego, którego szczegółowe badanie nie wykazuje obecności metalu ani ostrych narzędzi? Bardzo możliwe, że Isaacowi udało się wszystkich przekonać, by pozwolili mu zatrzymać ludziki.

Tylko dlaczego? Graham i Louise już nie żyli. Dlaczego zależało mu na tym, by zachować ich wizerunki?

Caffery idzie do kuchni po lampkę nocną i lupe. Pod szkłem

powiększającym lalki wydają się jeszcze bardziej odrażające. W miejscu zębów mają wypolerowane kawałki muszli i różnią się od innych lalek tym, że ich oczy są zaszyte. Jeżeli symbolizują zamiary Isaaca wobec tych ludzi, to czy zaszył im oczy, bo życzył im śmierci? I czy dalej je maltretował po śmierci rodziców? Caffery widzi na lalkach mnóstwo drobnych nakłuć, a ich głowy sprawiają wrażenie, jakby ktoś regularnie je wykręcał, o czym świadczy popękana skóra na szyjach figurek. Może nie wystarczyło mu zamordowanie rodziców, myśli Caffery. Może zostawił sobie te lalki, żeby torturować matkę i ojca nawet po śmierci.

Caffery opiera się na krześle i patrzy na swoje odbicie w szybie. Nad drzewami widzi kilka gwiazd – poza nimi krajobraz zdaje się całkiem czarny i bezkresny. Wyobraża sobie, że Handel gdzieś tam się ukrywa – próbuje zgadnąć jego myśli. Co planuje, uzbrojony w nóż do tapet, kombinerki i drut?

Skrzydło Żonkil

Maude wcale nie odeszła. Wywiodła wszystkich w pole. Rozmyśliła się i wraca. Jest już niedaleko – zupełnie blisko. Już zrobiła rzeczy, o których Matka Potworów boi się nawet pomyśleć. Rzeczy, których nikt nie powinien się dopuszczać.

Siedzi na środku ciemnego pokoju, delikatnie kołysząc się w przód i w tył. Nie poszła do świetlicy – nie może znieść kolorów, które noszą jej dzieci potwory, ani tęczyowych błysków w telewizorze. Sprawiają, że nastrój zmienia jej się sto razy na sekundę. Została więc na podłodze swojego pokoju, wciąż w liliowej koszuli nocnej, wciąż szczęśliwa, bo dzisiaj jest dzień liliowy, a ona zamierza zrobić wszystko, żeby taki pozostał do końca. Na przekór wszystkiemu.

CB jest jej ulubionym dzieckiem. Staje się też coraz bystrzejszy. Z dnia na dzień mądrzeje. Bo coraz bardziej zbliża się do odkrycia prawdy. Wielkiej prawdy, której Matka Potworów była milczącym świadkiem przez te wszystkie lata.

CB znalazł ludziki. Przynajmniej te, z których Isaac już zrobił użytek. Ale jeszcze nie wpadł na trop lalek, które wciąż czekają na swoją kolej. Widm zdarzeń, które dopiero mają nadejść. Matka Potworów je widziała – nikomu nie piśnie ani słowa, ale obserwowała Handla, kiedy się przy nich trudził z sercem płonącym nienawiścią, przepelniony złością. Patrzyła, jak tworzy kolejne ludziki – dwie lalki przedstawiające kobiety – jedną z jasnymi włosami, drugą z krótkimi, sterczącymi na wszystkie strony. Włosy tej drugiej były jaskrawoczerwone, w kolorze maków. Przystroił ją w wiszące kolczyki, luźne bransoletki i suknię w kwiaty.

Ludziki przedstawiający ciemnowłosego mężczyznę obejmuje tę drugą lalkę. Stoją zwrócenie twarzami do siebie. Jego ramiona mocno ją przytulają, obejmują ją w ten szczególny sposób, w który chłopcy czasami obściskują dziewczyny, kiedy

nikt na nich nie patrzy.

Matka Potworów wydaje stłumiony jęk. Kiwa się, kiwa, kiwa... Księżycowa luna rozbryzguje się i skwierczy wokół niej na podłodze. Boli ją nieistniejąca ręka, jak zawsze, kiedy nadciąga zmiana nastroju. Jeżeli zmieni się na gorsze, jeżeli Maude jeszcze bardziej się zbliży, Matka Potworów będzie musiała zdjąć skórę i znowu się ukryć.

Jutrzejszy dzień będzie miał barwę ciemnego, głębokiego granatu. Będzie granatowy jak najciemniejsza noc.

Dzień świstaka

Flea budzi się o szóstej rano. Leży na sofie, ale jest ubrana. Boli ją głowa, w ustach czuje suchość. Zasłony są rozsunięte, a za oknem wciąż panuje mrok i mróz. Krystaliczna cisza – wkrótce nadejdzie zima. Odwraca się na drugi bok, podkłada pod policzek poduszkę i wpatruje się w telewizor z wyłączonym dźwiękiem. Czuje się jak w *Dniu świstaka*, bo na ekranie znowu widzi Jacqui Kitson. Sofa wygląda inaczej, Jacqui ma na sobie inną suknię, ktoś inny prowadzi wywiad. Ale jej mina jest dokładnie taka sama. Flea nie włącza dźwięku. Nie musi. Wie, o czym Jacqui mówi.

Zerka na zegarek. Już nie ma po co zasypiać – czas zacząć codzienne obowiązki.

Stacza się z łóżka, naciąga dresy i bluzę i idzie pobiegać. Jest jeszcze ciemno, więc biegnie na pamięć, oświetlając sobie drogę czołówką. Na trawie osiadł szron, drzewa przebijają swoimi chudymi palcami białą pokrywę. Flea nie widzi w pobliżu nikogo – na ulicy nie ma samochodów, ani jedno światło nie świeci w żadnym z kilku domów, które mija podczas dziesięciokilometrowego biegu. Oddalone o kilometr Bath leży po prawej stronie u stóp wzgórza – ale stamtąd też nie dobiega żaden dźwięk. Jedyłą wskazówką, że w pobliżu znajduje się miasto, jest pomarańczowa luna unosząca się we mgle.

Po powrocie do domu Flea bierze prysznic, myje włosy, wkłada służbowy strój – pod spodem nosi bieliznę termiczną – i już jest gotowa na kolejny dzień poszukiwań. Zapina spodnie i nagle zaczyna bulgotać jej w żołądku – ma wrażenie, że jej kiszki próbują się rozerwać i wyrzucić na zewnątrz całą zawartość. Przez jakiś czas stoi w łazience, przyciskając ręce do brzucha, i zastanawia się, skąd to uczucie.

Jej wzrok pada na kartony ustawione wzdłuż korytarza. Stoją w równym rzędzie, pozamykane, szczelne i uporządkowane.

Spakowanie ich zajęło jej mnóstwo czasu. Kurwa, kurwa... kurwa!

Nakłada polar, buty i wraca do łazienki, żeby wyszczotkować zęby. Myjąc je, opiera się ręką o lustro i nie unosi głowy znad porcelanowej umywalki i korka w odpływie. Nie musi patrzeć na swoje odbicie. Nie ma absolutnie po co.

Sad starego Atheya

Niech diabli porwą Stewarta i jego wybryki. Rano wciąż wrywa się do lasu, jakby mu ktoś nasypał pieprzu na ogon, i gdy CB wypuszcza go na dwór, pędzi przez pole, czołga się pod żywopłotem, przebiega kładkę i znika.

CB nie jest w stanie go zatrzymać. Stoi przed domem i klnie pod nosem. Jest zmęczony. W nocy nie mógł spać. Melanie w końcu się uspokoiła i zasnęła, wtulona jak dziecko w jego ramię, a on leżał, patrzył na cienie na suficie i niespokojnie kręcił się na wszystkie strony. Jeśli w ogóle przysypiał, to tylko na chwilę. Cały czas myślał o Melanie – jakby jej sny i nadszarpnięte zaufanie próbowały sforsować barierę oddzielającą je od jego koszmarów.

W końcu się poddał. Jest wpół do siódmej i wciąż panuje mrok, więc stawia filiżanki świeżo zaparzonej kawy na szafkach nocnych Patience i Melanie, a potem wychodzi na spacer ze Stewartem. Ten bez przerwy jęczał i żałośnie na niego zerkał. A gdy tylko wyszli za drzwi, zwiął.

Przez drzwi kuchenne pada za słabe światło, żeby ruszyć na poszukiwanie, więc CB idzie do garażu po latarkę – wielki, ciężki reflektor, który budzi strach wśród leśnych zwierząt – i rusza w ślad za psem. Znajduje go mniej więcej dwadzieścia metrów w głąb lasu. Stewart czeka na niego z wywalonym ozorem i podeksytowany merda ogonem, żeby CB poszedł z nim dalej.

– Stewart! – CB karci go półgłosem. – Ależ jesteś upierdliwy! Nie drażnij mnie. Akurat teraz mam dosyć zmartwień.

Stewart patrzy jednak na niego z taką nadzieją i zaufaniem, że CB wzdycha zrezygnowany. Stara się żyć zgodnie z zasadą, że jeśli o czymś nie wie, to nie musi się tym przejmować, ale już ma szczerze dosyć tego zwierzaka i jego szantażu emocjonalnego.

– Prowadź – mówi. – Mamy dokładnie pół godziny. Piętnaście minut tam i piętnaście z powrotem. Chodźmy zobaczyć, o co tyle zamieszania.

Wychodzą na drugim końcu lasu na pastwisko i dalej na płaskowyż. Nie widzi wyraźnie, którydy pies go prowadzi, ale już wie, dokąd zmierza. Do miejsca, o którym CB nie chce nawet myśleć. Stewart zdaje się szczęśliwy, jakby go kto na sto koni wsadził. Biegnie truchtem, wysoko unosząc kikut ogona, i pewnie wyobraża sobie, że jest jakimś arystokratycznym ogarem czystej krwi. CB idzie nieco z tyłu i stęka przy każdym kroku. Pastwiska wciąż są ciemne, a przymarznięta trawa chrzęści pod nogami. Zmarzł mu nos, ponadto żałuje, że nie wszedł do domu po rękawiczki – czuje się tak, jakby zamiast dłoni miał sztywne bryły lodu.

– Lepiej, żeby to było coś miłego! – krzyczy do Stewarta, który czeka na szczycie ścieżki i patrzy na niego, wymachując ogonem jak wariat. – Jeszcze pięć minut i wracamy.

Stewart przepędza go przez płaskowyż, zbiega z drugiej strony i pokonuje zbocze wzdłuż linii iglastego lasu, skąd widać wioskę na dalszej pochyłości za doliną. Pierwsi mieszkańcy zaczynają się budzić, w niektórych oknach już zapalają się światła. Sad jabłkowy starego Atheya, skąd CB przynosi do domu owoce na cydr, leży po lewej stronie i wąskim, stożkowatym klinem wcina się w las. Na wprost znajduje się teren zwany przez miejscowych Dzięczą, bo nikt nie wie, kto jest jego właścicielem. Możliwe, że to własność państwowa albo zapomniany majątek jakiegoś człowieka, który aktualnie dogorywa w namiocie tlenowym na jednej z małych greckich wysp. CB całe życie słyszał o Dzięczy, ale nie przypomina sobie, żeby choć raz postawił tam nogę. Dalej, w bezpośrednim sąsiedztwie, jest już tylko Upton Farm.

Stewart zatrzymuje się tak nagle, że CB niemal się o niego potyka.

– Uważaj, maniaku. Co, do diabła?

Pies ani drgnie. Zapiera się łapami, nieruchomy jak skała – stawia uszy i intensywnie wpatruje się w ścieżkę przed sobą. Na nocnym niebie pojawiło się jaśniejsze pasmo świtu, przez które

leniwie przedziera się dosyć światła, by CB mógł bez pomocy latarki rozróżnić poszczególne drzewa. Ścieżka biegnie w kierunku lasu, piętnaście kroków dalej wtapia się w tło i rozmywa w szarym mroku.

CB jest dzieckiem wsi i niełatwo daje się nastraszyć. Nie rozumie, z jakiego powodu nagle włosy stają mu dęba. Wstrzymuje oddech i wyteża zmysły. Nie jest pewny, ale zdaje mu się, że zobaczył jakiś kształt, nieco ciemniejszy niż otoczenie ruchomy cień. Isaac Handel? Nie może pozbyć się tej myśli – tej pewności. Cierpnie mu skóra.

Nagle Stewart popiskuje i niepewnie zerka w kierunku, z którego przyszli, jakby onieśmielony tym, co czai się w lesie. Zawraca, po paru metrach zatrzymuje się niezdecydowany i uważnie patrzy w głąb lasu za CB.

– Halo! – CB oświetla latarką ścieżkę. – Halo!

Własny głos zdaje mu się nienaturalnie piskliwy, jakby zdławiony. Drzewa kompletnie pochłaniają słowa. CB cofa się o trzy kroki.

– Halo! – krzyczy jeszcze raz. – Nie chcę nikogo przestraszyć! Jestem z psem!

Cisza. Nie słyhać nawet trzasku gałązek. CB zdobywa się na odwagę i na próbę znowu postępuje kilka kroków naprzód. Nic nie widzi.

– Isaac? To ty?

Stewart skrada się z nim, ostrożnie stawia łapy, ociera się ciężkim tułowiem o łydkę CB. Wchodzą nieco głębiej w las.

Mniej więcej pięć metrów dalej, tam, gdzie, jak się zdawało, ścieżka znika w ciemności, drzewa nagle się rozstępują i okazuje się, że za nimi znajduje się rozległa polana. CB ze Stewartem stoją na końcu ścieżki i uważnie się rozglądają. Cieniutkie wiązki światła przebijają korony drzew – wydobywają z mroku unoszące się tuż nad ziemią przezroczyste obłoczki mgły. Trochę liści sennie spada z drzew. Na środku polany znajduje się obiekt, który niewielu ludzi umiałoby opisać. W pierwszej chwili CB też czuje się zbity z tropu.

To drzewo, ale jego pień ma średnicę co najmniej trzech metrów. Konary są tak grube, że siedem, osiem metrów od pnia

uginają się pod swoim ciężarem, sprawiając, że drzewo wygląda, jakby wspierało się łokciami o zmarzniętą ziemię. Pod zwisającymi gałęziami ziemia jest sucha, panuje tam cisza i bezruch, niczym w katedrze. W miejscu, gdzie drzewo dotyka łokciami ziemi, kłębią się korzenie – rozchodzą się promieniście, jakby pełzały. Otacza je siedem podobnych drzew – mistyczny krąg. Wszystkie wyglądają identycznie – niczym klony matuzalema w środku pierścienia.

Taxus baccata – jego cienkie jak papier liście, kora, nasiona i żywica są trujące. Wędrujący cis. Drzewo stare jak świat. Niebezpieczne i wciąż śmiercionośne niczym jadowity wąż.

CB wypuszcza powietrze z płuc. To tylko drzewo. Nie ma się czego bać. Absolutnie nic tu nie ma. Jeszcze przez chwilę stoją ze Stewartem na polanie i próbują uspokoić oddech. Wdech i wydech. Wdech i wydech. Nic się nie rusza.

Mimo to nie zamierza robić ani kroku w kierunku tej cholernej rośliny – a już na pewno do niej nie podejdzie.

– Ruszamy, piesku! – CB przypina Stewartowi smycz do obroży i prowadzi go z powrotem do domu. – Nie wiem, co ci się przywidziało, ale już tego tutaj nie ma. Chodźmy lepiej na śniadanie.

We wnętrzu ludzików

Caffery budzi się wśród wzgórz Mendip i czuje ból we wszystkich kościach. Zasłania twarz dłońmi i leży jeszcze przez chwilę. Odczuwa ból tak jak śmierć – ból też jest odwieczny i monotony. Caffery'emu z trudem udaje się go pozbyć.

Siedzi w kuchni, sączy kawę i czeka, aż zacznie działać. Po jakimś czasie znowu jest w stanie poruszać głową i nagle uświadamia sobie, że przyczyną tego fatalnego samopoczucia są wnioski, do których doszedł w nocy. Rzeczy, które normalnym ludziom zdawałyby się herezją, mają doskonały, chociaż wypaczony sens, gdy się na nie spojrzy z punktu widzenia skrzywionego psychicznie człowieka, którym jest Handel. Caffery zdejmuje z poręczy schodów stary sweter, zakłada go i sięga po okulary. Znajduje szwajcarski scyzoryk i naładowany kofeiną otwiera drzwi do pralni.

Zostawił na noc otwarte okno – uchylił je tylko na kilka centymetrów, żeby zapewnić swobodną cyrkulację powietrza, nie narażając się na niebezpieczeństwo, ale w pomieszczeniu i tak zrobiło się lodowato. Przez szybę wpadają pierwsze promienie słońca. Ludziki leżą na płytkach podłogi nieruchome, wpatrzone w sufit. Dlaczego ma wrażenie, że leżą tak dopiero od kilku sekund? Że ruszały się przez całą noc, kiedy spał. Może wypełzyły przez okno na dwór? Czy poszły na najbliższy cmentarz i rozgrzebywały groby?

Caffery wciąga rękawiczki i bierze do ręki lalkę przedstawiającą mężczyznę. Grahama Handla. Za pomocą końcówki scyzoryka z pęsetą ostrożnie wypruwa nici ze szwu. Pod zewnętrzną warstwą znajduje wypełnienie z poplamionego muślinu. Materiał jest zapisany słowami, których Caffery nie potrafi od razu przeczytać – atrament rozmazał się tak bardzo, że nie jest nawet pewny, w jakim języku zostały napisane. Zdejmuje do końca wierzchnią warstwę figurki i odkłada ją na

bok niczym zdartą z liliputa skórę. Zaczyna rozkładać muślin. W środku jest jeszcze jedna warstwa.

Po rozebraniu na części obu lalek ma przed sobą na podłodze osiem miniaturowych skór w różnych odcieniach i z różnych materiałów. Jeden poczwórny zestaw ma cechy kobiece – piersi i biodra. Drugi – penisa. Wśród kawałków materiału leżą przedmioty znalezione we wnętrzu lalek. Caffery stwierdza, że ich zębów nie wykonano z muszli – to prawdziwe ludzkie zęby. W sumie osiem. Są stare i pożółkłe; to siekacze oraz trzonowce. Znajdują się tam również dwa pęki splątanych włosów, jeden koloru blond, a drugi ciemniejszy, i coś, co może być – jak mu podpowiada doświadczenie – skurczonymi, zmumifikowanymi szczątkami ludzkich uszu.

Suki i śnieg

Nawiedzający ją często sen wygląda dzisiaj nieco inaczej. Zaczyna się, jak zawsze, w pokoju o gładkich ścianach. Z otworu w suficie wisi jedwabny szal, tyle że dzisiaj jest skręcony w powróż. Ponadto tym razem Penny wie, że pokój znajduje się w lesie. Słyszy śpiew ptaków i czuje zapach świeżego powietrza. Udaje jej się wyrzec na dwór – pada śnieg. Stoi w drzwiach, zwrócona na zewnątrz, i patrzy na Suki, która znowu jest szczeniciem i pędzi do niej przez zaspy – wyskakuje w powietrze i ląduje na cztery łapy, a jej uszy śmiesznie podrygują. Próbuje złapać pyskiem spadające płatki, kręci się w kółko i goni śnieżynkę, która jej uciekła.

– Och, Suki, Suki.

Suczka unosi łebek i pędzi do niej. Jej sierść jest pełna mokrych grudek śniegu i liści, ale Penny tak bardzo cieszy jej widok, że bierze ją na ręce, przyciska do piersi i wtula w nią twarz. Suki pachnie jak mokry sweter. Jest przemoknięta, ociekająca i taka zimna!

– Chodź – zachęca ją Penny. – Chodź, wysuszymy cię.

– Dziękuję – odpowiada Suki męskim głosem. – Dziękuję. Zawsze byłaś miła.

Zaskoczona, Penny stawia psiaka na ziemi. Suki unosi głowę i patrzy na nią. Jej pyszczek wygląda inaczej – jest większy i bardziej kanciasty. Ma wąskie, jakby ludzkie oczy.

– Suki?

Suki unosi łapę. To dłoń – duża, owłosiona męska dłoń! Ujmuje rękę Penny i mocno ją ściska.

– Uwięziłaś mnie – mówi Suki. – Uwięziłaś mnie, ale teraz chcę wyjść.

Nagle Penny się budzi. Ciężko dyszy. Czuje, że zapach jest rzeczywisty, a ktoś naprawdę trzyma ją za rękę. W sypialni jest ciemno – ciemniej niż zwykle. Penny jednak widzi zarys twarzy

na poduszce obok.

To nie Suki, tylko Isaac Handel. Powoli odsuwa się o kilka centymetrów, a jego usta rozchylają się w uśmiechu.

Brudna różowa satyna

Caffery rozpruwa kolejne lalki i przekonuje się, że ukrywają we wnętrzu groteskową kolekcję fragmentów ciała i różnych substancji. Ale oprócz lalek symbolizujących rodziców Handla wszystkie zawierają przedmioty zdobyte bez użycia przemocy – ścinki włosów i paznokci, fragmenty ubrań, rozmaite zgniecione chusteczki higieniczne zabrudzone niezidentyfikowanymi wydzielinami.

Po zamordowaniu rodziców Isaac jeszcze długo siedział w sypialni. Przez cały czas odcinał i odrywał kawałki ich ciała i zaszywał je w lalkach. Okazuje się, że wcale ich nie zjadł ani nie wyrzucił za okno. Na oczach wszystkich ludzi nosił je zawsze przy sobie.

Jeżeli chodzi o pozostałe lalki... Caffery czuje, że w ich przypadku stąpa po mniej pewnym gruncie. Nie jest pewny, kogo mają symbolizować, ale domyśla się, że zapewne pracowników i pacjentów Beechway. Jedna z męskich figurek wygląda szczególnie koszmarnie, ma czerwoną landrynkę naszytą w miejscu, gdzie powinno znajdować się oko. Caffery nie zapomniał opowieści CB o tym, jak Handel namówił innego pacjenta, żeby ten własnoręcznie wydłubał sobie łyżką oko. Moses. Tak miał na imię tamten pacjent.

Penny powiedziała, że zapewne wśród lalek jest też jej podobizna. Caffery nie znalazł figurki, która by ją przypominała – może Isaac zatem nie miał wobec niej żadnych dalekosiężnych planów. Nie widzi też nic związanego z CB ani Melanie Arrow – co zdaje się dziwne, ponieważ jako dyrektorka szpitala powinna w oczach Isaaca reprezentować władzę i kontrolę. Jest atrakcyjną kobietą i zajmuje ważne, eksponowane stanowisko – nawet ktoś tak chory jak Handel zwróciłby na to uwagę.

Caffery nie jest pewny, czy powinien go niepokoić brak tych

lalek, czy te myśli niepotrzebnie go rozpraszają. Czy nie próbuje włożyć swoich myśli w głowę kogoś innego? Zapisuje kilka uwag na ten temat na marginesie swojego notatnika. Odsuwa go na bok i bada resztę lalek.

Dwóm zamierza poświęcić więcej uwagi. To jedyne figurki poza „rodzicami”, które mają zaszyte oczy. Mogą symbolizować ofiary, które upatrzył sobie Isaac. Obie są rodzaju żeńskiego. Wyglądają na martwe, ale nie noszą śladów wykręcania, tortur ani nakłuć, jakie znalazł na ludzikach Grahama i Louise. Te dwie leżą na brudnych skrawkach różowej satyny i mają skrzyżowane na piersiach ręce. Jedna jest otyła i ma na sobie krzykliwy jaskrawoczerwony T-shirt i czerwone skarpetki. Drugą Handel ubrał w niedbale pozszywaną piżamę z niebieskiego płótna. Zrobił jej włosy z pasków jedwabiu w kolorze topionego sera. Jej tułów to po prostu drut owinięty filcem. Wygląda jak obciążony skórą szkielet.

Caffery ma w telefonie przedśmiertną fotografię Pauline Scott. Zerka jeszcze raz na ludzika, a potem na zdjęcie i znowu na figurkę.

Otwiera w telefonie listę kontaktów.

Czerwony T-shirt

CB siedzi w gabinecie. Przeczesuje internet, szukając artykułów o konsyliach w sprawie oceny postępów leczenia i o programach opieki poszpitalnej. Trudno mu zrozumieć, jak to możliwe, że Isaac Handel pomimo wszystkich „środków bezpieczeństwa” tak po prostu zniknął. Nagle na biurku brzęczy telefon. To detektyw Caffery. CB wstaje i zamyka drzwi do gabinetu.

– Tak? Dzień dobry – mówi. – Właśnie miałem do pana dzwonić. Są jakieś postępy?

– Z jednej strony tak, z drugiej nie. Proszę mi powiedzieć, czy przejrzał pan te... rzeczy, zanim je pan przyniósł?

– Właściwie nie.

– Nie był pan ciekawy?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. To głównie dzięki temu, że jej nie czuję, udało mi się wytrwać tak długo w tym zawodzie.

Na drugim końcu linii rozlega się cichy, sardoniczny śmiech.

– To dziwne, bo ja z kolei wytrzymałem w swoim zawodzie właśnie głównie przez ciekawość.

CB odkasłuje. Podchodzi do okna i wygląda na dziedziniec. Jest wietrzny dzień; z gabinetu widać okna skrzydła Mirt. Nad nimi zza żaluzji sączy się wąskimi paskami światło w gabinecie Melanie. CB zamyka żaluzje u siebie. Odwraca się tyłem do okna.

– Są nowe wiadomości?

– Tak, i to dobre. Przekonał mnie pan. Oficjalnie zaczynam śledztwo.

CB przygryza wargę. Myśli o lampie palącej się w gabinecie Melanie za jego plecami.

– Czy to znaczy, że musi pan przyjść do szpitala?

– Tak. Doskonale pan wie, że traktujemy nasze zadania

poważnie, więc niech się pan postara przygotować grunt.

Twarz CB wykrzywia grymas. Jaką przysięgę złożył wczoraj Melanie? I dotrzymał słowa? Nie.

– Może mi pan dać dzień albo dłużej? Czy to bardzo pilne?

Na chwilę zapada milczenie – Caffery w ogóle jest powściągliwy.

– Dzień albo dłużej?

– Tak, żebyśmy miał czas na otwarcie wszystkich... eee... kanałów.

– Wolalbym przyjść wcześniej. Najlepiej dzisiaj po południu albo najpóźniej jutro z samego rana. Musimy się sprężyć. Wciąż nie znamy miejsca pobytu Handla.

– Dobrze. Dobrze, zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję. – CB słyszy w telefonie szelest przekładanych kartek. – A przy okazji, żebyśmy nie zapomnieli: czy czerwony T-shirt i skarpetki coś panu mówią?

CB bierze głęboki oddech. Serce wali mu w piersi.

– Czerwone skarpetki i czerwony T-shirt? To znaczy?

– Chodzi o te lalki, sprawiają wrażenie zrobionych przypadkowo, ale to nieprawda. Nie zwrócił pan uwagi?

– Nie. To znaczy, nie przyglądałem im się.

– Każda symbolizuje jakąś osobę, która pojawiła się w życiu Isaaca. Prawdopodobnie większość z nich to ludzie ze szpitala, bo tylko z nimi Isaac utrzymywał kontakt przez ostatnie jedenaście lat. Jedna z lalek ma na sobie czerwony T-shirt i skarpetki. Dlatego o to pytam.

CB czuje, że na chwilę zamiera mu serce. Wiele by dał, żeby się okazało, że ostatnie zdarzenia są jedynie wytworem jego wyobraźni.

– Zelda – mówi. – Czerwone skarpetki i czerwony T-shirt? Wciąż się z nią sprzeczaliśmy o te skarpetki. Wszyscy je znienawidzili, bo farbowały całe pranie na różowo... – Na kilka sekund oddaje się wspomnieniom. Czuje suchość w gardle. – Panie Caffery, czy któreś z tych lalek przypominają innych pacjentów albo pracowników szpitala?

– Na przykład pana? Nie.

– A... naszą dyrektorkę? Pamięta ją pan? Taka blondynka.

– Może sam pan powinien im się przyjrzeć, kiedy przyjadę do szpitala. Jedna z nich to chyba Moses Jackson.

– Cholera...

– I bardzo chuda dziewczyna w piżamie...

– Ma długie włosy? Blond?

– Tak.

– Pauline – mamrocze CB. – Miała na sobie piżamę, kiedy...

Milknie. Za szybą w drzwiach gabinetu widzi Melanie. Kobieta stoi uśmiechnięta i macha do niego. On też uśmiecha się blado i unosi wyprostowany palec wskazujący. „Jeszcze sekundę” – mówi do niej bezgłośnie. Odwraca się i pośpiesznie wyrzuca z siebie słowa:

– Zrobię wszystko, co się da, żeby przygotować grunt. Dam panu znać, kiedy sam będę wszystko wiedział.

– Dobrze. Naprawdę zależy mi na czasie, więc...

– Muszę się rozłączyć... To nie najlepszy moment.

– Rozumiem. Niech mi pan da znać, kiedy będziemy mogli swobodnie rozmawiać. Czekam na sygnał.

– Na pewno się odezwę.

Dotyka kciukiem czerwonego przycisku. Przez kilka sekund próbuje się uspokoić, a potem zwraca się z uśmiechem w kierunku Melanie. Zaprasza ją gestem.

– Wejdz.

Melanie korzysta z zaproszenia.

– Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać.

– W porządku, to nic ważnego. – Melanie nie prosi o wyjaśnienia, ale on i tak dodaje niemal wbrew swojej woli: – Jakaś firma ubezpieczeniowa chciała mi wcisnąć swoje usługi. Nie wiem, skąd biorą nasze numery. Podobno powinienem się pilnie zainteresować ubezpieczeniem spłaty kredytu. Zaparzyć ci kawy? To nie wyżyny smaku, bo o te trudno w najgłębszych czeluściach szpitala, ale postaram się najlepiej, jak potrafię.

– Nie musisz. Dopiero co piłam.

CB nerwowo pokasłuje. Skłamał. Znowu skłamał.

– Co chciałaś... To znaczy, przysłaś w jakiejś konkretnej...?

Kolejny dzwonek telefonu, który wciąż trzyma w ręce, nie pozwala mu dokończyć. Serce przestaje mu bić. Melanie zerka

na aparat. Niezręczna cisza się przedłuża, CB słyszy kaskadę krwi w żyłach i próbuje zgadnąć, jak Melanie zareaguje, kiedy się dowie, że to znowu Caffery.

– Odbierz – mówi jego dziewczyna. – Poczekam.

– Dobrze, to znaczy, ja... – Zrezygnowany odwraca telefon i zerka na wyświetlacz. Na szczęście na wyświetlaczu pojawia się imię Patience. CB patrzy zboląłym wzrokiem na Melanie. Wyciąga w jej kierunku telefon, żeby mogła przeczytać, kto dzwoni.

– Będę musiał... – mówi.

Melanie potakuje. Posyła mu całusa, odwraca się do drzwi i wychodzi. CB patrzy na nią przez szybę w drzwiach i czeka, aż zniknie za zakrętem korytarza. Dopiero wtedy odbiera połączenie.

– Posłuchaj, CB – mówi Patience. – Tylko się nie denerwuj...

– To doskonały sposób, żeby przygotować rozmówcę na złe wiadomości. – Odchodzi od drzwi. – Wiesz, człowiek od razu się uspokaja. Co się stało? Znowu przegrałaś pieniądze, które odłożyliśmy na podatki?

– Nie. Chodzi o Stewarta.

– Och... – Nagle zaczepny nastrój kompletnie go opuszcza. CB siada przy biurku. – Coś mu...

– Nie, nie. Jest ze mną, CB. Teraz głęboko śpi. Ale nie czuł się dobrze. Poszłam z nim do weterynarza. Zrobili mu płukanie żołądka, pobrali krew i...

– Co powiedziałaś?

– Wiem, przepraszam. Wydałam na niego fortunę, ale nie miałam przy sobie telefonu, więc nie mogłam cię zapytać o zdanie, a lekarka cały czas mnie ponaglała, że muszę się w końcu sama zdecydować, w przeciwnym razie wątroba Stewarta przestanie działać, a potem nerki i... – W słuchawce słychać parę spazmatycznych oddechów. – CB, myślałam, że już po nim.

CB nic z tego nie rozumie. Dopiero co biegał ze Stewartem po pastwiskach, a ten merdał ogonem jak szalony.

– Co się tam, do diabła, stało? Od czego się rozchorował?

Zapada długie milczenie. CB niemal słyszy, jak Patience waży

słowa, zastanawia się, zanim coś powie. Wreszcie mówi niezwykle poważnym tonem, który rezerwuje tylko na okazje, kiedy chce mu coś przekazać między wierszami:

– Pani weterynarz mówi, że zjadł truciznę. Ale ja nie dałam mu nic niedobrego.

– Truciznę? – CB czuje, że coś zimnego, pokrytego łuskami wspina mu się po plecach. Jedyna rzecz, o której jest teraz w stanie myśleć, to poranny spacer do lasu. – Ale jak?

– Lekarka nie wiedziała. Jej zdaniem to mogło być wiele różnych rzeczy. Płukanie żołądka nie wykazało nic szczególnego. Ale na pewno coś zjadł... Może muchomora? Wiesz, że Stewart nie jest zbyt wybredny, jeśli chodzi o jedzenie.

– W porządku, Patience. Dobrze zrobiłaś, niczym się nie przejmuj. Mogę dzisiaj późno wrócić do domu, ale nie martw się o pieniądze, okej? Jakoś sobie poradzimy.

– Mam nadzieję, że nic ci nie jest – mówi krótko Patience. – Naprawdę mam taką nadzieję.

– Nic mi nie jest. – Mówiąc to, CB wygląda przez okno: patrzy na światła skrzydła Mirt i na okno Melanie. W końcu musi zebrać się na odwagę, żeby powiedzieć jej o Cafferym. Jakoś trzeba się do tego zabrać. – Nic mi nie jest. Przytul ode mnie Stewiego.

Kaczka

Jeżeli coś wygląda jak kaczka, pływa jak kaczka i kwacze jak kaczka, to całkiem możliwe, że to... kaczka.

Jeden z instruktorów Caffery'ego w szkole policyjnej w Hendon bardzo lubił to powiedzonko. Podczas ćwiczeń często powtarzał je rekrutom. Widocznie wywarło silne wrażenie na Cafferym, bo ten nagle je sobie przypomina, siedząc w biurze nad stertą dokumentów ze śledztwa w sprawie morderstwa w Upton Farm.

Przyniósł z domu ludziki Handla. Nadinspektor zgodził się na sfinansowanie śledztwa z budżetu policji, więc zaraz przyjdą specjaliści z laboratorium, żeby zabrać lalki i poddać je analizie.

Caffery przygląda się dwóm lalkom w niebieskiej płóciennym piżamie i w czerwonym T-shircie. Obie spokojnie leżą na posłaniu z satyny – niemaltretowane ani klute. Mają zaszyte oczy. W taki sam sposób Isaac zaszył oczy figurkom swoich rodziców.

Zelda i Pauline...

Jeżeli coś wygląda, pływa i kwacze jak kaczka...

Po południu zbierze się cały zespół. Ktoś już prowadzi rozmowy w wydziale kryminalnym o rozpoczęciu polowania na Handla. Członkowie zespołu otrzymali raport z zaginięcia Pauline Scott i jej obdukcji. Ludzie często narzekają, że tryby biurokracji obracają się zbyt wolno, ale wszystko wskazuje na to, że tryby policji Avonu i Somerset są szczególnie dobrze naoliwione. Teraz pozostaje jedynie czekać na sygnał od CB, że już może iść do szpitala.

I w tym właśnie problem. Caffery powstrzymuje się przede wszystkim z poczucia uczciwości – z nieoczekiwanej i niewytłumaczalnej lojalności wobec tego faceta. Jednak kurtuazja ma pewne granice. Kiedy zespół będzie w komplecie,

po prostu postawi krzyżyk na CB i mimo wszystko pojedzie do Beechway.

Czas na kawę. Caffery zagląda do wyszczerbionego starego kubka – jest pusty. Bierze go i wstaje. Na chwilę się zatrzymuje, żeby popatrzeć na wiszącą na ścianie mapę okolicy. Ta mapa świadczy o nieprofesjonalnym podejściu, bo znajdują się na niej miejsca, które powinny być oznaczone pinezkami, a nie są – na przykład szyb w Grocie Elfa czy droga niedaleko Farleigh Park Hall. Jednak czasami mu pomaga. Pomaga mu myśleć, kiedy potrzebuje inspiracji.

Patrzy na nią nieco dłużej, ale dochodzi do wniosku, że właściwie nie wie, czego szuka, więc włącza czajnik. Czekaając na wodę, obserwuje przez okno gęstą mgłę, która podnosi się nad blokami.

Co zamierzasz, Handel? – myśli. Co też ci chodzi po tej pochrзанionej głowie?

Woda się gotuje. Caffery parzy kawę. Dolewa mleka i sięga łyżeczką po cukier, lecz nagle coś staje się dla niego jasne. Zapomina o kawie, szybko unosi głowę i patrzy na ścianę naprzeciwko.

Mapa. Cholerna mapa!

Odkłada łyżeczkę, idzie na drugi koniec biura i staje ze skrzyżowanymi rękami przed mapą.

No i jest – wszystko jasne. Tuż pod Upton Farm znajduje się nazwa napisana drobną staroangielską czcionką, którą tak uwielbiają zakłady kartograficzne: „Dzicz”.

Jak mówić prawdę

W końcu CB zbiera się na odwagę, żeby pójść do Melanie i powiedzieć jej o Jacku Cafferym. Puka do jej drzwi, a kiedy wchodzi, Melanie siedzi za biurkiem i uśmiecha się do niego.

– Cześć – mówi niepewnie CB. – Miałaś jakąś sprawę, kiedy do mnie przyszałaś?

– Chciałam tylko cię przytulić. Przywitać się. – Uśmiecha się wstydliwie. Nic nie wskazuje na to, że przejrzała jego kłamstwo dotyczące rozmowy telefonicznej. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Chociaż niezupełnie.

– Niezupełnie?

– Tak. Muszę... Muszę z tobą porozmawiać. Coś się stało.

– Coś?

CB siada. Kładzie na biurku klucze i telefon – patrzy jej prosto w oczy. Próbuje sobie przypomnieć pierwsze zdanie przemowy, którą przygotował. Ale gdy otwiera usta, udaje mu się wykrztusić tylko:

– Stewart się rozchorował. Był u weterynarza.

Uśmiech znika z twarzy Melanie.

– U weterynarza? Jak się czuje?

– Już niedługo poczuje się lepiej. Patience o wszystko zadbała.

– Boże, tak mi przykro. Biedny Stewart. Może coś zjadł podczas jednej ze swoich... No wiesz. – Marszczy brwi. – Podczas pogoni za tym, do czego ostatnio tak skomle.

– Możliwe. Na szczęście nic się nie stało. Wyzdrowieje.

– To dobrze.

Melanie znowu się uśmiecha, a on szczerzy się do niej jak głupek. Mel czeka, aż coś powie, ale jemu brakuje odwagi. Jest cykorem. Tchorzem. Trzęsidupą, który robi w gacie ze strachu. Panicznie się rozgląda, szukając pretekstu do zmiany tematu – do usprawiedliwienia swojej obecności w jej gabinecie.

– Wiesz co? – Wskazuje ręką korytarz prowadzący z gabinetu do aneksu kuchennego. – Napiłbym się kawy. Mogę?

– Czuj się tu jak w domu. Ja też się chętnie napiję.

Wychodząc, CB czuje na sobie jej wzrok. Wie, że Melanie się domyśla, że chodziło mu o coś innego. Powie jej. Powie. Napelnia ekspres, włącza przycisk i szykuje filiżanki, mamrocząc pod nosem:

– Okłamałem cię, ale nie dlatego, że jestem taki sam jak inni, tylko dlatego, że miałem dobre zamiary...

Stawia na tacy mleko i cukier. Kiedy ekspres sygnalizuje brzęczykiem, że kawa się naparzyła, CB nalewa ją do filiżanek. Serce wali mu jak młotem.

Kładzie dwa herbatniki na talerzyku, niesie tacę do gabinetu i stawia ją przed Melanie.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo.

Melanie sączy kawę, a CB stawia swoją filiżankę na biurku. Zamiast jednak usiąść i wypić, wciąż stoi. Milczy. W końcu Melanie sama zwraca uwagę, że coś jest nie tak. Unosi głowę i patrzy mu w oczy.

– CB, o co chodzi?

– O Zeldę Lornton. O Pauline i Mosesa. Policja zamierza wszcząć śledztwo.

Jej reakcja jest błyskawiczna i dokładnie taka, jakiej się obawiał. Melanie odpływa krew z twarzy.

– Co? – pyta niemal szeptem, nie dowierzając. – Co powiedziałeś?

Dzicz

Penny Pilson nie odbiera telefonu, więc Caffery zostawia wiadomość:

– Proszę do mnie zadzwonić w wolnej chwili. Chciałbym o coś zapytać. Zastanawia mnie, co miała pani na myśli, mówiąc, że Handel będzie się włóczył po dziczy. Niech pani do mnie oddzwoni.

Zerka na zegarek. Nadinspektor jest na spotkaniu w dowództwie i zostanie tam do obiadu. CB LeGrande ma numer komórki Caffery’ego. Nic go nie trzyma w biurze. Szybko znajduje kluczyki i w ostatniej chwili przed wyjściem decyduje się wziąć z szafy ciepłą kurtkę North Face i buty terenowe.

Wotton-under-Edge zawdzięcza nazwę swojemu położeniu na granicy wzgórz Cotswold. To stare miasto targowe – do dzisiaj zachowało klimat miejscowości, w której spotykają się okoliczni mieszkańcy. Ale o tej porze w zimne październikowe popołudnie Caffery widzi jedynie pojedynczych przechodniów znikających we wnętrzach jasno oświetlonych sklepów lub wychodzących stamtąd na ulicę. Wyjeżdża z centrum, w lusterku wstecznym widzi, jak miasto coraz bardziej się kurczy. Do Upton Farm zostały stąd już ledwie trzy kilometry. Rodzina Handla zapewne właśnie w Wotton załatwiała codzienne sprawunki. Ciekawe, czy ostatnio Isaac też tam bywał? Czy siedział na ławce na przystanku autobusowym i obserwował przechodniów?

Drut i kombinerki. Jakies niedokończone przedsięwzięcie?

Droga wiję się wzdłuż zbocza, a na szczycie zatacza łuk, przecinając Westridge i North Nibley. Wspomagając się telefonem i pamięciowym obrazem mapy, Caffery znajduje wąską dróżkę, która wiedzie przez opuszczony sad. Pordzewiały kontener leży na boku pod krzywymi drzewami,

jakby jakiemuś olbrzymowi znudziło się zrywanie jabłek i od niechcenia cisnął go na ziemię. Trawy dawno nie podcinano – splecione, długie pędy płożą się pod mokrymi stosami gnijących jabłek.

Dróżka się kończy, więc Caffery zatrzymuje samochód. Nakłada buty terenowe i kurtkę, a ze schowka pod deską rozdzielczą wyjmuje latarkę. Jest ciężka, solidna i dobrze leży w dłoni. Zamyka kluczykiem drzwi, stawia kołnierz i rusza ścieżką między drzewa.

Mija piętnaście minut, zanim udaje mu się przedrzeć do miejsca oznaczonego na mapie jako Dicz. Parę razy jego telefon gubi zasięg sieci GPS i po chwili znowu go znajduje. Caffery idzie dalej ścieżką i już widzi przed sobą skrawek jasnego nieba, gdzie ścieżka wychodzi na polanę, gdy na wyświetlaczu pojawia się informacja o dostępności jedynie numeru alarmowego, a potem: „Brak sygnału”. Chowa telefon do kieszeni i nieustępliwie idzie naprzód.

Na polanie wyskakuje na niego raptem jakiś kształt – niczym góra albo olbrzym o pobielających kościach. Caffery od razu orientuje się, że to drzewo, ale niepodobne do żadnych innych drzew, które widział w życiu – jest gigantyczne i w półmroku wygląda na martwe. Nadszarpnięty upływem czasu szkielet wielkiego ogra.

Caffery uważnie przygląda się otoczeniu, a potem, jakby przyciągany magnetyczną siłą, zbliża się do drzewa – wolno, wsłuchując się w szelest suchych liści pod podeszwami. Obchodzi pień dokoła, aż znajduje na wpółukryte, łukowate wejście do pustej rozpadliny, gdzie kiedyś musiał znajdować się rdzeń pnia. Wspierając się dłonią o najbliższy wygięty korzeń, pochyła się i świeci do środka latarką. Widzi puszkę po piwie i przemoczony śpiwór na rozłożonym kartonowym pudle.

– Halo!

Promień latarki wydobywa z ciemności nierówne, poznaczone sękami i wybrzuszeniami powierzchnie – wyglądają jak ściany skalnej jaskini.

– Jest tu kto?

Cisza. Caffery kołysze latarką w lewo i w prawo – jakby ten

ruch mógł wypłoszyć kogoś, kto się tam ukrywa. Wyłącza światło i czeka, wstrzymując oddech. Ze środka nie dochodzi żaden dźwięk. Nikogo tam nie ma.

Wciąga nosem powietrze. Czuje silny odór wilgotnej ziemi i zbutwiałych liści – i jeszcze czegoś. Mniej intensywny, zamaskowany wilgocią fetor, który drażni jego zakończenia nerwowe i sprawia, że Caffery zamiera bez ruchu, z rozchylonymi ustami, niczym węszący kot. To znajomy zapach – czuł go całkiem niedawno. Zalatujący zaniedbaniem i moczem smród lalek Handla.

Pochyla się i zgięty niemal wpół, wchodzi do szczeliny. Tam smród jest tak silny, że musi zasłonić sobie usta. Znajduje pod nogami złamaną gałązkę i rozgarnia za jej pomocą leżące na ziemi przedmioty. Czuje się tak, jakby buszował w śmieciach. Znajduje zgniecione w nierówne krążki puszki po piwie, plastikowe butelki i kilka pustych torebek po chipsach. Unosi końcem gałązki jeden róg śpiwora. Widzi, że na kartonie leży służąca za prymitywną izolację przed wilgocią plastikowa reklamówka z logo sklepu Wickes.

– Cześć, kolego – mruczy pod nosem Caffery. – Wreszcie na ciebie wpadłem.

Warci siebie

CB bardzo chciałby usiąść przy Melanie, ale wie, że wypada mu raczej stać, bez względu na rozwój sytuacji.

– Musiałem zaangażować w to policję. – Stara się, żeby jego argumenty brzmiały logicznie. – Bądźmy szczerzy, oboje od dawna o tym wiedzieliśmy. Nie chodzi jedynie o to, że Isaac był w twoim ogrodzie. Obciąża go wiele innych poszlak.

– O Boże... – Melanie zasłania usta. Traci resztki dobrego samopoczucia. – O Boże... – powtarza. – O Boże...

– Melanie, on jest sprytny. O wiele sprytniejszy niż sądziliśmy. Wiedział, jak manipulować ludźmi. Zeldą i zapewne także Mosesem. Może nawet Pauline. Wszyscy oni się bali. Zwróć uwagę, jak wielu świadków twierdzi, że się bało, zanim...

Głos więźnie mu w gardle. Melanie dramatycznie unosi ręce, rozgarnia palcami włosy. Wbija paznokcie w skórę i potrząsa głową jak człowiek poddany torturom. CB z całej siły powstrzymuje się przed podejściem, żeby ją uspokoić. Stoi bez ruchu, milczący – stopy blisko siebie, ręce w kieszeniach. Musi przeczekać tę rozpacz. Czeka, obserwuje autodestrukcyjne zachowanie Melanie. Ta porusza głową w obie strony i bez przerwy powtarza:

– Nie... nie...

W końcu kobieta unosi twarz, patrzy na niego trzeźwym wzrokiem. Jej policzki przecinają dwie smugi rozmazanego łzami tuszu do rzęs, ale poza tym jej mina wyraża kompletny spokój. Wygląda tak, jakby postanowiła odciąć się od tamtej chwili słabości.

– CB...

– Tak, Melanie?

– CB...

W jej głosie słychać pytanie, ale też, w pewnym sensie, rezygnację. Raptem możliwość, której CB do tej pory w ogóle

nie brał pod uwagę, staje się tak oczywista, że przez chwilę go oślepia. Melanie coś ukrywała! CB czuje, że rozluźniają mu się mięśnie twarzy, bo nagle zdaje sobie sprawę, że podświadomie cały czas to podejrzewał. Wciąż się domyślał, że Melanie nie mówi mu całej prawdy.

– Wiedziałas – wykrztusza. – Wiedziałas, co się stało. Wiedziałas, że to on stoi za tamtymi wypadkami.

Melanie wpatruje się w niego bez mrugnięcia okiem.

– Melanie! Wiedziałas?

Teraz to on nie jest w stanie zachować zimnej krwi. Osuwa się na krzesło naprzeciw Melanie i nie może oderwać od niej wzroku.

– Wiedziałas... Doskonale wiedziałas, co wyczynia Isaac.

Melanie znowu zwiesza głowę i wbija w skronie swoje elegancko wypielęgnowane paznokcie.

– CB, spiamy ze sobą i razem robimy rzeczy, które są zapewne niezgodne z przepisami, więc to chyba znaczy, że nie powinniśmy mieć przed sobą sekretów...

– Po prostu mi odpowiedz. Wiedziałas?

– Nie wiedziałam na pewno. Ale jeżeli mam być szczerą, to coś... podejrzewałam.

– Podejrzewałas?

– Każdy ma prawo naprawić swoje błędy. Każdemu trzeba umożliwić rehabilitację. Na tym założeniu zawsze opierała się moja etyka zawodowa.

– Etyka zawodowa? Stawałas na głowie, żeby wypuścić na wolność tego skurwiela? I to wiedząc, do czego jest zdolny?

– Nie wiedziałam, tylko podejrzewałam.

– Wystarczy, że go podejrzewałas. – CB odchyła głowę i unosi dłonie, jakby błagał Boga o pomoc. – Nie mogę w to uwierzyć!

– Bo nigdy nie byłeś na moim miejscu. Nigdy nie musiałeś sobie radzić z taką presją. Nic tobie nie wypominam, możesz mi wierzyć, ale nie masz pojęcia, jak to jest. To przekleństwo pracowników średniego szczebla, są jak szynka w kanapce. Jakkolwiek uprzywilejowana zdaje się ta pozycja pracownikom, którzy znajdują się w miejscu spodniej kromki, to naprawdę piekło. Zbieramy baty z obu stron. Cały personel szpitala

oczekuje ode mnie, żebym występowała jako przedstawiciel władz, cokolwiek to znaczy, ale dla funduszu jestem tylko narzędziem. Mam bez szemrania słuchać poleceń i ubierać je w ładne słowa, które moi pracownicy rozumieją i mogą się do nich odnieść.

– Szczerze mówiąc, mało mnie to interesuje. Zmanipulowałaś konsylium tak, żeby uwolniono Isaaca.

– Wśród pacjentów szerzyła się histeria.

– I dalej się szerzy. Tyle że teraz przekroczyła granice szpitala, więc doprawdy strzeliłaś sobie w stopę. Isaac zniknął z miejsca, gdzie miał przebywać, a my oboje wiemy, że był w twoim ogrodzie. Mam podstawy sądzić, że odwiedził i mnie. Możliwe nawet, że to on otruł Stewarta. Przykro mi, Melanie, ale trudno mi to przelknąć.

– CB, moja posada wisiała na włosku. Na bardzo cienkim włosku. Nie wiesz, ile wyrzeczeń kosztowało mnie utrzymanie pracy ani ile gówna musiałam znieść, żeby ją w ogóle dostać. Skąd mogłam wiedzieć, że Isaac wróci? Zgoda, jestem idiotką. Teraz to widzę.

– Twoja decyzja na pewno nie ma nic wspólnego z Jonathanem? To nie on cię namówił?

Melanie mruga, zaskoczona.

– Co? Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Znikąd. Po prostu to wszystko jest takie... Okłamałaś mnie.

– Ty mnie też. Wygląda na to, że niejedną raz. Może jesteśmy siebie warci?

– Jesteśmy siebie warci?

Po tych słowach CB niemal traci zimną krew. Jak na człowieka, który nigdy nie podejrzewał się o posiadanie mocnego kręgosłupa moralnego, sam ze zdziwieniem obserwuje, jak bardzo ta sprawa mu dokucza. Wstaje i zaczyna chodzić po gabinecie w tę i z powrotem, próbując w sensowny sposób ułożyć fakty.

– Przepraszam – mówi pokornie Melanie. – Tak bardzo mi przykro.

CB nie przestaje krążyć. Stara się nie patrzeć w jej kierunku.

Pewna część umysłu podpowiada mu, że zachowuje się nielogicznie i niesprawiedliwie; wie też, że zapewne wszystko jej wybaczy. Bo to przecież Melanie, a on ją kocha.

– CB... CB?

Zatrzymuje się i zerka na nią. Melanie wstała, ufnie się uśmiecha i wyciąga do niego rękę. CB marszczy brwi, wciąż niepewny.

– CB, już dobrze? Rozejm?

W końcu ją obejmuje, chociaż bez przekonania. Melanie wsuwa dłonie pod jego łokcie i krzyżuje je na plecach CB. Wtula twarz w jego koszulę.

– CB, tak mi przykro... Przepraszam.

– W porządku. – Nieco sztywno głaszcze jej włosy. – Wszystko gra. Jakoś to będzie.

– Czasami brakuje mi poczucia bezpieczeństwa. W pracy.

– Wiem. Wiem.

Dalej ją głaszcze, ale nie jest pewny, co o tym myśleć. Milczenie się przedłuża, a CB cały czas czuje na ramieniu szybkie, płytkie uderzenia jej serca. Na starym zegarze za oknem wskazówki zbliżają się do trzeciej po południu. Ciekawe, jak oboje wyglądają dla kogoś z zewnątrz? Jak ludzie, którym na sobie zależy? Czy jak skłócona i zagniewana para?

– Mam pomysł. – Melanie cofa się o krok. Wyjmuje z kieszeni kardigana chusteczkę i wyciera nos. – Ucieknijmy.

– Ucieknijmy?

– Tak. Po prostu się stąd wynieśmy. – Wyciąga przed siebie dłoń i gestem, który ma przypominać lecący samolot, wskazuje na okno. – Zniknijmy, dopóki sprawa nie przycichnie. Zgłoś na policji, że się pomyliłeś, i możemy razem wziąć zwolnienie lekarskie albo urlop czy coś w tym rodzaju, a potem dokądś polecieć. Mam trochę kontaktów w administracji, więc nikt się nie będzie czepiał. Co powiesz na jakąś gorącą wyspę? Co dzień słońce, piasek i seks. – Unosi twarz i patrzy mu w oczy. – Kiedyś wypłynęłam do obiadu sześć kolejek *piña colada* i wpadłam do basenu.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Ratownik musiał mnie wyciągnąć na brzeg.

– To też mogę sobie wyobrazić. Jestem zazdrosny.

Rozmarzona Melanie uśmiecha się do niego.

– No to jak? Uciekniemy?

– Ech, Melanie, Melanie...

– Co?

– Nie mogę uciec.

– Dlaczego?

– Nie możemy ot tak udawać, że nic się nie dzieje.

– No dobrze. Dobrze. – Melanie przygryza usta. Wygląda tak, jakby uszło z niej powietrze. – Rozumiem.

– Ponadto, co zrobimy ze Stewartem? Coś mu... Cóż, Bóg wie, co mu dolega, ale nie mogę go zostawić. Na pewno nie teraz, kiedy jest chory.

– Rozumiem.

Melanie rozgląda się bezradnie, jakby próbowała znaleźć jakiś punkt zaczepienia, na którym mogłaby skupić uwagę. CB milczy. Wie, kiedy lepiej trzymać język za zębami.

– Ja, mm... CB... ja... – Melanie zaczyna zbierać swoje drobiazgi: torebkę, telefon, kluczyki. – Chyba muszę się przejść, może trochę pojeżdżę samochodem. Muszę wyjść na powietrze, wiesz?

– To może być dobry pomysł.

Melanie potakuje:

– Tak, to dobry pomysł.

Zakłada kremowy płaszcz przeciwdeszczowy, naciąga kaptur na głowę, żeby zasłonić twarz, i nie czekając, czy CB coś powie, rusza do drzwi. Po chwili CB widzi ją za oknem – już zdążyła przejść przez służbę bezpieczeństwa w zwężeniu „łodygi” oraz przez korytarz budynku administracji i wyszła przed szpital. Z kluczykami w dłoni zmierza szybko do samochodu. Kierunkowskazy volkswagena garbusa krótko migają, po czym Melanie siada za kierownicą.

Przez moment CB widzi jej postać rozjaśnioną wyświetlaczami na desce rozdzielczej – przemoczone, miodowe włosy przykleiły jej się do twarzy i zdaje się, że znowu płacze. Potem Melanie wyjeżdża za szlaban przy portierni, a CB zostaje zupełnie sam, wpatrzony w pustkę.

Magiczne ciastko

Caffery opiera się o wydrążony pień. Kuca wsparty plecami o drewno i musi niewygodnie przechylać głowę, niczym Alicja po zjedzeniu magicznego ciastka. Kieruje promień światła latarki na śpiwór i próbuje sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógłby się tutaj wyspać. Drzewo przynajmniej chroni przed wiatrem. Isaac Handel znał to miejsce jako dziecko – to pewne, bo Upton Farm jest bardzo blisko stąd. Nie wiadomo jednak, z jakiego powodu wrócił w te strony. Czy tylko dlatego, że to znajoma okolica? A może miał inny powód? Jakies niedokończone sprawy?

Nie ma tu kombinerek, drutu ani innych rzeczy, które Handel kupił w Wickes. Możliwe, że ukrył je gdzie indziej w lesie. Caffery zaczyna przeciskać się rakiem w kierunku wyjścia, a jednocześnie przygotowuje w myślach listę nakazów i zezwoleń, których będzie potrzebował. Musi zorganizować nadzór. Nadinspektor powinien zaaprobować związane z tym wydatki, ale jakoś trudno sobie wyobrazić, że ktokolwiek z grupy wsparcia ochoczo zachłyśnie się możliwością obserwacji tego miejsca. Sekcja dochodzeniowo-śledcza ma skromny budżet na nadgodziny, którego szefowie nie będą skłonni trwonić w taki sposób. Ponadto każdy woli siedzieć w ciepłym samochodzie. Nikt nie marzy o ornitologicznych gadżetach, kapeluszach sztormowych ani sikaniu do butelki.

Nagle coś spada z góry i zawisa tuż przy twarzy Caffery'ego. Ten drętwieje zgięty w pół. Wolno odwraca wzrok i unosi latarkę – w pewnym stopniu również w celach obronnych. Przedmiot kiwa się ledwie kilka centymetrów od jego oczu – tak blisko, że mija parę sekund, zanim Caffery'emu udaje się skupić na nim wzrok. To nieudolnie zszyta twarz lalki. Pewno była wetknięta między korzenie ponad jego głową i przypadkowo ją potrafił. Wisi głową w dół, zaczepiona

nogami o gałąź, i kołysze się rozhuśtana impetem upadku.

Ma wszystkie typowe cechy ludzików Isaaca. Jest wykonana z różnych materiałów – w tym przypadku sztuczna skóra w karmelowym kolorze imituje ciało, twarz wykonano z gładkiej porcelany, a strój – dziwną, krótką sukienkę – ze skrawka białej koronki. Caffery nie dotyka figurki. Wyjmuje okulary z kieszeni kurtki, zakłada je na nos i przechyla głowę na różne strony, żeby dokładnie obejrzyć kukielkę w świetle latarki.

Rzeczywiście, jest podobna do tamtych. Ale coś ją wyróżnia. Została potraktowana jeszcze gorzej. Wyobraża kobietę z długimi pasmami żółtej włóczki – włosami, które bezwładnie kołyszą się razem z lalką, kiedy ta wisi do góry nogami. Włosy to jedyna swobodnie zwisająca część jej ciała. Ludzik ma usta zaklejone wąskim paskiem taśmy izolacyjnej, a skrzyżowane na piersi ręce zostały przyszyte na stałe. Jakby dla pewności, że postać jest dobrze unieruchomiona, jej nadgarstki krępuje delikatny srebrny łańcuszek.

Caffery wystarczająco biegle poznał styl Handla, by wiedzieć, co to znaczy. Lalka symbolizuje kobietę – prawdziwą kobietę, z krwi i kości – wobec której Handel ma złe zamiary. Ta kobieta ma jasne włosy, a wśród jej garderoby znajduje się koronkowa bluzka lub sukienka z niezauważoną wyciętą dziurą. W jej szkatułce na biżuterię na pewno brakuje srebrnej bransoletki.

Nieszczęsny karzeł

Plany ewakuacyjne zakładu zamkniętego Beechway wyglądają jak mapa niezwykle skomplikowanego labiryntu. Mają tyle przenikających się, zróżnicowanych poziomów, że nie sposób się nie pogubić. Jeden z tych planów, oprawiony w ramkę, wisi na ścianie gabinetu Melanie. CB stoi przed nim i pustym wzrokiem wpatruje się w gąszcz korytarzy. Może ten zakład ma nadprzyrodzoną moc pochłaniania istnień? Połknął Pauline, Mosesa i Zeldę. Niewykluczone, że teraz dobrał się do niego.

Przechesuje dłonią włosy. Mruży oczy i żałuje, że nie może łyknąć tabletki – jednego z lekarstw, które zażywają pacjenci, kiedy dopada ich kryzys. Czegoś, co pozwoliłoby mu wyłączyć umysł i porządnie go przepłukać. Zerka ponad ramieniem na aneks kuchenny, na dodane przez Melanie próby ocieplenia wizerunku za pomocą domowych akcentów. Zatrzymuje wzrok na reprodukcji z kotem śpiącym na białym murku jakiejś śródziemnomorskiej miejscowości. Na imbryku z pokrywką, na którym widać namalowaną błękitną wodę i niebo Riwieri. Jest pewny, że nawiązali z Mel szczególny rodzaj porozumienia. Aż tu nagle to! Taki sekret! Zdawało się, że są ze sobą szczerzy – ich seks, żarty i wyznania grzeszków nie były pozorowane. I po tym wszystkim okazuje się, że Melanie wciąż ma przed nim tajemnice! CB jest pewny, że Jonathan ma coś wspólnego z tą sprawą, ale jeszcze nie wie co. Czyżby ten dzień miał się zapisać jako jeszcze bardziej przygnębiający niż ten, gdy zmarła matka – sama w ogrodzie, z uwalanym ziemią i trawą, przygryzionym językiem?

CB zmywa filiżanki. Widząc zostawione przez Melanie otwarte opakowanie ciastek Digestive z czekoladą, szczerze je zamyka i wkłada do puszk. Gasi światło, a potem wraca do gabinetu. Zatrzymuje się przy wejściu. Stoi całkowicie bez ruchu, opiera głowę o drzwi, trzymając rękę na wyłączniku. Głęboko

oddycha.

Po chwili włącza z powrotem światło, idzie do okna, spuszcza żaluzje i siada przy biurku Melanie. Prosty, praktyczny mebel wykonano z buku – panuje na nim idealny porządek, wszystkie elementy są jasne, o miodowym odcieniu. Na blacie, jakby przeniesione z poprzedniej epoki, znajduje się staromodne pudełko z przegródkami, a w nich jedna czy dwie koperty. Komputer Melanie to PC w komplecie z podświetlaną bezprzewodową myszą na podkładce z cytatem nadrukowanym białą czcionką na niebieskim tle: „Przegrani potrafią rozładować napięcie, ale to zwycięzcy osiągają sukces”.

CB długo wpatruje się w tę podkładkę. W końcu wyciąga rękę do myszki. Lekko dotyka palcem przycisku. Komputer nagle ożywa.

Jest zabezpieczony hasłem.

No, oczywiście.

CB opiera się na krześle, czuje niemal ulgę. Nie chciałby wyjść na podglądacza, który wtyka nos w nie swoje sprawy. Przecież nim nie jest. Nie ma prawa szpiegować Melanie ani jej osądzać. Jemu też daleko do ideału. Może powinien okazać więcej zrozumienia dla swojej dziewczyny, której życie nie rozpieszcza. Przecież nie wiedziała, jak sprawy się potoczą. Zatelefonuje do niej i przeprosi. Wyjmuje telefon i patrzy na wyświetlacz, lecz nagle staje mu przed oczami Isaac Handel zaciskający dłonie na szyi Zeldy. Odkłada aparat do kieszeni.

Niezdecydowany bębni palcami w kolana. Otwiera najniższą szufladę biurka. Nie ma w niej nic ciekawego: kosmetyczka, para fioletowych pantofli na niskim obcasie – może na nieoczekiwane okazje, kiedy szybko trzeba włożyć coś eleganckiego. Widzi też dezodorant i rajstopy w cielistym odcieniu. W drugiej szufladzie znajduje się organizer pełen spinaczy i gumek. Pod nim zaś leży wciśnięta na sam spód gruba książka w miękkiej okładce.

CB wyjmuje ją i czyta tytuł: *Ściany, które krzyczą. Przewodnik dla łowców duchów po nawiedzonych szpitalach Wielkiej Brytanii*. Pewno Melanie kupiła ją, kiedy usłyszała pogłoski o Maude. Może chce się dowiedzieć, czy w przeszłości

w jej szpitalu „straszyło”. Książkę wydano w 1999 roku – długo przed pierwszymi wizytami Maude na terenie Beechway. CB z ciekawości otwiera indeks i szuka hasła „Beechway”. Nie ma o nim jednak żadnej wzmianki. Już zamierza odłożyć książkę na miejsce, lecz wpada na pewien pomysł.

Indeks zajmuje cztery strony, ale CB wodzi palcem wzdłuż wszystkich haseł, żeby zaspokoić ciekawość. Wyłuskuje takie pozycje jak: Bedlam (Bethlem); deinstytucjonalizacja opieki psychiatrycznej; Cherry Knowle Hospital, Sunderland; Denbigh Hospital; diagnoza kliniczna DSM-5; ektoplazma; Hine, G.T. (architekt); ustawa o zdrowiu psychicznym, jej skutki; Ryhope General; St George Field, Bethlem; „obsiadanie”, rodzaj nawiedzenia...

CB zatrzymuje się na tym hasle. „Obsiadanie” jako rodzaj nawiedzenia?

Gończakowo otwiera książkę na wskazanej stronie.

Tekst jest usiany schematami i fotografiami budynku, który imituje gotyk – to klasyczny dom pracy dla ubogich zbudowany na planie „grzebienia”, gdzie poszczególne oddziały, niczym zęby grzebienia, odchodzą prostopadle od głównego korytarza. Widać, że podjęto tam kilka pośpiesznych, nieroztropnych decyzji – rząd kolumn, które wzniesiono z żelaznych rdzeni i gipsu imitującego kamień, zastąpiono ścianą z pustaków, ale zwieńczone ostrymi łukami okna i blanki zostawiono w nienaruszonym stanie.

Szpital Hartwool. Ta placówka znajduje się na północy Anglii, niedaleko Rotherham. CB czyta opis, mamrocząc pod nosem słowa niczym uczący się liter pierwszoklasista.

Liczne przypadki samookaleczenia przypisywano wpływowi ducha zwanego „siedzącą zjawą z bloku B”. Miał to być duch byłej dyrektorki placówki – karlicy, która znęcała się nad pacjentami...

CB czuje i słyszy, że krew głośno pulsuje mu w uszach.

Próba samobójcza, podczas której pacjent próbował odciąć sobie nos...

Pacjentka X skarżyła się, że po przebudzeniu ujrzała kucającą nad nią zmoreę...

Niedobory personelu oraz rezygnacje z pracy czasami tłumaczono strachem przed upiornym karłem, który siadał pacjentom na piersi...

...halucynacje i urojenia dotyczące duchów...

...ten prymitywny portret karłowatej postaci, która siedzi na piersi pacjenta, został narysowany przez jednego z podopiecznych w 1997 roku...

CB wpatruje się w rysunek – szkic przedstawiający ciemny kształt pochylony nad bezwolnym pacjentem. Obok znajduje się fotografia nagrobka na terenie aktualnie opuszczonego szpitala.

*Nasza siostra Maude, nieszczęsna karlica,
która odeszła z tego świata i dołączyła do grona duchów
18 września 1893 r.*

CB zerka na nagłówek strony: „Szpital Hartwool. Rotherham”. Łoskot krwi w uszach staje się jeszcze bardziej ogłuszający.

Szpital Hartwool jest placówką, w której Melanie pracowała, zanim przeprowadziła się tutaj. Została przeniesiona, kiedy w całym kraju wprowadzono na szeroką skalę politykę deinstytucjonalizacji opieki psychiatrycznej.

To szpital, w którym pracowała z Jonathanem Keayem.

Nie wierz pozorom

Penny Pilson nie oddzwoniła, więc Caffery jeszcze raz ostrożnie jedzie dnem doliny, mija rozklekotany most i staje przed starą przędzalnią. Okiennice w domu są wciąż zamknięte. Puka i próbuje zajrzeć do środka przez wycięte otwory w kształcie serc, ale wewnątrz panuje półmrok. Wraca do samochodu, lecz nagle słyszy jakiś hałas – z wnętrza dochodzi szuranie – i drzwi otwierają się na kilka centymetrów.

– Cześć.

– Cześć.

Dzisiaj Penny nosi zrobiony na drutach kardigan i dżinsy z obciętymi nogawkami. Obejmuje się ramionami, wciskając dłonie pod pachy. Ma bose stopy, a jej włosy są potargane i brudne, jakby długo mierzwiła je zatłuszczonymi rękami.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Kobieta nie ma makijażu, ale kiedy Caffery podchodzi, nabiera pewności, że to nie jedyna różnica. Jest równie nerwowa jak wczoraj, ale to inny rodzaj podenerwowania. Patrzy na niego z rezerwą, jakby coś ukrywała.

– Na pewno?

– Oczywiście. Po prostu brałam kąpiel.

Caffery potakuje skinieniem głowy, że przyjmuje to wytłumaczenie. Ale jej zachowanie trochę go dziwi.

– Zostawiłem wiadomość na sekretarce.

– Wiem... Cały dzień byłam bardzo zajęta. Miałam oddzwonić po kolacji.

Caffery przygląda się jej badawczo. Nie zaprosiła go i stanęła tak, żeby całkowicie wypełnić szczelinę w drzwiach i uniemożliwić mu zajrzenie do środka.

– Chciałem ci zadać kilka pytań. Byłem tam... – Unosi

podbródek, wskazując głową w kierunku Dzikicy i starego cisu.
– Chyba znalazłem jego kryjówkę.

– Hm?

– Mieszka w Dzikicy, prawda?

– Możliwe. Ma pan rację. Czasami tam chodził, kiedy mieszkał jeszcze na farmie.

Mechanicznie uśmiecha się do niego i zaczyna zamykać drzwi.

– Jeszcze chwilę. – Caffery unosi dłoń. – Minutę. Mam jeszcze jedno pytanie.

Penny się waha. Po chwili, jakby niechętnie, znowu szerzej uchyla drzwi. Caffery’emu udaje się zerknąć do środka. Światło jest zgaszone. Z wnętrza dochodzi dziwny zapach. Może to jakieś przetwory, które Penny gotuje. Jej paznokcie są poobgryzane do żywego mięsa.

– Znalazłem tam coś. Proszę na to rzucić okiem.

Wyjmuje z kieszeni kurtki lalkę. Niósł ją w reklamówce. Ostrożnie otwiera plastikową torbę i podsuwa w kierunku Penny, żeby mogła się przyjrzeć. Ta patrzy na kukłę, a Caffery widzi, że kilka razy nerwowo przełyka.

– Tak – mówi zdławionym głosem Penny. – To jego dzieło.

– Wie pani, kogo może przedstawiać?

Penny potrząsa głową.

– Nie chcę dłużej na to patrzeć. Proszę to zabrać.

Caffery owija reklamówkę wokół lalki i wkłada ją z powrotem do kieszeni. Penny zachowuje się zupełnie inaczej niż wczoraj. Nie chce mieć z nim nic wspólnego. Przychodzi mu na myśl jej romans z Grahamem Handlem. Może jest świadkiem czegoś podobnego. Może jest u niej gość, którego się wstydzi.

– A zatem chyba już pójdę.

Kiedy się odwraca, Penny pochyla się do jego ucha i znacząco szepcze:

– Panie Caffery.

– Tak?

– Niech pan nie wierzy pozorom.

– Słucham?

– Nie mogę nic więcej powiedzieć. – Penny znowu się cofa. – Do widzenia.

Nie czekając na dalsze pytania, Penny znika za drzwiami, a Caffery zostaje na progu sam, skonsternowany i niepewny, co przed chwilą zaszło.

Jadąc z powrotem do siedziby MCIT, zastanawia się, czy nie powinien zawrócić. Co to, do diabła, mogło znaczyć: „Niech pan nie wierzy pozorom”? Parkuje tam gdzie zawsze – pod estakadą – i idzie do biura na piętrze. Czuje na piersi lalkę w wewnętrznej kieszeni kurtki – nie może się oprzeć wrażeniu, że ta wbija w niego palce. Nienawidzi tego draństwa. Będzie szczęśliwy, kiedy wreszcie będzie mógł się go pozbyć. Kładzie figurkę na blacie biurka. Plastikowa reklamówka wybrzusza się na brzegach i wygląda jak jej gniazdo. Na całym piętrze słychać przytłumiony szum, członkowie zespołu wychodzą i wchodzą, z sąsiednich pokoiw dobiegają strzępy niecierpiących zwłoki rozmów telefonicznych, nadinspektor łączy się ze śledczymi. Caffery przysuwa duże soczewki lampy mikroskopu i umieszcza je nad lalką.

Zabezpieczonym rękawiczką palcem odchyła łańcuszek, którym skrepowane są ręce postaci. Okazuje się, że to bransoletka – mając więcej czasu, żeby jej się przyjrzeć, dostrzega owinięty łańcuszkiem breloczek z wieczkiem. Caffery robi zdjęcia lalki w obecnym stanie; domyśla się, że nie ma wiele do stracenia, i podważa wieczko paznokciem małego palca. Wieczko odskakuje i spada na zakneblowane usta figurki.

W środku znajduje dwie wygrawerowane ozdobną czcionką litery – M oraz A.

Nagle w kieszeni dzwoni mu telefon. Wyciąga aparat i widzi pulsujące na wyświetlaczu nazwisko: CB LeGrande.

– Cześć, CB.

– Może pan rozmawiać?

– Mogę.

– Proszę zapisać sobie nazwisko.

– Czyje?

– Zastanawiałem się, czy Handel nie ma gdzieś bezpiecznego schronienia, czy przypadkiem ktoś mu nie pomaga.

Ta uwaga jest tak celna – zupełnie, jakby CB czytał mu

w myślach – że Caffery pozwala sobie na niedowierzający śmiech. Na chwilę przestaje się interesować lalką i siada wygodniej. Znajduje na biurku notes z odklejanymi kartkami oraz długopis.

– Proszę mówić.

– Jonathan Keay – dyktuje CB. – K-E-A-Y.

– Keay. Czyli...?

– Czyli były pracownik naszego szpitala. Specjalista terapii zajęciowej. Zwolnił się mniej więcej przed trzema tygodniami. Nie mam pojęcia, co się teraz z nim dzieje.

– W porządku. – Caffery pisze dalej, przyciskając telefon do ucha ramieniem. – Może jakieś... bardziej szczegółowe dane?

– Nieaktualne. Mam tu adres, ale dowiedziałem się, że już pod nim nie mieszka, a telefon pod starym numerem też jest głuchy. Przed chwilą próbowałem się do niego dodzwonić.

– Zna pan jego datę urodzenia? Albo NIP? Powinny być w jego aktach.

– Tak, ale akta leżą w dziale kadr, a ja nie mam do nich dostępu. Znalazłem numer telefonu stacjonarnego. Nie dzwoniłem pod niego. Wygląda na bardzo stary.

Caffery notuje numer. W czasach, gdy klawisze aparatów telefonicznych miały przypisane do cyfr litery, numery kierunkowe nadawano na podstawie nazw miast. Na przykład miejscowość, której nazwa zaczyna się na „Adi...”, miała kod 0123. Niektóre numery kierunkowe wciąż są zgodne z tym systemem. Kod podyktowany przez CB wskazuje na jedną z lokalnych miejscowości – właściwie Caffery od razu identyfikuje go jako okolice Yate. Prawą ręką stuka w klawiaturę komputera i wyprowadza go ze stanu uśpienia. Od razu zaczyna pisać e-mail.

Nie przerywając pisania, pyta:

– Dlaczego sprawdzamy tego Keaya?

– Hm... bo wydawało mi się... Jak by to ująć? Sprawiał wrażenie, jakby coś ukrywał. Może dlatego, że często rozmawiał sam na sam z Isaakiem. Nie jestem pewien, ale tak go zapamiętałem. Ponadto pracował w szpitalu Hartwool.

– A jakie to ma znaczenie dla kogoś niewtajemniczonego,

czyli na przykład dla mnie?

– Ten szpital znajduje się w Rotherham albo gdzieś w okolicy. Handel nigdy tam nie przebywał, ale między nim a tym miejscem istnieje pewien związek. Właśnie mam przed sobą książkę, która ostatnio wpadła mi w ręce, i czytam w niej, że w Hartwool działy się identyczne rzeczy jak w Beechway. Pacjenci mieli dokładnie takie same halucynacje, które doprowadzały ich do identycznych zachowań. Keay przeniósł się z Hartwool bezpośrednio do nas. Nie minął rok, a w Beechway zaczęło się dziać, kropka w kropkę, to samo.

– Dlaczego się przeniósł?

– Tamten szpital zamknięto w następstwie burzy, która przetoczyła się przez system opieki nad psychicznie chorymi w całym kraju. Keay i... hm... nasza dyrektorka zostali razem przeniesieni do naszej placówki. Kojarzy pan Melanie?

Caffery przestaje pisać. Jego dłoń zatrzymuje się nad klawiaturą. Zerka na lalkę – na inicjały MA na naszyjniku. Blond włosy. Odsuwa na bok klawiaturę i obraca się na krześle w kierunku drzwi, żeby nie patrzeć na zakneblowane usta. Czeka jeszcze chwilę – ostrożnie dobiera słowa. Zawsze go uczono, żeby niepotrzebnie nie wzbudzać paniki.

– O, właśnie, dobrze, że mi pan przypomniał. Nie mogę znaleźć numeru telefonu pańskiej dyrektorki – kłamie.

– O ile pamiętam, umówiliśmy się, że nie będzie pan do niej telefonował. Miał pan poczekać – mówi wymijająco CB.

– Wiem. – Caffery walczy z nieodpartą potrzebą odwrócenia się, żeby sprawdzić, co robi lalka. Wyobraża sobie, że ta siada o własnych siłach i wyciąga do niego rękę. – Ale nie możemy już dłużej zwlekać.

Na drugim końcu linii zapada milczenie.

– Wie pan, gdzie można ją złapać? Muszę z nią porozmawiać. To pilna sprawa.

Milczenie w słuchawce się przedłuża.

– CB?

W końcu słyszy głębokie westchnienie.

– Mielśmy tu dzisiaj gówniany dzień. – Nagle głos CB brzmi przepraszająco. Zdaje się łagodniejszy. – Szczerze mówiąc, nie

wiem. Próbowałem do niej telefonować, ale nie odbiera. Pewno dlatego, że to, co panu powiedziałem o Keayu, nie jest dla niej niespodzianką.

– Nie?

– Byli... Stanowili parę. Przez kilka lat. Ale już ze sobą nie są. Keay maczał palce w brudnych sprawkach Handla. Sądzę, że ona o tym wiedziała... albo go podejrzewała.

Caffery utrzymuje niezobowiązujący ton. Po głowie dryfują mu szczątkowe odpowiedzi i pytania. Wciąż się broni przed chęcią zerknięcia za plecy na lalkę.

– Nie wie pan, dokąd pojechała?

– Nie. Dlaczego?

– Dlaczego? Sam pan przed chwilą przywołał całą listę powodów. Możemy się dowiedzieć od pańskiej szefowej czegoś przydatnego. – Udaje mu się nadać głosowi entuzjastyczny ton.

– Chciałbym z nią zamienić kilka słów tak szybko, jak to możliwe. Najlepiej niech mi pan podyktuje jej numer, adres i tego rodzaju rzeczy. Skontaktuję się z nią, żeby się szybko przedstawić.

Blokada policyjna

CB jedzie zdecydowanie za szybko. Dobrze zna te drogi i zwykle z przyjemnością podziwia kolory drzew i kwiatów na żywopłotach – czasami poświęca im tak dużo uwagi, że nie zauważa innych ważnych rzeczy, takich jak ograniczenia prędkości albo inni użytkownicy drogi. Ale dzisiaj krajobraz to jedynie rozmazana szara smuga na marginesie jego percepcji. Zżera go pragnienie, by jak najszybciej spotkać się z Melanie.

Dzwonił do niej co najmniej dwadzieścia razy. Każdorazowo jednak zgłaszała się poczta głosowa. Zostawił trzy wiadomości nacechowane w różnym stopniu frustracją, gniewem i wymuszoną cierpliwością. „Musimy o tym pogadać”. „Porozmawiamy? Bez przerzucania się winą, bez złości – spokojnie wszystko sobie wyjaśnijmy”.

Świadomie nie używa słów: „Masz mi wytłumaczyć, jaką rolę w tej historii pełni Keay. Chronisz mu tyłek? Strzeżesz tajemnicy o czymś, co zmajstrowali z Isaakiem?”.

Mija szósta, gdy podjeżdża przed jej dom. Dziewięć minut przed szacowaną przez nawigację godziną przyjazdu. Kiedy parkuje przy ulicy i widzi niebieskie refleksy kogutów na dachach kilku pojazdów, myśli o tym, że bez względu na wagę popełnionych błędów, Melanie płaci za nie z nawiązką. Umundurowany policjant rozwija biało-niebieską taśmę w poprzek zwężenia drogi.

To blokada policyjna, a nie kordon wokół miejsca zbrodni. Dla CB różnica jest ledwo uchwytna i nieistotna.

Wrzuca bieg na luz i siłą rozpędu wolno dojeżdża do gliniarza. Ten mruga, oślepiony zbliżającymi się reflektorami. Przestaje rozwijać taśmę, pochyla się, żeby szybko rzucić kilka słów do krótkofalówki przypiętej do odblaskowej kurtki, a potem opuszcza rękę z rolką taśmy i podchodzi do CB. Pociera dla rozgrzewki dłonie i niczym smok wypuszcza z ust kłęby pary.

– Słucham pana. W czym mogę pomóc?

CB patrzy ponad jego ramieniem na dom. Widzi ludzi kręcących się po ogrodzie. Na prawo od wejścia stoi zaparkowana furgonetka, biała, bez oznaczeń. Widzi stąd przez okno kuchnię – panuje tam bałagan. Jedzenie i skorupy talerzy walają się na podłodze. Szyby w oknach są wybite. Ktoś wyrócił to mieszkanie do góry nogami.

– Szukam Melanie Arrow. Mieszka tutaj. – Oblizuje usta, nie odrywając wzroku od pobojuwiska wewnątrz budynku. – Ale zdaje się, że mnie pan nie wpuści.

– Przyjechaliśmy na rutynową interwencję. Czy jest pan krewnym? Albo znajomym?

– Melanie? Tak, można powiedzieć, że jestem bardzo bliskim znajomym.

– Ma pan jakiś dowód tożsamości?

CB ma taki dowód. Nosi w portfelu legitymację NHS. Wyjmuje ją i pokazuje policjantowi.

– Pracuję z nią. Detektyw Caffery wie, kim jestem.

– Ten z MCIT? Z okręgu Avon i Somerset?

– Tak.

Policjant kiwa głową.

– Kiedy pan ostatni raz widział Melanie?

– Przed dwiema godzinami. W szpitalu, w którym pracujemy. Może mi pan powiedzieć, co się dzieje?

Gliniarz nie odpowiada. Stoi wyprostowany, krzyżuje ręce za plecami i patrzy w obie strony, jakby badał horyzont. Albo jakby ważył odpowiedź.

– Nie wiemy. Tutaj jej nie ma.

CB zamyka oczy. Przykłada palec do czoła.

– Sir? Dobrze się pan czuje?

CB nieznacznie potakuje. Policjant pochyla się przy oknie i opiera dłoń na jego ramieniu.

– Proszę pana...

– Nic mi nie jest. Naprawdę, dobrze się czuję.

Matka Potworów

Nikt nie użył słów „porwanie” ani „uprowadzenie”, ale te wyrazy wiszą w powietrzu – wyraźne i oczywiste w przestrzeni między tym, co policja mówi i czego nie chce powiedzieć. CB nie zdradza wszystkiego, co wie na temat udziału Melanie w zwolnieniu Isaaca. Jego wyjście na wolność odbiło się tak bardzo na Melanie, że trudno to nawet nazwać ironią losu albo zasłużoną karą. Kobieta słono płaci za tamten błąd. CB obawia się, że może zwymiotować, chociaż kto jak kto, ale on – pielęgniarz w szpitalu psychiatrycznym – powinien dobrze sobie radzić ze stresem. Ha, ha, kurde, ha.

Funkcjonariusz spisuje jego zeznanie. CB mówi wszystko, co mu przychodzi na myśl o volkswagenie garbusie (choć jego wiedza jest ograniczona – przypomina sobie, że samochód jest czarny, ale nie pamięta numerów tablic). Po przesłuchaniu nie bardzo wie, co dalej. Próbował skontaktować się z Cafferym, ale ten jest poza zasięgiem, a portier w MCIT powtarza, że detektywa nie ma w biurze, lecz poprosi go, żeby oddzwonił...

Myśl o powrocie do domu wywołuje u CB gęsią skórę. Na współczucie i zrozumienie ze strony Patience nie ma co liczyć. Ciotka nie ma pojęcia, pod jakim ciężarem CB ugina się każdego dnia – że obarcza się winą za nieszczęście mamy i za to, że teraz historia się powtarza. Znowu nie było go w odpowiednim miejscu we właściwym czasie.

Nagle nieco zaskoczony orientuje się, że instynktownie, nie zastanawiając się nad następnym krokiem, wrócił do szpitala. Stoi przed pokojem Gabrielli. Chyba oczekiwał, że ta da mu odrobinę nadziei albo powie coś pozytywnego, bo kiedy zagląda do środka przez zakratowany wizjer w drzwiach, jego nastrój jeszcze bardziej się pogarsza. Widzi, że nie ma szans na rozmowę ze szczęśliwą Matką Potworów. Czuje się raczej, jakby patrzył na burzowe jądro ciemności.

Gabriella kuca w kącie. Przyciska do piersi okaleczony kikut, jakby czuła ból w nieistniejącym przedramieniu. Włożyła suknię w tak głębokim odcieniu indygo, że materiał zdaje się niemal czarny. Kiedy CB puka do drzwi, kobieta nie odpowiada. Wygląda na to, że znowu zdjęła skórę i przyczaiła się w ukryciu.

– Gabriello? – Wchodzi do środka. Nie patrzy na nią, tylko wprost przed siebie. – Gabriello, gdzie jesteś?

– Tutaj – syczy szeptem pacjentka. – CB, tutaj, w kącie.

CB zerka w jej kierunku.

– Cześć. – Powitanie wypada żałośnie. – Cześć.

Gabriella smutno się uśmiecha.

– Ty też to czujesz, prawda, CB? Widzę to po tobie, otacza cię tak silna aura, że aż strach patrzeć.

Jej łagodny głos niemal wytrąca go z równowagi. Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy śniły mu się koszmary, a mama przykładła dłoń do jego czoła.

– Tak, ja... ja... – Nie jest w stanie się wysłowić. – Mogę usiąść?

Matka Potworów łaskawie potakuje.

– Tylko nie patrz na moją skórę, żeby Maude się nie zorientowała, że tu jestem.

– Gdzie jest twoja skóra?

– Tam, powiesiłam ją na łóżku. Nie patrz!

CB obraca krzesło tyłem do łóżka z przewieszoną przez poręcz skórą Gabrielli. Z nadmiaru adrenaliny nie może utrzymać w miejscu rozedrganych dłoni ani stóp. Czuje się tak, jakby ktoś pompował mu powietrze w tętnice i żyły.

– Gabriello, dzieją się dziwne rzeczy. Tam, na zewnątrz, dzieje się coś dziwnego.

– Wiem, CB. Wiem. Ona wraca.

– Kto?

– Wiesz, o kim mówię. Mówię o tej siedzącej bestii.

CB przygląda się Gabrielli. Powtarza sobie, że to tylko chora kobieta. Kompletna wariatka. Przecież nic nie wie. Wyczuła jego napięcie z powodu Isaaca i nieprzyjemności, na które naraził Melanie, i na tej podstawie coś sobie uroiła.

– Gabriello, pamiętasz mężczyznę, który prowadził w szpitalu zajęcia ze sztuki? Nazywał się Jonathan Keay. Odszedł mniej więcej przed miesiącem.

Grymas wykrzywia twarz Matki Potworów. Konwulsyjnie zaczyna pocierać nieistniejącą rękę.

– Jonathan. Tak... Jonathan. Widzisz, CB? Wszystkich was pamiętam. Wszystkich, co do jednego. Pamiętam, co robiliście i co wam robiono... Jonathan też jest moim dzieckiem, ale cierpi. Nie jest tym, kim powinien być.

– A kim powinien być?

Matka Potworów potrząsa głową.

– Nadchodzi, CB... Jest już coraz bliżej. – Wskazuje ręką na drzwi. – Jest już tak blisko, że zaraz tu wejdzie, w tej chwili, wejdzie tymi...

Urywa w pół zdania, bo nagle rozlega się jęk syreny alarmowej. To nie jest wezwanie dla sanitariuszy z oddziału, ta syrena brzmi inaczej. Do CB dociera, że to główny alarm szpitala – oznacza, że zdarzył się poważny wypadek.

– Widzisz? – mówi Matka Potworów. – Mówiłam ci. Idzie tu.

CB odczytuje wiadomość z pagera: „CB, proszę się zgłosić do dyspozytorni ochrony”. Nie może oderwać od niej wzroku.

Niechętnie wstaje z krzesła.

– Gabriello – zwraca się do Matki Potworów bezbarwnym, monotonnym tonem, którym posługuje się personel szpitala, instruując pacjentów. – Ten sygnał oznacza zakaz opuszczania pokoiów. Na razie będziesz musiała tu zostać, dobrze?

Matka Potworów poważnie potakuje.

– Powodzenia, CB. Powodzenia.

CB otwiera drzwi. Patrzy w lewo i w prawo. Jeden czy dwaj pacjenci wystawiają głowy na korytarz, próbując zobaczyć, co się dzieje. Pielęgniarki wyprowadzają pozostałych ze świetlicy na korytarz. Duży Lurch jest wśród nich – pomaga pacjentom znaleźć właściwe pokoje i szybko zamyka drzwi na klucz. Dostrzega CB i energicznie macha do niego ręką.

– CB! CB! Stary, to alarm generalny! Leć do dyżurki ochrony, szef czegoś od ciebie chce!

Berrington Manor

Caffery nie znosi rozmów telefonicznych ani wysokiego stopnia organizacji towarzyszącego śledztwu, które wykracza poza granice jego obwodu. Zadanie sprawdzenia, jak się czuje Melanie, zostało przydzielone człowiekowi na równorzędnym stanowisku w obwodzie Gloucestershire. Napływające od niego informacje nie napawają Caffery'ego optymizmem. Drzwi wejściowe do jej domu stoją otworem – w środku widać ślady walki. Mieszkanie zostało zdemolowane, a na ulicy brakuje samochodu. CB – który zapewne wywnioskował z barwy głosu Caffery'ego, że Melanie jest w niebezpieczeństwie – jakiś czas temu pojawił się przed domem. Zdaniem policjantów z Gloucestershire podzielił się z nimi wszystkimi informacjami. Zmobilizowano wydział kryminalny. Panika zatacza coraz szersze kręgi.

Jonathan Keay dorastał w Berrington Manor. Budynek nie ma numeru, a ulica – nazwy. Wystarczy nazwa domu i miejscowości oraz kod pocztowy. Pewno niewielu sanitariuszy szpitali psychiatrycznych wychowało się w takich domach jak ten, myśli Caffery, zatrzymując się przed posiadłością. Podjazd, otoczony wysokimi topolami niczym aleja w jakimś wystawnym francuskim parku, ciągnie się niemal przez milę. Na końcu drogi zapalają się latarnie, a fala jasnego światła zalewa starannie utrzymany dziedziniec do jazdy konnej, z boksami dla zwierząt dorównującymi wielkością pałacowym jadalniom. Dzielą je ozdobne przepierzenia. Dalej widać rozległy teren ujeżdżalni na świeżym powietrzu z bładą nawierzchnią i odręcznie malowanymi tabliczkami – stojaki i belki do skoków leżą złożone pod wiatą. Po lewej stronie, znad wysokiej, zbudowanej z cegieł ściany wystają szare kamienne kominy rezydencji.

Caffery zaciąga hamulec ręczny, wyłącza silnik i otwiera drzwi

samochodu. Podwórze jest ciche, nienagannie zamiecione i czyste – sprawia wrażenie, jakby od dawna nic się tam nie działo. Nie widać bali siana, maszyn rolniczych, wiader ani przewieszonych przez drzwi derek. Nigdzie nie kręcą się ludzie. Trzy ekskluzywne BMW – wszystkie w stalowoszarym odcieniu – stoją pod daszkiem naprzeciw stajni, ale gdyby nie one, dom wydawałby się niezamieszkały.

Caffery nie zadzwonił wcześniej, żeby się umówić. Nie chciał z góry uprzedzić rodziny Keaya o swoim przyjeździe. Dzięki temu nie dał im szansy na wymyślenie wymówek. Może jednak powinien był się z nimi skontaktować – przynajmniej po to, aby się upewnić, że kogoś zastanie.

Brama z kutego żelaza w murze prowadzi do eleganckiego ogrodu, gdzie niskie krzewy bukszpanu otaczają stojący pośrodku wysoki świerk, którego gałęzie zwieszają się nisko nad ziemią, tworząc iglasty namiot. Pod drzewem znajduje się kamienna, okrągła ławka, a niewidoczne reflektory podświetlają rozmieszczone tu i ówdzie posągi. Sam dom ma trzy poziomy, ponadto wzdłuż dachu biegnie dodatkowy rząd okien mansardowych. Pień olbrzymiej wisterii zasłania całą dolną połowę fasady budynku – jest równie szary i nierówny jak kamienie, które pokrywają elewację. Drzwi wejściowe są zamknięte, a w oknach nie palą się światła.

Stukot ciężkiej kołatki odbija się echem wewnątrz domu. Następuje długa cisza. Caffery już ma się odwrócić i pójść do samochodu, gdy nagle słyszy dobiegający zza drzwi kobiecy głos:

– Kto tam?

– Policja.

– Policja?

– Nie musi się pani martwić. Chciałbym jedynie zadać kilka pytań.

Drzwi się otwierają i okazuje się, że stoi za nimi kobieta pod sześćdziesiątkę – wysoka i niezwykle elegancka w popielatolawendowym szalu z paszminy i szytych na zamówienie dzinsach. Jej twarz o harmonijnych rysach okalają starannie przystrzyżone włosy z pasmami siwizny. June Keay,

myśli Caffery. Matka Jonathana.

– Detektyw Caffery. – Podaje jej swoją legitymację. Kobieta bierze ją do ręki i dokładnie ogląda. – Przyjechałem z Bristolu. Mogę wejść?

Kobieta oddaje mu dokument.

– Męża nie ma w domu. Czy to z nim chciałby pan porozmawiać?

– Nie. Chcę porozmawiać o Jonathanie.

Gospodyni nagle smutnieje.

– O Jonathanie – powtarza jak automat. Nie jest to ani pytanie, ani stwierdzenie.

– Tak, o Jonathanie.

– O moim synu.

– June Keay to pani?

– Tak.

– Mogę wejść?

Ta cofa się i szerzej otwiera drzwi.

– Przepraszam, to nieładnie z mojej strony.

Idą do kuchni, której podłogę zdobi kamienna posadzka; w piecu pali się ogień. Szeszlong pod oknem jest nakryty wełnianym kocem. Leżą na nim okulary i iPad. Z sąsiedniego pokoju dobiega muzyka, chyba jakiś chorał gregoriański. Caffery'emu udaje się dostrzec wiszącą na ścianie w tamtym pokoju głowę jelenia i scenkę rodzajową złożoną z wypchanych wiewiórek w strojach dżentelmenów z epoki wiktoriańskiej, które stoją wokół kominka, paląc fajki i popijając porto. Dużo stylowych mebli, dużo pasty polerskiej, ale ani śladu życia.

Pani Keay zamyka iPada.

– Jonathan jest na piętrze. Zaraz tam pana zaprowadzę. Proszę mi jednak najpierw powiedzieć, czy chodzi o bójkę?

– O jaką bójkę?

Pani Keay długo przygląda się jego twarzy. W końcu uśmiecha się smutno.

– Oczywiście, nic pan o niej nie wie, bo nie było żadnej bójki, prawda? Okłamał mnie. Wiedziałałam, że kłamie. – Kładzie dłoń na oparciu szeszlonga i bezwiednie je ściska. Zwraca twarz w kierunku swojego odbicia w ciemnym oknie. – Kiedy był

dzieckiem, często patrzył na nas z tą samą miną. Ostrzegłam męża, że znowu kłamie.

Caffery unosi brwi.

– Kłamie?

Matka Jonathana dostrzega jego zdziwienie i wzdycha.

– Nie było go prawie dwadzieścia lat. Jak wielu studentów przeżywał bunt, nie chciał mieć nic wspólnego z naszą fortuną. Twierdził, że spłaca dług społeczeństwu. Nie dał nam szansy na odcięcie mu funduszy, sam się od nas odciął. A potem... – Pani Keay odgarnia kosmyk z czoła. – A potem ni stąd, ni zowąd wrócił.

– Mówi to pani tak, jakby nie była z tego zadowolona.

– Cóż, może i bym była, gdyby nie te jego rany.

– Rany?

– Nie wiedział pan? Jonathan leżał w szpitalu, obrażenia wywołały u niego sepsę.

– Skąd się wzięły te rany?

June Keay przelotnie marszczy brwi.

– Sądziłam, że właśnie to przyszedł mi pan powiedzieć.

Dyżurka ochrony

Alarm przestał wycić i nagle cisza jest tak dokuczliwa, jak uderzenie w policzek. CB dzwoni w uszach. Przyszedł się spotkać z Dużym Lurchem i jego kierownikiem w dyspozytorni ochrony przy głównym wejściu do szpitala. Tamci stoją z założonymi rękami, wstydliwie chowają dłonie i unikają patrzenia sobie w oczy. Żaden do końca nie rozumie, co się stało. Na domiar złego nie mają pojęcia, kto zajmie się opanowaniem sytuacji.

Ogłosili ogólny zakaz poruszania się po terenie szpitala – wszyscy pacjenci muszą zostać w swoich pokojach, a oddziałowi mają policzyć, czy nikogo nie brakuje. Kierownik właśnie skończył notować w zeszycie zdarzeń sprawozdanie ze swoich działań. Przełączyli widok z kamer tak, żeby miejsca, na których im zależy, przekazywały obraz na dwa monitory stojące najbliżej biurka kierownika. Jeden z nich pokazuje skrzydło Mirt. Kamera jest zwrócona w kierunku zamkniętych drzwi izolatki na parterze. Pielęgniarki nazywają ją „pokojem ciszy”, chociaż i tak wszyscy wiedzą, że to jedynie eufemistyczne określenie karceru. Pacjenci, którzy nie chcą współpracować, zostają odprowadzeni do „pokoju ciszy” na „hopsanie” i przebywają tam, dopóki się nie uspokoją.

Zwykle pierwszą reakcją pacjenta jest rozebranie się do naga i kopanie w ściany. Ale nie tym razem. Tym razem w izolatce nie siedzi żaden z aktualnych pacjentów. To były pacjent – Isaac Handel. A razem z nim jest tam Melanie Arrow.

– Przecież tych drzwi nie można zablokować. A przynajmniej nie od wewnątrz.

Kierownik ochrony złowróźnie kiwa głową.

– Można, jeżeli masz przy sobie narzędzia, które on wniósł.

– Jakie narzędzia?

– Nie jestem pewien. Niósł sportową torbę. Nie udało nam się

do niej zajrzeć, ale w jakiś sposób zdołał zablokować albo zamknąć drzwi. Nie wiemy, czym się posłużył. Jak widzisz, nie mamy obrazu ze środka. Kamerę też unieszkodliwił.

CB przeklina pod nosem. Ma ochotę kopnąć tego bęcwała do wynajęcia, który nie wiadomo jak został kierownikiem ochrony. Jak to możliwe, że dopuścił do czegoś takiego? Przecież pracują w najściślejszym strzeżonym szpitalu psychiatrycznym w kraju – nie powinno się dać tak łatwo złamać jego zabezpieczeń. Z drugiej strony, większość środków bezpieczeństwa służy uniemożliwieniu pacjentom wydostania się na zewnątrz, a nie wtargnięciu do środka.

Na trzecim monitorze widać wcześniejsze nagranie. CB opiera się dłonią o telewizor i uważnie obserwuje rozwój wypadków.

– Cofnijcie do początku, chcę to jeszcze raz obejrzeć.

Szef ochrony zaciska usta. Bardzo się stara nie stracić zimnej krwi i z niewzruszoną miną celuje pilotem w kierunku odtwarzacza, żeby włączyć nagranie od początku. Kiedy film się zaczyna, CB opiera się wygodniej na krześle i nie spuszcza wzroku z monitora.

Nagranie zostało zarejestrowane przez kamerę znajdującą się tutaj, w dyżurce ochrony. Na początku widać parking upstrzony gęstymi plamami białego światła latarni przy wejściu. Oślepiające stożki reflektorów samochodowych, które nagle pojawiają się w polu widzenia, są pierwszym sygnałem, że dzieje się coś niezwykłego. Volkswagen garbus Melanie wjeżdża na parking, ścinając zakręty, a po chwili zatrzymuje się w poprzek dwóch miejsc postojowych. Melanie siedzi za kierownicą. Ma przystawiony do szyi jakiś przedmiot. CB nawet z tej odległości poznaje, że to nóż do tapet firmy Stanley – ponadto widział już ciąg dalszy nagrania.

Otwierają się drzwi po stronie pasażera i z samochodu wysiada Isaac. Nie da się go pomylić – drobny mężczyzna, z charakterystyczną fryzurą „na garnek”, która nadaje mu wygląd podenerwowanego zakonnika. Ma na sobie sweter w paski, dekatyzowane dżinsy i tenisówki. Lekko odchyła głowę, do góry i w bok, jakby nosił maskę i musiał się wysilać, żeby zerkać pod nogi.

Następnie otwierają się drzwi od strony kierowcy. Melanie jest widoczna jedynie przez przednią szybę samochodu, ale CB mógłby przysiąc, że ocenia, jaką ma szansę na ucieczkę. Zanim jednak coś postanowi, Isaac podbiega i znowu przykłada jej nóż do szyi.

CB już trzy razy oglądał to nagranie, ale nie może się powstrzymać – musi je ponownie zobaczyć. Następne dwie i pół minuty zostały zarejestrowane przez trzy różne kamery. Elektroniczny licznik w lewym górnym rogu odmierza czas, gdy Isaac popycha Melanie do przodu. Oddalają się od samochodu, przechodzą pod lampą i przez kilka sekund CB widzi w śnieżącym blasku ich twarze. Potem mijają obiektyw i znikają z ekranu.

Po chwili znajdują się w polu widzenia drugiej kamery, zamontowanej w holu przy drzwiach wejściowych. Widać, że stojący plecami do obiektywu ochroniarz wolno wstaje, niepewny, co się dzieje przed wejściem. Isaac Handel staje przy drzwiach i zaczyna się dobijać. Ochroniarz stoi jak sparaliżowany – włącza alarm pod biurkiem, ale idzie otworzyć drzwi i puszcza Handla do wiatrołapu.

– Powiedziała mu, żeby robił to, czego żąda Handel. Dlatego mój człowiek ich wpuścił. Teraz pluje sobie w brodę.

CB wzdycha.

– No dobrze, obejrzymy resztę.

Nagranie przeskakuje do ujęć z kolejnej kamery. Tym razem widać na nim długi, wąski korytarz – „łodygę” prowadzącą do części klinicznej. Oboje zbliżają się do służby bezpieczeństwa w zwężeniu korytarza i widać, że Melanie udziela wyraźnych instrukcji, patrząc prosto w obiektyw kamery.

– Przepuść nas. – Taki komunikat można odczytać z ruchu jej ust. Wygląda jak zjawą, jakby porzuciła nadzieję. Ma zapadnięte, sine policzki. – Rób, co ci każe.

Kolejna kamera przechwytuje ich w skrzydle Mirt. Z licznika czasu wynika, że te zdarzenia miały miejsce ledwie przed dziesięcioma minutami. Na nagraniu widać, że Handel popycha przed sobą Melanie. Kiedy mijają kamerę, wyraźnie można dostrzec ostrze, którego użył, żeby ją sterroryzować.

Wpycha ją do izolatki w tym skrzydle budynku. Kierownik przełącza się na widok z celi, kiedy tamci dwoje do niej wchodzi – Melanie pierwsza, a Handel tuż za nią.

Izolatka wygląda jak „goła cela” w Alcatraz – jest kompletnie pozbawiona wyposażenia. Handel wskazuje na podłogę.

– Siadaj – rozkazuje.

Melanie wykonuje polecenie. Niepewnie kuca, trzęsąc się ze strachu. Handel zwraca się w kierunku drzwi i gmera w swojej torbie. Rozlega się warkot jakiegoś urządzenia elektrycznego, ale Handel znajduje się za blisko kamery, więc nie da się zobaczyć, co dokładnie robi.

Melanie coś do niego mówi. W izolatce są zainstalowane mikrofony, ale głos Melanie brzmi za cicho – jest stłumiony strachem.

Handel nie odpowiada. Stawia na ziemi torbę i staje wyprostowany. Patrzy prosto w obiektyw kamery – wie, że go obserwują, bo jako pacjent często przebywał w tym pomieszczeniu. Prawdę mówiąc, zna ten szpital jak własną kieszeń. Wyjmuje z torby przyrząd z długim uchwytem i umieszcza na jego końcu kawałek taśmy izolacyjnej. Ostrożnie, przygryzając język, zakleja za pomocą narzędzia obiektyw kamery pod sufitem. Obraz na monitorze znika – obraz wypełnia jedynie podobny do płótna, wytłoczony na szarej taśmie wzór.

– Co robisz? – pyta Melanie. Tym razem słyhać ją dosyć wyraźnie. – Po co to robisz?

– Nikt nie musi na nas patrzeć.

– Dlaczego? – Panika ściska gardło Melanie. – Co chcesz zrobić?

Handel nie odpowiada. Nagle daje się słyszeć pukanie do drzwi.

– Spieprzajcie – mamrocze beznamiętnie Handel. – Nie przeszkadzać.

Melanie zaczyna płakać. Kilka sekund później dźwięki cichną. Handel zapewne znalazł sposób na zasłonięcie mikrofonu, bo od tej pory wszystkie odgłosy są wytłumione. Po nastawieniu głośności na cały regulator daje się coś usłyszeć, ale wciąż za

słabo, żeby uchwycić sens.

– To się działo... Nie wiem... – Duży Lurch zerka na zegarek.
– Jakies pięć minut temu. Zastanawialiśmy się, czy nie odciąć prądu w izolatce.

– Jeszcze nie. Nie będziemy w stanie nic zobaczyć, jeżeli odklei taśmę. Czego on chce?

– Nie powiedział.

– Kiedy będzie tu policja?

Duży Lurch nie odpowiada. CB odwraca się i wbija w niego gniewny wzrok. Potem patrzy na szefa ochrony.

– Proszę, nie mówcie mi, że nie zawiadomiliście policji.

– Nie byliśmy pewni, czy...

Szef ochrony milknie w pół zdania. Spuszcza wzrok. Nawet Duży Lurch woli wpatrywać się w inny punkt w pomieszczeniu niż popatrzeć w oczy CB.

CB potrząsa głową. To musi być rodzaj kary za jego wcześniejsze zachowanie. Tak bardzo zrugał Melanie za pomoc w wypisaniu Isaaca ze szpitala. Potrzebowała jego wsparcia, a on go jej nie zapewnił – teraz wdepnęła w wielkie gównno, on zaś nie jest w stanie jej pomóc.

– No dobra – mówi. – Mam najszerze pełnomocnictwa ze wszystkich aktualnie przebywających w szpitalu pracowników, więc to ja tu teraz rządzę. – Zaczyna odliczać na palcach. – Po pierwsze, chcę, żeby ktoś zadzwonił na policję. To absolutny priorytet. Po drugie, musimy się upewnić, czy nasz sprzęt audio w izolatce w ogóle działa. Chcę wiedzieć, czy oni nas słyszą. Jeżeli nie, to musimy wymyślić jakiś sposób komunikacji z nimi. I po trzecie...

Waha się. Nie jest pewien, co powinni zrobić po trzecie. Nie przyznaje tego przed sobą, na pewno też nie powie tego przy innych pracownikach, ale chce jeszcze raz obejrzeć materiał wideo. Chce go oglądać bez przerwy. Ponieważ patrząc na zablokowane drzwi izolatki, wyobraża sobie dochodzące z głośników Bose w dyżurce ochrony stłumione, nieludzkie krzyki oraz płacz i obawia się, że na tym nagraniu ostatni raz widzi Melanie żywą.

– Co po trzecie, panie LeGrande?

– Tak – mówi w końcu. – Niech ktoś skopiuje to nagranie na osobny dysk. Na centralnym serwerze funduszu, a nie na naszym. Zależy mi na czasie.

Jonathan Keay

Caffery zaczyna odnosić wrażenie, że Berrington Manor jest najbardziej niesamowitym budynkiem, jaki w życiu odwiedził. Jonathan, zdaniem jego matki, leży na ostatnim piętrze.

– Szuka schronienia w naszym domu, ale nie chce nas widzieć ani z nami porozmawiać. Na pewno pan zatem zrozumie, jeżeli nie wejdę tam z panem.

Prowadzi Caffery'ego wąskimi drewnianymi schodami. Nie odzywa się. Jedyнным dźwiękiem, który im towarzyszy, jest trzeszczenie schodów. Kobieta idzie sztywno wyprostowana – Caffery czuje się tak, jakby siedł za strażniczką więzienną albo surową guwernantką w szkole dla bogatych. Przez chwilę przychodzi mu na myśl, że nie wyjdzie stąd żywy – że pani Keay otworzy drzwi i wepchnie go do pokoju, a tam będzie go czekał obłędny upadek na samo dno piekła.

Docierają na ostatnie piętro – mają przed sobą wąski, niski korytarz z lampkami umieszczonymi w ozdobnych oknach. W powietrzu unosi się zapach lekarstw z lekką domieszką środka do czyszczenia siodeł. Pani Keay zatrzymuje się przed drzwiami i dotyka klamki. Obraca się do Caffery'ego i znowu na jej twarzy pojawia się smutny, przepraszający uśmiech.

– Przepraszam. Naprawdę bardzo chciałabym wejść, ale on sobie tego nie życzy.

Caffery przekracza próg, a pani Keay zamyka za nim drzwi. Musi kilka razy zamrużyć, żeby przyzwycząić oczy do półmroku. Kobieta nie przekreśliła klucza w zamku, ale Caffery mimo to nie może się pozbyć niejasnego przeczucia, że go wystawiła.

– Witam – niespodziewanie rozlega się głos. – Wygląda mi pan na głinę.

Caffery się rozgląda. Nie trafił zatem do osmalonego szybu piekła – jest w normalnym pokoju na poddaszu, z dwoma

zapyziałymi oknami o szybach podzielonych szprosami. Na podłodze z drewnianych desek leżą ręcznie tkane chodniki ze skołtunionym długim włosiem. Za niewielkim biurkiem siedzi wysoki mężczyzna z krótko przystryżoną, siwiejącą brodą. Patrzy w monitor iMaca, ale odsuwa obrotowe krzesło i zwraca się ku Caffery'emu.

– Jest pan gliną, prawda?

– Tak bardzo to widać?

– Z upływem lat nauczyłem się was rozpoznawać.

Caffery znowu mruga. Wzrok przyzwyczajają mu się do słabego światła i po chwili może się dokładniej przyjrzeć Jonathanowi. Dobiega czterdziestki i nosi czarny T-shirt i szorty. Prawy biceps ma oklejony plastrem przeciwbólowym Kinesio.

– Detektyw inspektor Jack Caffery.

– Jonathan Key.

Mężczyzna wstaje i podchodzi. Podaje Caffery'emu rękę na powitanie.

– Jest pan chory?

– To zależy, jak na to spojrzeć.

– Pańska matka uprzedziła mnie, że uczestniczył pan w bójkę.

Zapada długie milczenie. Jonathan uważnie patrzy na Caffery'ego – jego wzrok prześlizguje się po twarzy detektywa.

– Nie chce pan usiąść? – pyta w końcu.

– Mam to potraktować jak zaproszenie?

– A niby dlaczego to powiedziałem?

Caffery podchodzi do stylowego krzesła z obiciem z białej skóry i stalową ramą. Siada na brzegu i patrzy na Jonathana. Zwraca uwagę na jego zylaste, usiane piegami ręce i nogi. Na szafce przy łóżku stoją opakowania lekarstw, a różowy plaster znika pod rękawem i wystaje nad rozcięciem na szyję.

– Panie Key. Muszę panu zadać kilka pytań... Czy mógłbym zacząć od szpitala Hartwool w Rotherham? Pracował pan tam?

Jonathan siada wolno, jakby czuł zmęczenie, ale pogodził się z faktem, że czeka go długa i zapewne nieprzyjemna procedura.

– To prawda.

– A potem, od dwa tysiące ósmego roku do ubiegłego miesiąca, pracował pan w Beechway.

– Tak.

– Poproszono mnie, żebym przyjrzał się pewnym... niedociągnięciom w szpitalu Beechway.

Jonathan zaciska i otwiera dłoń. Patrzy na nią roztargnionym wzrokiem.

– Oczywiście. Domyśliłem się, że to cel pańskiej wizyty.

– Tak. Jest pan gotowy o tym porozmawiać?

– Jestem. Chociaż to nie będzie łatwe.

– To rzadko jest łatwe. Ale damy radę. Zacznijmy od początku. Proszę mi opowiedzieć o pracy w Rotherham.

Jonathan porusza szczęką. W końcu zaczyna mówić, zacinając się, jakby z trudem dobierał słowa:

– Dobrze... Rotherham. To było w połowie lat dziewięćdziesiątych.

– Proszę mówić dalej. Dobrze panu idzie.

– Jednego z pacjentów Hartwool dręczyła obsesja, że w nocy ktoś siada mu na piersi. Może były to lęki z dzieciństwa, może wspomnienie jakiegoś wypadku, kiedy się dusił, nie wiem. Tak się składa, że na terenie szpitala znajdował się grób pewnej karlicy, pochodzący z czasów, kiedy budynek służył jako dom pracy dla ubogich. Wystarczyło, że ktoś powiązał ten grób z historią o postaci siadającej na ludziach, i legenda zaczęła się rozprzestrzeniać po szpitalu. Na początku próbowaliśmy ją ignorować, ale wśród pacjentów wybuchła histeria, a potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy, takie, których nie mogliśmy przypisać skłonnościom autodestrukcyjnym. Zjawisko się nasilało, aż w końcu straciliśmy pacjentkę. Dochodzenie wskazywało na samobójstwo, ale takie wytłumaczenie do mnie nie przemawiało.

– Tak samo jak w Beechway?

Jonathan potrząsa głową.

– W Beechway nie było żadnego grobu ani karlicy. To atrybuty Rotherham. Od początku do końca to historia dotycząca jedynie Hartwool.

– Zaadaptował ją pan do potrzeb Beechway? Pomógł pan ją przeszczepić?

– Nie.

- Nie? Jak pan zatem wytłumaczy, że zaczęła się tutaj rozprzestrzeniać?
- Właśnie do tego zmierzam.

Taktyka

Flea odbiera telefon, kiedy jej zespół rozładowuje furgonetkę. Skończyli zaplanowane na dzisiaj poszukiwania, ale w strzeżonym szpitalu psychiatrycznym na obrzeżach Bristolu wybuchł bunt i potrzebna jest pomoc policji. Czy są w stanie zostać dłużej w pracy?

Flea zamienia parę słów z kolegami, a potem znowu przykłada telefon do ucha i mówi, że będą tam za pół godziny. Policjanci wracają do furgonetki i zaczynają się przebierać – zdejmują sprzęt do nurkowania, a wyjmują z szafek w zakratowanej części pojazdu wyposażenie przydatne podczas zwalczania zamieszek ulicznych. Znają taktyki szturmowania budynków i postępowania z tłumem, bo kiedy nie nurkują, poświęcają dużo czasu szkoleniom albo aresztują przestępców – zwykle handlarzy narkotyków. Dysponują wszystkimi narzędziami potrzebnymi do zdobycia budynku, a ich „duży czerwony klucz” – taran – wisi w siatce na ścianie furgonetki. Pędzą przez gęszcz samochodów. Flea siedzi za kierownicą. Nieco wbrew sobie cieszy się z tej odmiany. Dzisiaj nie zniosłaby już ani minuty fikcyjnych poszukiwań w terenie.

W nocy Beechway jest dobrze oświetlony i chroni go ogrodzenie z drutu kolczastego. Niektórzy członkowie zespołu poznają to miejsce – kiedyś już tu byli. Ostatnim razem przyjechali tutaj, poszukując zaginionej pacjentki, o której Jack mówił wczoraj wieczorem. Pauline Scott. Flea dobrze pamięta tamtą akcję.

Jej furgonetka nie jest pierwszym pojazdem na miejscu zdarzenia – teren wokół szpitala jest zastawiony busami i oznakowanymi samochodami na światłach ostrzegawczych. W budynku panuje pandemonium. Flea prowadzi swój oddział do zagrożonej strefy w skrzydle szpitala o nazwie Mirt i z pomocą swojego zaufanego współpracownika Wellarda bada

drzwi. Za pomocą tarana można je sforsować w niecałe dziesięć sekund, ale muszą poczekać na zgodę. Flea ustala z policjantami sposób postępowania, powierza Wellardowi dowództwo, a sama wraca szklanym pasażem do centrum ochrony.

Główni gracze zebrali się w pomieszczeniu prowadzącym do dyżurki. To coś w rodzaju pokoju socjalnego dla pracowników ochrony, wyposażonego w łódkę, telewizor i ekspres do kawy. Człowiekiem odpowiedzialnym za rozwój wypadków – tak zwanym „srebrnym dowódcą” – jest wysoki facet o łagodnej twarzy, z którym Flea już kiedyś pracowała. Obok niego siedzą doradca taktyczny i „brązowy dowódca”. Po oszklonej dyżurce nerwowo krążą też szef ochrony szpitala, jeden z jego podwładnych i najstarszy rangą przedstawiciel personelu pielęgniarskiego, facet w garniturze, który przedstawił się jako LeGrande.

LeGrande to przystojny i bardzo miły facet – Flea od razu się na nim poznaje. Ma łagodne usposobienie, jest uprzejmy i widać, że sytuacja totalnie go przerasta. Miota się po pomieszczeniu, wymachuje rękami, składa dłonie, co chwila zerka na monitor w dyżurce. Ekran wyświetla jedynie nieruchomy wzór krzyżujących się szarych linii. Porywacz, Isaac Handel, zakleił obiektyw kamery taśmą izolacyjną. Od uprowadzenia minęło czterdzieści pięć minut i nikt nie wie, co się dzieje w tamtym pokoju.

– Nie wołałby pan usiąść? – mówi półgłosem Flea, kiedy CB się do niej zbliża. – Z całym szacunkiem, nie wygląda pan najlepiej.

CB patrzy na nią. Jego oczy mają bardzo ciemny brązowy kolor.

– Nie – odpowiada. – Ale dziękuję za troskę.

Ta sprawa ma dla niego większe znaczenie niż mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka. Chodzi o jakieś względy osobiste, może o jego relacje z zamkniętą w izolatce zakładniczką. Flea nie może się powstrzymać – zerka na monitor wciąż wyświetlający nieruchomy wzór wyłoczeń na taśmie izolacyjnej. CB od razu zwraca uwagę na jej reakcję.

– To okropne, prawda? – mówi. – Dowolny widok byłby lepszy niż to.

– Dowolny?

– Tak, na Boga. Wiem, że zdjęcie tej taśmy będzie się równało z otwarciem pudła Pandory, ale w końcu musi do tego dojść.

Przyjeżdża para zawodowych negocjatorów. Mężczyzna – starszy z tych dwojga – specjalizuje się w negocjacjach w imieniu państwa, a kobieta jest negocjatką z miejscowej policji; przedstawia się Flei, ma na imię Linda. Została wyznaczona do prowadzenia tych negocjacji i jest bardzo opanowana, kiedy wita się ze wszystkimi, jakby samym zachowaniem starała się przekazać informację: „Okej, możecie się odprężyć. Teraz ja tu rządzę”. Jest drobną, trzydziestokilkuletnią kobietą o błyszczących kasztanowych włosach. Nosi dzinsy i długi kardigan w paski, którego rękawy sięgają za nadgarstki, jakby wciąż marzła.

Wszyscy sześcioro zbili się ciasno i omawiają strategię. Kiedy nadchodzi kolej Flei, ta wyjaśnia, jak dużo czasu trzeba, żeby sforsować drzwi.

– Ale zakładam, że to dopiero ostateczne rozwiązanie – dodaje, patrząc w kierunku Lindy.

– Oczywiście. I jeszcze jedno, pani sierżant. Jeżeli zostaną podjęte radykalne kroki w celu zajęcia pomieszczenia, proszę mi o nich nie mówić. Kiedy dowódca zdecyduje, że musi tam wejść siłą, to niech wchodzi, ja nie mogę się o tym dowiedzieć. Gdyby dotarła do mnie taka informacja, przestępca mógłby wyczuć coś na podstawie mojego głosu. Tego rodzaju wiedza może dramatycznie wpłynąć na moją wiarygodność, lepiej więc, żebym o niczym nie wiedziała.

– Słyszycie? – dowódca zwraca się do funkcjonariuszy. – Wszystkie dyskusje o taktyce zostają w tym pokoju. I starajcie się mówić ściszymi głosami.

– Ja też chciałbym dostać szansę na rozmowę z nimi – mówi nagle CB. – Czy to możliwe?

Linda zerka powątpiewająco na dowódcę.

– Jako PP? – pyta. – Może być?

– Co znaczy „PP”?

– Przepraszam. Postronny pośrednik. Ktoś w rodzaju łącznika. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby uczestniczył w negocjacjach, o ile ma do tego jakieś podstawy.

– A pan? – pyta CB dowódca. – Czy pan ma podstawy?

– Oczywiście. Jestem członkiem kadry kierowniczej szpitala i znam go jak własną kieszeń. Pracuję tu od czterech lat, od początku miałem kontakt z Isaakiem. Dobrze go poznałem, naprawdę dobrze. Manipuluje ludźmi częściej niż się zdaje.

Linda przygląda się CB.

– Hm, sir – zwraca się do przełożonego, nie spuszczać wzroku z CB. – Nie będę się z panem sprzeczać, ale w takim razie trzeba go dokładnie poinstruować. I oczywiście chcę mieć prawo podejmowania ostatecznych decyzji.

– Ona tu rządzi – mówi dowódca. – Jeżeli będzie potrzebowała pańskiego wsparcia, poprosi o nie. Wyrażam się jasno?

– Tak. Rozumiem.

Starszy negocjator zaczyna przygotowywać w dyżurce ochrony bazę operacyjną dla Lindy, składającą się z laptopa, mikrofonu i notesu. Flea stoi w poczekalni. Cały czas ma pod ręką krótkofalówkę.

Gdy tylko dostanie zielone światło od „srebrnego”, przekaże je Wellardowi do skrzydła Mirt. Linda surowym tonem wylicza LeGrande’owi, co może, a czego nie wolno mu powiedzieć. Na wszystko musi uzyskać jej zgodę albo zgodę drugiego negocjatora. Potem wszyscy wycofują się do pokoju socjalnego, a Linda zostaje sama w dyżurce. Siedzi na wprost monitorów. CB stoi w przejściu między obydwoma pomieszczeniami w towarzystwie starszego negocjatora, który trzyma w ręce notes – gotów, by przekazać informacje między Lindą a zespołem policji.

Po sygnale danym przez przełożonego Linda zaczyna mówić:

– Dzień dobry, Isaacu. Przepraszam, nie chcę cię stresować w obecnej sytuacji, ale chciałam się przedstawić. Mam na imię Linda i jestem negocjatką, chcę negocjować warunki zwolnienia zakładowiczki. – Uśmiecha się. – Brzmi poważnie, no nie? Ale prawdę mówiąc, jestem tu tylko po to, żeby z tobą

porozmawiać, dowiedzieć się, o co chodzi i co cię skłoniło do takiego postępowania.

Na ekranie laptopa jedną połowę zajmuje bardzo ruchliwy spektrogram jej głosu. Na drugiej połowie elektroniczny stoper odmierza czas. Pod spodem neonowy błękitny piasek przesypuje się przez klepsydrę.

– Isaacu? Masz na to ochotę? Chcesz porozmawiać?

Wszyscy nieco się pochylają i wytyżają słuch, czekając na odpowiedź z głośników. Na monitorze odwróconym tak, żeby widzieli go dowódcy, ale nie Linda, widać gotowych do działania ludzi Flei. Od czasu do czasu jeden z nich zerka na kamerę i unosi kciuk, żeby dać do zrozumienia, że wszystko w porządku. Tymczasem obraz, który Linda ma przed sobą, nie zmienia się – to wciąż ten sam wzór przecinających się linii na szarym tle, który znaczy, że obiektyw kamery w izolatce dalej jest zaklejony taśmą.

Klepsydra na monitorze odwraca się do góry dnem – minęła minuta. Linda znowu włącza mikrofon.

– Powtarzam, bo czasami mikrofon zniekształca dźwięk. Mam na imię Linda i jestem tu po to, żeby zrozumieć twój punkt widzenia. Jestem tu dla ciebie, Isaacu. Jeżeli masz komórkę, mogę ci podyktować mój numer. Możesz do mnie zadzwonić. To będzie rozmowa tylko między nami, nikt inny nie musi jej słyszeć. Tylko ty i ja. – Robi chwilę pauzy. – Jestem tu dla ciebie, Isaacu. Naprawdę.

Znowu cisza. Nikt nie wygląda na poruszonego. Z wyjątkiem CB. Ten co chwila bezradnie zerka ponad ramieniem na starszego negocjatora, jakby chciał powiedzieć: „Niech pan coś zrobi. Niech pan sprawi, że coś się ruszy”.

Linda włącza mikrofon i bardzo wyraźnie, spokojnym głosem dyktuje numer swojego telefonu. Powtarza go trzy razy, a potem mówi: – Isaacu, od wielu dni nie miałeś gdzie spać. Na pewno jesteś zmęczony. Czy nie poczułbyś się lepiej, gdybyśmy zamienili parę słów? Chcę ci pomóc, ale mogę to zrobić jedynie, wiedząc, co tobą kieruje.

Wciąż brak odpowiedzi.

Minęła godzina. Kto wie, co się stało za tymi drzwiami?

Berrington Manor

Jonathan wygląda na chorego, cerę ma szarobiałą, a pod oczami wystąpiły mu podobne do sińców ciemnobrązowe cienie. Odwraca się na krześle do Caffery'ego, a jego twarz wykrzywia grymas wysiłku.

– Słucham – mówi znacząco Caffery. – Czekam.

Keay bierze z trudem głęboki oddech.

– Tak, tak, tak.

– Miał mi pan opowiedzieć w skrócie o tym, co się stało w Rotherham, a potem prześladowało pacjentów szpitala Beechway, kończąc się śmiercią dwóch osób i...

– Dwóch?

– Tak. Jednej w dwa tysiące dziewiątym roku...

– Pauline Scott.

Caffery waha się.

– Pauline Scott. Tak. Pracował pan w Beechway, kiedy to się stało.

– Rzeczywiście. Ale kto jeszcze zginął?

– Zelda Lornton. Zmarła niemal dwa tygodnie temu. Na razie czekamy na wynik autopsji.

– Zelda?

– Tak. Na pewno ją pan znał.

Zapada długie milczenie. Jonathan wpatruje się w twarz Caffery'ego, jakby szukał odpowiedzi na jakieś szczególnie bolesne pytanie. Potem głęboko, konwulsyjnie wzdycha i odwraca się tyłem do detektywa. Obejmuje się ramionami. W pierwszej chwili Caffery sądzi, że mężczyzna zaczyna pisać na klawiaturze komputera; dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że Jonathan płacze. Cicho, bezradnie, a jego ramionami wstrząsają spazmy.

Trucizna

Minęło półtorej godziny, a CB nie może, po prostu nie może stać dalej beczynn timer w dyżurce. Drży z niepewności, ale zauważyły to tylko dwie osoby. Jedną jest Duży Lurch, który oparł dłoń na ramieniu CB i przytrzymał ją na tyle długo, żeby wyrazić w ten sposób swoje wsparcie: „Wiem, stary. Wiem, przez co przechodzisz. Nie powiem tego głośno, ale wierz mi, że jestem z tobą”. Drugą jest policjantka z grupy wsparcia, blondynka o sztywnych, suchych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Jest ubrana na akcję w najeżoną gadżetami i radiami kamizelkę kuloodporną, ale wrażliwa na tyle, że zauważyła, co się z nim dzieje. Od jakiegoś czasu czuje na sobie jej wzrok. Ona wie.

Na monitorze policjanci w czarnych uniformach i kamizelkach ochronnych sprawdzają różne drzwi na korytarzu, upewniają się, że kamery są sprawne, oceniają stopień ryzyka i dokładnie badają plany ewakuacyjne budynku oraz rozkład dróg pożarowych. Kiedy stoją bez ruchu, rozstawiają lekko nogi, jakby chcieli podkreślić, że są tak umięśnieni, że nie mogą ich złączyć. Ich ramiona, nosy i ręce są takie szerokie i silne, że CB czuje się przy nich jak mięczak.

Na drugim monitorze wciąż widać szarą taśmę. Nic się nie zmieniło. Głośniki nastawiono na cały regulator, żeby wyłapać wszystkie niuanse tego, co zostanie powiedziane w izolatce. Zespół przytłacza jednak kompletna cisza – ani jeden dźwięk nie wydostaje się na zewnątrz.

Klepsydra znowu się odwraca. Potem jeszcze raz. Może jej widok pomaga Lindzie się skoncentrować. Zdaniem CB to po prostu przedmiot, przed którym mama instynktownie zasłaniała wzrok – wiedząc, że w przeciwnym razie czeka ją atak padaczki. Za każdym razem, kiedy klepsydra się obraca, mija kolejna minuta, podczas której Isaac Handel ma wolną

rękę i może robić z Melanie, co tylko chce. A chce wielu różnych rzeczy – tego CB jest pewien. Pamięta, w jaki sposób Handel obserwował Melanie, gdy ta szła korytarzem. Jego oczy zmieniały się w wąskie szparki. Teraz ma okazję wcielić wszystkie swoje fantazje w czyn.

CB modli się i ma nadzieję, że jego wyobraźnia jest bogatsza i okrutniejsza niż Handla.

Detektyw Caffery jest poza zasięgiem telefonicznym. CB czułby się o wiele bardziej komfortowo, gdyby Caffery był tu z nim. „Przepraszam, przykro mi – szepcze bezgłośnie, patrząc na obraz z zaślepionej kamery. – Melanie, tak bardzo mi przykro...”.

Nagle Handel zrywa taśmę, która zasłaniała mikrofon. Ogłuszający dźwięk jest dla wszystkich zaskoczeniem. Szef ochrony szybko podchodzi do konsoli i pochyla się nad Lindą, żeby zmniejszyć głośność. Cały zespół wstrzymuje oddech. Stojący koło CB starszy negocjator pochyla głowę, przykładając palec do czoła. Linda zasłania dłońią mikrofon, jakby nie chciała, by żaden dźwięk, nawet najcichszy szept ani szelest, dotarł do uszu zakładniczki czy jej porywacza. CB opiera się w milczeniu o ścianę. Ma nadzieję, że stojący za nim ludzie nie zauważyli, jak bardzo znowu trzęsą mu się nogi.

Po chwili taśma klejąca zostaje zerwana z obiektywu. Na ekranie pojawia się oślepiająca plama światła – to znaczy, że kamera dostraja się do nagłej zmiany oświetlenia. Nagle obraz się wyostrza i widać izolatkę.

Melanie siedzi z pochyloną głową na podłodze, wsparta plecami o ścianę. CB pochyla się i nerwowo się jej przygląda – bada każdy szczegół. Jest ubrana. Ma na sobie ten sam strój, w którym przyszła. Żadna część garderoby nie wygląda na podartą ani poszarpaną. Ma zwieszona ramiona, ale żyje. Oddycha. Z tego ujęcia trudno wywnioskować, czy nie jest ranna.

Handel stoi w kącie celi, wskutek efektu optycznego jego głowa zdaje się większa niż normalnie. Sportowa torba leży koło niego na podłodze. Przesłupuje z nogi na nogę, nerwowo pociera dłonie i ani na chwilę nie przestaje wodzić oczami –

wciąż zerka to na Melanie, to na drzwi, to na kamerę. Nosi za duże dzinsy, wiszą na jego kościstym ciele jak na wieszaku, ale przynajmniej, jak zauważa CB, są zapięte. Na jego ubraniu nie widać śladów krwi.

Starszy negocjator stoi w drzwiach do pokoju socjalnego i szeptem relacjonuje tę scenę dowódcy. CB słyszy strzępy ich rozmowy: „...dajmy mu trochę czasu...”, „...zobaczymy, jak się rozwinie...”, „...wdrożyć plan...”. Próbuje zapanować nad oddechem – sam się nie odzywa, chociaż milczenie wymaga od niego nadludzkiego wysiłku.

Melanie unosi głowę i patrzy prosto na kamerę. Jej twarz jest cała i zdrowa. Nie widać sińców ani krwi. Ale jej oczy wyglądają jak dwie czarne dziury.

– Słyszać mnie? – pyta.

Linda przełącza się na mikrofon i pochyła się do niego.

– Słyszę cię doskonale. Mam na imię Linda.

Melanie potakuje skinieniem głową.

– Wiem. Słuchaliśmy wszystkiego, co do nas mówiliście.

– Dobrze – stwierdza Linda. – Mam rozmawiać z tobą czy z Isaakiem?

– Ze mną – odpowiada Melanie. – Lindo, jesteś policjantką?

– Właściwie, wiesz co? Teoretycznie tak. Ale teraz nie występuję w tym charakterze. Nie przyszedłem tu jako funkcjonariuszka policji, tylko po to, żeby pomóc tobie i Isaacowi. Wiem, że w tej chwili może być o wiele za wcześnie na dyskusję o twoim zwolnieniu, ale moim zadaniem jest rozmowa z wami i omówienie, na jakich zasadach mogłoby do tego dojść. A zatem, Isaacu, jeżeli bierzesz pod uwagę taki wariant, że wychodzicie z zamknięcia, to możesz skonsultować się właśnie ze mną.

– W porządku – mówi Melanie. – Nie będziemy nikim manipulować.

W kącie celi Isaac energicznie potakuje. Jest coraz bardziej podekscytowany i coraz szybciej zaciera dłonie.

Linda posyła w kierunku CB szybkie spojrzenie. Wyraził się podobnie: „Isaac manipuluje ludźmi częściej niż się zdaje”.

– Manipulować? – powtarza do mikrofonu.

– Tak jest.

– No dobrze – mówi wolno Linda. – Powiedz mi coś więcej. Wszyscy pracujemy nad tym, żebyście oboje z Isaakiem mogli wyjść stamtąd szczęśliwi i zapomnieć o całej sprawie.

– Oczywiście. – Melanie wolno kiwa głową. – Wystarczy, że mnie wysłuchacie.

– Właśnie to robię.

– Kto tam jest oprócz ciebie? Kto jeszcze nas słucha?

– Potrzebujesz więcej prywatności? Mogę ich poprosić, żeby wyszli, jeżeli sobie tego życzysz.

– Nie. Chcę tylko wiedzieć, kto tam jeszcze jest.

– Dobrze, jestem ja, a ze mną kolega z Londynu. Dwaj pracownicy ochrony. Jest... – Patrzy na dowódcę, który stoi z założonymi rękami przy drzwiach. Ten krótko potrząsa głową. Linda niemal bez wahania mówi dalej, pomijając dowódcę i jego doradcę taktycznego. – I jeszcze twój koordynator oddziału.

– CB?

– Tak, CB.

– Cześć, CB. – Melanie unosi dłoń i z poważną miną lekko macha do kamery. – Cześć.

CB patrzy na starszego negocjatora. Rozkłada ręce: „Co mam robić? Mogę odpowiedzieć?”. Tamten potakuje, więc CB przechodzi przez dyżurkę i pochyla się nad mikrofonem. Z tak małej odległości czuje zapach perfum Lindy – a ona pewno słyszy, jak łomocze mu serce.

– Cześć, Melanie. Jestem tu. – Milknie i wpatruje się w monitor. Po chwili instynktownie dodaje: – Cześć, Isaac.

Isaac zna jego głos. Pozdrawia go gestem do kamery. Linda lekko odsuwa od CB mikrofon.

– Melanie, co miałaś na myśli, mówiąc o manipulowaniu?

– Właśnie to. – Melanie zerka na Isaaca. – Tak – mówi wolno, z naciskiem. – Muszę tylko wyznać moje „zbrodnie”.

– Twoje zbrodnie?

– Właśnie tak. A konkretnie, że... – Robi pauzę i przelyka ślinę, jakby słowa przychodziły jej z wielkim trudem. – Że torturowałam moich, umm... moich pacjentów. Że zadawałam

im rany, które potem tłumaczyłam samookaleczeniami. Że... – Zerka wyczekująco na Isaaca, jakby chciała, żeby jej przypomniał treść scenariusza. – Że... umm...

– Dręczyłaś – mówi bezbarwnie Isaac. – Dręczyłaś ich.

– No właśnie. Dręczyłam ich.

– Kładłaś im do głów różne pomysły.

– Kładłam im do głów różne pomysły. I w końcu, jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi, w dwóch przypadkach... – znowu z wysiłkiem przetyka ślinę, a potem szybko kończy zdanie: – ...doprowadziłam do ich śmierci.

– Właśnie to chciałaś nam powiedzieć?

– Tak. – Wskazuje ręką na Isaaca, który gmera w torbie. – Kiedy dopuszczałam się tych czynów, wkładałam to, żeby nikt mnie nie poznał.

Isaac staje wyprostowany i pokazuje do kamery maskę termoplastyczną. To maska do radioterapii – CB od razu ją poznaje. Niektórzy pacjenci kliniki neurologicznej, w której leczyła się jego mama, nakładali je do zabiegów. Przypomina sobie narysowany przez Zeldę obrazek i nocnego gościa w ogrodzie Melanie. W obu przypadkach widział tę samą gładką, niesamowitą, jednolitą twarz.

Następuje długie milczenie. Linda wyłącza mikrofon i odpycha się na krzesło, żeby podjechać bliżej drugiego negocjatora.

– Przechodzimy do planu kapitulacji?

– Tak. Przetrzymaj ich jeszcze minutę. Zaraz się tym zajmę.

Odwraca się, zagląda do pokoju socjalnego i szeptem wydaje polecenie dowódcy:

– Możemy przejść do planu kapitulacji. Wszystko wygląda dobrze.

Policjantka o niewinnej twarzy kieruje się do drzwi, a wychodząc, mówi coś do radiotelefonu. W służbówce ochrony wyraźnie daje się odczuć spadek napięcia. Linda i starszy negocjator się obejmują, a na ekranie monitora funkcjonariusze w strojach bojowych zaczynają wycofywać się spod drzwi. Na obrazie z drugiej kamery widać, że Isaac usuwa śruby i żelazne bolce, których użył do blokady drzwi. CB

obserwuje Melanie na monitorze. Wpatruje się w maskę do radioterapii.

Może i napięcie w pokoju socjalnym zelzało, ale pojawił się nowy rodzaj emocji – jakby rozczarowanie, że wszystko odbyło się tak łatwo – że Isaac nie jest szaleńcem, którego każdy spodziewał się zobaczyć, tylko schizofrenikiem dającym się tak bezproblemowo rozbroić „wyznaniem” Melanie. Żadnych popisów odwagi, żadnego taranowania drzwi. Po prostu jeszcze jeden czubek.

Tylko CB się nie cieszy.

– Sir?

Wszyscy obecni w pokoju socjalnym przerywają swoje zajęcia i zwracają się w kierunku CB. Ten patrzy prosto w oczy dowódcy.

– Mogę z nim porozmawiać, zanim wyjdzie?

Dowódca przechyla głowę na bok.

– Sytuacja jest opanowana. Przechodzimy do planu kapitulacji i raczej wiemy, z czym mamy do czynienia.

– Na pewno? Jest pan absolutnie pewny, że po otwarciu drzwi Handel nie spróbuje żadnych sztuczek?

– Mój oddział jest dobrze wyszkolony.

– Ja też. A szczególnie dobrze, jeżeli chodzi o tego konkretnego pacjenta. Znam go, on blefuje. Już zdarzały mi się podobne sytuacje z jego udziałem i wiem, że właśnie w takich okolicznościach wszystko zaczyna wymykać się z rąk.

Dowódca się zastanawia, a potem daje znak głową starszemu negocjatorowi.

– Pozwólmy mu spróbować.

– Dzięki.

CB sprawdza w telefonie, czy Caffery oddzwonił. Wysłał mu sześć SMS-ów i zostawił trzy wiadomości na poczcie głosowej, informując go o rozwoju sytuacji – jak dotąd nie dostał odpowiedzi. Przypina telefon z powrotem do paska spodni i podchodzi do biurka. Linda marszczy brwi – widać, że nie podoba jej się ten pomysł, ale w końcu wstaje i gniewnym gestem podsuwa krzesło w jego kierunku.

– Tylko mi teraz tego nie spieprz... – ostrzega szeptem. –

Proszę.

CB potakuje. Siada i włącza mikrofon.

– Isaac – mówi. – Isaac, to ja.

Na ekranie Isaac przerywa swoje zajęcia. Odchyła głowę i patrzy w obiektyw kamery.

– CB?

– Tak. Tu CB. Isaac, chciałbym cię o coś zapytać. Czy to ty cztery dni temu stałeś pod oknem pani Arrow?

Isaac błądzi dokoła wzrokiem, jak zwykle, gdy dopada go stres – tak samo wodzą oczami niewidomi, nie mogąc zatrzymać na niczym wzroku. Z tego powodu sprawia wrażenie, jakby odpowiadał komuś, kogo widzi jedynie w swojej głowie.

– Tak – mówi. – To ja.

– Dlaczego?

– Umm... – Isaac zamyka oczy i po chwili znowu je otwiera. – Bo miała się bać tak, jak oni.

– Czyli kto?

– Jak Pauline, Zelda i Moses, kiedy na nich siedziała. Chciałem ją nastraszyć tak, jak ona straszyla innych.

Linda znacząco odkasłuje. Kiedy CB zerka na nią, ta szybko pisze w notesie: „Nie posuwaj się za daleko. Pozwól mu tak sądzić. Niech myśli, że się z nim zgadzasz. Cel = wydostać zakładniczkę”.

CB kiwa głową, a potem znowu włącza mikrofon. Tym razem zasłania przycisk dłonią, żeby Linda nie mogła mu przeszkodzić.

– Isaac...

– Tak, co?

– Otrułeś, skurwielu, mojego psa?

Linda głośno nabiera powietrza do płuc. Podchodzi do niego i patrzy oskarżycielsko.

– Odpowiedz, Isaac! – ponagla CB. – Dlaczego otrułeś mojego psa?!

Isaac kołysze głową, jakby usłyszał coś tak surrealistycznego i niedorzecznego, że trudno mu uwierzyć własnym uszom.

– Psa? – mamrocze. – Chyba coś ci się pomyliło, CB. Nie otrułem psa. Lubię psy. Naprawdę je lubię.

Berrington Manor

Po jakimś czasie Jonathan wystarczająco się uspokaja. Oddycha płytko, jakby sączył drobnymi łykami wodę i ostrożnie ją przełykał. W końcu przestaje się trząść, chwyta za brzeg swojego T-shirta i wyciera nim twarz.

– Okej? – pyta Caffery.

Keay potakuje skinieniem głowy. Zwilża językiem usta.

– Nie wiedziałem o Zeldzie. Gdybym wiedział, że znowu do tego dojdzie, to... to coś bym zrobił.

– Oczywiście. Cofnijmy się do czasów, kiedy trafił pan do Beechway i powiedział Isaacowi Handlowi, co się stało w Rotherham. Czy właśnie wtedy...

Raptem Jonathan unosi głowę i zerka na Caffery'ego.

– Isaacowi Handlowi?

– Tak. Proszę mi opisać, jak nawiązaliście kontakt. Pomagał mu pan tworzyć lalki podczas terapii sztuką... To znaczy te jego ludziki. Zdaje się, że miał pan w tym swój udział.

Jonathan marszczy brwi. Uważnie obserwuje twarz Caffery'ego, jakby próbował się domyślić, dokąd zmierza ta rozmowa – jaką strategię obierze detektyw.

– To prawda. Lalki były dla Handla czymś w rodzaju... form ekspresji.

– Domyślał się, że pozwalał mu pan używać narzędzi.

– Tak. I bez przerwy miałem go na oku. Po każdej sesji zbierałem wszystkie narzędzia. Ściśle przestrzegałem regulaminu.

– Na pewno orientuje się pan, że Isaac sądził, iż za pomocą tych lalek może kontrolować innych ludzi. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

– Wiem, że w to wierzył. Ale co to ma wspólnego ze sprawą?

– Nigdy nie miał pan zastrzeżeń natury zawodowej wobec tych przekonań? Rozumie pan, lalki z zaszytymi oczami...

– Zastrzeżeń? Właściwie nie. Oczywiście, wydawało mi się dość niezwykle, że w taki sposób przedstawia śmierć. Ale w takim miejscu jak Beechway widuje się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Caffery wyjmuje telefon i przegląda fotografie lalek. Znajduje zdjęcie lalki Pauline na poduszce z różowej satyny i pokazuje je Jonathanowi. Ten pochyla się, żeby popatrzeć. Kiwa głową.

– Tak... To Pauline. Ta różowa satyna... Chciał, żeby jej było wygodnie.

– Wygodnie? Dlatego ją zabił?

– Co? – Jonathan mruga, zaskoczony. – Isaac?

– No, przecież zrobił tę lalkę... Zaszył jej oczy tak samo jak lalkom przedstawiającym jego rodziców. Chyba chciał w ten sposób wyrazić, czego życzy Pauline, co zamierza uczynić.

– Nie... Ależ skąd! To jakieś wielkie...

– Jakieś wielkie co?

– Nieporozumienie. Możliwe, że Isaac zaszył oczy rodzicom, zanim ich zamordował. Tego nie wiem. Ale w przypadku Pauline było zupełnie inaczej: zaszył jej oczy dopiero po tym, jak znaleziono ją martwą na terenie szpitala. Bardzo silnie to przeżył. Właśnie dlatego ułożył ją na poduszce z różowej satyny. To taka niby trumna. A ta, czy to Zelda? Widzi pan, jej też zaszył oczy. Musiał to zrobić dopiero po jej śmierci, a nie wcześniej.

Caffery odkłada telefon.

– No dobrze. – Zachowuje pojednawczy ton. – A zatem mówimy o dwóch różnych rzeczach, tak?

Jonathan potakuje, patrząc na niego z pewnym niedowierzaniem.

– Tak. To znaczy, wyciągnął pan niewłaściwe wnioski.

– Czyżby? Proszę mi więc powiedzieć, jak było naprawdę.

Jonathan wsuwa dłonie między kolana, jakby się bał, że mogą się wymknąć spod kontroli i zrobić coś, czego będzie żałował.

– Dobrze – mówi po chwili. – Dobrze. Proszę mi powiedzieć, czy słyszał pan o pojęciu przemocy domowej.

Wiele lat temu Caffery uczestniczył w jednodniowym szkoleniu na ten temat podczas służby w Londynie. Pamięta

take tematy jak: cykle przemocy, syndrom sztokholmski, usprawiedliwianie przemocy, poczucie winy – nie zapomniał ich, bo kiedyś sam uderzył swoją dziewczynę i do tej pory nie może obojętnie o tym myśleć.

– Zna pan mniej więcej cechy psychologiczne sprawcy i ofiary? – odpowiada Jonathan. – A kiedy słyszy pan o przemocy domowej, automatycznie przychodzi panu na myśl okrucieństwo mężczyzn wobec kobiet, prawda?

– Albo mężczyzn wobec mężczyzn.

Jonathan wstaje i unosi brzeg T-shirta. Caffery patrzy na jego odsłonięty brzuch. Poniżej różowego plastra Kinesio zebra i brzuch mężczyzny są posiniaczone – od urazu musiało już minąć trochę czasu, bo sińce są zielonkawe lub żółte, niektóre łączą się w większe plamy przebarwień. W wielu miejscach widać głębokie i długie, nawet kilkudziesięciocentymetrowe zadrapania. Zdaje się, że w jedno z nich wdała się infekcja. Jonathan próbuje zdjąć T-shirt przez głowę, ale nie jest w stanie unieść rąk.

– Przepraszam. Musi mi pan pomóc.

Caffery wstaje. Ostrożnie ściąga z Jonathana T-shirt, czując się trochę niezręcznie w tak intymnej sytuacji. Od razu dostrzeżga to, co chciał mu pokazać Jonathan – całą klatkę piersiową od jednej pachy do drugiej przecinają mu wydrapane głębokie rany. Siatka poczerniałych strupów wciąż pokrywa świeże blizny. Caffery mruży oczy, żeby przyjrzeć się zadrapaniom, bo mrok w pokoju rozjaśnia jedynie blask ekranu komputera.

– Tu jest napisane: „Nie cudzołóż”. – Jonathan siada na krześle, posyukując z bólu. – Potrzebowałby pan lustra, żeby to przeczytać. Moja partnerka wmówiła sobie, że chcę od niej odejść. Postanowiła zostawić mi te blizny na pamiątkę, żebym je widział za każdym razem, kiedy spojrzę w lustro. Powiedziałem rodzicom, że oberwałem w bójce w pubie. Domagają się, żebym to zgłosił na policję, ale odmówiłem. – Z grymasem bólu zwraca się w kierunku Caffery’ego, żeby zerknąć na jego twarz. – Chyba podświadomie czułem, że prędzej czy później pan sam tu przyjdzie.

– Partnerka?

– Myli się pan, sądząc, że przemoc domowej dopuszczają się jedynie mężczyźni wobec kobiet albo innych mężczyzn. To dzieło kobiety. – Widzi minę Caffery’ego i gorzko się śmieje. – Wiem, nikt by w to nie uwierzył, ale może mi pan zaufać, że takie rzeczy też się zdarzają. Zdobyła tabletki z benzodiazepiną, nigdy przedtem nie brałem narkotyków, więc kompletnie mnie rozłożyły. Zbudziłem się dopiero dziesięć godzin później. Myślałem, że przyśnił mi się jakiś koszmar, ale po chwili zobaczyłem na sobie bandaże i opatrzone rany. Ona siedziała przy łóżku i płakała. Błagała, żebym jej wybaczył. Byłem w niej tak bardzo zakochany, że chyba zrobiłbym wszystko, byle tylko nie dopuścić myśli, że mogła... mogła zrobić to, co zrobiła.

– Czy ta „ona” jakoś się nazywa?

Jonathan Keay długo się waha. W końcu mówi tak cicho, że niemal szepcze:

– Melanie Arrow.

– Melanie Arrow? – Caffery pochyla głowę i marszcząc brwi, patrzy na Jonathana. – Dyrektorka szpitala?

Mężczyzna potakuje. Przykłada dwa palce do grdyki, jakby próbował poskromić coś wyrrywającego się z gardła.

– Pracowaliśmy razem niemal dwadzieścia lat. Nigdy nie związała się z nikim na długo. Cierpliwie patrzyłem, jak kolejni mężczyźni pojawiali się w jej życiu i odchodzili. Widziałem, jak cierpi po każdym z nich. Czekałem na moją kolej. Poszedłbym za nią nawet na koniec świata. Była uosobieniem wszystkich cech, których mi brakowało. Niech pan sobie mnie wyobrazi: ciapciak z dobrego domu, łacina na same piątki, bogaci tatuś i mamusia. Tymczasem ona urodziła się w slumsach Gloucester. Rozmawiając z nią, nigdy by pan na to nie wpadł, prawda? Udało jej się wspiąć bardzo wysoko po drabinie społecznej, aż do miejsca, w którym jest teraz. Poznałem ją, kiedy sam postanowiłem zerwać ze światem wielkich pieniędzy, żyć jako „obywatel Keay” i... Ech, do diabła. Widział ją pan. Była ładna, miła, a przede wszystkim miała naturę wojowniczkę. Może pan sobie wyobrazić, co do niej poczułem. – Na chwilę jakby zapomina, co się wokół niego dzieje; znowu

patrzy na swoje dłonie, rytmicznie zaciskające się na brzegu łóżka. – Problem w tym, że nie udało mi się zapewnić jej wsparcia, nie udało mi się uchować jej przy zdrowych zmysłach. Czułem się jak człowiek, który próbuje utrzymać nad wodą głowę tonącego. Kiedy się zorientowałem, kim, czym naprawdę jest, oznajmiłem jej, że odchodzę. Że zrywam z nią, ze szpitalem i pracą. – Jego usta wykrzywia ironiczny uśmiech. – Wtedy zostałem naznaczony jako cudzołożnik.

– Jonathanie, co chce mi pan powiedzieć za pomocą tej historii?

– Nie domyśla się pan?

Caffery wytrzymuje jego spojrzenie.

– Chciałbym to usłyszeć od pana.

– Mel miała trudne dzieciństwo. Zostawiło głębokie blizny na jej psychice. Kiedy była mała, jej ojciec chorował na raka. Wyzdrowiał, ale ona wszystkim mówiła, że zmarł. Wypłakiwała się każdemu, kto chciał jej słuchać, a tymczasem ojciec żył i miał się całkiem dobrze. Ona po prostu nie chciała mieć nic wspólnego z rodzicami. Ojciec pracował dla służb miejskich, był, krótko mówiąc, śmieciarzem, a Melanie duma nie pozwalała pogodzić się z tym faktem.

– Zapytam jeszcze raz: co pan chce mi przez to powiedzieć, Jonathanie?

Ten odkasłuje, zawstydzony.

– Kiedy pacjenci Beechway zaczęli przebąkiwać o Maude, tak samo jak ci w Hartwool, pomyślałem... – Przesuwa dłonią przed oczami, jakby chcąc podkreślić, że był zaślepiiony. – Nie wiem, co myślałem. Pewno starałem się zaprzeczyć faktom. Czy kochał pan kogoś tak bardzo, że byłby pan skłonny na wszystko przymknąć oczy? Nawet na coś takiego?

Caffery nie może na to odpowiedzieć. Nie tylko Jonathanowi, ale i sobie.

– Nawet po śmierci Pauline próbowałem udawać, że po prostu oddaliła się z własnej woli. Melanie jest wcieleniem wdzięku, zachowuje się wobec wszystkich tak urzekająco, że nikomu nie przyszłoby do głowy, że może być skłonna do... – Znowu robi pauzę, żeby potrzeć oczy. – To był jej stały numer,

właśnie tak kończyła swe związki z mężczyznami. W ten sposób dawała ujście złości i frustracji. Można doszukać się ścisłego związku między aktywnością Maude a jej kłopotami sercowymi. Pauline została zaatakowana w swoim pokoju tydzień po tym, jak mąż Melanie złożył pozew o rozwód. Dwa tygodnie później Moses wylupił sobie oko. A teraz pan mi mówi o Zeldzie? Po moim odejściu?

Caffery krzyżuje ręce. Prostuje nogi, wyciąga daleko stopy i z zamkniętymi oczami odchyła głowę. Wygląda, jakby uciął sobie krótką popołudniową drzemkę, ale naprawdę daleko mu do relaksu. Próbuje dopasować wszystkie elementy układanki. Myśli o awariach prądu, które uniemożliwiły nagrywanie kamerom bezpieczeństwa. Od początku nie dawało mu spokoju pytanie, w jaki sposób Isaac mógł tak precyzyjnie zaplanować ataki – jakby był przygotowany na totalne zaciemnienie. Jeżeli to jednak Melanie Arrow jest duchem z bajki o Scooby-Doo, o której mówił CB... to wszystko pasuje jak ulał. Jako dyrektorka szpitala miała swobodny dostęp do wszystkich miejsc, mogła wszędzie wchodzić, kiedy chciała, i dowolnie blokować lub aktywować kody bezpieczeństwa, bezpieczniki oraz zamki. Ofiarami zaś byli pacjenci nieszczęśliwie lubiani przez personel. Ciekawe, czy Arrow myślała, że dzięki temu mniej ludzi będzie za nimi tęsknić, czy po prostu wybierała tych, którzy najbardziej działali jej na nerwy.

Caffery otwiera jedno oko. Widzi, że Jonathan mu się przygląda.

– O co chodzi? – pyta.

– Musi mi pan wierzyć na słowo. Melanie Arrow jest bardziej obłąkana i niebezpieczniejsza niż którykolwiek z pacjentów tego szpitala.

Prześwietlenie

– Co się dzieje? – Melanie w izolatce dziwi się opóźnieniu spowodowanemu przez CB. – Czy możemy już wyjść?

Zdezorientowany Isaac rozgląda się na wszystkie strony – próbuje zrozumieć tę nagłą zmianę atmosfery. Widać, że nie jest mu łatwo, bo chociaż nie brakuje mu inteligencji, nie potrafi kłamać. Może być zdolny do manipulacji i okrucieństwa, ale kłamstwo go przerasta. Powiedział, że nie otrul Stewarta, i CB mu wierzy. Spadły mu łuski z oczu i wreszcie wszystko widzi wyraźniej, jakby odkrył w sobie moc przeświećlania sytuacji promieniami rentgenowskimi. Kiedy powiedział Melanie, że Stewart się rozchorował, ta od razu wiedziała, że chodzi o problemy żołądkowe. Nie użył słowa „zatrucie”, tylko poinformował ją, że pies się rozchorował. Ponadto maska – do zabiegów radiologicznych – wygląda dokładnie jak ta, której używał podczas terapii jej ojciec.

CB patrzy na jej ładną twarz, na szeroko osadzone oczy i jasne włosy. Przypomina sobie, jak Stewart ją obszczeakał, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Eden Hole.

Stewart znał prawdę. Teraz CB też ją zna.

– Halo! – Melanie znowu wzywa. – Pytałam, czy możemy się już stąd wydostać!

CB wywołał wielkie poruszenie w dyżurce ochrony. Duży Lurch stoi obok i wytrzeszcza na niego oczy, a Linda i jej starszy kolega rozmawiają podniesionymi głosami z dowódcą. Negocjatorka co chwila posyła mu mordercze spojrzenia zza drzwi. W końcu osiagają jakiś rodzaj porozumienia. Linda patrzy w jego kierunku urażona do żywego i odchodzi na bok, potrząsając głową. Energicznie wpycha koszulę za pasek spodni, patrzy dokoła i szuka wśród zebranych osób potwierdzenia, że ta sytuacja jest kompletnie nieakceptowalna. Dowódca wchodzi do dyżurki, staje koło CB, wspierając się

jedną ręką o biurko, a drugą o oparcie krzesła, i pochyła się, żeby go cicho pouczyć:

– Wulgarny język w niczym nam nie pomoże. Sądziłem, że dość wyraźnie określiliśmy, co może pan powiedzieć.

– Nie będę już przeklinał. Obiecuję.

– Wierzę na słowo i daję panu szansę, bo jest pan na swoim gruncie. Proszę mnie nie zawieść.

– Dobrze.

– Ostatnia szansa, okej?

Dowódca wyczekująco unosi brwi. CB potakuje.

– Możemy to wreszcie skończyć? – pyta Melanie w izolatce. – Proszę.

Dowódca wraca do drzwi. CB odwraca głowę, ale tak, by widzieć policjanta kątem oka. Znowu włącza mikrofon.

– Oczywiście – mówi opanowanym głosem. – Wypuścimy was, Melanie, kiedy powiesz prawdę. Całą prawdę.

– Nie rozumiem...

– Dobrze mnie słyszałaś. Skąd to nagle przyznanie się do winy?

– CB... – mówi Melanie, zerkając znacząco na Isaaca. – Naprawdę musisz mnie o to pytać? Czy to nie dosyć oczywiste?

W pokoju socjalnym Linda miota się wściekle. Unosi ręce, jakby nie wierzyła własnym uszom. Ale dowódca oddziału wciąż stoi tam, gdzie stał – przynajmniej na razie. Skrzyżował ręce i obserwuje CB niczym jastrzęb.

– Melanie – mówi szybko CB, nie czekając, aż dowódca się rozmyśli. – Zastanawia mnie, po co Isaac miałby wpaść na taki pomysł. Co mogło nim kierować?

– Chyba żartujesz, prawda?

– Ty mi to powiedz.

Melanie zerka na Isaaca, potem na kamerę i znowu na Isaaca. Stoi z czubkami butów i kolanami skierowanymi do wewnątrz – jak dziecko, które nie zna odpowiedzi na trudne pytanie.

– Melanie?

– CB, już wszystko wyjaśniłam. Isaac myśli, że to zrobiłam, bo oczywiście tak było.

Melanie trzyma głowę nisko, ale nieruchomo wpatruje się

w obiektyw kamery, wyraźnie dając do zrozumienia: „To przecież tylko przedstawienie, żeby uspić jego czujność – na litość boską, wysił się i graj swoją rolę”.

– Naprawdę doprowadziłam do ich śmierci. Naprawdę ich dręczyłam, naprawdę wszystkim wmawiałam, że sami się okaleczyli, i naprawdę...

– Powtórz to. – CB wchodzi jej w słowo. – Ale tym razem powiedz to szczerze.

Melanie zdumiona otwiera usta.

– CB... – mówi urażonym głosem. – Powiedz, dlaczego nie chcesz mnie stąd wydostać?

– A ty powiedz, dla kogo urządzasz to przedstawienie.

Melanie wygląda na zbitą z tropu. Po chwili znowu jest opanowana. Stawia stopy czubkami na zewnątrz. Siada i swobodnie opuszcza ręce po obu stronach ciała.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ależ wiesz.

– Oszalałeś. Jest tam ktoś oprócz ciebie? Kto dowodzi akcją? Gdzie Linda?

CB zerka w kierunku Lindy, która oskarżycielsko wpatruje się w dowódcę. Ten jednak opiera się plecami o ścianę i zamyślony skubie palcami wargę.

– Chcę się natychmiast dowiedzieć, kto tam dowodzi! – żąda Melanie. – Przekaż mu mikrofon. Albo daj z powrotem Lindę.

Dowódca stuka palcem w usta, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wolno odpycha się od ściany. Podchodzi do biurka i pochyla się nad mikrofonem.

– Słyszę cię, Melanie. Jestem tu najstarszy stopniem. Dowodzę akcją policyjną. I... – dodaje szybko, żeby nie dopuścić, by przejęła inicjatywę: – ...słucham cię uważnie. Scena należy do ciebie.

– Cooo?

– Słyszałaś – mówi CB. – Teraz odpowiedz na moje pytanie.

Następuje długa pauza. Z sekundy na sekundę oczy Melanie robią się coraz większe. Takie zwrot sytuacji nie mieści jej się w głowie. Wszyscy w dyżurce zamarli. Elektroniczna klepsydra Lindy wykonuje obrót.

W końcu Melanie odgarnia włosy z twarzy i bierze głęboki oddech.

– CB – mówi łagodnie. – Kiedy tracimy kogoś bliskiego, tak jak ty straciłeś matkę, zdarza się, że patrzymy wokół siebie i widzimy jedynie wszechobecny ból.

Te słowa działają piorunująco na CB.

– Moja matka nie ma tu nic do rzeczy.

– Czasami zdarza się, że ludzie obnoszą swój ból i poczucie winy z powodu ich śmierci, tak jak ty czujesz się winny. Istnieje niebezpieczeństwo, że zaczną przenosić te uczucia na innych. Wygodnie jest oczekiwać, że jeśli my czujemy wyrzuty sumienia, to inni powinni odczuwać je tak samo. Może jednak czujesz się winny, bo... Bo potajemnie życzyłeś jej śmierci? Może nieco zbyt frywolnie potraktowałeś przepisane jej dawki le...

– Melanie...

– Przepisane dawki leków. Tylko ty...

– Proszę, czy możesz się zamknąć?

– Tylko ty znasz prawdę, CB. Tylko ty wiesz, co naprawdę się stało. Jedno jest pewne: obarczasz mnie współwiną za jej śmierć i dlatego zachowujesz się tak irracjonalnie. – Melanie lekko potrząsa głową i przygryza usta. – Bardzo mi przykro. Chyba wiesz, co od pewnego czasu próbowałam ci powiedzieć?

CB milczy, kompletnie osłupiały. Jest niezła w tej roli, ale jeszcze wiele jej brakuje. Zachowuje się jak czarny charakter z kreskówki.

– Nie, chyba nie wiem – odpowiada po chwili. – Co próbowałaś mi powiedzieć?

– Wolałabym tego nie robić w takich warunkach, przy tylu świadkach. Nie, nie mogę poruszać w tych okolicznościach tak bolesnych spraw.

– Och, sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie.

Melanie wzdycha.

– Dobrze. Myślę, że robisz to, bo wiesz, że między nami koniec. Wiesz, że to nie mogło się przerodzić w nic więcej. Zastanów się: ty i ja?

Robi taką minę, jakby zobaczyła coś wyjątkowo żenującego,

o czym, z czystej przyzwoitości, lepiej nie mówić.

– Szczególnie że, no wiesz, ziemia nie drżała, kiedy byliśmy razem w łóżku. W pewnym sensie, rozumiem twój punkt widzenia i chyba wiem, dlaczego postanowiłeś mnie w taki sposób zaatakować. Patrząc z boku, może się zdawać, że wybrałeś niebывale krzywdzący i dziecinny rodzaj zemsty, ale jestem w stanie cię zrozumieć. Po prostu masz swoje problemy, których nie będę poddawać ocenie. A teraz – dodaje spokojnie – proszę, przekaż mikrofon inspektorowi.

– Pozwolę sobie odrzucić twoją prośbę.

– Nie! Nie odrzucisz.

– Ależ tak.

– Na pewno, kurwa, nie – syczy Melanie. – Złamasie.

W dyżurce ochrony panuje lodowate milczenie. Wszyscy jak w transie patrzą na zmieniającą się twarz Melanie. Jej rysy nagle się wyostwiają.

CB przełyka ślinę. Już niemal przyparł ją do muru.

– Tak – mówi opanowanym tonem.

Następuje przerwa w wymianie zdań. Melanie ciężko dyszy. Cała drży. W końcu mówi tak cicho, że ledwo ją słyszą:

– Ty miękki fiucie. Dawaj dowódcę do mikrofonu, ale już!

Nagle rozbrzmiewa sygnał telefonu w etui przy pasku CB. Na wyświetlaczu pulsuje numer Jacka Caffery'ego.

Nareszcie! – myśli CB. Czasami w życiu chodzi przede wszystkim o dobre wyczucie czasu.

Sztuka aresztowania przestępców

Zakład zamknięty dla psychicznie chorych Beechway widać z odległości wielu kilometrów – błękitne światła stojących wokół budynku służbowych wozów pojawiają się i znikają między drzewami niczym błyskawice. Kiedy Caffery skręca na podjazd, widzi w blasku reflektorów znajome twarze. Dostrzega samochody oddziału szybkiego reagowania, ambulanse, trzy pojazdy cywilne, które zapewne należą do lokalnych funkcjonariuszy, i opancerzony sprinter grupy wsparcia.

Nie jest pewny, czego się spodziewać. Wydał polecenie, żeby wstrzymali się z aresztowaniem Melanie Arrow, dopóki nie przyjedzie na miejsce – chce przy tym być. Tymczasem kobieta przebywa w zamkniętej celi.

– Jack! – rozlega się kobiecy głos, kiedy Caffery jedzie w kierunku szpitala. Zatrzymuje się na podjeździe. Na końcu drogi Flea Marley stoi tyłem przy furgonetce. Podkurczyła nogę i wsparła podeszwę buta o bok samochodu. W ręce trzyma kawę w kubku termicznym. Ma na sobie strój do pracy w terenie – obwieszony nadajnikami, krótkofalówkami i innymi gadżetami – i wygląda na zmęczoną. Odgarnęła włosy do tyłu, odsłaniając pozbawioną makijażu twarz.

Caffery postanowił, że nie da się dłużej wodzić za nos. Myśli o Jonathanie Keayu – jaki był zdruzgotany i zawstydzony faktem, że tak długo krył występki Melanie. Ile czasu musi upłynąć, żeby on też się zbudził i zdjął klapki z oczu? Nie zamierza wdawać się w dyskusję. Przyjmuje raczej oficjalny ton:

– O, cześć. Jak to wygląda? Łatwo poszło?

Flea zdaje się zbита z tropu jego oziębłym zachowaniem.

– Tak... ja...

Odgarnia kosmyk z twarzy – chociaż to tylko pretekst, żeby ukryć swoją minę. Kiedy opuszcza dłoń, już nie widać po niej

zaskoczenia ani rozczarowania. Zastąpił je pełny profesjonalizm.

– Jak po maśle – mówi jakby od niechcienia i wskazuje ręką na budynek szpitala. – Przyjechaliśmy uzbrojeni po zęby, ale okazało się, że niepotrzebnie. Kolejny mokry fajerwerk. Brązowy i srebrny wciąż tam są i ustalają szczegóły wyjścia. Nie mają za wiele roboty, bo i porywacz, i zakładniczka garną się do współpracy. – Flea bierze głęboki, bardzo głęboki oddech. – Zanim tam pójdziesz...

– No? – ponagla ją niecierpliwie Caffery. – Co?

Przez chwilę Flea milczy. Potem spuszcza z niego wzrok i popija łyk kawy.

– Nic – mamrocze. – Już nic. Powodzenia.

Caffery wie na sto procent, że jej „nic” wcale nie znaczyło: „nic”, ale kiedy chce, to potrafi być upartym gnojkiem. Niełatwo zapomni, jak bardzo dał się jej wciągnąć w ciuciubabkę przez cały ubiegły tydzień. Unosi dłoń na pożegnanie, odwraca się i idzie podjazdem do drzwi szpitala. Nie zatrzymuje się, żeby na nią spojrzeć, chociaż domyśla się, że ona na niego patrzy. Na pewno go przeklina.

Przechodzi koło dyżurki ochrony – mijają ochroniarzy we wszystkich możliwych strojach służbowych, którzy puszą się i nadymają w towarzystwie prawdziwych policjantów. Pacjenci jednego ze skrzydeł budynku stłoczyli się przy oknie – gapią się i zastanawiają, skąd to zamieszanie w szpitalu. Caffery słyszy ich zawodzenie i chichot.

W oknie pojawia się uśmiechnięta twarz trzydziestokilkuletniej kobiety, która – jak się zdaje – zjadła coś czerwonego, lepkiego, a przy okazji umazała całą twarz tą substancją i wygląda jak lwica po udanym polowaniu. Lubieżnie wystawia język, patrząc na Caffery’ego. Posyła mu całusa. Detektyw idzie dalej za dwoma policjantami przez osłonięty łukowatym sufitem hol do skrzydła o nazwie Mirt.

Wewnątrz zakładu unosi się smród, jak w toalecie jakiejś mordowni. Ściany są usiane odciskami dłoni i stóp, a na wszystkich rogach przymocowano miękkie ochraniacze – niczym na ringu bokserskim. W powietrzu unosi się

wszechobecna aura konsternacji, smutku i strachu, która sprawia, że Caffery czuje się jeszcze bardziej wyprany z emocji niż przedtem.

Handel został aresztowany – doszło do przepychanki, ale wkrótce umieszczono go w jednej z pustych sal w Mircie, gdzie oczekuje wizyty specjalisty, który oceni jego stan psychiczny, zanim będzie można z nim porozmawiać i przedstawić mu zarzuty. Gdy Caffery zagląda przez wizjer w drzwiach, widzi, że Handel siedzi na pryczy skuty kajdankami. Z nosa kapie mu krew i zalewa dżinsy. Odmówił wizyty lekarza, utrzymując, że nic mu nie jest.

Tymczasem Melanie Arrow wciąż znajduje się w izolatce. Czterej funkcjonariusze z zespołu Flei, w kaskach szturmowych z uniesionymi przyłbicami, trzymają straż przy drzwiach. Na podłodze pod ich stopami leży nóż do tapet w plastikowym woreczku.

– Jest na nim krew – zauważa Caffery, patrząc na nóż.

– Tak, ale nie został użyty – wyjaśnia jeden z policjantów. – To zbieg okoliczności, że zabrudził się krwią. Wchodząc, niechący walnęliśmy Handla w nos. Krew obryzgała wszystko dokoła, między innymi to.

– A co z nią?

– Siedzi cicho. Nie buntuje się. Pytaliśmy ją, czy chce wyjść, ale mówi, że nie, więc chyba można powiedzieć, że jest w areszcie tymczasowym.

– Tak. Tak.

Przez całą drogę Caffery próbował wymyślić, na jakiej podstawie mógłby ją aresztować. Zwykle w takich przypadkach zaczyna się od zarzutów, które łatwo udowodnić, a kiedy opadnie kurz i prawnicy wykombinują strategię, można podbić stawkę. Zagląda przez wizjer do izolatki. Melanie siedzi ze zwieszoną głową, jakby uważnie oglądała swoje dłonie. Na jej białej bluzce widnieje jeden, może dwa krwawe kleksy. Na podłodze widać więcej krwi. Nadal musi bardzo wysilać wyobraźnię, żeby uwierzyć w to, co mu o niej powiedzieli Jonathan Keay i CB.

Otwiera drzwi. Melanie spokojnie unosi głowę.

- Dzień dobry – wita go. – Dawno się nie widzieliśmy.
- Dzień dobry, Melanie.
- Niezły bałagan, prawda?
- Chcesz o tym porozmawiać?

Melanie patrzy na niego z przyklejonym promiennym uśmiechem, ale jej oczy nie wyrażają żadnych emocji.

– Jesteś bardzo miły, ale jeżeli to dla ciebie bez różnicy, wyjątkowo wolałabym na jakiś czas o tym zapomnieć. Chyba już pójde do domu.

Wstaje i podchodzi do drzwi, jakby w ogóle nie dopuszczała myśli, że Caffery może jej przeszkodzić. Tymczasem on, zamiast zejść jej z drogi, nieco bardziej napina mięśnie i przesuwa stopę tak, żeby zablokować drzwi.

Melanie zatrzymuje się blisko niego i znowu spuszcza głowę. Wbija wzrok w jego stopy – próbuje zrozumieć, jak to się stało, że pojawiła się przed nią przeszkoda.

– Lepiej, żebyśmy razem pojechali na komisariat – mówi Caffery. – W tych okolicznościach wątpię, czy powrót do domu jest dobrym pomysłem.

Następuje długie milczenie. Jest tak cicho, że Caffery słyszy świst powietrza w jej nozdrzach. W końcu Melanie odzywa się głosem, który idealnie pasowałby do slumsów Gloucester, gdzie się wychowała:

- Jakim, kurwa, prawem zwracasz się do mnie w ten sposób?
- Próbuję załatwić sprawę w cywilizowany sposób. Nie sądzisz, że mogłabyś odwzajemnić się tym samym?
- To mój szpital.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Będziesz się zachowywała jak człowiek?

Melanie unosi podbródek i pluje Caffery'emu w twarz. Ślina łąduje na jego brwi i spływa do oka. Piecze. Caffery chciałby ją od razu zetrzeć, ale się powstrzymuje. Uśmiecha się.

– Dziękuję. Właśnie szukałem dobrego pretekstu, żeby cię aresztować.

Zęby

To w pewnym sensie zabawny zbieg okoliczności, że nadchodzi Halloween – czas drażenia i wystawiania za drzwi dyniowych kukieł – bo CB czuje się właśnie jak jedna z nich. Jakby ktoś wziął wielką łyżkę i wydłubał z niego całą nadzieję, pozytywną energię i miłość. Po Melanie została w nim wielka dziura.

Kiedy Jack Caffery prowadzi ją do samochodu skutą kajdankami, w eskorcie dwóch policjantów, Duży Lurch podchodzi i opiera dłoń na ramieniu CB. Lekko je ściska. Nic nie mówi, ale CB odczytuje ten gest jako sygnał: „Rozumiem cię. Kiedy będziesz gotów o tym pogadać, możesz na mnie liczyć”.

CB potakuje skinieniem głowy. Mamrocze podziękowanie, a Duży Lurch odchodzi i zostawia go stojącego bezradnie na korytarzu. Co teraz? CB chciałby na chwilę usiąść. Myśli o tym, by zatelefonować do Patience. Gdy jednak wyobraża sobie tę rozmowę, zmienia zdanie. Ciotka byłaby pełna współczucia, ale w jej głosie wciąż pobrzmiwałby wyrzut: „A nie mówiłam?”. Wraca zatem do gabinetu i bierze do ręki prymitywny obrazek namalowany przez Zeldę – pierwszy trop, od którego zaczęło się polowanie na Isaaca. Dopiero teraz, dotykając obrazka palcami, dostrzega, że postać Isaaca została dorysowana później. Farba jest świeższa i odznacza się od tła.

CB potrząsa głową. Czuje się tak, jakby oglądał wzory w kalejdoskopie – coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę z niezliczonych możliwości. Melanie – słodka, zabawna Melanie – jest jak milion kolorowych szkiełek, które układają się w takie wzory, jakie obserwator chce zobaczyć. Bardzo się napracowała, żeby konsylium lekarsko-sądowe zwolniło Handla – miała nadzieję, że opuści szpital obciążony stygmatem Maude. W ogóle nie brała pod uwagę, że Isaac mógł

przejrzeć jej zamiary.

CB idzie do skrzydła Mirt. Zmierza korytarzem do pokoju, w którym Isaac Handel czeka na konsultację z psychiatrą, zanim znowu trafi pod opiekę lekarską. CB daje sygnał siedzącemu przed drzwiami policjantowi, otwiera kluczem drzwi i wchodzi do pokoju.

Isaac siedzi przygnębiony na łóżku. Unosi głowę, kiedy CB wchodzi, ale nic nie mówi na powitanie. Jest trupio błydy. Jego dżinsy są kompletnie przesiąknięte krwią, a z nosa wiszą mu dwa krwawe glutu. Przedstawia sobą żaloszny widok. Kiedy doprowadzą chłopaka do porządku, znowu przepuszczą go przez magiel – postawią przed stu sądami, a w końcu umieszczą w takim samym zakładzie zamkniętym jak Beechway. Tyle że znowu trafi na początek kolejki – na oddział ostrych przypadków specjalnej troski – i upłynie dużo czasu, zanim kolejny raz zakwalifikuje się do wyjścia na wolność. Prawdopodobnie wiele lat.

Na początku CB nic nie mówi. Opiera się o ścianę i osuwa się na ziemię – siada na podłodze naprzeciw Isaaca. Pociera dłońmi twarz. Zna tego faceta od lat, a nigdy nie zwrócił uwagi, jak dziwnie Isaac wygląda. Jest bardzo drobny. Przez tę nieszczęsną fryzurę „na garnek” sprawia wrażenie żaloszego cudaka. Nie do wiary, że budził w CB tak wielki niepokój.

– Isaac... – mówi CB. – Mogę cię o coś zapytać?

Isaac unosi głowę. Nie patrzy na CB, tylko na jakiś punkt na suficie, jakby to stamtąd dochodził głos CB. Kurczowo zaciska dłonie. Dokoła widać krew. Jest wszędzie.

– Tak, CB.

– Chodzi mi o lalki – mówi, niemal obawiając się odpowiedzi, bo sądzi, że już ją zna. – Opowiedz mi o ludzikach.

– Zgubiłem moje ludziki. Straciłem je. Bo byłem niegrzeczny.

– Byłeś niegrzeczny?

Isaac potakuje. Jego twarz jest tak błąda, że niemal kompletnie zsiniał. Drży na całym cieie.

– Dlatego mi je zabrała. Maude mi je zabrała.

CB siedzi ze wzrokiem utkwionym w profil Isaaca. Wraca pamięcią do łazienki w domu Melanie – do oderwanego panelu

i zaginionej bransoletki. Czyżby poprosiła go o naprawę tylko po to, żeby w podświadomości został mu obraz naderwanego panelu i żeby skierować jego uwagę na wannę – tak aby w szpitalnym pokoju Handla właśnie tam znalazł jego lalki? Biblijne inskrypcje mogła zaś napisać sama. Bardzo sprytnie skierowała wszystkie podejrzenia na Isaaca – kiedy CB się nad tym zastanawia, kręci mu się w głowie, jakby patrzył na podniebne sztuczki cyrkowego akrobata.

– Dobrze, jeszcze jedno pytanie: dlaczego zrobiłeś swoim rodzicom to, co zrobiłeś? Rodzonym ojcu i matce?

Isaac odpowiada bez namysłu, niczym dziecko zapytane: „Ile to jest jeden dodać jeden?”:

– Nie lubiłem, kiedy mnie gryźli. Nie lubiłem ich zębów.

– Jak to, gryźli cię?

– Uch – mamrocze, kiwając głową. – Gryźli mnie za karę, kiedy nie chciałem się z nimi bawić w to, co chcieli.

CB długo milczy, próbując to sobie wyobrazić. Jakie jeszcze okrucieństwa kryją się w głowie Isaaca? Chce powiedzieć, że jest mu przykro – chce wyciągnąć do niego rękę, ale nagle Isaac zachłystuje się powietrzem. Kiedy otwiera usta, jego głos jest cichy, jakby dochodził z daleka:

– Jeszcze jedno, CB. Jeszcze jedno.

– Co?

– Zostało jeszcze kilka minut. Tylko tyle. Będiesz myślał, że to już koniec. Ale to nieprawda. To jeszcze nie koniec.

– Isaac! – CB przechyła na bok głowę. Marszczy brwi. – Koniec? Co masz na myśli?

Isaac nie odpowiada. Uśmiecha się, ale jego oczy wyglądają jak szklane kulki. Twarz mu tężeje. CB odpycha się od ściany i zrywa się na nogi. Podbiega do łóżka.

– Isaac!

CB ma duże doświadczenie. Powinien był się od razu zorientować. Ale jakoś mu to umknęło. Bańki krwi bulgoczą w poszarzałych, sinych ustach Isaaca.

– Isaac! – CB próbuje go przytrzymać, ale ten nagle zdaje się bardzo ciężki i wymyka mu się z rąk. Oczy mu się wywracają, ukazując białka. – Isaac...! Jezu, pomocy! – krzyczy CB. Szuka

po omacku przypiętego do paska spodni nadajnika alarmowego. – Lekarza! Dajcie tu, do cholery, jakichś sanitariuszy!

Drugi listopada

Matka Potworów wydała na świat najohydniejsze istoty, wszystkie one są jednak jej dziećmi. Czuje się za nie odpowiedzialna bez względu na to, jak się zachowują. Nadszedł ten szczególny dzień w roku – Zaduszki – kiedy dusze wracają z zaświatów, żeby odwiedzić swoich bliskich. W tym czasie Matka Potworów jest bardzo podekscytowana. Ze wszystkich stron dochodzą ją głosy zmarłych dzieci.

Wybór stroju na tę okazję nastęrcza szczególnych trudności. Jaki kolor dobrać do tak różnorodnego dnia – kiedy dobro przeplata się ze złem, a smutek ze szczęściem? Przegląda przy włączonym świetle swoją garderobę i próbuje znaleźć jakiś kompromis. Zasłony są zaciągnięte, duchy za oknem czekają, kiedy je wpuści, niecierpliwie przemykają w tę i z powrotem. Jeszcze nie jest gotowa zerknąć w ich kierunku – gdyby to zrobiła, ciągnęłyby ją za głowę, obracały nią to w lewo, to w prawo tak szybko, że mogłyby ją oderwać.

Jej brakująca ręka też ma swojego ducha – w odcieniu ciemnego różu. Purpury. Jak seks i gniew, które zmusiły ją do odcięcia tej części ciała. A zatem dla upamiętnienia martwej ręki wkłada purpurowe pantofle. Pauline, biedna Pauline – jej duch jest tak wątki i słaby, że inne go zagłuszają. Błada, pastelowo-żółta Pauline, zupełnie jak halka, którą Matka Potworów wyjmuje z szafy. Zelda miała w sobie dużo niszczącej energii, była zła i żywiołowa, prawdziwa petarda. Leżąca w głębi szafy czerwona opaska na włosy jest właśnie dla niej.

Czas zastanowić się nad panią Arrow. Maude.

Jaki kolor do niej pasuje? To istny przekładaniec jasnych i ciemnych kolorów. Kiedy była szczęśliwa, szpital był bezpiecznym domem. Ale gdy szczęście ją opuszczało, po korytarzach szpitala grasowała Maude. W ciemności przenikała zamknięte na klucz drzwi. Na samą myśl o Maude Matka

Potworów dostaje gęszej skórki. Ta zachłanność, ten gniew i inteligencja! Melanie Arrow odeszła ze szpitala – ale jej złość, jej moc i żądza emanują z policyjnej celi niczym fale radiowe i docierają do Matki Potworów. Ta w końcu decyduje się na parę rękawiczek z fioletowego aksamitu, który czasami wpada w tak głęboki odcień, że zdaje się niemal czarny, ale w odpowiednim świetle jest jasny i soczysty. Są piękne, ale zdradliwe jak wilcze jagody.

Na końcu wybiera spódnicę. Ta decyzja wymaga czasu, bo spódnica symbolizuje Isaaca, a Isaac to wachlarz emocji. Szeroki wachlarz emocji. Niezwykle bystry, a jednocześnie niezwykle smutny. I kompletnie nieprzewidywalny.

Spódnica z krepy, na którą się ostatecznie decyduje, ma cielisty kolor i naszytą na wierzch białą koronkę wysadzaną mnóstwem srebrzystych cekinów. Isaac miał kolor nicości – był niedostrzegalny. Ale dla tych, którzy potrafili na niego patrzeć we właściwy sposób, wydawał się jednocześnie milionem punkcików światła. Od chwili, gdy wyszedł ze szpitala, Matka Potworów wiedziała, że to właśnie on wymierzy sprawiedliwość Melanie Arrow.

Przykłada spódnicę do twarzy, czuje na skórze szorstki dotyk cekinów. Isaac nie żyje, ale nie odszedł. Nie skończył się. Jest sprytny, jest mgławicą gwiazd.

Zaczyna się ubierać. Dopiero gdy ma pewność, że jest już gotowa, rozsuwa zasłony. Duchy ją widzą i drżą przed nią. Kłaniają się jej niczym posłuszne jagnięta. Potulnie siadają na trawie. Uśmiecha się do nich, jednym posyła całusy, innym czułe, ale ostrzegawcze spojrzenia.

– Gabriello...!

Zamiera spłoszona. Ktoś puka do drzwi. Od kilku dni kręcą się po szpitalu obcy ludzie. Zadają pytania, coś notują. Nie poznaje ich. Noszą garnitury i podkładki do pisania. Nie chce, żeby wchodzili do jej pokoju. Rozgląda się, szukając kryjówki.

– Gabriello! To ja, CB! Mogę wejść?

CB. Najmilszy z jej gromadki potomstwa. Matka Potworów od razu czuje się lepiej. Niemal unosząc się nad ziemią, dryfuje przez pokój i otwiera drzwi. CB stoi na korytarzu. Tak bardzo

go kocha!

– Mój drogi CB – mówi Matka Potworów. – Mój najdroższy synek.

– Kończę zmianę, Gabriello. Pomyślałem, że przed wyjściem wpadnę, żeby ci... – Nagle głos więźnie mu w gardle, bo właśnie zwrócił uwagę na jej strój. – Ładnie się ubrałaś. Wyglądasz... ładnie. Dobrze się czujesz?

– Tak, doskonale. Dziękuję. Och, i jestem tutaj, w mojej skórze. – Uśmiecha się. – Dzisiaj jest ważny dzień. To dzień, w którym zajmuję się moimi dziećmi. A co z tobą, CB? Ty też potrzebujesz opieki. Widzę to po tobie.

– Naprawdę?

– Tak. Nikt tego nie wie oprócz mnie. Dobrze cię znam, przecież cię urodziłam. Jest w tobie wielka wyrwa. Myślisz, że nic nie może wypełnić tej pustki.

CB zwiesza głowę i przykłada palec do czoła.

– Muszę już iść – mówi zdławionym głosem. Czym prędzej odwraca się do drzwi. – Miłego dnia, Gabriello. Cudownie dzisiaj wyglądasz.

– CB...

– Słucham?

– Uważaj na siebie, CB. Bądź ostrożny. Wszyscy cię kochamy.

Eden Hole

Grupa specjalistów z funduszu gorączkowo bada procedury bezpieczeństwa w Beechway, wskutek czego kilku ochroniarzy zostało wysłanych na przymusowy urlop na czas trwania śledztwa. Część pacjentów przeniesiono na zamknięty oddział intensywnej terapii pod Bath.

Beechway powoli dźwiga się z kryzysu – ale tego samego nie można powiedzieć o CB.

Wyrwa. Tego słowa użyła Gabriella. Nie mogłaby lepiej nazwać jego stanu, nawet gdyby bardzo się postarała. Tego dnia, wolno jadąc do domu krętymi, smaganymi wiatrem drogami, CB wyobraża sobie, że jest trupem. Szara mumia w wygniecionym garniturze za kierownicą poobijanej starej astry na oponach z różnych kompletów.

Oboje z Patience są pewni, że to Melanie próbowała otruć Stewarta. CB znalazł w piwnicy otwarte opakowanie trutki na szczury. Ale Melanie potrafiła truć nie tylko zwierzęta, zatruwała też umysły. Nie zgodziłby się, żeby znowu zamieszkali razem, nawet gdyby od tego zależało jego życie – już wolałby umrzeć. Bez mrugnięcia okiem cofnąłby się jednak do czasów sprzed wtargnięcia tej kobiety w jego życie. Chciałby znowu osiągnąć spokój duszy. Tak długo i zazdrośnie go strzegł, a pod jej wpływem niechętnie opuścił gardę. Wierzył, że wreszcie udało mu się stworzyć dojrzały związek partnerski; nie zdawał sobie sprawy z tego, że tylko on był dojrzałą osobą w tym układzie. Melanie udało się wdrzeć do jego wnętrza, które już tak dobrze się zasklepiło i stwardniało – a teraz została w tym miejscu otwarta rana, która nigdy się nie zagoi.

– CB, dałbyś już sobie spokój! – Patience przyrządziła na śniadanie smażone paluszki dyniowe i omlet z garścią suszonych grzybów i sera. Zniecierpliwionym gestem stawia talerz na stole. – Zaczynasz mnie męczyć. Wybrałaś zły obiekt

uczuć. Próbowałam ci to powiedzieć, ale mnie nie słuchałeś.

– Nie tęsknię za nią, tylko... – CB potrząsa głową i nieobecny wzrokiem patrzy na omlet. Nie może nic przelknąć. To jakieś szaleństwo. Czysty obłąd. – Po prostu czuję się zmęczony.

– Ja też. Jestem zmęczona tobą i tym cholernym psem, któremu się ubzdurało, że moje imię ma jakiś związek z moim charakterem. Co to, to nie.

– Wszyscy to wiedzą.

– W takim razie powiedz to swojemu psu, dobrze?

CB przesuwa dłońmi po twarzy. Stewart leży w kącie – nie w swoim zwykłym miejscu przy piecu, tylko pod kuchennymi drzwiami – i wyczekująco patrzy pełnym nadziei wzrokiem.

– Chodziłam z nim przez cały dzień, a tylko popatrz na jego minę. Kto by powiedział?

CB wzdycha. Odsuwa krzesło, nie zjadłszy ani kęsa omleta.

– Chodź! – woła Stewarta. – Idziemy na spacer.

Wkłada polar i buty trekkingowe, a potem otwiera drzwi. Nic sobie nie robi z faktu, że Patience kipi świętym oburzeniem – pogardzić jej kuchnią to jak grać w kości ze śmiercią. Omlet pewno wylądował w jego łóżku, może znajdzie go pod poduszką. Ale co z tego? Życie się zmieniło. CB jest gotów poddać się bezwolnie jego nurtowi.

– Chodź, staruszk. Ruszajmy.

Szara mgła rozprasza i tłumi światło. Wisi nisko nad polami. CB nie wziął smyczy, więc Stewart wpada w stan bliski ekstazy. Biegnie przez ogród, trzymając nos nisko przy ziemi. Co chwila zatrzymuje się i unosi łeb, żeby się upewnić, czy to nie jakaś sztuczka, czy naprawdę wolno mu biegać, gdzie chce.

– W porządku. – CB macha ręką. – Daj mi tylko znać od czasu do czasu, gdzie jesteś.

Stewart wyrывa się naprzód – kierunek, który wybiera, nie zaskakuje CB. Przecina pole i najkrótszą drogą pędzi do kładki prowadzącej do lasu. CB otula się szczelniej polarem i rusza za nim. Zdaje się, że pies ma wrodzony instynkt samozachowawczy, bo teraz, gdy CB na niego nie wrzeszczy ani nie stara się go zawrócić, nie biegnie na oślep ku wzgórzom. Co

jakiś czas przystaje i czeka, aż CB go wypatrzy, waruje, dopóki jego pan nie podejdzie wystarczająco blisko, i dopiero wtedy rusza w dalszą goniwę.

Od ostatniego razu las niewiele się zmienił – jest jeszcze wilgotniej i zimniej. Na nogawkach spodni osadzają się grudki topniejącego szronu strząśniętego podczas przeprawy przez zarośla i ogrodzenia. Drzewa zgubiły nieco więcej liści. Poza tym wszystko wygląda tak, jak przed tygodniem. Nawet Stewart wybiera dokładnie tę samą ścieżkę, która nieuchronnie prowadzi ich na zalesiony skrawek pola, do sadu starego Atheya. Mijają porzucony rdzewiejący kontener i idą dalej ścieżką.

Poprzednim razem CB był bardzo niespokojny, teraz jednak brak energii i przygnębienie tłumią w nim poczucie strachu. Zimno mu w twarz i w dłonie, ale czuje niewiele ponad to. Zaszedł już tak daleko, że bez protestów dotrzymuje kroku Stewartowi, kiedy wychodzą na polanę.

Tyle że teraz to Stewart się waha. Kręci się w tę i z powrotem wzdłuż linii drzew, a sierść jeży mu się na grzbiecie. Stary cis wciąż stoi, biały jak kość. Stewart czujnie obserwuje drzewo, ale się nie cofa.

– Jezu, Stewart. Jeżeli to jakaś rozciągnięta w czasie randka, to znaczy, jeśli się okaże, że uganasz się za jakąś kiecką, ale brakuje ci jaj, żeby się z nią spotkać sam na sam, to przekonasz się, jak wygląda u twojego pana awaria poczucia humoru. I obiecuję ci, że stanie się to bardzo szybko. – Zerka na zegarek. – Mniej więcej za dwadzieścia sekund.

Pies niepewnie robi kilka drobnych kroków naprzód. CB pochyla głowę i się przygląda. Stewart też trzyma głowę tuż nad ziemią, a uszy położył po sobie. CB nigdy przedtem nie widział takiego zachowania u swojego psa.

Idzie dalej, grzęznąc w nasiąkniętych wodą liściach. Z bliska widzi, że drzewo spróchniało i w pniu utworzyła się głęboka, czarna komora. To drzewo powinno już dawno umrzeć, ale wciąż się trzyma. Stewart wsunął łeb do środka. CB wyjmując telefon, żeby sprawdzić sygnał. Niestety, brak zasięgu, więc zapala latarkę w komórce, opiera dłoń o łuk nad wejściem

i świeci do środka.

To niezwykła naturalna rozpadlina w pniu. Znajdują się w niej typowe dla jaskiń formacje, gładkie i lśniące faliste nacieki. Dziupla sięga daleko w głąb. CB skądś zna ten widok. Nagle sobie przypomina! To miejsce ze snu – wciąż powracającego snu, który w jakiś sposób nawiązuje do problemów z oddychaniem. Ze snu o pożerającej cały świat bestii, która niesie życie lub śmierć, która nie ma początku ani końca.

Przestań! Dosyć! – karci się CB.

Bierze kilka długich, głębokich wdechów, dopóki nie minie napięcie pod żebrami. Otwiera oczy i z przyjemnością odkrywa, że jego wzrok przyzwyczał się do ciemności – w dziupli jest dosyć jasno, żeby się rozejrzeć. Wyłącza telefon i wkłada go z powrotem do kieszeni. Kuca, żeby się precyzyjnie przeczuciła przez wąskie gardło. Stewart już biegnie truchtem wewnątrz drzewa i zafascynowany obwąchuje wszystkie zakamarki. Ktoś tutaj przebywał – na podłodze leżą jakieś przedmioty, których CB wolalby nie oglądać ze zbyt bliska. Jest też smród – jak w Beechway podczas szczególnie nieprzyjemnego dnia.

– Hej! – woła cicho CB. – Co tam znalazłeś? Psią viagrę czy co?

Stewart nie zwraca na niego uwagi, tylko zapuszcza się jeszcze dalej. Dopiero teraz CB widzi, że jest tam drugie przejście pod łukowatym sklepieniem. Nie zauważyłbyś go, gdybyś, kurczę, nie był psem. CB idzie śladem Stewarta, rozgarniając pajęczyny. W drugiej dziupli musi pełznąć na czworaka niczym komandos. Jego wzrok nie przyzwyczął się do panującego tutaj mroku, więc znowu musi się posłużyć telefonem. Włącza go i świeci dokoła.

Znajdują się w drugiej naturalnej dziupli szkieletowego drzewa, która łączy się z pierwszą. Promień światła telefonu wyławia z ciemności dziwny pniak. Nie wyrósł tu, tylko został specjalnie umieszczony na samym środku – niemal jak jakiś symbol. CB rusza w jego kierunku i nagle zauważa, że drogę przecina mu rozciągnięty nad ziemią drut.

– Och! – CB staje, jak wryty. – A to ciekawe.

Świeci telefonem wzdłuż rozpiętego drutu – który zdaje się

mocny i dość gruby. Jeden koniec został przymocowany do śruby oczkowej wkręconej w podłogę, a drugi prowadzi do pniaka. Z bliska okazuje się, że – o ile nie stracił kompletnie kontaktu z rzeczywistością – pniak został przymocowany do wąskiego włazu wyciętego piłą w pniu.

CB znowu myśli o swoim śnie. Alicja w krainie czarów. Dziura, przez którą wpada się w otchłań. Dziura do nieba.

Stewart wydaje cichy, niepewny pisk. Podchodzi i siada, nerwowo zerkając na pana. Ostrożnie merda ogonem.

CB dotyka drutu palcem wskazującym, zgina palec i zaciska tak, że może otworzyć drzwiczki jednym pociągnięciem.

– Jak sądzisz, Stewart? Powinniśmy to zrobić czy nie?

Stewart otwiera pysk i wywala ozór.

– Przyjmijmy, że to znaczy: „tak”.

Pociąga za drut.

MCIT

Przyczyną śmierci Isaaca Handla była rana wątroby zadana ostrzem noża do tapet. Na miejscu zdarzenia nie wzbudził niczyich podejrzeń i żaden z policjantów nie zainteresował się jego stanem. Obecność krwi złożono całkowicie na karb stłuczenia nosa w wyniku szamotaniny. Bez względu na to, ile razy oglądano od początku materiał wideo z zajęć w izolatce tego dnia, nikt nie był pewny, jak doszło do zranienia.

Melanie utrzymuje, że Isaac sam wbił sobie nóż w brzuch. Na nożu znaleziono jej odciski palców, ale jej zdaniem było to samobójstwo podczas interwencji policji, a ona nie wiedziała o jego zamiarach.

Właśnie tego Caffery nie może zrozumieć – bo ma uzasadnione podejrzania, że Isaac planował coś innego. Nie daje mu spokoju myśl, że coś przeoczył, czegoś nie dopilnował. Co się stało z kombinerkami i drutem, które Isaac Handel kupił w Wickes? Do czego chciał ich użyć? Drut. W jakim celu? Żeby gdzieś wywołać zapłon substancji chemicznych, tak jak po morderstwie rodziców? A jeżeli tak, to gdzie? W wolnej chwili zadzwoni do Penny Pilson i zapyta, co ona o tym sądzi. Czy tamtego dnia Isaac rozciągnął drut, żeby zastawić pułapkę na policjantów, czy naprawdę zamierzał zdalnie podpalić ciała rodziców? Powie jej, że w końcu zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc: „Niech pan nie wierzy pozorom”.

Tymczasem jednak jest zbyt pochłonięty próbą przejrzenia Melanie Arrow oraz długiego, chaotycznego ciągu kłamstw, fałszerstw i mylnych tropów, które za sobą zostawiła.

Stworzona przez Isaaca lalka tej kobiety – z błyszczącą twarzą o nieco kocich oczach – nie oddaje w pełni jej paskudnego charakteru. Caffery nie przypomina sobie, by kiedykolwiek przedtem czuł taką odrazę do drugiego człowieka. Trafiała do aresztu przy Trinity Road, ale nawet w tej sytuacji nie przestaje

bronić swoich racji. Bez przerwy kłamie. Kiedy CSI zaczyna dostarczać twarde dowody jej winy – takie jak ślady jej DNA na długopisie z pokoju Zeldy lub ślady DNA Zeldy na masce do radioterapii jej ojca – Melanie zmienia taktykę. Przyznaje się do winy, ale zasłania się niepoczytalnością. Oskarża system, swoje dzieciństwo, byłego męża. Nawet Caffery’ego. Podczas jednego z przesłuchań rozpina bluzkę – tak dyskretnie, żeby nikt oprócz niego tego nie widział. Caffery każe specjalście gromadzenia dowodów wyłączyć magnetofon, ponieważ przesłuchanie zostaje przerwane. Prosi, żeby kontynuować bez niego. Woli już nigdy nie widzieć tej kobiety.

Nadinspektor przez jakiś czas nie zaglądał mu przez ramię, ale odkąd śledztwo w sprawie Beechway koncentruje się na przesłuchaniach, zbieraniu zeznań, raportach i współpracy z prokuraturą, coraz częściej pyta, co Caffery planuje w związku z funkcjonariuszami, którzy odmrażają sobie tyłki przed kliniką rehabilitacyjną Farleigh Park. Został im jeden, może dwa dni do końca poszukiwań, a liczba zmarnowanych tam godzin pracy już jest astronomiczna. Wkrótce Caffery będzie musiał oddać tę sprawę – w przyszłym tygodniu zostanie przydzielona jednemu z niższych rangą detektywów. Od trzech dni nie miał okazji pojechać na miejsce poszukiwań, ale się tym nie przejmuje – nie ma zamiaru znowu się szarpać z Fleą Marley, bez względu na to, jakie emocje Flea w nim budzi od mniej więcej półtora roku. Odrzuciła swoją najlepszą szansę na wyjaśnienie zaginięcia Misty, zmarnowała jego misterny plan i cały wysiłek, który włożył w jego realizację. Nie jest pewny, czy jej to wybaczy. W końcu znajdzie jakiś sposób, żeby dać Jacqui Kitson to, czego ta kobieta od niego oczekuje, ale będzie musiał zacząć od zera. Tymczasem Misty wciąż patrzy na niego ze ściany biura. Malujący się na jej twarzy niewypowiedziany głośno wyrzut cały czas nie daje mu spokoju.

Dosyć! Od siedemdziesięciu sześciu godzin żyje jedynie na kawie i czterech godzinach snu. Wyłącza komputer, wkłada kurtkę i idzie do drzwi. Przecina parking, zmierzając w kierunku swojego mondeo, lecz nagle dostrzega zaparkowanego przy

szlabanie małego renaulta. Zbliża się i widzi za kierownicą Fleę Marley. Kobieta obserwuje go przez otwarte okno.

Caffery waha się, patrzy w prawo i w lewo, jeszcze mając nadzieję, że uda mu się niepostrzeżenie zniknąć i nie będzie musiał z nią rozmawiać. Po chwili jednak podchodzi do samochodu.

– No co?

Flea nie odpowiada. Ma na sobie regulaminowe czarne bojówki i koszulkę polo. Włosy upięła pod czapką i jest bez makijażu. Jej skóra nosi ślady bladej zimowej opalenizny – to efekt długich godzin bezowocnych poszukiwań wokół kliniki.

– Jack, musimy porozmawiać.

– Znowu to samo.

– Pojedziesz ze mną?

– Dokąd? Na następną wielce tajemniczą wycieczkę donikąd?

– Daj mi przynajmniej szansę.

Caffery znowu rozgląda się po parkingu. Bez przekonania szuka powodu, by odmówić, ale go nie znajduje. Wkłada kluczyki do kieszeni, obchodzi samochód, rzuca kurtkę przeciwdeszczową na tylne siedzenie i wsiada po stronie pasażera. W samochodzie Flei jest czysto, jej sprzęt służbowy leży z tyłu, iPod jest wpięty do stacji dokującej, ale nie dochodzi z niego muzyka. Caffery zapina pasy.

– Dokąd jedziemy?

Flea uruchamia silnik i rusza. Wyjeżdżają za bramę i skręcają na drogę wzdłuż kanału, a potem jadą prosto przez rondo na Lawrence Hill i dalej na autostradę. Flea prowadzi z tak zawziętą miną, że Caffery woli trzymać język za zębami. Jeżeli w przybliżeniu wściekłości będzie chciała zjechać z klifu w przepaść, to chyba nie będzie się bronił – jest zbyt zmęczony. Nawet nie sięga do kieszeni po e-papierosa. Walka jest dla tych, którzy mają coś do zyskania.

Na M4 słońce świeci im w plecy. Caffery widzi w lusterku wstecznym, że na zachodzie chmury zatrzymały się w miejscu i piętrzą się przed niewidzialną granicą – trochę tak, jakby zrezygnowały z pościgu za małym clio i zadowolily się obserwacją jego ucieczki. Flea skręca w zjazd A46 i zmierza na

południe w kierunku Bath. Przez chwilę Caffery myśli, że jada do jej domu, ale okazuje się, że nie. Przejeżdżają skrzyżowanie i oddalają się obwodnicą na Chippenham. Nagle Flea ostro skręca w lewo, potem w prawo i wkrótce Caffery czuje, że pogubił się w gąszczu nieznanymi wąskimi drogami.

Wyciąga telefon, żeby się zorientować w swoim położeniu na mapie. Jedną ręką zapiera się o drzwi, kiedy Flea ostro wprowadza samochód w zakręty. Czyżby wiozła go do kliniki? Jeżeli tak, to sam nigdy nie jechał tam tą trasą. Ale Flea doskonale zna tę okolicę – tutaj się wychowała. Caffery mieszka tu dopiero od trzech lat i nie wie, gdzie jest – sygnał GPS to niknie, to się pojawia. W końcu Caffery rezygnuje, opiera się na siedzeniu, a telefon trzyma na udzie.

Piętnaście minut później Flea zjeżdża z drogi na zarośniętą, grząską od deszczu ścieżkę prowadzącą do lasu, która wygląda na tak rzadko używaną, że drzewa pochylają się tuż nad dachem clio. Gałęzie ocierają się o karoserię, a brązowe jesienne liście przyklejają się do szyby, kiedy samochód podskakuje na wybojach.

Mniej więcej po stu metrach ścieżka się urywa. Flea wyłącza silnik. Przed nimi znajduje się kładka nad ogrodzeniem – omszała i ledwo widoczna spod chaszczki jeżyn. W lesie dokoła jest cicho. Słychać jedynie odległe krakanie gawronów.

– No dobrze – mówi Caffery, rozglądając się. – A zatem chciałaś mnie wywieźć na pustkowie i mieć tylko dla siebie. Zapewne po to, żeby kolejny raz się tłumaczyć, dlaczego mnie nie posłuchasz. Z innych powodów przychodzi mi do głowy tylko jeden, którego, jeżeli dobrze odczytuję twój nastrój, w ogóle nie ma w programie.

Flea go ignoruje. Energicznie otwiera drzwi i wysiada. Idzie na tył samochodu. Caffery nie odwraca się, żeby popatrzeć – widzi ją w lusterku. Flea otwiera z zawziętą miną bagażnik, coś z niego wyjmuje, podchodzi do drzwi pasażera i rzuca bagaż na ziemię.

Caffery otwiera drzwi i zerka jej pod nogi. Okazuje się, że wyciągnięty z samochodu przedmiot to wielka torba sportowa – błękitna z białymi motywami i firmowym logotypem.

– Mecz tenisa?

Flea mruży oczy. Zawiesza na szyi lokalizator GPS, zarzuca torbę na ramię i rusza w kierunku kładki. Idzie w czarnych, ciężkich traperach, rozgarniając jeżyny tak lekko, jakby ich tam wcale nie było. Caffery wciąż ma na sobie lakierki i garnitur, ale przypomina sobie, że zostawił na tylnym siedzeniu grubą, szczelną kurtkę. Sięga po nią i wysiada – goni Fleę, żeby nie stracić jej z oczu.

W Dziky

CB LeGrande siedzi przy wejściu do dziupli martwego szkieletu drzewa i ogląda trzymane w rękach przedmioty. Stewart waruje obok, uważny i niepewny. Co chwila unosi pysk i patrzy na CB, jakby szukał potwierdzenia, czy wszystko jest w porządku.

– Niby skąd mam wiedzieć? – pyta CB. – To ty mnie tu przyprowadziłeś.

W pniu drzewa za małymi drzwiczkami znalazł płytką wnękę wyściełaną piórami. Leżały w niej dwie lalki, które teraz trzyma. Jeżeli nie są dziełami Isaaca Handla, to ktoś niezwykle umiejętnie podrobił jego rozpoznawalny na pierwszy rzut oka styl. Mają nawet jego zapach. CB obraca je w palcach – ogląda je ze wszystkich stron w bladym świetle sączącym się przez gałęzie.

Lalki zostały wykonane ze ścinków materiału, folii aluminiowej i nakrętek od butelek – nie są takie brzydkie, jak inne kukiełki, które wyszły spod ręki Isaaca. Isaac nie miał oporów przed przedstawianiem płci swoich lalek, zawsze wyraźnie ją podkreślał. Z tych dwóch jedna jest mężczyzną, a druga kobietą. Obejmują się. Nie uprawiają seksu, tylko czule się przytulają. CB nie jest w stanie określić, w jaki sposób Isaac uzyskał ten efekt przywiązania i miłości między nimi. Kiedy próbuje je rozdzielić, musi się trochę napracować. Za pomocą kluczy odpruwa paski bawełny, którymi lalki zostały zszyte.

Poznaje osobę, którą ma reprezentować męska figurka. To on. CB.

– Okej – mówi wstrząśnięty. Kładzie lalki koło siebie, mimo zimna zdejmuje kurtkę, rozkłada ją na mokrej ziemi, klęka i ostrożnie umieszcza na niej lalki. – Okej...

Jego włosy to pasemka wełny, a T-shirt został wycięty z hawajskiej koszuli, która zdaniem Patience jest zbrodnią

dokonaną na dobrym guście. Figurka kobiety nic mu nie mówi. Jasnoczerwona wełna służy jej za włosy, a jej spódnicę zdobi fioletowy kwiatowy wzór z przepłatającymi się liśćmi. Na rękach nosi bransoletki ze skręconych kawałków drutu.

– Isaac, stary druha – mówi szeptem CB. – Isaac... Co to ma znaczyć?

Unosi głowę, żeby się rozejrzeć. Zastanawia się, czego Isaac mógł tutaj szukać – w miejscu, które CB przez wiele lat odwiedzał w snach, ledwie kilka kilometrów od domu. Nagle zdjęty strachem odkrywa, że nie jest sam. Na skraju lasu, mniej więcej cztery metry dalej, stoi jakaś kobieta i przygląda mu się w milczeniu.

– Jezu! – CB czym prędzej zrywa się na nogi. – Nie zauważyłem pani.

Kobieta się uśmiecha. Jest drobna i ładna – jej fryzura przywodzi mu na myśl jaskrawoczerwoną czapkę elfów. Nosi kalosze i budrysówkę, spod której wystaje kwiecista spódnica. Stewart bez wahania podchodzi do niej, jakby dobrze ją znał, i siada u jej stóp. Kobieta pochyla się, żeby podrapać go za uchem.

– Wabisz się Stewart? – pyta. – Tak? Jesteś słodki.

– Stewart! – mówi ostrzegawczo CB. – Stewart...

Chce go przywołać, bo nie pozwala mu się spoufalać z obcymi – ale zdaje się, że ta kobieta nie stanowi zagrożenia. Jest wręcz tak delikatna, że Stewart kładzie się na grzbiecie niczym naiwny szczeniak i pozwala jej się drapać po brzuchu.

– Hej, ty naprawdę to lubisz!

Kobieta kuca i drapie go z jeszcze większym zapalem. Uszy Stewarta majtają się bezwładnie, kiedy zwierzę obraca głowę to w lewo, to w prawo, przeżywając psią ekstazę.

– Ależ z ciebie przylepa! – Śmieje się kobieta. – Moja Suki od razu by cię pokochała.

CB stoi bez ruchu. Marszczy brwi.

– Zna pani mojego psa?

Tamta potrząsa głową, beztróska drapiąc Stewarta, któremu z przyjemności aż trzęsą się łapy.

– Pytałem, czy zna pani mojego psa. Wie pani, jak się wabi.

– Tak, wiem, jak się wabi. Spodziewałam się, że będzie taki cudowny.

– Spodziewała się pani?

Kobieta przerywa zabawę i unosi wzrok. Są mniej więcej w tym samym wieku, ale jej ciało jest gładkie i kremowo jasne. Jej oczy są oliwkowozielone.

– Dokładnie tak powiedziałam.

– Chyba powinna mi pani coś wyjaśnić.

– Właśnie po to tu jestem, CB.

CB patrzy na nią, kompletnie nic nie rozumiejąc.

– Proszę wybaczyć, może pani powtórzyć?

– Właśnie po to tu jestem, CB – powtarza z uśmiechem kobieta.

– Okej, wystarczy... Dostyc tych zbiegów okoliczności.

– Nie. To jeszcze nie wszystko. – Wskazuje palcem leżącą na ziemi kurtkę. – Przyjrzyj się tym lalkom.

CB zerka na nie. Czerwone wełniane włosy. Strój lalki jest bardzo podobny do spódnicy, którą ma na sobie ta dziwna kobieta. Nawet wzór wygląda tak samo.

– Mam na imię Penny. Nie poznaliśmy się wcześniej. Wiem jednak, kim jesteś. Byłeś przyjacielem Isaaca w szpitalu.

– Ale kim pani jest?

– Już wiesz, mam na imię Penny. Jestem hippiską.

– No tak... Nietrudno zgadnąć.

– Davidem Beckhamem to ty raczej nie jesteś. Czy ktoś już ci to powiedział?

– Tak, ale nie w aż tylu słowach. Skąd pani знаła Isaaca?

Penny znowu się uśmiecha.

– Jestem jego matką. Nie, oczywiście nie rodzoną, nie w dosłownym sensie. Jestem raczej jego wymarzoną matką. Kimś, kogo chciał za nią uważać. Słyszałeś, co z nim wyprawiała jego prawdziwa matka?

– Tak.

– No cóż, pewno i tak nie wiesz wszystkiego. I nie chciałbyś wiedzieć. Ja sama nie wiedziałam aż do ubiegłego tygodnia. Nie rozumiałam go, myślałam, że mnie nienawidzi. Na tym polegał jego problem. Wszyscy przed nim uciekali.

– Ja nie uciekłem. A może jednak?

– Nie. Nie uciekłeś. I za to cię pokochał. Naprawdę cię kochał. Jeżeli w jego fantazjach ja byłam matką, to ty byłeś ojcem. Wiedziałeś o tym?

CB gapi się na nią i nie może wykrztusić ani słowa. Ma ochotę porządnie opieprzyć tę kobietę, powiedzieć, że ma nie po kolei w głowie, a wie co nieco o świrach, bo przecież co dzień widzi ich w pracy. Tymczasem zerka na lalki i zaczyna mu świtać, że może cały czas prowadziła go czyjaś niewidzialna dłoń. Długo sądził, że zgubił drogę, ale może to też była część tej podróży. Jego przeznaczenie.

Pożar w oddali

Las jest gęsty – wciąż ocieka deszczem, który wcześniej tu spadł. Caffery ma przemoczone buty, a nogawki jego spodni są ciężkie od błota i liści. Flea się nie ogląda, od czasu do czasu zatrzymuje się tylko, żeby sprawdzić współrzędne w lokalizatorze. Wciąż się wspinają, aż w końcu docierają na szczyt – po prawej stronie teren gwałtownie się obniża. Las rzednie i przez korony drzew prześwituje niebo. Caffery dostrzega skrawki okolicznych pól. W pobliżu nie ma jednak żadnych wiosek, zabudowań ani słupów elektrycznych. Ani śladu cywilizacji.

Flea schodzi ze ścieżki, przedziera się przez niewyobrażalny gąszcz jeżyn i gałęzi. Caffery domyśla się, że po tej wyprawie będzie miał spodnie w strzępach, ale idzie z nią. Po dziesięciu metrach Flea zatrzymuje się i zwraca w jego kierunku. Stawia torbę na ziemi, pochyla się i rozpina zamek bocznej kieszeni. Wyjmuje dwie pary nitrylowych rękawiczek i dwie pary nakładek na buty – standardowy zestaw, który śledczy wydają każdemu, kto przebywa na miejscu zbrodni.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Żartujesz! – Caffery prycha z kwaśną miną. – Czuję się jak podczas zabawy w ciuciubabkę. Jakbyś od godziny okręcała mnie z zawiązaną na oczach chustką. – Najchętniej dodałby, że zachowuje się tak już od wielu miesięcy, ale w ostatniej chwili gryzie się w język i pyta: – Mogę liczyć na jakąś odpowiedź?

– Jezioro Farleigh Park. – Wskazuje na północ. – Widzisz?

Rzeczywiście, między drzewami w tamtym kierunku niczym moneta w trawie prześwituje szara tafla wody. Nagle doznaje olśnienia i już wie, gdzie są. Opiera się dłońmi o dwa młode drzewka i wychyla nad stromym zboczem, żeby popatrzeć na teren u podnóża. Z anonimowego krajobrazu nagle wyłaniają się znajome wzgórza i wzniesienia.

– Do diabła – mamrocze. Wskazuje ręką na zachód. – Klinika musi być gdzieś tam...

– Nasza baza wypadowa znajduje się tuż za tamtą kępą drzew. Jesteśmy na obszarze ostatniego etapu poszukiwań. Zaczynamy jutro o ósmej. Masz. – Podaje mu rękawiczki. – Będziesz ich potrzebował.

Caffery bardzo wolno zwraca wzrok w kierunku sportowej torby.

– Tak – mówi Flea. – Jest w niej to, o czym myślisz.

Caffery długo wpatruje się bez ruchu w torbę.

– A przy okazji, Jack, muszę ci powiedzieć, że masz w domu główniany system alarmowy. Kup sobie psa. Dzisiaj rano przez pół godziny kopałam w twoim ogrodzie i nikt się mną nie zainteresował. Jej ubranie też znajdziesz w tej torbie.

Caffery patrzy na nią. Jeżeli do tej pory jedynie podejrzewał się o romantyczne uczucia wobec tej kobiety, to teraz może być ich pewien na sto procent.

Flea wzrusza ramionami.

– Kartony – mówi, chociaż Caffery nie zadał pytania, które przyszło mu do głowy. – Wiesz, jak to jest, kiedy wszystko przechowuje się w kartonowych pudłach. Boisz się, że jeśli jedno otworzysz, żeby coś wyjąć, od razu wszystko się wysypie.

– Wszystko?

– Tak. Wszystko, o czym łatwiej jest nie myśleć. Na przykład bracia, zmarli rodzice i...

Nie kończy zdania. Przygryza usta i błądzi wzrokiem po jego twarzy. Za jej plecami widać rozległą panoramę – zimowy krajobraz Somerset. Słup dymu z jakiegoś pożaru w oddali wzbija się w niebo. Gasnące słońce oświetla twarz Flei.

– I...?

Flea ledwo dostrzegalnie się uśmiecha. Jakby to, o czym pomyślała, wzbudziło w niej jednocześnie nieśmiałość, smutek i nadzieję.

– Ech, nic. Po prostu: „i...”.

Podziękowania

Wiele osób poświęciło całe życie rozwijaniu swojej wiedzy i umiejętności tylko po to, by pewnej nocy zakradła się do nich autorka kryminałów, wrzuciła ich doświadczenia do worka i po udanej ucieczce przerobiła je na powieść. Nie mam pojęcia, dlaczego tolerują taki rozbój w biały dzień. Mogę jedynie czuć wdzięczność i pokorę wobec ich hojności. Wśród tych ludzi należy wymienić: Patricka Knowlesa, który zapoznał mnie ze szczegółami angielskiego systemu opieki nad psychicznie chorymi, geniusza medycyny sądowej Hugh White'a, Simona Gerarda, detektywa Garetha Bevana z lotnego zespołu interwencyjnego dla hrabstw Avon i Somerset (pierwowzoru Jacka Caffery'ego) i inspektor Zoe Chegwyn, która wytłumaczyła mi wszystko, co powinnam wiedzieć o odbijaniu zakładników. Przy okazji – przepraszam, jeżeli dla potrzeb fikcji literackiej nieco nagięłam fakty, którymi się ze mną podzieliliście, ale pragnę podkreślić, że jestem wam niezmiernie wdzięczna.

Tradycyjnie nie sposób opisać słowami, jak wiele zawdzięczam fantastycznym ludziom z wydawnictwa i agencji, z którymi współpracuję. *Chapeau bas* za waszą ciężką pracę i cierpliwość. Dziękuję też Steve'owi Bennettowi za tolerancję dla mojej awersji do mediów społecznościowych. Zadziwiające, jak sprawnie udaje ci się prowadzić stronę internetową autorki, która tak bardzo nie lubi się udzielać.

Jonathan Keay – prawdziwy Jonathan Keay – wsparł dużą kwotą pieniędzy sieć bibliotek DeKalb w Atlancie (Georgia), za co, w dowód wdzięczności, jeden z bohaterów *Kukły* otrzymał jego imię i nazwisko. Jonathanie, wiem, że w prawdziwym życiu jesteś o wiele bardziej interesującym człowiekiem niż w powieści, ale mimo to bardzo ci dziękuję. Jeżeli zaś chodzi o Karin Slaughter, która stała za tym pomysłem – dziewczyno,

nigdy nie przestajesz mnie oburzać, inspirować i zadziwiać.
Tak trzymaj!

Dziękuję także mojej drogiej rodzinie i przyjaciołom, zawsze gotowym do pomocy, skromnym i bez reszty oddanym: Bobowi Randallowi; Margaret OWO Murphy, Mairi Hitomi, Lotte GQ, Sue i Donaldowi Hollinsom. Co ja bym bez was zrobiła?

Spis treści

Niewidzialna

Restauracja Browns, Triangle, Bristol

Gabinet koordynatora, zakład zamknięty dla psychicznie chorych Beechway, Bristol

Bezpieczna

Restauracja Browns, Triangle

Dawny dom pracy

Hotel du Vin, The Sugar House, Bristol

Maude

Cienki Bolek

Granica

Patience i Stewart

Człowiek ze wschodu

Sen

Koniec

Pokojowa Nagroda Nobla

Jabłonka

Awarie prądu

Tajemnica latania

Mulder i Scully

Wielka wszechwładna moc

W kalesonach i kowbojkach

Prawda o Misty Kitson

Ulica

Struś

Pijani cydrem

Ucieczka z miejsca wypadku

Truskawki i cukierki z pianki

Pod wiaduktem

Szron

Ktoś na pewno coś wie

Bransoletka

Szafka Zeldy

Jaskinia Peach Stone
Isaac Handel
Plan
Starbucks
Grota Elfa
Sezon na konfitury
Nurkowanie bez uprawnień
Wtopieni w siebie
Spadanie z wielkim hukiem
Żółta
Triumf
Kalkulator żałoby
Mandaty drogowe
Hotel Avonmere
Skarpetki z pomponem
Plastikowe reklamówki
Fred Astaire
Wickes
Eden Hole
Człowiek omijany łukiem
Anioł
Inwentaryzacja
Stewart i włóczęga
Łazienka
Sportowa torba
Upton Farm
Ludziki
Robota
Stara przędzalnia
Thom Marley
Przysięga
Kartony
Duchy
Priddy
Stara przędzalnia
Graham i Louise Handel
Skrzydło Żonkil

Dzień świstaka
Sad starego Atheya
We wnętrzu ludzików
Suki i śnieg
Brudna różowa satyna
Czerwony T-shirt
Kaczka
Jak mówić prawdę
Dzicz
Warci siebie
Magiczne ciastko
Nieszczęsny karzeł
Nie wierz pozorom
Blokada policyjna
Matka Potworów
Berrington Manor
Dyżurka ochrony
Jonathan Keay
Taktyka
Berrington Manor
Trucizna
Berrington Manor
Prześwietlenie
Sztuka aresztowania przestępców
Zęby
Drugi listopada
Eden Hole
MCIT
W Dziczy
Pożar w oddali
Podziękowania
Przypisy

virtuālo

lesiojot